

MATTEO STRUKUL
CMENTARZ
W WENECJI



MATTEO STRUKUL
CMENTARZ
W WENECJI

Z języka włoskiego przełożyła
Aneta Banasik



WYDAWNICTWO
SONIA DRAGA

Il cimitero di Venezia

© 2022 Newton Compton Editori srl

This edition published in agreement with the Proprietor
through MalaTesta Literary Agency, Milan

Copyright © 2024 for the Polish edition by Wydawnictwo Sonia Draga

Copyright © 2024 for the Polish translation by Aneta Banasik

(under exclusive license to Wydawnictwo Sonia Draga)

Projekt graficzny okładki: Anna Slotorsz/artnovo.pl

Zdjęcia wykorzystane na okładce: © Dataimasu/Adobe Stock, © Toli/iStock,
© elm/ Shutterstock, © STILLFX/Shutterstock, ©matsiukpavel/Shutterstock,
Canaletto *Canal Grande*/domena publiczna

Zdjęcie autora: © Marco Bergamaschi

Redakcja: Jolanta Olejniczak-Kulan

Korekta: Aneta Iwan, Iwona Wyrwisz, Joanna Rodkiewicz

ISBN: 978-83-8230-719-1

Wszelkie prawa zastrzeżone. Nieautoryzowane rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiegokolwiek postaci jest zabronione i wiąże się z sankcjami karnymi.

Książka, którą nabyłeś, jest dziełem twórców i wydawcy. Prosimy, abyś przestrzegał praw, jakie im przysługują. Jej zawartość możesz udostępnić nieodpłatnie osobom bliskim lub osobiście znanym. Ale nie publikuj jej w internecie. Jeśli cytujesz jej fragmenty, nie zmieniaj ich treści i koniecznie zaznacz, czyje to dzieło. A kopiując ją, rób to jedynie na użytek osobisty.

Szanujmy cudzą własność i prawo!

Polska Izba Książki

Więcej o prawie autorskim na www.legalnakultura.pl

WYDAWNICTWO SONIA DRAGA Sp. z o.o.

ul. Fitelberga 1, 40-588 Katowice

tel. 32 782 64 77, fax 32 253 77 28

e-mail: info@soniadraga.pl

www.soniadraga.pl

www.facebook.com/WydawnictwoSoniaDraga

E - wydanie 2024

Spis treści

1. Sante
2. Canaletto
3. Sala tortur
4. Rozmowa
5. Anioł stróż
6. Isaac Liebermann
7. Rady bohatera
8. Niespodzianka
9. Szpieg
10. W Triumfującej Wenecji
11. Murano
12. Cierpienie
13. Maski
14. Sekrety
15. Sprawozdanie
16. Banda uliczników
17. Strach
18. Umowa
19. Plac Świętego Jakuba Apostoła na wyspie Rialto
20. Dwie kobiety
21. Irlandczyk
22. Fanatyzm
23. Charlotte
24. Wyznania
25. Angielski dżentelmen
26. Rada pięciu

27. Na salonach władzy
28. Obsesja
29. Nocny wypad
30. Zauroczenie
31. Trudny dzień
32. Cygan
33. Szkło
34. Spotkanie
35. Getto
36. Rozbójnicy
37. Sekcja
38. Decyzje
39. Zezwolenia
40. Cmentarz w Wenecji
41. Krew
42. Symbol
43. Pytania
44. Nocna napaść
45. Zniknięcie
46. Powrót do początków
47. Skrucha
48. W poszukiwaniu rozwiązania
49. Przekonywanie doży
50. Sechmet
51. Wśród masek i kości
52. Akcja
53. Miłość i muszkiety
54. Wyrównanie rachunków
55. Koniec zabawy
56. Bal

57. Wenecja

58. Obietnica

Posłowie

Podziękowania

Przypisy

Dla Silvii
Dla mojej ulubionej ziemi weneckiej

Patrzył na życie swoje i wydało mu się okropnem; patrzył na duszę, dusza własna wydała mu się straszną. A jednak na to życie i na tę duszę spływało światło łagodne.

VICTOR HUGO, *Nędznicy*
(tłumacz anonimowy)

Prawdziwy talent jest zawsze naiwny i dobroduszny, otwarty, nienadęty; dowcip jest zawsze u niego igraszką myśli, nie godzi nigdy w miłość własną.

HONORÉ DE BALZAC, *Stracone złudzenia*,
przeł. Tadeusz Boy-Żeleński

W trikornie i staroświeckim ubraniu kawaler przypominał wychudzonego, zgarbionego ducha z minionej epoki, przywoływał swoją upiorną postacią dawne wspomnienia.

JOSEPH CONRAD, *Pojedynek*

Świat z pewnością czczyłby jego pamięć, gdyby tylko nie popadł w przesadę w praktykowaniu jednej z cnót. Poczucie sprawiedliwości uczyniło zeń bandytę i mordercę.

HEINRICH VON KLEIST, *Michael Kohlhaas*

1. Sante

TO BYŁA PIEKIELNA NOC.

Sante stał w gondoli. Z wysiłkiem zanurzał w wodę wielkie wiosło i płynął przed siebie. Niebo barwiło się na różowo. Zorza odbijająca się w wodach laguny sprawiała wrażenie, jakby odsłaniała miękką głowę gigantycznej meduzy odpoczywającej w płynnych trzewiach Wenecji. Jeszcze kilka dni wcześniej ogromne przezroczyste lustro było jedną wielką taflą lodu. W przeszłości też już się to zdarzyło. Starzy ludzie gadali, że niejednym razem Wenecjanie musieli łamać lód, aby korzystać z transportu wodnego. A teraz z wielkich brył, które się uformowały w ciągu ubiegłych dni, gdy lodowaty całun poprzecinały ciemne, pękające szramy, pozostały jedynie nieliczne plamy, unoszące się na powierzchni niczym opalizujące ślady nocnej zjawy.

Ciągle jeszcze doskwierał mróz, chociaż temperatura nieco się podniosła. Rio dei Mendicanti przypominało wąską siną wstążkę. Jakiś włóczęga, owinięty w starą ciemną pelerynę tak zniszczoną, jakby mole zżarły już większą część materiału, zataczał się, idąc brzegiem kanału. W jednej ręce trzymał latarnię, a jej słaby płomień kołysał się w rytm kroków. Sante nie zwrócił na niego uwagi. Obecność nędzarza w takim miejscu nie była w końcu niczym niesamowitym.

Ciemne zarysy ruder i wałących się bud wzniesionych w okolicach przystani pięły się ku niebu, jakby nędzarze specjalnie stawiali jedno piętro na drugim kierowani rozpaczliwym pragnieniem, by sięgnąć boskich dłoni i w ten sposób otrzymać łaskę lub przebaczenie, które niestety nigdy nie nadchodziło. Zresztą jakie grzechy mogli popełniać ludzie nękani głodem i brakiem środków do życia czy miejscowe dziwki gotowe na zawołanie wszcząć kłótnię z każdym z mieszkańców okolicy?

Wszędzie suszyło się pranie, a mroźny wiatr targał podziurawioną bieliznę i podarte ubrania, unosząc je niczym sztywne szmaty należące do gromady potępieńców.

Podczas gdy gondola posuwała się wzdłuż kanału, światło dnia gorączkowo rozlewało się dookoła, a zorza ustępowała miejsca chorobliwie drżącemu blaskowi rodzącego się świtu. Z kominów wzbijały się smugi dymu. Mała ciemna łódka poruszała się w irytująco wolnym rytmie, gdyż Sante nie miał ochoty wiosłować z większym wigorem. Noc nie przyniosła mu upragnionego snu i spędził ją, wpatrując się w zgniłe belki sufitu, gdy tymczasem zimny pot perlił jego czoło. Obawa, że nie zdoła zapewnić rodzinie kolacji, męczyła go tak bardzo, że nie mógł zmrużyć oka. A ssanie w żołądku też nie sprzyjało wypoczynkowi.

W końcu zwrócił wzrok w stronę wielkiego frontonu kościoła Świętego Łazarza oraz szpitala żebraków, obok których przepływał.

Od dawna obiecywał sobie, że wyprowadzi się z dzielnicy Castello, najpodlejszej części Wenecji, która w ciągu ostatnich lat zmieniła się w latrynę miasta zmierzającego ku zagładzie w szalonym pędzie, jakby jak najszybciej chciała się pogrążyć w wodach laguny. Wyuzdane zabawy, niekończący się karnawał, upadek moralny i hołdowanie przyjemnościom – wszystko to charakteryzowało ulice. Niemalże każdego dnia powstawały nowe spelunki i burdele, jakby toczył się tu ciągły wyścig z czasem w rozpaczliwym dążeniu do ostatecznej katastrofy.

Jego myśli, uparcie wracające do uzasadnionego marzenia, by zmienić sadybę, rozbiły się o barierę wygórowanych cen mieszkań. Ktoś taki jak on, zwykły kotlarz, nie miał najmniejszych szans na spełnienie takich nadziei. Musiał się zadowolić skromną norą, w której mieszkał wraz z żoną i trojgiem dzieci. Westchnął ciężko.

Wiosłował z trudem z głową pełną zmartwień i czarnych myśli, gdy nagle poczuł, jak łódź uderza o coś twardego. Zderzenie nie było silne, lecz zaskoczenie i niewesołe rozważania sprawiły, że niemal stracił równowagę i o mały włos byłby wpadł do wody.

Pomagając sobie wyważonymi ruchami torsu i rytmicznym przenoszeniem ciężaru ciała, zdołał się jednak utrzymać na nogach. Zaczął wpatrywać się instynktownie w powierzchnię wody. Pomimo że widmowy blask wstającego dnia rozjaśnił już nieco wcześniejsze ciemności, nie od razu zrozumiał, co zaszło.

Początkowo zauważył jedynie dziwne kłębowisko czarnych alg. Dopiero po chwili, gdy wyteńczył wzrok, zrozumiał, jak bardzo się pomylił. Na wodzie, tuż przed nim, unosiła się plątanina włosów. Kiedy ciało topielca obróciło się wokół własnej osi, spod włosów wyłoniła się twarz: tak biała, jakby ktoś całkowicie pozbawił ją krwi. Martwe oblicze za życia musiało czarować urodą, teraz jednak wywołało u Santego jedynie dreszcz przerażenia, ponieważ niosło w sobie tchnienie śmierci.

Zastygł z otwartymi ustami, a niemy krzyk uwiązał mu w gardle.

Po kilku minutach zebrał całą swoją odwagę i wyciągnął ręce w stronę trupa. Jego palce dotknęły szyi, po czym zacisnęły się na ramionach.

Pociągnął zwłoki ku sobie i próbując umieścić je na łodzi, zauważył coś jeszcze bardziej przerażającego.

Wyłowiona kobieta nie żyła, lecz na tym nie koniec, ktoś ze wściekłym okrucieństwem rozciął jej bowiem pierś i wyrwał z niej serce.

2. Canaletto

WŁAŚNIE OCENIAŁ REZULTAT i był w miarę zadowolony. Przeczuwał, że technika, którą starał się ciągle ulepszać, pozwoli mu oddać krajobraz Wenecji w nowym świetle i w nowym spojrzeniu. Już nie tradycyjny pejzaż, zamrożona na płótnie chwila, lecz reprodukcja wybranej części miasta zmieniona w grę perspektywy i różnych punktów widzenia w celu uczczenia wspaniałości Serenissimy.

Antonio Canal przed długi czas obserwował szczegóły obrazu. Zinterpretował przestrzeń według własnego uznania, chociaż dzieło zgodnie z wolą autora miało dokładnie oddawać rzeczywistość. Wybrał zdecydowane, mocne pociągnięcia pędzlem, intensywne, pełne barwy, a dramatyczny efekt uzyskał, stosując grę światła i cieni.

Dobrze poinformowani wyjadacze sądzą, że na zawsze pożegnał się z teatrem, co więcej, że go przeklął i znienawidził. Nie była to prawda. Sam pomysł malowania Wenecji w oderwaniu od teatru byłby oczywistą zdradą. Co prawda postanowił chwilowo zrobić sobie przerwę w pracy nad scenografią do spektakli operowych Alessandra Scarlattiiego, niemniej jednak sporo czasu poświęcał na przygotowywanie rysunków, które miały uświetnić nową operę Antonia Vivaldiego zatytułowaną *Wiara utracona i pomszczona*.

Na razie dzieło nie było jeszcze gotowe na premierę. I całe szczęście – pomyślał malarz, który doskonale znał szaleńczy rytm pracy wielkiego kompozytora. Nie zamierzał jednak zaprzeczać swojej miłości i przywiązaniu do sztuki scenicznej. Uśmiechnął się. Od kiedy jego płótna stały się najbardziej pożądanymi dziełami sztuki w całej Wenecji, wielu domorosłych krytyków zaczęło wychwalać go pod niebiosa. Tym lepiej! Perspektywa większej liczby zamówień wcale go nie martwiła. Wprost przeciwnie.

W końcu trzeba płacić rachunki. I nie chodzi tylko o pędzle, kleje i mieszanki na podkład, farby i płótno... nic z tych rzeczy. Potrzebował na przykład soczewek do camery obscury, a dobry sprzęt kosztował krocie. No i jeszcze dom. Nowa pracownia. Stare lokum nie spełniało już jego oczekiwań i w końcu kupił kamienicę w dzielnicy Castello. Kosztowała fortunę i po transakcji został bez grosza przy duszy, a potem jeszcze trzeba było naprawić cały dach. Na szczęście dzięki wstawiennictwu przyjaciela Alessandra Marchesiniego, malarza z Werony, który bardzo go szanował,

pojawiło się nowe zamówienie. Widokami Canaletta zainteresował się bogaty kupiec z Lukki – Stefano Conti.

Poza tym, aby zrobić dobre wrażenie na nabywcach i zdobyć nowe zlecenia, należało zaprezentować się w odpowiednim stroju. Dalej była też służba. Nie żeby miał tłumy ludzi na swoje usługi: zaledwie kucharkę, pokojówkę i lokaja. Jednak trzeba było im płacić! No cóż, życie to nie bajka. Ale nie bał się pracy, prawdę mówiąc, poświęcał wszystkie swoje siły i cały swój czas, próbując zaoferować oczom miłośników sztuki nowy sposób postrzegania Wenecji, a może nawet pokazać ją po raz pierwszy taką, jaka była naprawdę, choć w wyraźnie wysublimowanych kolorach i oświetleniu.

W obrazie, nad którym właśnie pracował na zlecenie Stefana Contiego, najbardziej interesował go blask rozświetlający wody Canal Grande do tego stopnia, że migotały intensywnym, szmaragdowym odcieniem zieleni. Splendoru widokowi miasta dodawały też promienie słońca skaczące na frontonach budynków, w szczególności lśniący refleks na Fondaco dei Tedeschi, który po lewej stronie płótna był na tyle jasny i wyraźny, że stanowił doskonałą przeciwwagę dla kwadratowego placu przed targiem Erbaria oddzielającego Palazzo dei Camerlenghi od Fabbriche Nuove. Obie budowle spowite były cieniem. Mistrz stworzył tę harmonię światła i cieni, poczynając od zwykłego szkicu ołówkiem, a dopiero potem posłużył się piórem i brązowym atramentem, by na koniec przy wielokrotnym użyciu camery obscury uchwycić most Rialto od strony, z której widoczny był właśnie hotel Niemców – Fondaco dei Tedeschi.

Za pomocą małego otworu i soczewki Canaletto umiał uzyskać matowe odbicie krajobrazu, widok zaułka, placu, dziedzińca czy kanału. Potem taki wzór można było powielić na papierze transparentnym. Uwielbiał posługiwać się tym narzędziem, by szkicować zarysy budowli i pejzaży. Jednak nie ograniczał się do odtwarzania, ponieważ wykorzystując perspektywę, modelował efekt wizualny przestrzeni, a dzięki odważnemu stosowaniu barw i światłocieni na nowo tworzył rzeczywistość i w konsekwencji obrazy były niczym innym jak jego własną wizją jedyne w swym rodzaju miasta.

Westchnął głęboko. Z okna swojej kamienicy dostrzegł opadające powoli małe płatki śniegu. Pochmurne niebo w kolorze ołowiu sprawiało, że popołudnie szybko przeszło w wieczór. Panujący od kilku dni mróz nie miał zamiaru zelżeć. Antonio podszedł do stolika z nogami w kształcie szabli i sięgnął po filiżankę gorącej czekolady przygotowanej przez kucharkę Florę. Sam miał okazję poznać recepturę tego napoju w domu Tomasa Albinoniego, który był jego niereformowalnym amatorem. Kompozytor okazał się na tyle uprzejmy, że przesłał mu ją w liście

z zaproszeniem na premierę swojej najnowszej opery. Pierwsze próby przyrządzania czekolady nie przyniosły oczekiwanych rezultatów, lecz wystarczyło kilka dni praktyki i mógł się rozkoszować wspaniałym smakiem gorącego, kremowego i zniewalającego napoju.

Patrzył na padający za oknem śnieg, a gorąca czekolada przypominała mu zakazany owoc.

Rozgrzewał się, przyłożywszy dłonie do delikatnej filiżanki wykonanej z miśnieńskiej porcelany. Zamknął oczy, kontemplując słodko-gorzki smak, po czym zbliżył się do kominka. Idylla trwała w pełni, gdy nagle usłyszał głos lokaja proszącego o posłuchanie. Alvise wszedł do pracowni, jak tylko uzyskał pozwolenie chlebobdawcy.

Canaletto wiedział, że skoro służący ośmiela się niepokoić go podczas pracy, musiało się wydarzyć coś naprawdę poważnego.

I rzeczywiście wszystko na to wskazywało, bo Alvise stanął na progu blady, z grymasem przerażenia na twarzy i zaciśniętymi w cienką czerwoną kreskę ustami.

– Panie – odezwał się z szacunkiem.

– Co takiego, Alvise?

– Otóż... – zaczął, jękając się, lokaj.

– Co się stało? – zapytał Antonio, odbierając list.

Na kopercie widniała pieczęć Republiki Weneckiej: skrzydlaty lew Świętego Marka.

– Co to ma znaczyć?

– Nie mam pojęcia, panie – odpowiedział wreszcie nieco składniej Alvise. – Mogę tylko powiedzieć, że kapitan gwardii czeka na was przy drzwiach.

– Ale dlaczego? Czego ode mnie chce?

– Powiedział, że dostał rozkaz, aby odprowadzić was do Pałacu Dożów.

Nie tracąc czasu, Antonio sięgnął po długi płaszcz, który przewiesił przez oparcie fotela, oraz po ciemny trikorn. Na nogach miał już ciężkie buty, więc w jednej chwili znalazł się przy drzwiach.

Pokonał pierwszy bieg schodów, potem drugi i w końcu znalazł się na dziedzińcu.

Właśnie tu natknął się na kapitana gwardii. Ten przyjrzał mu się bacznie spod trikorna.

– Panie Antonio Canal, zwany też Canalettem, bardzo proszę za mną – oświadczył krótko.

– Gdzie i po co? – zapytał Antonio, który nie zamierzał dyskutować z rozkazem, ale chciał się przynajmniej dowiedzieć, o co chodzi.

– Do Pałacu Dożów – wyjaśnił kapitan, potwierdzając informację, którą wcześniej przekazał Alvise. – Zgodnie z zawiadomieniem, które do was dotarło, Jego Ekscelencja

Matteo Dandolo, Czerwony Inkwizytor, chce z wami rozmawiać w sprawie niecierpiącej zwłoki. – Na takie dictum nie było odpowiedzi.

Antonio bez słowa podążył więc za kapitanem w kierunku placu Świętego Marka, mając po bokach dwóch gwardzistów.

Idąc wśród świszczącego wokół śniegu, zdał sobie sprawę, że właśnie zapada wieczór, a on będzie musiał się spowiadać z nie wiadomo jakich czynów, i nagle ogarnęło go wyraźne przeczucie, że najgorsze dopiero nastąpi.

3. Sala tortur

– OCH – WESTCHNAŁ INKWIZYTOR Republiki tonem, w którym brzmiało zdziwienie, kiedy przemoczony od śniegu i mgły Antonio Canal wkroczył do sali tortur. – A więc stawia się pan przed moim obliczem. W eskorcie i pod przymusem zostaje pan przekazany w moje ręce, jak rozkazałem. Przynajmniej jeszcze gwardziści są w miarę skuteczni w tym przeklętym mieście – dodał i przy tych słowach odprawił kapitana porozumiewawczym skinieniem głowy.

Kiedy Matteo Dandolo, Inkwizytor Republiki Weneckiej, został sam na sam z artystą, jakby się rozluźnił. Przynajmniej na chwilę.

– Proszę usiąść – powiedział, potwierdzając zaproszenie szerokim gestem, przy którym czerwona toga zaszeleściła złowieszczo niczym skrzydła drapieżnego ptaka. Dłoń w purpurowej rękawiczce wskazała na niewygodny drewniany stolec.

Antonio bezzwłocznie wykonał polecenie i usiadłszy, czekał na rozwój wypadków. Próbował nie zwracać uwagi na puste, budzące niepokój pomieszczenie. Doskonale wiedział, jakim praktykom sala zawdzięcza swą nazwę, ale wierzył, że jego niezrównana sława zdoła powstrzymać urzędnika przed podjęciem pochopnej decyzji. Nawet Inkwizytor Republiki nie mógłby bezkarnie poddać torturom sznura – który zwisał smętnie z sufitu – jednego z najsłynniejszych artystów w Wenecji, niezależnie od powagi oskarżenia. Oczywiście pod warunkiem, że chodzi o oskarżenie. Baczenie przyglądał się siedzącemu naprzeciwko mężczyźnie. Inkwizytor z pewnością cechował się przesadnym poczuciem własnej wartości, co potwierdzało w pełni wyniosłe zachowanie. Canaletto musiał więc pozwolić mu rozdawać karty i ograniczyć się do udzielania lakonicznych odpowiedzi. Tym bardziej że nie miał zielonego pojęcia, jaki może być powód nocnego wezwania. Jego spojrzenie zatrzymało się na kilku zapalonych świecach, które roztaczały wokół krwawy blask, pozostawiając w półmroku większą część sali. W głębi pomieszczenia na wprost panowały jednak nieprzeniknione, niepokojące ciemności.

Jakby czytając mu w myślach, Dandolo zaczął rozmowę od najbardziej oczywistego z retorycznych pytań.

– Wiecie, dlaczego was tutaj wezwałem?

– W żadnym razie, Ekscelencjo.

Inkwizytor się uśmiechnął.

– Oczywiście. W końcu to nie wasza wina – dodał z nutą satysfakcji. – Zresztą sprawa jest dość skomplikowana, w związku z tym przedstawiciele aż dwóch instytucji muszą z wami porozmawiać.

Ledwie wypowiedział te słowa, w sali pojawił się, jakby wypłynął z ciemności, główny kapitan Giovanni Morosini. Zwierzchnik nocnej straży był najwyższym sędzią powołanym w celu koordynowania śledztw dotyczących przestępstw popełnionych po zapadnięciu zmroku. Miał na sobie długą, ociekającą wodą pelerynę oraz przemoczony trikorn. Kiedy zdjął kapelusz, z kosmyków długich ciemnych włosów zaczęły kapać na podłogę krople wielkości cekinów. Obszerny płaszcz nie zdołał zakryć pochwy szpady wystającej spod okrycia niczym stalowy ogon. Na całość stroju składały się czarne spodnie z aksamitu i buty do kolan, a za pasem migotała rękojeść sztyletu wykonana z masy perłowej.

Sytuacja stawała się coraz poważniejsza. Zbyt poważna jak na jego gust. Pomimo najlepszych chęci Antonio nie był w stanie sobie wyobrazić, jak to wszystko się skończy.

– Nie muszę wam przedstawiać pana Morosiniego, prawda? – podjął inkwizytor, podczas gdy główny kapitan starał się opanować atak kaszlu, którego się nabawił, krążąc nocą po ulicach miasta pomimo padającego śniegu. – Dobrze wiecie, kim on jest. Pozwólcie jednak, że powiem wam otwarcie: rozczarowaliście mnie, panie Canal. Właśnie tak. A wiecie dlaczego? Przecież osiągnęliście jako artysta szczyty sławy, o której wielu może jedynie pomarzyć. Dzisiaj to wy jesteście najbardziej cenionym malarzem w Wenecji. Nazywają was Canaletto, wypowiadają wasze imię z szacunkiem, rzekłbym nawet z nabożnością, i wychwalają pod niebiosa wasze obrazy, które lepiej niż dzieła innych służą chwale Wenecji. Dlatego pytam was: dlaczego? Dlaczego to zrobiliście?

– A co ja takiego zrobiłem? – Antonio nie zamierzał odpowiadać pytaniem na pytanie, ale naprawdę nie wiedział, w czym rzecz.

– Dlaczego namalowaliście właśnie Rio dei Mendicanti? – oburzył się Morosini, wypowiadając ostatnie trzy słowa w taki sposób, jakby chodziło o najgorsze przekleństwo na świecie.

Antonio nadal nie rozumiał, lecz mimo wszystko postanowił odpowiedzieć, przedstawiając swoje racje.

– Otóż w ostatnich latach postanowiłem wypracować szczególny styl malarski w przedstawianiu widoków miasta. Przy użyciu camery obscury utrwalam na kartach papieru proporcje i perspektywę budynków, dziedzińców, kanałów i placów, aby potem w odpowiednim momencie dopracować na płótnie wybrany fragment. Nie ma żadnego wyjątkowego powodu, dla którego wybrałem Rio dei Mendicanti. Po prostu

uznałem ten widok za interesujący ze względu na nową technikę. Zresztą podobnie jak w przypadku placu Świętego Marka czy Canal Grande od strony pałacu Balbi w kierunku Rialta.

– Chcecie nam wmówić, że malujecie obiekty, które wybieracie zupełnie przypadkowo?

Antonio odchrząknął nerwowo.

– Nie, nie to chciałem powiedzieć. Wybieram widok czy krajobraz, biorąc pod uwagę możliwości jego realizacji oraz szanse, jakie daje, by przedstawić nasze wspaniałe miasto według kanonów sztuki, które najkorzystniej uwypuklą jego wyjątkowe piękno.

– Świetnie! Tylko że do tej pory malowaliście reprezentacyjne miejsca Serenissimy, a nie jeden z najbardziej obskurnych i podłych zakątków, jakie można tu znaleźć. Brudne łachy powiewające na wietrze i rudery biedoty na pierwszym planie. Uważacie, że to stosowne? – Było jasne, że inkwizytor nie oczekuje odpowiedzi na swoje pytanie, lecz zamierza kontynuować wywód. I rzeczywiście już po chwili ciągnął: – Poza tym dotarła do mnie wiadomość, że współpracujecie z Vivaldim nad jego rewolucyjną operą.

– Jak to: rewolucyjną?

– Doszły nas słuchy, że Antonio Vivaldi, nasz najlepszy kompozytor, ten, którego Serenissima przyjęła na swoje łono i od momentu debiutu wspierała jego talent i pomagała mu w osiągnięciu pozycji jednego z najwybitniejszych twórców w Europie, pracuje teraz skrzętnie nad dziełem, którego tematyką jest sukcesja tronu i towarzyszące jej intrygi, urazy i akty zemsty. Czy podobne wątki nie są wyraźną alegorią walk pomiędzy rodami patrycjuszy weneckich zajętych podziałem schedy Republiki?

– Wasza Ekscelencjo, nie rozumiem aluzji.

– Czyżby? Nie rozumiecie? – zauważył z sarkazmem Morosini.

– Zważywszy, że nie sądzę, aby temat opery mistrza miał rewolucyjny charakter...

– Pozwólcie, że to już sami ustalimy. W końcu to należy do naszych kompetencji, nie sądzicie? – przerwał mu ostro Dandolo.

– Oczywiście – zgodził się Antonio. – Mogę tylko powiedzieć, że wykonałem kilka szkiców do scenografii, po czym porzuciłem tę pracę, ponieważ jak nieraz już mówiłem, odsunąłem się od teatru, gdyż uznałem, że ta sztuka jest zwykłą ułudą. Tymczasem ja jako artysta chciałem odtwarzać rzeczywistość i pokazywać prawdę. – Musiał kłamać i czuł do siebie obrzydzenie. Lepsze jednak to niż ryzykowanie własną skórą, czego nie można było wykluczyć, zważywszy na niepewny charakter przesłuchania.

Czerwony Inkwizytor przytaknął.

– W porządku – powiedział – przyjmuję waszą deklarację za dobrą monetę. Chociaż prawdę mówiąc, nieraz słyszałem, że wasze zapewnienia o porzuceniu sztuki scenicznej nie są niczym innym jak tylko spreparowaną przez was samych plotką służącą zmyleniu przeciwnika. A wszystko po to, byście mogli dalej w spokoju malować scenografie. Mimo to teraz wyjawię wam powód tych wszystkich pytań oraz wyjaśnię, dlaczego powinniście posłuchać mojej rady i zaniechać w przyszłości postępowania, które mogłoby narazić was na jakiegokolwiek podejrzenia. – Dandolo rzucił porozumiewawcze spojrzenie w stronę Morosiniego i dodał: – Chociaż nie, dowódca nocnej straży na pewno lepiej wyłuszczy nasze racje.

Główny kapitan odchrząknął, zrobił kilka kroków w stronę świecznika i wyciągnął dłonie nad płomienie. Wyglądało na to, że bardzo pragnie choć trochę się ogrzać. Kiedy zaczął mówić, stał odwrócony plecami do Antonia i nie uznał za słuszne, by to zmienić.

– Drogi panie Canal, może mi pan nie wierzyć, ale dwa dni temu pewien człowiek przepływał o świcie łodzią po kanale Rio dei Mendicanti. Nagle jego gondola uderzyła o jakąś przeszkodę. Początkowo nie zorientował się, że trafił na zwłoki młodej kobiety. Pewnie pan sobie pomyśli, że to żadna nowina. Niejedno ciało prostytutki pływa w weneckich kanałach w naszych nieszczęsnych czasach. Stanowczo zbyt wiele. I proszę mi wierzyć, że uważam to za hańbę. Te nieszczęsne stworzenia zmuszane są do życia, wykonując jedyne usługi, na jakie jest tu nieograniczone zapotrzebowanie: mam oczywiście na myśli czyny nierządne. Wspomniana dziewczyna została znaleziona z wyrwanym sercem. Zamordowano ją w bestialski, mrozący krew w żyłach sposób i wrzucono w lodowate wody laguny. Niska temperatura zachowała ciało w niemalże nienaruszonym stanie i gawiedź ochrzciła ją „alabastrową panną”. Jednak nie o tym chciałem mówić... – Dowódca nocnej straży w tym momencie wreszcie się odwrócił i spojrzał Antoniowi w oczy. – ...lecz o wyjątkowym zbiegu okoliczności, właśnie w tym samym czasie bowiem wasz obraz *Rio dei Mendicanti* wzbudza ożywione zainteresowanie wśród mieszkańców miasta. – Ostatnie słowa zawisły w powietrzu niczym najgroźniejsza insynuacja.

Antonio nie zamierzał dłużej czekać.

– Czy to z tego powodu zostałem tutaj wezwany? Dlatego że namalowałem część Wenecji, gdzie znaleziono ciało młodej dziewczyny?

– Musicie przyznać, że to dziwny zbieg okoliczności – podkreślił Czerwony Inkwizytor.

– Oczywiście! Niemniej jednak sami zauważyliście, że chodzi o zbieg okoliczności. Przecież malowałem również inne zakątki miasta, gdzie znajdowano martwych ludzi.

– To prawda. Jednak wybór Rio dei Mendicanti wydał się osobliwy zarówno mnie, jak i głównemu kapitanowi. – Dandolo nie ustępował. – Zwłaszcza biorąc pod uwagę, że wasze zaangażowanie w tworzenie scenografii do opery Vivaldiego, do czego się przed chwilą przyznaliście, nie świadczy na waszą korzyść ze względu na podejrzany temat dzieła. Reasumując, drogi panie Antonio Canal, oto powód naszej dzisiejszej rozmowy: zamierzamy mieć was na oku. W związku z tym powinniście unikać krępujących sytuacji. Osobiście nie sądzę, że jesteście w jakiś sposób zamieszani w okrutne morderstwo tej nieszczęsnej kobiety, ale nie powinniście zachęcać ludu do kultuwowania świętokradczych idei.

– Co macie na myśli?

– Już wy dobrze wiecie! Taki sławny malarz jak wy, w wypudrowanej peruce i w koszulach z galonami oraz drogocennymi guzikami – ciągnął Dandolo, nawiązując do jego eleganckiej kamizelki z aksamitu zapinanej na wielkie perły – nie potrzebuje malować nędzy ani brudu dzielnicy żebraków, zwłaszcza wtedy, gdy znajdujemy tam barbarzyńsko okaleczone zwłoki!

– Skąd mogłem o tym wiedzieć? Przecież pracowałem nad tym płótnem kilka miesięcy temu.

– Oczywiście! Ale nie możemy wykluczyć, że ta kobieta została zamordowana dobrych kilka tygodni wcześniej – zauważył Morosini. – Chyba nie muszę wam tłumaczyć, że zwłoki o wiele lepiej konserwują się w zimnej wodzie niż w ciepłych pomieszczeniach. W każdym razie – mówił dalej główny kapitan, chrząkając od czasu do czasu – nikt was o nic nie oskarża, radzimy wam tylko, byście się wystrzegali takiego postępowania, które mogłoby wam zaszkodzić, a z drugiej strony pobudzić niepotrzebnie wyobraźnię mieszkańców Wenecji. Czy wyrażam się jasno?

– Bez wątpienia – odpowiedział zdecydowanie Antonio.

– Wiecie przecież, że plotki szybko się rozchodzą. Wyobrażacie sobie, kto od razu został oskarżony o morderstwo?

Antonio nie miał pojęcia.

– Żydzi – powiedział inkwizytor. – Lud oskarża ich o picie chrześcijańskiej krwi i nazywa demonami na usługach szatana. Nie muszę mówić, że w getcie zawrzało. Zresztą co w tym dziwnego? Takie incydenty mogą nam tylko zaszkodzić... Przecież nie powiem nic nowego, jeśli przypomnę wam, że exodus Żydów z Wenecji byłby zarówno rysą na naszym wizerunku cywilizowanej społeczności, jak i śmiertelnym ciosem dla nadwątłonej gospodarki Republiki. Szczerze mówiąc, nie możemy sobie na to pozwolić. No i wreszcie trzeba wziąć pod uwagę ogólny obraz sytuacji, panie Canaletto... Nigdy nie należy zapominać o obiektywnych uwarunkowaniach. Dodajcie więc do tego, co wam właśnie powiedziałem, epidemię ospy, która dziesiątkuje

miasto, a zrozumiecie, że Wenecja nie potrzebuje kolejnych rozruchów czy nieszczęśliwych wypadków, które podsycają wybuchy strachu i nienawiści.

Antonio przytaknął. Co innego mu pozostało?

– Bardzo się cieszę, że możemy liczyć na wasze zrozumienie – ciągnął inkwizytor. – Widzicie, signor Canal, moje główne zadanie w służbie Serenissimy polega na utrzymaniu porządku publicznego i mówiąc jasno, istniejącego stanu rzeczy. W konsekwencji jestem upoważniony do usunięcia każdego niebezpieczeństwa zagrażającego spokojnej koegzystencji różnych grup składających się na naszą społeczność. Wystarczy najmniejsze podejrzenie, że ktoś lub coś może spowodować szkody, a wolno mi przystąpić do działania. Podobne kompetencje posiada również dowódca nocnej straży, ale on używa zupełnie innych metod. Zresztą pracujemy w całkowitym porozumieniu. Wezwaliśmy was tej nocy, gdyż chcemy zapobiec sytuacji, w której wasze postępowanie mogłoby stać się zagrożeniem. Wierzę, że doskonale mnie rozumiecie. A skoro tak, to możemy się pożegnać – powiedział na zakończenie. – I przypominam, abyście nikomu nie wspominali o naszej rozmowie. Ewentualne naruszenie tajemnicy może bowiem wiązać się z przykrymi konsekwencjami. A teraz kapitan gwardzistów odprowadzi was do Schodów Gigantów.

W ten sposób, ukrywając groźbę pod zwykłym stwierdzeniem, Matteo Dandolo uznał posłuchanie za zakończone i odprawił Antonia.

Kapitan gwardzistów czekał już na niego za drzwiami, podczas gdy artysta kłaniał się nisko, wypowiadając słowa: Ekscelencjo, dowódco nocnej straży...

Po opuszczeniu sali Antonio Canal ruszył w ślad za przewodnikiem, pokonując długie, blade oświetlone korytarze, olśniewające salony oraz małe gabinety. Kiedy dotarli w końcu do Schodów Gigantów, kapitan gwardzistów pozbawił go wreszcie swojej niezbyt mile widzianej eskorty.

Antonio zszedł śledzony uważnie przez dwa posągi wyrzeźbione dłutem Sansovina. Śnieg przestał padać, a rześkie powietrze zapowiadało łagodniejszą noc. Canaletto zmierzał właśnie w kierunku Bramy Słomianej, kiedy usłyszał, jak ktoś wypowiada jego imię.

– Czy mam przyjemność z panem Antoniem Canalem? – zabrzmiał głos za jego plecami.

Nie zdążył się nawet odwrócić, gdy stanął przed nim mężczyzna odziany w nienagannie skrojony frak.

– Doża życzy sobie natychmiast z panem rozmawiać.

Antonio nie mógł uwierzyć własnym uszom.

– Żartuje pan sobie ze mnie? – zapytał rozdrażnionym tonem.

– W żadnym razie – padła zdecydowana odpowiedź. – Nie pozwoli pan czekać Jego Ekscelencji, nieprawdaż?

– Oczywiście, że nie – odpowiedział, zagryzając wargi.

I tak bez dalszych zbędnych dyskusji Antonio ponownie pokonał te same schody. Wszystko wskazywało na to, że kłopoty dopiero się zaczynają.

4. Rozmowa

– NO, NARESZCIE JESTEŚCIE – przywitał go doża z niecierpliwością. – Już myślałem, że was dzisiaj nie zobaczę – dodał po chwili.

Antonio stanął oszołomiony. Wszystkiego by się spodziewał, ale nie tego, że będzie mógł osobiście porozmawiać z dożą. Skłonił się z szacunkiem, lecz zaraz potem porwał go wspaniały widok dekoracji w apartamentach: ozdobny kasetonowy sufit z drewna, ogromne marmurowe kominki upiękkszzone wyrafinowanymi motywami zdobniczymi, fryzami i sztukaterią. Podziwiał skrzynie z orzecha i gipsu, połączany stół z nogami w kształcie szabli oraz uroczy salonik, w którym czekał władca. Zresztą nie sam. Obok niego na fotelu obitym błękitnym aksamitem siedziała odziana w czerń kobieta. Chociaż nosiła maseczkę, artysta od razu dostrzegł jej wyrafinowane rysy. Sploty gęstych rudych włosów miała starannie upięte w sposób podkreślający jej pociągającą kobiecość. Na pierwszy rzut oka Antonio uznał ją za nietuzinkową piękność. Niepokojący szczegół w postaci maski czynił tajemnicę nocnego spotkania jeszcze głębszą i niezbadaną. Na szczęście nowa zagadka pojawiła się w otoczeniu przepychu i elegancji, co było zdecydowanie przyjemniejsze niż zgrzebność sali tortur.

Nagle Antonio uświadomił sobie, że nie ma czasu do stracenia.

– Wasza Dostojność – zwrócił się do doży – czym mogę wam służyć? – Po tych słowach skłonił się po raz drugi.

– Wspaniale, właśnie to chciałem usłyszeć. Doskonale dobraliście słowa, mój przyjacielu. Wierzcie mi, że służenie mojemu majestatowi oznacza pożytek dla Republiki. Zechcecie napić się małmazji?

Antonio pomyślał, że kieliszek wina w tej sytuacji dobrze mu zrobi, więc pokiwał twierdząco głową.

– Świetnie. Nalejcie wina dla mnie i dla pana Antonia Canala – rozkazał doża i wtedy nie wiadomo skąd pojawił się podczasy, który napełnił dwa kielichy ze szkła murańskiego, po czym podał doży i jego gościowi.

Jego Dostojność opróżnił puchar kilkoma łykami i kazał nalać sobie powtórnie. Dopiero potem odesłał lokaja do pokoi dla służby. Alvise Mocenigo demonstrował żywiołowość, która przyniosła mu sławę na polu bitwy. Nie był już młodzieniaszkiem, ale charakteryzował się szczupłą budową ciała oraz szczerym, bezpośrednim

spojrzeniem. Zresztą nic dziwnego, skoro jako wytrawny żołnierz i dowódca mógł się poszczycić zdobyciem tureckiej fortecy Imotski w Albanii.

– Doskonale – podjął doża – pozwólcie teraz, że wyjawię wam powód naszej rozmowy. Przede wszystkim nie traćcie czasu na opowieści, że właśnie wracacie z sali tortur, gdzie spotkaliście się z Czerwonym Inkwizytorem, bo już o tym wiem. Ostatnimi czasy jeden z waszych obrazów wywołał spore zamieszanie. Pewnie zastanawiacie się, dlaczego, i od razu mogę was zapewnić, że prawdziwym powodem nie jest absolutnie nieszczęsna dziewczyna, której ciało wyłowiono dwa dni temu z laguny.

Antonio nie zdołał opanować grymasu zdziwienia. Jeden obraz i dwa powody oskarżenia. Każdy by się zdumiał.

– Tego się nie spodziewaliście, prawda? – powiedział doża, jakby chciał go skłonić do potwierdzenia. – A właśnie tak się rzeczy mają. Jakkolwiek tragiczny okazał się koniec owej panny, to nie ona jest przyczyną naszego spotkania. Póki to możliwe, zajmijmy się żywymi, oto moje motto. I dlatego chciałbym was zapytać: przypominacie sobie, że na obrazie w części przedstawiającej budynek szpitala znajdują się trzech mężczyźni zajęci żywą rozmową? Po ubiorze można sądzić, że chodzi o trzech dobrze urodzonych kawalerów.

– Tak, panie. Mają na sobie fraki i trikorny – odparł Antonio.

– No właśnie. I tu dochodzimy do sedna: czy ci mężczyźni są wytworem waszej fantazji, czy też jak z obawą podejrzewam, to mieszkańcy naszego miasta? Doszły mnie wieści, że korzystacie w waszej pracy z camery obscury, i dlatego zastanawiam się, czy ci trzech kawalerowie naprawdę znajdowali się w Rio dei Mendicanti w momencie, gdy malowaliście wasz obraz.

Po tych słowach doża zamilkł, a Antonio Canal po raz wtóry tego wieczora musiał się spowiadać ze swojej działalności twórczej. I tak jak wcześniej nie mógł uniknąć odpowiedzi na pytania Czerwonego Inkwizytora i dowódcy nocnej straży, tak teraz tym bardziej musiał zaspokoić ciekawość doży.

– Wasza Dostojność, nie chciałbym was zanudzać wyjaśnieniami dotyczącymi techniki, w jakiej powstają moje dzieła, więc ograniczę się do stwierdzenia, że wiele razy obserwowałem widok, który potem przenieśliśmy na płótno. Przy pomocy camery obscury wykonałem liczne szkice i wstępne rysunki z różnych perspektyw i przynajmniej trzy razy widziałem mężczyzn, którzy wzbudzili zainteresowanie Waszej Dostojności.

– Trzy razy? Czy aby dobrze usłyszałem?

– Tak, zawsze tego samego dnia tygodnia i o tej samej godzinie. Jak sami powiedzieliście, mój styl opiera się wyłącznie na przedstawianiu prawdy, dlatego też

zauważywszy tych kawalerów w okolicy szpitala żebraków, postanowiłem umieścić ich na obrazie, by nadać mu jeszcze bardziej prawdopodobny charakter.

– I nie mielibyśmy wam nic do zarzucenia, gdyby nie to... – przy tych słowach doża po raz pierwszy się zawahał – ...że mężczyzna odwrócony plecami, ten we fraku w kolorze ochry, bardzo przypomina... Nie wiem, jak wam to powiedzieć...

– Mojego męża – odezwała się nagle kobieta w czerni. Jej głos okazał się niższy, niż Antonio sobie wyobrażał, i zabrzmiał nieprzyjemnie z powodu guzika maski, który dama ścisnęła między zębami. Słowa zgrzytnęły niczym ostrze noża na żelaznym łańcuchu. Na chwilę wszystko zamarło, a w uroczym salonie zapanowała gęsta cisza.

– To znaczy... – szepnął Antonio.

– To znaczy, że małżonek obecnej tu damy, która należy do jednej z najbardziej znanych patrycjuszowskich rodzin weneckich, odwiedza najbiedniejszą dzielnicę w mieście. A przecież doskonale wiemy, że roi się tam od burdeli i najgorszego rodzaju spelunek. Nie muszę wam tłumaczyć, że nasz gość pragnie zachować anonimowość, o czym świadczy maska na jej twarzy, jednakże chciałaby się też dowiedzieć, co jej mąż robił w tej części Wenecji. Oczywiście przyjmując, że to naprawdę on. Śmiem przypuszczać, że widzieliście go przez szkło powiększające waszego przyrządu.

– A jakże.

– Ach!

– Używam także lunety i różnego rodzaju soczewek, które umożliwiają mi uzyskanie wyraźnego obrazu sceny, czyli widoku, który zamierzam uwiecznić na płótnie.

– Wszystko jasne.

– Mogę powiedzieć, że kawaler, o którym mówimy, miał długie brązowe włosy, frak koloru ochry i trikorn na głowie. Najbardziej jednak uderzył mnie specyficzny sposób, w jaki się poruszał. Kiedy pojawił się na placu, od razu zauważyłem, że lekko utyka. Deformacja jest niemal niewidoczna i być może mniej wprawne oko wcale by jej nie dostrzegło, ekspertowi natomiast, który z niedyskretnej obserwacji – pozwólcie mi użyć tego sformułowania – uczynił narzędzie pracy, jego kulejący chód natychmiast rzucił się w oczy.

Piękność w czerni ledwie zdołała zdusić krzyk grozy. Pochyliła się do przodu, jakby ktoś zadał jej cios prosto w serce. Antonio poczuł litość na widok jej cierpienia.

– Moja droga! – zawołał doża, rzucając się na pomoc i podając jej ramię.

Tymczasem kobieta wyprostowała się z niespotykaną dumą i wyjątkowym wdziękiem. Dotknęła dłonią maski w miejscu, gdzie kryły się usta. Antonio zrobiłby wszystko, by cofnąć ostatnie słowa. Zdał sobie sprawę, że postąpił bez odrobiny taktu

i nie zastanawiając się nad efektem swoich słów, dokonał zimnej analizy szczegółów. Jakże niezdarne i nieuprzejme było jego zachowanie!

– To on – potwierdziła dama słabym głosem. – Mój mąż lekko utyka od czasu, gdy został ranny podczas wojny na terenie Morei.

Tym razem, poza zniekształceniem spowodowanym przez guzik maski, Antonio pochwycił też w głosie kobiety lekką egzotyczną nutę. Nie potrafił dokładniej określić wrażenia, lecz wydało mu się, iż usłyszał stłumiony, niemal niedostrzegalny cudzoziemski akcent.

– Nie ma więc wątpliwości, moja droga – powiedział doża ze smutkiem w głosie – a ja do końca wierzyłem, że się mylimy...

– Przecież... – zaczął Antonio, ale Alvise Mocenigo nie pozwolił mu rozwinąć myśli.

– Wiem, co chcecie powiedzieć, panie Canal. Uważacie, że obecność kawalera w takim miejscu jeszcze niczego nie dowodzi, lecz uwierzcie mi: gdyby tylko pojawił się cień podejrzenia, że mężczyzna, o którym rozmawiamy, uczęszcza do dzielnicy rozpusty, doprowadziłoby to do upadku całą jego rodzinę.

– Rozumiem.

– Zważywszy więc na powagę sytuacji, muszę prosić was o przysługę. I nie robię tego dla siebie, lecz dla damy, która dziś jest naszym gościem, oraz dla Wenecji.

Alvise Mocenigo westchnął. Jasnym było, że nie ma wyboru, i wcześniej długo zastanawiał się nad podjęciem decyzji. Antonio natomiast odniósł wrażenie, że dopiero teraz dopadną go prawdziwe kłopoty. Miał nadzieję, że uda mu się wywinąć po otrzymaniu od władcy zwykłego upomnienia i zapewnieniu o swym bezgranicznym oddaniu – przecież w końcu o to chodziło – a tymczasem teraz z dużym prawdopodobieństwem przypadnie mu w udziale znacznie gorszy los.

– Zdaję sobie sprawę, że jesteście najbardziej utalentowanym artystą w mieście, ludzie prawią o was prawdziwe cuda, jednak proszę was, abyście podjęli się tego zadania dla mnie i dla Republiki. Chodzi o przeprowadzenie małego śledztwa.

– Ja miałbym prowadzić śledztwo?

– Właśnie tak. Chciałbym, żebyście się dowiedzieli, dlaczego kawaler uwieczniony na waszym obrazie kręci się wieczorami w pobliżu szpitala żebraków.

Antonio nie mógł się otrząsnąć z zaskoczenia. Jak doża może prosić mnie o coś takiego? No tak, władcy wszystko wolno. Tylko że ja nie mam po temu żadnego przygotowania. A poza tym musiałbym śledzić mężczyznę, o którym nic nie wiem i który wydaje mi się zupełnie niewinny. Nawet jeśli się mylę, kimże jestem, by decydować o winie bliźniego? Nie mam żadnego prawa, by go osądzać. Wszystkie te wątpliwości kłębiły się teraz w głowie malarza, który starał się zebrać myśli, by znaleźć jak najbardziej przekonującą odpowiedź.

– Wasza Dostojność, bardzo chciałbym pomóc, jednak sądzę, że nie na wiele się przydam...

– Odmawiacie mi?

Antonio usłyszał w głosie doży zawołaną groźbę. Nic dziwnego: jakże mógł, do diabła, choćby pomyśleć, że uda mu się odmówić prośbie władcy? Czyżby do reszty zwariował?

– Chcę zwrócić uwagę, że nie mam żadnego doświadczenia, jeśli chodzi o takie zadania... Nigdy się tym nie zajmowałem.

– Tym lepiej.

– Naprawdę?

– Oczywiście. Ponieważ jesteście malarzem, nikt nie będzie was podejrzewał o śledzenie obywatela Wenecji i dlatego będziecie mogli działać bez żadnych ograniczeń. Zresztą jeśli się nie mylę, mieszkacie całkiem niedaleko? Czyżbym został źle poinformowany?

– Nie, nie...

– Tak też myślałem! I niezależnie od waszej profesji proszę was, byście odkryli powody, dla których kawaler z waszego obrazu spaceruje po dzielnicy Rio dei Mendicanti. Z kim się spotyka? Odwiedza jakieś konkretne miejsce? Utrzymuje kontakty ze szpiegami obcych republik? Oczywiście to tylko przypuszczenia, niektóre mogą się wam wydawać nawet nedorzeczne, ale wolę przyznać się do błędu, niż ponieważ dowiedzieć się, że zlekceważyłem zagrożenie. Najważniejsze są informacje, panie Canal, powinniście o tym wiedzieć. Informacja to władza. A poza tym obecna tu dama ma prawo poznać prawdę w kwestii, kim w rzeczywistości jest jej mąż.

Antonio westchnął. Zlecenie doży stawiało go w bardzo trudnej sytuacji. Jak sobie poradzi z takim zadaniem? No i przede wszystkim: śledzenie i szpiegowanie kogokolwiek zupełnie nie odpowiadało jego naturze i było ostatnią rzeczą, jakiej chciałby się podjąć.

– Oczywiście moja prośba jest nieoficjalna. Nigdzie nie będzie po niej śladu i nie dostaniecie żadnego pisemnego dokumentu.

– Rozumiem.

– To zagwarantuje nam zachowanie tajemnicy – dodał doża.

– Wszystko jasne – oświadczył Antonio. – Niemniej jednak muszę poprosić Waszą Dostojność o jakąś gwarancję – dorzucił z błyskiem w oku.

– Nie wiem, o czym mówicie... Powiedzcie mi, o jaką gwarancję wam chodzi, a nie omieszkać wam jej zapewnić – potwierdził doża.

– Jak już wspomniałem, strażnicy inkwizycji oraz gwardziści dowódcy nocnej straży będą mnie mieli na oku, ponieważ jak powiedziano mi w czasie spotkania, chcą sprawdzić, czy odpowiednio się prowadzę. Gdyby więc odkryli, że śledzę jednego z najznamienitszych obywateli miasta lub próbuję potajemnie zdobyć informacje na jego temat, ryzykuję ponownym przesłuchaniem lub czymś o wiele gorszym. Dlatego proszę o potwierdzenie, że otrzymałem z waszej strony swobodę działań. Nie musi to być głejt, wystarczy wasze słowo.

– Możecie uważać sprawę za zamkniętą. Będziecie nietykalni.

– W porządku.

– Od was wymagam natomiast szczegółowych i regularnych sprawozdań. Za siedem dni o tej samej porze będę na was czekał, by wysłuchać relacji o postępach w sprawie. Będziemy spotykali się raz w tygodniu.

– Oczywiście – odpowiedział z przekonaniem Antonio, zastanawiając się, jak sobie poradzi z zadaniem, które powierzył mu doża. Cóż mu jednak pozostało? Czy znalazłby się w Wenecji taki śmiałek, który sprzeciwiłby się rozkazom władcy lub odmówił jego prośbom? Artysta miał co do tego poważne wątpliwości, a nawet jeśli ktoś taki by się znalazł, z całą pewnością nie byłby to on.

– Doskonale, a więc doszliśmy do porozumienia – zakończył doża, po czym spojrzał na damę w czerni. – Cierpliwości, moja droga, już niedługo rozwiejemy wasze wątpliwości. Odkryjemy powód cotygodniowej nieobecności waszego małżonka.

Kobieta się nie odezwała. Antonio ciągle nie mógł dojść do siebie, rozważając w myślach przebieg rozmowy. Zdawało mu się, że trafił na jakieś koszmarnie przedstawienie, z którego jak najszybciej chciałby uciec. Jeszcze nie wiedział, że jak tylko opuści apartamenty władcy, na własnej skórze doświadczy szaleństwa tego absurdałnego projektu.

– Drogi panie Canal, dziękuję bardzo za poświęcony nam czas. Jak ustaliliśmy, będę czekał na was za siedem dni z nadzieją na pierwsze rezultaty waszej pracy. – Kiedy doża wypowiadał te słowa, do salonu wszedł lokaj, aby odprowadzić Antonia do wyjścia.

– Wasza Dostojność... – powiedział artysta, kłaniając się nisko, po czym pochylając głowę, zwrócił się do damy: – Łaskawa pani, składam uszanowanie.

Kiedy konwenansom stało się zadość, Antonio Canal po raz drugi tego wieczora został odprowadzony do Schodów Gigantów.

5. Anioł stróż

NIE MIAŁ POJĘCIA, czy wybrany człowiek podoła zadaniu, ale z pewnością nikt nie będzie go podejrzewał. Malarz. Pomysł, by skorzystać z usług artysty, był zarazem genialny i szalony.

Deszcz padał nieprzerwanie, a on krył się w niszy na małym placu i nasunawszy głęboko na oczy wielki kapelusz z szerokim rondem, starał się nie wzbudzać zbytniego zainteresowania, co wbrew pozorom wcale nie było proste. Zwłaszcza dla kogoś takiego jak on, przybysza niemającego z miastem nic wspólnego i w dodatku ubierającego się z cudzoziemska. Na szczęście miejsce, w którym się zaczął, było słabo oświetlone, a czarna peleryna, spodnie i wysokie buty pozwalały mu wtopić się w mrok nocy.

Zresztą gdyby ktoś próbował go zaczepiać, miał doświadczenie w pozbywaniu się natrętów.

To miasto wcale mu się nie podobało. Zimne niczym grzech śmiertelny, z wodami laguny po części pokrytymi lodem, z kawałkami kry unoszącymi się na czarnym nurcie, z oparami białej mgły wirującej nad powierzchnią morza... Nawet nie przypuszczał, że klimat Wenecji może być aż tak nieprzyjazny i doskwierający.

Przypomniał sobie, jak w promieniach palącego słońca galopował wierzchem po zielonych falach niezmiernych łąk. Przesunął językiem po gęstych wąsach i niemalże poczuł smak ciepłej zupy i pikantną nutę papryki.

Deszcz nie ustawał i mężczyzna prychnął, wpatrując się w okna odbijające światła świec. Artysta nie spał.

O tej porze, w środku nocy, już na pewno nie wyjdzie z domu – pomyślał nieznajomy i postanowił, że wróci na posterunek o świcie. Właśnie zamierzał odejść, gdy nagle usłyszał oskarżający głos.

– Co wy tu, do diabła, robicie? Dlaczego wpatrujecie się nocną porą w okna domów?

– Czyżby to było zabronione? – warknął w odpowiedzi mężczyzna w czarnej pelerynie.

– Nie, jeśli nie macie złych zamiarów. Zauważyłem szpadę przypiętą do pasa i odniosłem wrażenie, że szukacie kłopotów... Powinniście wiedzieć, że pojedynki są surowo zabronione na całym terytorium Republiki Weneckiej.

Mężczyzna potrząsnął głową. Co za pech! Pozwolił się przyłapać na gorącym uczynku jak jakiś żółtodziób! Ten, który go zaczepił, nosił się w podobny sposób, tylko

że miał krótkie, zadbane włosy, trikorn na głowie i twarz osłoniętą białą maską. Kim jest człowiek, który musi ukrywać oblicze?

Nieznajomy natychmiast rozwiął jego wątpliwości i powołując się na autorytet swojej funkcji, oświadczył:

– Jestem dowódcą straży nocnej w dzielnicy Castello, a ponieważ nosicie szpadę przy boku, co jest niezgodne z prawem Serenissimy, muszę przekazać was w ręce moich ludzi, którzy odprowadzą was do celi. Jutro rano zdecydujemy o waszym losie.

Słuchając tych słów, mężczyzna w pelerynie szybko policzył przeciwników. Dowódca straży z pewnością był żołnierzem i miał ze sobą co najmniej czterech ludzi. Mimo to nie powinni sprawić mu kłopotu. Ich peleryny pokrywało błoto, a kapelusze o szerokich rondach ociekały wodą. Wyglądali, jakby nie marzyli o niczym innym, tylko o ciepłym łożu.

Nie miał zamiaru zachowywać się z honorem. Nigdy tego nie czynił. Wysuwając się z niszy, w której się ukrywał, wyjął zza pasa pistolet z krótką lufą i strzelił w stronę pierwszego łachudry, jaki się napatoczył. Ołowiana kula przeszła obojczyk nieszczęśnika i przeszła na wylot, pozostawiając po sobie krwawiącą ranę i roztrzaskane ramię. Strażnik zawył jak zarzynane zwierzę i runął na ziemię. Nie ryzykował życia, ale już nigdy nie będzie mógł sięgnąć po szpadę.

W czasie gdy dowódca straży wyjmował broń z pochwy i przyjmował pozycję, by stawić czoła pozbawionemu skrupułów szaleńcowi w czerni, ten uniknął zręcznie pchnięcia jednego ze strażników, po czym wyszarpnął zza pasa sztylet i doskonałym cięciem na ukos z dołu do góry rozszarpał prawe udo kolejnego atakującego. Tamten osunął się na ziemię, jakby miał nogi z waty.

Drugi wyeliminowany z gry – pomyślał mężczyzna w czarnej pelerynie.

Nie zamierzał czekać na dalszy rozwój wypadków, zwłaszcza że zaalarmowani krzykiem i wystrzałem mieszkańcy zaczęli otwierać okna.

Przeskoczył nad leżącym na bruku rannym i biegł ile sił w nogach w stronę drewnianego mostka znajdującego się po lewej stronie, kiedy usłyszał za plecami strzał z pistoletu. W kolejnej sekundzie z pobliskiej ściany, w miejscu, gdzie utkwiała przeznaczona dla niego kula, uniósł się wir drzazg.

– Brać go! – zawołał dowódca straży.

Mężczyzna w czerni nawet się nie odwrócił. Słyszał tupot kroków za plecami, lecz w miarę jak oddalał się z miejsca potyczki, ścigający go ludzie pozostawali daleko w tyle.

6. Isaac Liebermann

ISAAC NIE MIAŁ WĄTPLIWOŚCI, że epidemia ospy będzie się rozprzestrzeniać. Zarówno on sam, jak i kilku innych medyków nie ustawali w wysiłkach, by wytłumaczyć, że jedyna możliwość pokonania choroby leży w wariolizacji propagowanej przez greckiego specjalistę Emanuela Timoniego. Skuteczność tej metody została potwierdzona nawet przez Jacopa Pilarina, weneckiego konsula wysłanego do Smyrny. Wszystko nadaremnie. Przedstawiciele wysokich sfer Serenissimy czekali nie wiadomo na co. Isaac nie znał powodu zwłoki, lecz wiedział, że pogorszy ona jedynie sprawę. I to w krótkim czasie. Pomyśleć tylko, że Emanuel Timoni studiował w Padwie i w Oksfordzie! Nie mogąc przełamać szkodliwej obojętności władz Republiki, Isaac zwrócił się do medyków z Royal Society, by zechcieli zastosować jego metodę, którą zapożyczył od ludów azjatyckich i przez długi czas dokładnie badał. Wariolizacja polegała na przenoszeniu wydzielin ropnej z pęcherzy powstających na ciele chorego na zdrowych pacjentów. W ten sposób choroba rozwijała się w ich organizmach w łżejszej formie i nie zagrażała życiu, a w konsekwencji nabierali oni odporności na wypadek kolejnego zarażenia.

Jednak od razu z różnych stron podniosły się głosy sprzeciwu, że nieliczni pacjenci, którzy przeżyją dzięki wariolizacji, pociągną za sobą wzrost liczby zarażonych. Nie uda się bowiem wyeliminować kontaktów pomiędzy zainfekowanymi nosicielami choroby a zdrową częścią mieszkańców miasta.

Isaac utrzymywał natomiast, że nowa metoda jest jedynym sposobem na ocalenie życia potencjalnych ofiar epidemii. Nie mógł jednak skorzystać z tego sposobu leczenia, został on bowiem oficjalnie zakazany i nawet weneckim doktorom nie wolno było się do niego odwoływać, a cóż dopiero Żydowi. Co prawda skończył studia w Padwie i nie musiał nosić żółtego nakrycia głowy poza gettem, jednak ciągle jeszcze traktowano go jeśli nie jak szarlatana, to na pewno z dużą nieufnością. Nienawiść względem jego narodu nie zniknęła, a jedynie zmieniła formę. Jak inaczej wyjaśnić proceder wykradania żydowskich zwłok przez padewskich studentów, którzy potrzebują materiału do wykonywania sekcji? Społeczność żydowska zapłaciła nawet podatek mający na celu ukrócić wspomniane barbarzyństwo, niemniej wstydliva działalność rozwijała się w najlepsze.

A tymczasem uprzedzenia względem żydowskich medyków szerzyły się bez końca.

Spędzał więc dni w domu pełnym kobiet i mężczyzn przypominających larwy o skórze pokrytej ropiejącymi pęcherzami, zżeranych nieustępliwą chorobą i szybko tracących wzrok. Choroba zamieniała ich w ślepców, a obojętny na ich krzywdę patrycjat miasta pozwalał, by umierali w cierpieniach, tak jak Wenecja konająca powoli w otoczeniu własnej legendy.

A teraz jeszcze doszła ta przerażająca historia alabastrowej dziewczyny. Wiadomość już zdążyła obieć dzielnice. Mówiono, że jej skóra była biała niczym lilie, a pierś, z której wyrwano serce, rozcięta nożem. Podobno jakiś kotlarz wyłowił jej ciało z Rio dei Mendicanti. Serca nie znaleziono. Sprawa była naprawdę poważna i w getcie wrzało. Sytuacja przypominała ogromny parujący kocioł. Nikt nie miał wątpliwości, że prędzej czy później gorąca zawartość podważy pokrywkę, a całe zło świata rozleje się dookoła.

Isaac niejednokrotnie przedstawiał swoje stanowisko członkom kolegium do spraw zdrowia publicznego, ale niezależnie od podawanych przykładów – siedmiu skazańców leczonych metodą wariolizacji przez Richarda Mada, nadwornego medyka angielskiego króla, którzy przeżyli i zostali ułaskawieni przez monarchę – odpowiedź ciągle była negatywna.

– To kara, uwierz mi – mruknął jego brat Zygmund.

Siedział przy stole i w roztargnieniu gładził polerowany blat z drewna gruszy. Powierzchnia była doskonale gładka i kiedy Zygmund się denerwował, lubił przesuwac po niej dłonią. Mówił, że to go uspokaja, ale Isaac miał na ten temat odmienne zdanie.

– Dość tego! – skarcił go. – Nie rozumiesz, że nie potrzebujemy teraz konfrontacji? Ludzie są wyczerpani. Jak będziesz w kółko siał podejrzenia, złość w końcu wybuchnie i nas pochłonie!

Zygmund miał wyjątkowo trudny charakter i nawet wiek nie zdołał go złagodzić. Zamiast stać się mądrzejszym, chował w sobie urazę do całego świata. Był chciwy, skąpy, samotny. Wbił sobie do głowy, że zło czyha właśnie na niego tylko po to, by go torturować i prześladować. Co nie miało nic wspólnego z prawdą.

– Nazywają nas krwiopicjami. Chyba nie zaprzeczysz? – nalegał Zygmund, dając wyraz swojemu rozgoryczeniu. I dodał, jakby czytał Isaacowi w myślach: – Jak sądzisz, kiedy mieszkańcy Serenissimy zaczną nas linczować?

– Nie gadaj głupstw.

– Skąd u ciebie tyle wiary w dobre intencje mieszkańców Wenecji? Możesz mnie oświecić? – Zygmund nie ustępował.

Miał głęboko osadzone oczy, czarne jak żarzące się węgle. Wielki haczykowaty nos przypominający dziób orła był zaczerwieniony od panującego na zewnątrz mrozu.

Biała broda otaczała jego szczupłą twarz o wystających kościach policzkowych. Nerwowym ruchem kościstej, żyłastej dłoni zaczął obracać między palcami złoty pierścień z rubinem wielkości orzecha. Kamień połyskiwał w blasku świec zatkniętych na licznych ramionach dużego żyrandola wykonanego ze słynnego szkła z Murano. W przeciwieństwie do brata Zygmund był złotnikiem i zajmował się handlem szlachetnymi kamieniami, choć formalnie figurował jako „handlarz błyskotkami”, czyli niewiele znaczący kupiec. Ale zawarł układ z jednym z zaradnych weneckich jubilerów, by zyskać możliwość prowadzenia własnego interesu w dzielnicy Rialto.

W ten sposób Żydzi mogli w miarę godnie egzystować w takim mieście jak Wenecja: udawali, że przestrzegają zasad, a stawali się mistrzami w ich obchodzeniu. Człowiek, który spędza większość życia za murami getta, wymyśla setki sposobów, aby uniknąć ograniczeń wolności osobistej.

Brat Isaaca opanował tę sztukę do perfekcji, czyniąc z niej sposób na życie. W czasie wieloletniej działalności nie zdołał co prawda ustrzec się przed licznymi upomnieniami ze strony cechu złotników i jubilerów, jednak dzięki pobłażliwości referentów i ich skłonności do korupcji oraz sprytnym technikom opóźniającym podjęcie różnych decyzji Zygmund prowadził swoją działalność, choć zawsze balansował na krawędzi. Różne utrudnienia nie przeszkodziły mu zresztą w zgromadzeniu pokaźnego majątku, a im bogatszy się stawał, tym bardziej zagłębiał się w zawilości biurokracji, aby je dopasować do własnych potrzeb niczym wygodne trzewiki, a wszystko to dzięki obfitym prowizjom i datkom.

Nie mieli łatwego życia, bo chociaż Wenecja doskonale zdawała sobie sprawę, jak bardzo jej dobrobyt jest uzależniony od działalności Żydów, to poprzez strażników i sędziów robiła wszystko, aby dawać się diasporze we znaki. A tymczasem mieszkańcy getta nie mieli wysokich wymagań, chcieli po prostu, by zostawiono ich w spokoju. Nie domagali się ani specjalnych przywilejów, ani korzyści. Pragnęli jedynie prowadzić swoje interesy. Czyżby takie marzenie można poczytać za zbrodnię? Sukces i bogactwo zawsze pociągają za sobą zazdrość i niechęć i chociaż oficjalnie społeczność żydowska mogła liczyć na ochronę prawa, to w praktyce jej przedstawiciele uważani byli za obywateli drugiej kategorii, by nie powiedzieć wprost, że za niewolników bądź sługi.

Isaac doskonale rozumiał rozżalenie i złość brata, ale nie mógł i nie chciał ich podsycać, ponieważ oznaczałoby to niepotrzebne napięcia pomiędzy społecznością żydowską a władzami Republiki, a do tego za żadną cenę nie wolno było dopuścić. W końcu przez lata koegzystencji udało im się jednak jakoś urządzić i zagwarantować sobie fundamentalne prawa. Nie zamierzał wspierać wywrotowych, buntowniczych idei.

– Przestań ciągle jątrzyć – powiedział wreszcie. – Przecież znasz moją opinię. Nawet jeśli masz rację, to nie osiągniesz nic więcej poza tym, że zatrujesz ludziom serca.

– Już są zatrute, nie zauważyłeś? – Zygmund rzucił mu krzywe spojrzenie. – Czy ty naprawdę tego nie pojmujesz? Jeśli nic nie zrobimy, wcześniej czy później posiekają nas na kawałki!

– Daj spokój! Nawet gdyby to była prawda, a obaj wiemy, że nie jest, to myślisz, że siejąc strach, osiągniemy wymierne rezultaty?

– Nie ja zacząłem. Szkoda, że nie widziałeś, jak dzisiaj przyglądali mi się w sklepie.

– Może dlatego, że zbyt podniosłeś ceny? To nie pierwszy raz.

– A co to ma do rzeczy?! Zresztą nawet Shimon dał się sprowokować! – wybuchnął Zygmund.

– Kto? Luzzatto?

Zygmund pokiwał głową.

– Ten chłopak nie umie trzymać języka za zębami. Prędzej czy później wpadnie w kłopoty – stwierdził Isaac.

– Zawsze masz na wszystko właściwą odpowiedź, prawda? Co takiego według ciebie powiedział Shimon?

– Twierdzi, że Wenecjanie nas wykorzystują. Przymierza się do rozpowszechniania w getcie informacji mających na celu zdemaskowanie planów, które władze przygotowują na naszą niekorzyść. Przyjmując, że to prawda, o czym nie jestem wcale przekonany, to by oznaczało wypowiedzenie wojny.

– Ma całkowitą rację. Gdybym był młodszy, też bym się nie wahał.

– Szerzenie nienawiści to złe rozwiązanie.

– Lepiej chować głowę w piasek, co? A może powinniśmy sami złożyć się w ofierze dla dobra Wenecji? A teraz jeszcze ta okrutna zbrodnia! – krzyknął Zygmund.

– Przestań wrzeszczeć! Oszalałeś?

– Może tak byłoby lepiej dla nas wszystkich. Przynajmniej nie musiałbyś znosić dłużej mojej obecności!

Isaac pokręcił głową. Dlaczego on jest taki uparty?

– Ty nawet nie próbujesz mnie zrozumieć. Moglibyśmy rozmawiać przez całą noc, a ty i tak nie odstąpiłbyś od swoich racji ani na krok. A ja nie mówię, że twoje stanowisko jest błędne, tylko że w tym momencie nie możemy dążyć do konfrontacji.

Zygmund jednak nie zamierzał ustąpić.

– Mów sobie, co chcesz, ale posłuchaj uważnie moich słów: czy tego chcesz, czy nie, laguna już wkrótce zabarwi się krwią.

Wypowiedziawszy ponurą groźbę, wziął pelerynę i wyszedł z domu.

7. Rady bohatera

PRZEZ CAŁY DZIEŃ, który nadszedł po rozmowie w Pałacu Dożów, Antonio łamał sobie głowę nad tym, jak powinien postąpić, oraz – co ważniejsze – w jaki sposób wykonać zadanie. W jednej kwestii nie miał wątpliwości. Postanowił mianowicie, na ile to tylko możliwe, trzymać się na dystans w trakcie śledzenia podejrzanego. Podjąwszy taką decyzję, zauważył, że powoli wszystko zaczyna mu się rozjaśniać.

Miał zaufanego przyjaciela, którym był feldmarszałek hrabia Johann Matthias von der Schulenburg, i umyślił sobie, że zasięgnie jego rady. Doświadczony żołnierz był prawdziwym bohaterem wojennym, biorąc pod uwagę odważne czyny i zwycięskie bitwy, którymi dowodził na wyspie Korfu, i pomimo zaawansowanego wieku z pewnością znał wiele technik przydatnych również w akcjach szpiegowskich. Zresztą bez życzliwej pomocy przyjaciela Antonio nie wiedział, od czego zacząć.

Z drugiej strony czuł się bardzo niezręcznie na myśl, że uda się do feldmarszałka i opowie mu o powierzonym sobie zadaniu, nie można było bowiem wykluczyć, iż wpływowy wojskowy, będąc w pełni władz umysłowych i szczerego serca, potraktuje jego misję zbyt poważnie. Johann od dawna miał obsesję na punkcie spisków, których celem według niego było obalenie rządu Republiki, istniało więc realne niebezpieczeństwo, że zechce rozpętać kontrofensywę szpiegowską na szeroką skalę. Dlatego też Antonio z jednej strony wahał się, czy powinien przedstawić mu sytuację, w jakiej się znalazł wbrew własnej woli, z drugiej jednak żaden sensowniejszy pomysł nie przychodził mu do głowy. Tkwił w potrzasku jak przerażone zwierzę.

I tak następnego mroźnego poranka Antonio, wyszedłszy z domu, skierował się na ulicę Loredan w dzielnicy San Trovaso, gdzie nad Wielkim Kanałem mieściła się wystawna rezydencja feldmarszałka. Lokaj, który mu otworzył, przypominał raczej adiutanta polowego z uwagi na wojskowy strój. Bez zbędnych słów poprowadził gościa do biblioteki, gdzie feldmarszałek zwykł spędzać większość czasu.

Teraz też siedział na drewnianym stolcu, ubrany we frak ozdobiony nieskazitelnymi złotymi galonami. Na głowie lśniła mu śnieżnobiała peruka, jego nogi opinały jedwabne pończochy, a na stopach błyszcząły wypolerowane buty. Na widok nienagannej elegancji, podkreślającej autorytet przyjaciela, Antonio niemalże stanął na baczność. Ze zdziwieniem dostrzegł, jak bohater zręcznym skokiem zerwał się z krzesła i wyszedł mu naprzeciw, a zbliżywszy się, uściśnął mu dłoń tak mocno, jakby chciał mu ją wyrwać. Antonio poczuł, jak jego palce znikają w imadle – musiał

przyznać, że posunięty w latach marszałek ciągle może się poszczycić znaczną tężyzną fizyczną i energią ducha.

– Drogi przyjacielu, jakże się cieszę, że was widzę! Nawet nie zdajecie sobie sprawy, jak bardzo mi was brakowało! Wasza wizyta to dla mnie prawdziwy zaszczyt. Właśnie o was myślałem!

Antonio nie spodziewał się tak zacnego przyjęcia i odpowiedział, starając się zachować godną postawę.

– Jestem szczęśliwy, widząc was w doskonałej formie, drogi marszałku.

– Dajcie spokój z rangą, bardzo was proszę. Chciałbym zapomnieć o wojnie raz na zawsze, ale to ona nie chce zostawić mnie w spokoju.

– Rozumiem.

– Ach, mój drogi, nie sędzę, byście naprawdę mogli to zrozumieć. Już prawie dziesięć lat mija od krwawych wydarzeń na Korfu, a ja ciągle widzę, jak trzydzieści tysięcy wcielonych diabłów atakuje mury miasta! Rozgromili flotę Andrei Pisaniego, zatapiając wszystkie okręty, i walili w mury ze swoich przeklętych dział. Każdej nocy słyszę ten huk! Nasze siły były dwudziestokrotnie mniejsze i biegaliśmy z jednej strony na drugą, od wieży do wieży, aby się nie zorientowali, ilu ludzi tak naprawdę broni miasta.

– To musiało być straszne doświadczenie.

– Nic dodać, nic ująć, synu! Na szczęście Wenecja pomaga mi zapomnieć o przeżytych koszmarach, hodując na swym łonie takie wyjątkowe talenty jak wasz. Jesteście nadzwyczaj uzdolnionym artystą. Całe miasto nie przestaje mówić o waszych obrazach. Wszyscy chcą je mieć. Pewnie nie możecie się opędnąć od zleceń?

– Nie narzekam – odpowiedział Antonio.

– Jesteście zbyt skromny, mój drogi chłopcze.

– Nie, wcale nie jestem skromny... Właśnie chciałem was prosić o przysługę i obawiam się, że kiedy wam wyłuszczę sprawę, będziecie mogli posądzić mnie nawet o arogancję.

Feldmarszałek milczał zdziwiony, co zdarzało mu się raczej rzadko, zważywszy na brutalne doświadczenia, których życie żołnierza w przeszłości mu nie szczędziło.

– Nie rozumiem, co macie na myśli. Dalej, wyrzucie to z siebie!

Z bezpośredniością charakteryzującą wojskowych Johann zachęcił przyjaciela do rozmowy, a ten nie zamierzał się ociągać. Z jednej strony chciał zachować ostrożność, a z drugiej przynajmniej częściowo wtajemniczyć feldmarszałka w szczegóły trudnego zlecenia, które otrzymał.

– Widzicie, są takie sytuacje w życiu – zaczął – kiedy nie można odmówić wykonania zadania, nawet jeśli nam się wydaje, że zupełnie się do niego nie

nadajemy.

– Zgadzam się w zupełności. Zależy, kto prosi.

– No właśnie. W moim przypadku prosi ten, który w Wenecji nie ma nad sobą nikogo.

W oczach feldmarszałka pojawił się błysk zrozumienia.

– Czyżby wasza sława dotarła tak wysoko?

– Tak, ale niestety nie z powodów, o których wspominaliście.

– Zamieniam się w słuch.

– A zatem nie będę owijał w bawełnę. Zlecono mi przeprowadzenie śledztwa, a ja nie mam pojęcia, jak się do tego zabrać.

– Co to za śledztwo? – zapytał wojskowy, unosząc gęste brwi. – Możecie podać mi więcej szczegółów?

– Muszę odkryć powody, dla których pewien mężczyzna odwiedza niektóre miejsca w mieście.

– Obserwacja? Śledzenie podejrzanego? Kamuflaż?

– No właśnie – potwierdził Antonio.

– Cóż, tylko tak można mieć kogoś na oku.

– I to wystarczy?

– Wystarczy.

– Czyżby to było naprawdę takie proste?

– Tak, ale trzeba uważać, żeby się nie ujawnić.

Antonio Canal ledwo zdołał opanować grymas niechęci.

– Właśnie to mnie najbardziej martwi.

– Znam i rozumiem wasze obawy. Nie macie praktyki w tej dziedzinie, ale w zamian, wierzcie mi, dysponujecie przewagą, która czyni z was idealnego szpiega...

– Co macie na myśli? – Ostatnie stwierdzenie zaciekało zaniepokojonego artystę.

– Wasz zleceniodawca okazał się nad wyraz przewidujący, trzeba mu to przyznać. Mówiąc wprost: nikt nie będzie was podejrzewał, bo któż by się obawiał malarza? Nikomu nie przyjdzie nawet do głowy posądzać was o szpiegowanie, a to zaoszczędzi wam czasu na przebieranki i kamuflaż. Każdy donosiciel, szpieg czy płatny morderca z prawdziwego zdarzenia musi najpierw opanować tę sztukę do perfekcji. Wy natomiast możecie się zachowywać całkiem naturalnie, bo jesteście poza wszelkim podejrzeniem.

– To prawda.

– No pewnie, że prawda. Co się zaś tyczy śledzenia podejrzanego, wystarczy nie spuszczać go z oka, zachowując jednocześnie bezpieczną odległość. Trzymajcie się więc niezbyt blisko, by nie wzbudzać podejrzeń, i niezbyt daleko, by go nie zgubić

w tłumie. Po każdej zakończonej akcji powinniście też skrupulatnie notować wszystkie użyteczne szczegóły: godziny, daty, miejsca, dane spotykanych osób, przyzwyczajenia. Możecie wykonywać szkice, jako artysta malarz macie tu ogromne pole do popisu i nie wzbudzicie niczyich podejrzeń. Wszystko może się przydać, a notatki i rysunki mogą zostać użyte w każdej chwili, gdy tylko zajdzie potrzeba. Poza tym powinniście skorzystać z pomocy zaufanych osób, które będą mogły dostarczyć wam dodatkowych informacji lub zastąpić was podczas obserwacji podejrzanego.

– Czy możecie mi to dokładniej wyjaśnić?

– Nie zdołacie zrobić wszystkiego samodzielnie, synu. Musicie znaleźć pomocników. W przeciwnym razie obserwowany nabierze podejrzeń. Jeśli będziecie mu deptać po piętach od rana do wieczora, z czasem na pewno zacznie się zastanawiać, co znaczy wasza ciągła obecność. Dlatego powinniście skłonić do współpracy przynajmniej jeszcze jedną osobę, najlepiej, aby był to ktoś bywający w tych samych miejscach co podejrzan, ktoś z grona wspólnych znajomych, bo wtedy będziecie mogli liczyć na niezawodne informacje bez ryzyka, że wasza tajna misja wyjdzie na jaw. Czy to jasne?

– Całkowicie.

I rzeczywiście, Canaletto czuł się usatysfakcjonowany. W ciągu jednej krótkiej wizyty zaczął zgłębiać tajniki sztuki szpiegowskiej z lepszym skutkiem, niż gdyby udał się po nauki do kardynała Mazzariniego we własnej osobie.

– Trzymajcie się na dystans, a jednocześnie nie traćcie z oczu podejrzanego. Pamiętajcie o tej zasadzie!

– Lepiej bym tego nie ujął.

– Zapomnieliście, że przez całe życie obcowałem ze szpiegami?

– No tak, rzeczywiście... Proszę o wybaczenie.

– Dobrze zrobiliście, że przyszliście z tym do mnie. Wierzcie lub nie, ale jeszcze nie powiedziałem wam najważniejszego. Otóż znam kogoś, kto doskonale nadaje się do pomocy...

– Macie na myśli zawodowego szpiega?

– Kogoś znacznie lepszego. Rzemieślnika wytwarzającego soczewki. Ten człowiek nie tylko dostarczy wam odpowiednich narzędzi do obserwacji, ale również zapewni najlepsze instrumenty, których będziecie mogli używać w waszej pracy twórczej.

Antonio starał się otrząsnąć ze zdumienia, gdy nagle usłyszał echo głosu dobiegającego z korytarza. Był to najpiękniejszy dźwięk, jaki kiedykolwiek słyszał.

Wizyta u feldmarszałka okazała się naprawdę owocna – pomyślał.

8. Niespodzianka

DZIEWCZĘ, KTÓRE WESZŁO DO BIBLIOTEKI, wprawiło Antonia w jeszcze większe osłupienie. Ostatnio zdarzało mu się to coraz częściej. Zbyt często, jak na jego gust. Jednak jeśli istniało na świecie coś, czego nie da się opisać słowami, to teraz właśnie miał to przed oczyma.

Wchodząc do biblioteki, niewiasta wniosła ze sobą równocześnie światło i mrok. Jej lśniąca, jasnozielona oczy i skóra o barwie kości słoniowej zdawały się błyszczyć niczym gwiazdny pył, a długie czarne włosy opadały ciemną chmurą aż do pasa. W sposobie uczesania, w całkowitym odrzuceniu mody na starannie upiętą fryzurę dało się wyczuć sprzeciw wobec konwenansów i reguł społecznych. Co prawda w Wenecji mało co już ludzi dziwiło: nieprzerwany karnawał i liczne przykłady kobiet, które zdobywały sobie niezależność w wielobarwnej zbiorowości mieszkańców Serenissimy, pozwalały uznać takie zachowanie co najwyżej za oryginalne, lecz w żadnym razie nie za godne potępienia.

Co się zaś tyczy stroju, to wygląd jej nie odbiegał od przyjętych kanonów: miała na sobie wspaniałą suknię z ciemnogrnatowego aksamitu z głębokim dekoltem zasłoniętym po części woalem, który spływał miękko od czubka głowy, dopasowywał się łagodnie do linii szyi, szerokimi fałdami obejmował obfity biust i krzyżował się wreszcie oboma końcami w pasie. Delikatne koronki z Burano wymykały się z rękawów niczym kwiaty, a marszczona spódnica opierająca się na krynolinie podkreślała kobiece kształty.

Była naprawdę zjawiskowa. Stanowiła obietnicę namiętności i miłosnej udręki. A przynajmniej tak jawiła się oszołomionemu jej widokiem artyście, który pomyślał, że kiedy Fidiasz rzeźbił posągi kobiet, wyobrażał je sobie właśnie w takiej postaci.

– Charlotte! – zawołał rozradowany feldmarszałek. – Co za szczęśliwy zbieg okoliczności!

– Dlaczegoż to, mój ojczy? – zapytała dziewczyna, znikając w potężnych ramionach rodziciela całującego ją w oba policzki.

– Właśnie mówiliśmy o tobie z moim przyjacielem. Oto pan Antonio Canal.

Słyszając swoje imię, malarz skłonił się nisko, a kiedy się wyprostował, zauważył z zadowoleniem, że czarująca dziewczyna nie jest wcale taka wysoka, jak mu się z początku zdawało, i nie przewyższa go wzrostem, co od razu podniosło go na duchu.

Imponująca postura nie była jego silnym punktem i dlatego ludzie zwali go zdrobniale Canalettem.

– Na bogów! – odezwała się Charlotte, śmiejąc się perliście. – Ależ jestem roztargniona, panie Canal. Nawet się z panem nie przywitałam. – Przy tych słowach wdzięcznie skinęła głową.

Antonio za wszelką ceną starał się nie zaczerwienić. Rozmawiając z nią, czuł się ogromnie zakłopotany, a zarazem onieśmielony jej urodą. W obawie przed popełnieniem gafy stał, jakby się zmienił w słup soli, niepewny i drżący, i unikał najmniejszego ruchu, który mógłby doprowadzić do katastrofy w postaci zdemolowania pokoju. W końcu jego przysłowiowa niezręczność była przedmiotem żartów w całym mieście.

– Jestem zaszczycony, że mogę was poznać, wielmożna pani.

Co ja wygaduję – upomniał się w myślach. Taką formułką mógłbym przywitać się z jakimś baronem albo generałem, a nie z uroczą panią. Na szczęście w ostatniej chwili powstrzymał się przed dziarskim skinieniem głową, jak zwykł był czynić przy takich okazjach. Jego zachowanie cechowała niepewność, której nie dało się nie zauważyć.

– Nie jestem jeszcze mężatką. Możecie zwracać się do mnie po imieniu. A więc to wy jesteście najślynniejszym malarzem w Wenecji? – spytała z lekką nutą złośliwości, co nie uszło uwadze Antonia.

– Próbuję jedynie jak najlepiej czcić piękno i wdzięk.

– To doprawdy celna odpowiedź.

– Pan Antonio Canal jest moim przyjacielem oraz człowiekiem wielkiej inteligencji i niespotykanego talentu. Pomijając jego skromność, mogę potwierdzić, moja droga, że nie ma dzisiaj w Wenecji bardziej godnego podziwu artysty.

– Przepraszam za moje prowokacyjne pytanie. Kryje się za nim zwykła ciekawość wynikająca z krążących po mieście opinii na temat wyjątkowych zdolności naszego gościa – wyjaśniła Charlotte.

– Macie ze sobą o wiele więcej wspólnego, niż się wam wydaje – oświadczył niespodziewanie feldmarszałek.

– Czyżby? – Dziewczyna zdziwiła się, wyprzedzając Antonia, któremu to samo pytanie cisnęło się na usta.

– Bez wątpienia – potwierdził stanowczo gospodarz, po czym zwrócił się do malarza: – Przed chwilą mówiłem wam o osobie, która mogłaby wam pomóc...

– Tak.

– Stoi przed wami.

– Chyba nie zrozumiałem – zaniepokoił się Antonio.

– Ja też nie, ojciec – dodała Charlotte.

– Otóż moja córka jest najlepszą konstruktorką soczewek z Murano w Wenecji i na całym świecie. A wy, drogi Antonio, potrzebujecie odpowiednich narzędzi do obserwacji i do powiększania pola widzenia. Dlatego sądzę, że przyda się wam wizyta w zakładzie Charlotte.

Artysta po raz kolejny otworzył usta ze zdumienia. A więc ta piękna dziewczyna zajmuje się wyrobem soczewek?

– Aha. – Dziewczyna się ożywiła. – Teraz wszystko jasne. Jakże mogłam na to nie wpasć? Będzie mi bardzo miło gościć was w moim małym zakładzie.

– Zajmujecie się obróbką szkła? – zapytał Antonio z podziwem.

– Czy to was dziwi?

– Może trochę... Chociaż w przeszłości kobiety już zajmowały się tą sztuką.

– No właśnie. – W jej oczach rozbłysła duma. – Z pewnością pamiętacie Mariettę Barovier, która stworzyła wyjątkowo oryginalną kulę w formie rozety.

– Oczywiście. A wy zajmujecie się...

– Odnoszę sukcesy w tworzeniu szkieł do okularów. Od kiedy w Wenecji zaczęto na potęgę drukować książki, zapotrzebowanie na okulary ciągle wzrasta... Mam też na swoim koncie bardziej wyrafinowane produkty, takie jak wielkie lustra czy też użytkowe soczewki dla malarzy, którzy specjalizują się w tworzeniu widoków.

– Naprawdę?

– Przez długi czas moim klientem był na przykład van Wittel.

– Gaspar van Wittel?

– Tak, ten sam – potwierdziła Charlotte, unosząc lekko brwi.

W tym momencie feldmarszałek roześmiał się rubasznie, przerywając tę wymianę zdań dwojga młodych.

– Dość tego, przyjacielu, przecież powiedziałem wam, że możecie mi zaufać. Naprawdę uważam, że moja córka mogłaby wam pomóc w wykonaniu zadania... Nawet lepiej niż ja, prawdę mówiąc. Po pierwsze dlatego, że jest specjalistką w tej dziedzinie. A po drugie, bo ja jestem tylko starym żołnierzem, którego męczą różne dolegliwości podeszłego wieku, gdy tymczasem ona to prawdziwe żywe srebro. Zastanawiacie się pewnie, dlaczego hrabianka zajmuje się obróbką szkła. Czy to nie dziwaczne? No cóż, mimo próśb z mojej strony nie udało mi się jej tego wyperswadować. I wtedy pomyślałem sobie, że może lepiej zostawić ją w spokoju. A teraz, jeśli nie macie nic przeciwko temu, chciałbym dokończyć naszą rozmowę przy stole – wypowiadając te słowa, feldmarszałek podał ramię córce i skinąwszy na Antonia, wyszedł z biblioteki.

9. Szpieg

CZEKAŁ NA NICH i się nie zawiódł. Tak samo jak w ubiegłych tygodniach. Antonio schronił się w bramie pobliskiego budynku, aby nie rzucać się w oczy. Pomimo siąpiącego deszczu mężczyźni w pelerynach stawili się w zwykłym miejscu. Kulawy, którego przedstawił na swoim obrazie, czyniąc go tym samym powodem swoich kłopotów, stał w środku i żywo dyskutował z dwoma pozostałymi.

Antonio odczekał, aż ruszą się z miejsca, i zaczął ich śledzić, zachowując bezpieczną odległość. Szli powoli, jakby nigdzie się nie spieszyli. Kilka razy Kulawy się odwrócił, zdradzając tym samym lekki niepokój, lecz nie sprawiał wrażenia człowieka, który podejrzewa, że jest obserwowany.

Antonio szedł teraz wzdłuż kanału i pozostawał na widoku, dlatego pozwolił znacznie wyprzedzić się trzem mężczyznom i podążając ich śladem, minął kościół Świętego Łazarza, a potem przylegający doń szpital. Zobaczył, jak grupka przechodzi obok gmachu konfraterni pod wezwaniem Świętego Marka, a potem kieruje się w stronę placu Świętych Jana i Pawła. Przyspieszył, bo chociaż pilnował, by się nie ujawniać, nie chciał stracić podejrzanych z oczu, bo to by oznaczało, że następnym razem będzie musiał zaczynać całą akcję od początku.

Szybkim krokiem dotarł na plac, zwalniając jedynie wtedy, gdy pojawiała się niebezpieczeństwo, że może znaleźć się zbyt blisko śledzonych. Znalazłszy się na wprost ogromnej bazyliki pod wezwaniem Świętych Jana i Pawła, zauważył, że Kulawy i jego dwaj kompani przecięli już plac i zmierzają w stronę uliczki San Zanipolo.

Deszcz nie przestawał padać. Przemoczona peleryna zaczynała Antoniowi ciążyć, a krople z przesiąkniętego wodą kapelusza spadały na twarz, lecz zajęty wykonywaniem zadania starał się nie zwracać na to uwagi.

Tymczasem trzej mężczyźni, nie zatrzymując się, zapuścili się w uliczkę Barbara de le Tole. Zaułek był opustoszały, może z powodu wzmagającej się ulewy albo po prostu dlatego, że znajdowały się tu jedynie warsztaty stolarzy oraz składy rozmaitych materiałów. Nie cieszył się zbyt dobrą sławą z uwagi na swój ponury, obskurny wygląd i mieszkańcy miasta niechętnie się w niego zapuszczali. Zamieszkiwali go ludzie chwytający się każdej, najpodlejszej nawet roboty oraz zwykłe rzezimieszki, które bez zastanowienia poderżnęłyby gardło każdemu w zamian za kilka złotych monet.

Po lewej otwierał się widok na obszerny teren znany pod nazwą Cavallerizza dei nobili, gdzie zwyczajowo odbywały się turnieje i zawody konne. Kulawy nie

zainteresował się jednak tym miejscem.

Antonio zaczął się zastanawiać, czy czasem nie przyjdzie mu krążyć po Wenecji przez całą noc. Przygotowywał się na taką ewentualność, ale liczył też po cichu na łut szczęścia.

Jakiś wewnętrzny głos mówił mu, że już niedługo dotrą co celu, a może było to jedynie pobożne życzenie. Uliczką Barbaria de le Tole doszli wreszcie do placu o tej samej nazwie, po czym skręcili w prawo, ruszyli ulicą Zon.

Antonio, zmęczony szybkim marszem w strugach deszczu i wyczerpany obawą, że w końcu nie uda mu się uniknąć zdemaskowania, a jednocześnie zniechęcony perspektywą, że nie zdoła wykonać zadania, podążał za podejrzanymi niczym pies gończy za tropem.

Dostrzegł, jak Kulawy przed mostem skręca w lewo w ulicę Cavalli i staje przy trzecich drzwiach. Zapukał i wszedł w krąg światła rzucanego przez dwie pochodnie wetknięte w obręcze w murze.

Antonio zatrzymał się w ostatniej chwili. Usłyszał, jak drzwi się otwierają, a jakiś człowiek pyta o hasło. Nie zrozumiał odpowiedzi i nie poznał słowa umożliwiającego wstęp do środka, zdołał jedynie zauważyć, że to Kulawy rozmawiał ze stróżem. W chwilę później skrzydła drzwi się zamknęły, a on został z niczym na środku ulicy.

Chowając się pod arkadami krużganków, pomyślał, że przynajmniej udało mu się wypełnić część misji i się nie zdemaskować. Zważywszy jednak na rozwój sytuacji, postanowił na razie poszukać schronienia przed deszczem.

Nie miał pojęcia, co się kryje wewnątrz tajemniczego budynku, ale sam fakt, że sługa, który otworzył drzwi, poprosił o hasło, świadczył bez wątpienia o tym, że wstęp jest zarezerwowany tylko dla wybrańców.

Najróżniejsze pomysły kłębiły mu się w głowie, ale żaden nie wydawał się dostatecznie przekonujący. Szulernia? Burdel? Gdzie indziej mogli udawać się razem trzej mężczyźni? Na pewno nie do ujeżdżalni, bo minęli ją bez najmniejszego zainteresowania.

Pozostawiając kwestię nierozstrzygniętą, Antonio postanowił poszukać gospody, z nadzieją, że nie będzie musiał zbytnio się oddalać. Nie chcąc jednak odchodzić z pustymi rękami, wyjął z kieszeni notes oraz czerwony ołówek i szybko zaczął szkicować budynek, w którym zniknęli śledzeni przez niego mężczyźni. Zajęty kreśleniem linii i perspektywy, nie zauważył nawet, kiedy przestało padać.

Do pałacyku prowadził mały dziedziniec, którego obecność i wielkość wyznaczały bezlistne gałęzie drzew sterczące ponad murem ogrodu. Rezydencja była dwupiętrowa, o wyważonych proporcjach, reprezentowała skromny, niemalże surowy styl. W oczy rzucały się wielkie drzwi wejściowe wykonane z masywnego drewna

i ozdobione dwiema lwimi głowami, które przeniósł na papier, starając się zachować najdrobniejsze szczegóły. Takich rzeźb w Wenecji nie brakowało, ale te miały w sobie coś wyjątkowego: wizerunki zwierząt emanowały bowiem dzikim okrucieństwem.

Skończywszy rysunek, zamierzał odejść, gdy nagle zobaczył jakąś postać, która pojawiła się u wylotu uliczki, po czym korzystając z mroku panującego pod sklepieniami krużganków, skryła w niszy wiodącej do tego samego budynku.

Gdy mężczyzna stanął w blasku pochodni i zapukał do drzwi, Antonio zdążył zauważyć tylko, że nowo przybyły nosi się bardzo elegancko, a czekając na otwarcie, rozgląda się niespokojnie dookoła.

Samozwańczy szpieg wycofał się w głąb portyku i obserwował rozwój wypadków. Tym razem wyraźnie zobaczył, że odźwierny jest mężczyzną słusznej budowy i przypomina raczej strażnika. Sytuacja coraz bardziej się komplikowała.

Odźwierny po raz kolejny zażądał podania hasła, a cicha odpowiedź znowu rozwiązała się w ciemnościach nocy. Elegancki przybysz wszedł do wnętrza. Drzwi już miały się zamknąć, gdy strażnik o wyglądzie wzbudzającym respekt spojrzął w stronę krużganków. Przez dobrą chwilę wpatrywał się w kryjówkę Antonia, który drżał ze strachu, aby czasem tamtemu nie przyszło do głowy sprawdzić, co się czai w mroku.

Jak powinien się zachować w takim wypadku? W uszach brzmiały mu wszystkie rady i zalecenia feldmarszałka von der Schulenburga. Rozpływały się one jednak niczym mgła pod wpływem groźnego spojrzenia mężczyzny, który jakby wiedziony przecuciem penetrował wzrokiem właśnie miejsce schronienia Antonia.

Malarz czuł, jak pot pokrywa mu czoło. Nie miał pojęcia, co należało zrobić, więc spuścił oczy, by nie zderzyć się z sokolim wzrokiem strażnika.

Usłyszawszy wreszcie trzask zamykanych drzwi, odetchnął z ulgą.

10. W Triumfującej Wenecji

MRÓZ NARESZCIE NIECO ZELŻAŁ. Pomimo niskiej temperatury jasne słońce rozświetlało niebo i odbijając się w zielonych wodach laguny, rozsiewało w powietrzu szmaragdowy blask.

Tego dnia Antonio miał umówione spotkanie z jednym ze swoich klientów, Irlandczykiem Owenem McSwineyem, który oczekiwał nań w kafeterii Floriana Francesconiego ozdobionej nowo zamówionym szyldem z napisem „Triumfująca Wenecja”. Pomimo zabiegów właściciela większość mieszkańców miasta i tak z uporem nazywała lokal „U Floriana”, wywołując niezadowolenie tego ostatniego, który wybrał sobie znacznie szlachetniejsze miano sławiące piękno i chwałę Serenissimy.

Wchodząc do środka, Antonio zauważył znajomego siedzącego przy stoliku w rogu, zajętego degustacją przepysznej kawy oraz wyjątkowych weneckich ciasteczek zwanych *zaeti*, sporządzanych z mąki kukurydzianej i nadziewanych słodkimi rodzynkami.

Na widok artysty McSwiney zerwał się z krzesła i przywitał go mocnym uściskiem dłoni.

– Szanowny panie Canal, jakże się cieszę, że was widzę. Pozwólcie mi wyrazić moją ogromną radość z naszego dzisiejszego spotkania.

– Dziękuję serdecznie – wyjąkał zaskoczony Antonio. – Bardzo mi miło to słyszeć, ale czy mógłbym poznać powód?

– Proszę usiąść. – Irlandczyk zaprosił go do stolika i z wyraźnym cudzoziemskim akcentem kontynuował: – Zaraz wam wszystko wyjaśnię.

Antonio usiadł, zamówił gorącą czekoladę i zaczął słuchać.

– Jak wam wiadomo – odezwał się były dyrektor teatru – w ciągu minionych lat udało mi się zaprzyjaźnić z księciem Richmond oraz z wieloma innymi wpływowymi osobami z angielskiej elity. Mam tu na myśli między innymi lorda Somersa, pełniącego funkcję kanclerza, oraz Johna Tillotsona, arcybiskupa Canterbury.

Przywołane nazwiska wzbudziły ciekawość Antonia. Doskonale znał układy towarzyskie pana McSwineya, jednak nie przypuszczał, że obejmują tak wysoko postawione osoby. Po bankructwie kierowanej przez niego grupy teatralnej, które nastąpiło na skutek intryg zagorzałego konkurenta, komediopisarza Williama Colliera, Irlandczyk wybrał Wenecję na miejsce dobrowolnego zesłania. Jednak

wszystko wskazywało na to, że pomimo niemożności powrotu do ojczyzny utrzymywał dobre stosunki z wpływowymi ludźmi na dworze królewskim. Przy okazji pierwszego spotkania McSwiney przedstawił się jako mecenas i pośrednik w relacjach z włoskimi artystami, a Antonio pomyślał, że ma do czynienia ze zwykłym bufonem. Później jednak malarz nauczył się cenić zapał i entuzjazm, z którymi Irlandczyk podejmował się wykonywania nawet najtrudniejszych zadań. Czyniło to z niego człowieka życzliwego i lojalnego, a tego typu cechy w Wenecji wcale nie były na porządku dziennym. To właśnie dzięki jego zabiegom tacy artyści jak Giovanni Battista Pittoni czy Giovanni Battista Cimaroli mogli zaprezentować światu swoje umiejętności. Jakiś czas temu Irlandczyk postarał się o kilka zamówień również dla Antonia. Ten z coraz większą niecierpliwością czekał teraz na wyjaśnienia.

– Szanowny panie McSwiney, wasze słowa pobudziły moją ciekawość i z największą uwagą wysłucham tego, co macie mi do powiedzenia.

– Bardzo mnie to cieszy. W ostatnim czasie miałem okazję podziwiać wasze zachwycające obrazy i jestem pod wrażeniem waszej błyskawicznej, niepowstrzymanej kariery. – Przerwał, służący podał bowiem czekoladę. – Opowiadałem tu i ówdzie o waszej pracy i o tym, jak doskonale udaje wam się oddać na płótnie rzeczywistość. Zwłaszcza księżę już od dawna podziwia wasz talent, bo sam interesuje się tego typu malarstwem. Natomiast pozostali dwaj nabywcy, o których wam wspomniałem, byłiby szczególnie zainteresowani kompozycjami przedstawiającymi widoki mogące posłużyć jako scenografie teatralne, gdyż nie jest tajemnicą wasze doświadczenie w tej dziedzinie sztuki.

– Z chęcią podejmę się realizacji zadań pod warunkiem godziwego wynagrodzenia – odpowiedział bezzwłocznie Antonio.

Rozważając wstępnie propozycję, zaczął się zastanawiać, czy McSwiney, jako bywalec salonów weneckich z uwagi na misję związaną z wyszukiwaniem nowych talentów, nie pomógłby mu rozwikłać tajemniczej sprawy z poprzedniej nocy. Dlatego też z niewinną miną i pozorną nonszalancją postanowił wybadać, czy intuicja go nie zawodzi.

– Oczywiście mógłbym pomyśleć o rabacie, gdybyście zechcieli pomóc mi w pozyskaniu pewnych informacji.

– Jeśli tylko zdołam, uczynię to z przyjemnością! Zwłaszcza jeżeli jeszcze przed zawarciem umowy jesteście skłonni zagwarantować korzystną cenę.

– To właśnie proponuję – potwierdził Antonio. – Tymczasem zaciekało mnie pewne miejsce... Spacerowałem wczoraj wieczorem po dzielnicy Castello, którą znam jak własną kieszeń, gdyż od lat tam mieszkam. Szedłem wzdłuż Rio dei Mendicanti...

– Mistrzowsko uwieczniliście to miejsce na swoim ostatnim obrazie!

– Dziękuję.

– Taka jest moja opinia.

– Tym bardziej jestem wam wdzięczny. Wracając do wczorajszego spaceru... Otóż, gdy dotarłem na Barbara de le Tole, zaskoczył mnie deszcz. Szukając rozpaczliwie schronienia przed ulewą, pobiegłem ulicą Zon i na całe szczęście trafiłem na krużganki na ulicy Cavalli. Wiecie, gdzie to jest?

– Oczywiście, naprzeciwko pałacyku, w którym mieści się salon Cornellii Zane!

– Aha! – Antonio westchnął z ulgą. Nie spodziewał się, że wszystko pójdzie tak gładko. – Cornelia...?

– Nie znacie Cornellii Zane?

– Obawiam się, że nie.

– Jak to możliwe? To wstyd! – zawołał McSwiney, a w jego głosie zabrzmiał szczyry żal. – Jak najszybciej musimy naprawić to zaniechanie. Mówimy bowiem o jednej z najbardziej fascynujących kurtyzan w Wenecji. Jej salon to naprawdę wyjątkowe miejsce. Oferuje różne rozrywki, od tych zupełnie niewinnych, jak rozmowy o sztuce i polityce czy gry planszowe o tematyce podróżniczej, do bardziej pikantnych, których nie muszę ilustrować przykładami, bo sami doskonale się domyślacie, o co chodzi. Niemniej jednak salon Cornellii Zane jest jedyny w swoim rodzaju, wstęp do niego mają bowiem tylko wybrane osoby.

– To bardzo interesujące – zauważył Antonio. – Właśnie zamierzałem zapytać, co też kryje się we wnętrzu tego pałacu, ponieważ w ciągu kilku chwil, które spędziłem w zaułku, chowając się przed deszczem, dostrzegłem przynajmniej dwóch kawalerów przy wejściu. Chcąc się dostać do środka, musieli podać odźwiernemu hasło. Zresztą i sam strażnik zrobił na mnie duże wrażenie swoją potężną posturą.

– Ach, więc o to wam chodzi?

– Nie zaprzeczam.

– Sądzę, że dobrze zrozumiałem. Nic się nie martwcie. Poznawszy wasze potrzeby, z przyjemnością postaram się o zaproszenie również dla was, zwłaszcza że od dawna regularnie odwiedzam ten dziwaczny przybytek.

– O, naprawdę? Cóż za zbieg okoliczności!

– Zaraz wyjawię wam powody. Jak wspomniałem, Cornelia Zane przyjmuje u siebie jedynie starannie dobraną klientelę. Dzięki moim zdolnościom mediacyjnym i sukcesom związanym z odkrywaniem nowych talentów drzwi jej domu są dla mnie zawsze otwarte. Wprowadzenie takiego znakomitego gościa jak wy będzie dla niej zaszczytem, a dla was, mam skromną nadzieję, doskonałą rozrywką. Niedługo odbędzie się u niej kolejny bal, więc nic prostszego! Postarajcie się tylko o maskę.

– Wspaniale!

- W niektórych sytuacjach anonimowość oznacza dyskrecję.
 - Rozumiem.
 - Nie wątpię. W naszych spotkaniach nie ma nic kompromitującego czy wulgarnego. Przyjmijmy po prostu, że Cornelia jest kobietą o nietypowych gustach i nienasyconym apetycie, a ponadto często i chętnie godzi się na szalone pomysły odwiedzających ją kawalerów.
 - Muszę przyznać, drogi przyjacielu, że macie wyjątkowy dar przykuwania uwagi, co w moim przypadku naprawdę nie zdarza się często.
 - Bardzo mnie to cieszy. Co się zaś tyczy ewentualnych zamówień... Czy mogę zapewnić moich klientów o waszym zainteresowaniu?
 - Jak najbardziej.
 - Zechcecie mi w miarę szybko podać waszą stawkę?
 - Nawet zaraz. Zadowolę się trzydziestoma cekinami za każdy obraz oraz czterdziestoma czterema za dwa miedzioryty.
 - To rzeczywiście bardzo dobra cena!
 - Pragnę się zrewanżować za waszą uprzejmość oraz dać wam wyraz mojego zaufania.
 - A więc możemy oficjalnie usankcjonować dziś naszą przyjaźń.
 - Zgadza się w zupełności – powiedział Antonio, kończąc swoją ulubioną czekoladę. – A jeśli chodzi o bal maskowy, o którym mówiliśmy... Czy to nie za bardzo ryzykowne?
 - Co macie na myśli?
 - Ostatnio na własnej skórze odczułem, że lepiej nie być w centrum zainteresowania.
 - Jak wspomniałem, weźmiemy udział w balu maskowym, a ja osobiście gwarantuję wam anonimowość. Nie musicie się więc niczego obawiać, co więcej, z pewnością będziecie się dobrze bawić.
 - Świetnie – zgodził się Antonio, chociaż pewnego rodzaju rozrywki mało go interesowały.
- Musiał jednak przyznać, że w związku z pilnym zleceniem doży zaproszenie McSwineya jest mu bardzo na rękę. Ostrożnie spróbował więc zasięgnąć jeszcze informacji, która wzbudzała jego największą ciekawość.
- Czy mogę zapytać o mężczyznę przyjmującego gości w drzwiach budynku? Kim on jest?
 - A, nasz odźwierny – rzucił lekceważąco McSwiney. – Tak naprawdę jest osobistym strażnikiem cudownej Cornelii. Brutalny, bezlitosny Serb o imieniu, którego nie

sposób wypowiedzieć. Kurtyzana nazywa go Deghejo. Lepiej się z nim nie zadawać – dodał na koniec, wykrzywiając twarz w nieprzyjemnym grymasie.

Ostatnia wiadomość zakłóciła nieco przyjemną atmosferę spotkania. Niepokój wywołany tą informacją dręczył Antonia przez resztę dnia.

11. Murano

OWEGO ZIMOWEGO DNIA MIASTECZKO wydało mu się jeszcze bardziej widmowe, niż je zapamiętał z czasów ostatniej wizyty. Z pokładu łódki Antonio obserwował fasady pałacyków i kamienic zanurzone w kłębach gęstej mgły zwanej *caigo*, bo przypominała raczej dym, tak była szara i zawieszista. Wiele budynków kryło w sobie pulsujące ogniem paleniska. Przez chwilę nie mógł otrząsnąć się z dziwnego wrażenia, że podczas gdy na zewnątrz powietrze jest ostre i mroźne, to wnętrza zabudowań wypełniają piekielne, ogniste gęby, w których wrze krzemionka zmieszana z sodą stanowiąca bazę do przygotowywania szkła, które później jest modelowane przez mistrzów dobrze znających rzemiosło.

Teraz, gdy łódź z płaskim dnem zacumowała przy podejście, a przewoźnicy przywiązywali liny do pali, Antonio wyskoczył na brzeg, po czym niemal biegiem ruszył w stronę zakładu Charlotte von der Schulenburg. Niecierpliwił się, pragnął znowu ją zobaczyć. Długo czekał na to spotkanie i teraz, gdy wiedział, że już za chwilę ujrzy ją przy pracy, poczuł niepohamowany przypływ radości.

Sam się dziwił swojej entuzjastycznej reakcji, a jednocześnie zdawał sobie sprawę, że taka kobieta jak Charlotte dałaby mu siłę, by stawił czoła całemu światu, a nie tylko niepożądanemu śledztwu! Przestał się przejmować dozą i inkwizytorem, uznając spotkanie z nimi za niefortunny zbieg okoliczności, który spadł na niego zrzędzeniem losu.

Kiedy wszedł za służącym do wielkiej sali ze spadzistym dachem i drewnianymi krokiewkami – pełnej dużych stołów, matryc do dekoracji, kolorowych butelek, lamp, szklanek, kielichów, rurek do dmuchania szkła, żelaznych stojaków – wydało mu się, że znajduje się w bajkowej komnacie.

Na środku laboratorium ujrzał ogromne palenisko z cegły w kształcie kopuły, wysokie na dziesięć stóp. Z dołu do góry otaczało je osiem prętów przypominających strażników antycznego, mitologicznego potwora. W centrum ziały dwa otwory prowadzące do pieca, błyszczące czerwienią niczym oczy piekielnego demona.

Naprzeciwno tego po lewej stronie na wysokim stolcu siedziała Charlotte i ogrzewała szkło w ogniu. Czarne włosy związała w kok przypominający ciemną chmurę. Miała na sobie długą tunikę do pracy i fartuch. Na końcu rurki wisiała kula rozżarzonego szkła, a kobieta obracała ją wewnątrz pieca. Niedaleko stał mężczyzna z białą brodą i długimi śnieżnobiałymi włosami. Obserwował ją z nieukrywanym

podziwem. Przy pomocy wielkiego miecha, którym poruszał w regularnych odstępach, rozniecał ogień. Jego oczy zasłaniało bielmo.

Antonio nie znał imienia mężczyzny, ale był absolutnie pewien, że ma przed sobą jednego z najzręczniejszych mistrzów szklarskich z Murano.

Nagle Charlotte wstała, wysunęła rurkę z paleniska i oparła ją na masywnym stojaku z żelaza. Drugą ręką sięgnęła po obcęgi i z niespotykaną gracją oraz precyzją zaczęła formować rozżarzoną masę. Miękka czerwonopomarańczowa substancja skrzyła się niespokojnie, podczas gdy dziewczyna naciągała ją i modelowała zgodnie z własną wolą. Szkło stygło powoli, a jego kształt stawał się coraz wyraźniejszy. Płatki, łodyga, kolce. Pod zręcznymi palcami uzbrojonymi w obcęgi i odpowiednio przystosowane nożyce rodziła się róża. Antonio jak urzeczony wpatrywał się w dłonie Charlotte, która wykonywała swoją pracę szybkimi, dokładnymi ruchami i z prawdziwą maestrią. Nie było w tym żadnych zbędnych gestów, każdy bowiem służył wydobyciu z materiału pożądanej formy, a wszystko to w wyjątkowej harmonii charakterystycznej dla osób, które koncentrują się na tym, co najistotniejsze.

Serce waliło mu w piersi. Oczarowała go ta prosta, przedwieczna wizja sztuki. W sposobie, w jaki Charlotte kształtowała lśniącą masę, przejawiała się prastara moc. Idea, że kobieta tak zręcznie panuje nad ogniem, a jednocześnie bez trudu tworzy prawdziwe cuda z tajemniczego, niemal płynnego materiału, jakim jest szkło, wprowadzała Antonia w niekłamany zachwyt.

Tymczasem Charlotte zakończyła swoją precyzyjną kryształową kreację, machnęła raz jeszcze nożycami i jak za sprawą magicznego zaklęcia wyczarowała kwiat, który teraz leżał przed nią na kamiennej płycie i stygł. Na koniec dziewczyna zanurzyła rurkę w wiadrze z wodą. Potem podeszła do starca i pocałowała go w policzek.

Kiedy wreszcie się odwróciła, zobaczyła przed sobą Antonia. Ruszyła w stronę gościa, przywołując na twarz radosny uśmiech.

– A więc w końcu zdecydowaliście się odwiedzić mój zakład? Czy to znaczy, że spróbujecie dać mi szansę i obdarzycie mnie odrobiną zaufania?

– Za nic w świecie nie odmówiłbym sobie przyjemności obejrzenia takich dziwów – odpowiedział artysta, nie kryjąc zachwytu.

– Jesteście bardzo uprzejmi, rzekłabym, że wręcz szarmanccy.

– Nic z tych rzeczy, wierzcie mi – zaczął się bronić. – Po prostu umiem docenić prawdziwy talent.

Charlotte uśmiechnęła się ponownie, po czym z szacunkiem zwróciła się do starca o białej brodzie:

– Mistrzu, mam nadzieję, że zechcecie mnie przez chwilę zastąpić. Niedługo wrócę. Chciałabym tylko udać się do szlifierni i pokazać naszemu gościowi asortyment, który

z pewnością bardziej go zainteresuje.

Kiedy mężczyzna skinął przyzwalająco głową, Charlotte poprowadziła Antonia do przyległego pomieszczenia, nieco mniejszego, lecz również wypełnionego przedmiotami i narzędziami różnego typu. Z uwagi na wielkość i centralne ułożenie w oczy rzucały się zwłaszcza dwa koła szlifierskie, obok których na stołach na kozłach znajdowały się rzędy drewnianych skrzynek. W środku leżały soczewki o różnej grubości, kształcie i barwie.

– Te szkła – zaczęła dziewczyna, wskazując na całkiem przezroczyste – powstały w wyniku specjalnej obróbki wyjątkowego białego kryształu, dzięki ciągłemu ulepszaniu i modyfikowaniu metody Baroviera, który jako pierwszy zdołał wytworzyć taki właśnie materiał. Jak możecie zobaczyć – ciągnęła – są nieskazitelne, nie mają pęcherzyków powietrza ani żadnych substancji, które niszczyłyby doskonały efekt przejrzystości, można powiedzieć, że są po prostu bezbarwne.

Słuchając wyjaśnień Charlotte, Antonio nie mógł się nadziwić perfekcyjnemu wykonaniu soczewek. Nigdy nie widział lepiej zrobionych i tak czystych szkieł!

– Za pomocą odpowiedniego dopasowania wypukłych i wklęsłych soczewek jestem w stanie tworzyć lornety o dużej zdolności powiększania. Oto jedno z takich narzędzi – powiedziała, sięgając po złożony egzemplarz, który okazał się nadzwyczaj łatwy w obsłudze dzięki nowoczesnemu układowi zębatek zastępujących używany wcześniej zwyczajowo system zwojów metalowych tub. – To jednak nie wszystko, jeśli chodzi o ulepszenia. Wewnątrz znajdują się dodatkowe szkła, którymi można obracać za pomocą tych tutaj małych korbek. – Charlotte pokręciła metalową rączką. – To wydłuża lub skraca pole widzenia, a w konsekwencji daje powiększenie teleskopowe lub panoramiczne przy zachowaniu doskonałej ostrości.

– Twierdzicie, że udało wam się wyeliminować zaburzenia optyczne?

– Nie, nie całkiem, ale na pewno zdołałam znacznie polepszyć jakość widzenia. Od dawna poświęcam czas na studiowanie systemów optycznych oraz cech najnowszych modeli soczewek, tych pozbawionych skaz, dzięki czemu tworzę przenośne lornety najlepszej jakości.

To, co opowiadała Charlotte, brzmiało wprost niesamowicie. Antonio własnym uszom nie wierzył. Dziewczyna nie tylko wyglądała jak wcielenie uwodzicielskiej bogini miłości, ale była też prawdziwą wynalazczynią!

– Czy...

– Chcecie zapytać, czy pozwolę wam wypróbować moje nowe wynalazki: ulepszoną lornetę i przenośną kamerę optyczną? Oczywiście, że tak! Zrobię to z przyjemnością i niczego w zamian nie żądam.

– Musicie przyjąć zapłatę! – zawołał z przekonaniem Antonio.

– Nie chcę pieniędzy. Proszę jedynie o drobną przysługę. Jeśli uznacie, że moje soczewki są dobrej jakości, a urządzenia okażą się przydatne, chciałabym, żebyście uznali mój wkład w rozwój optyki poprzez rozpowszechnianie mojej marki w Wenecji. Jak się pewnie domyślacie, jako kobieta napotykam wiele trudności w prowadzeniu własnego zakładu, tym bardziej że zajmuję się dziedziną przypisywaną tradycyjnie mężczyznom. Dlatego zdobycie zaufania klientów jest prawie niemożliwe. Gdybym jednak miała po swojej stronie najlepszego malarza w Wenecji, tego, którego obrazy słyną z realizmu i znajdują uznanie nie tylko w Republice, lecz i na całym świecie, z pewnością mogłabym liczyć na sukces, nie sądzicie? – Charlotte rzuciła mu uwodzicielskie, a zarazem porozumiewawcze spojrzenie, jedno z tych, które przekonałoby każdego mężczyznę, by zrobił dla niej wszystko. – Możecie mi wierzyć lub nie, ale ja naprawdę podziwiam wasz wyjątkowy talent. Nikt wcześniej nie malował Wenecji tak jak wy! I nie chodzi tu tylko o wierność rzeczywistości, nic z tych rzeczy... Wasze dzieła stanowią autentyczną, wysublimowaną wizję, gdyż używając kolorów i światłocieni, wykorzystując grę światła, oddajecie w pełni duszę naszego miasta, które pulsuje życiem, drży namiętnością, uchyla rąbka tajemnicy, jednym słowem reprezentuje nieosiągalny ideał piękna. Dlatego zależy mi, abyście wypróbowali moje soczewki i przyrządy. Mam nadzieję, że w ten sposób pomogę wam dostrzec więcej niż to, co widoczne gołym okiem.

– Jesteście wyjątkową kobietą – szepnął Antonio. – Wybaczcie śmiałość, po prostu nie potrafię inaczej wyrazić tego, co dzisiaj czuję.

– Nie tylko wybaczam, ale i dziękuję, że zechcieliście odwiedzić mój zakład.

– Mam nadzieję, że jeszcze kiedyś będę mógł z wami porozmawiać.

– Jeśli zechcecie, nie widzę przeszkód – powiedziała Charlotte. – Teraz jednak pozwolicie, że zajmę się wydaniem poleceń, aby przygotowano dla was przyrządy. A potem będę musiała was pożegnać, gdyż czas wracać do pracy. Mistrz na mnie czeka.

Jej ostatnie słowa uraziły go bardziej, niż się spodziewał. Naprawdę nie mogła mu poświęcić trochę więcej czasu? Tymczasem on już tęsknił za jej towarzystwem.

Podczas powrotu do Wenecji nie przestawał o niej myśleć. W oczach Charlotte dostrzegł coś szczególnego, jakby tliło się w nich jakieś światło dochodzące z głębi duszy, coś, czego na razie nie był w stanie pojąć.

Już mu jej brakowało, ale dodawało mu to niespotykanej energii: pragnął ujrzeć ją ponownie. Czuł w sobie stanowczą determinację, by stać się odważnym, śmiałym, a nawet nieustraszonym. Jakby nagle zniknął strachliwy, wstydlivy Canaletto sprzed kilku dni, a w jego miejsce pojawił się zupełnie inny mężczyzna.

Uśmiechnął się na myśl, że pomimo swoich ograniczeń któregoś dnia zdobędzie tę kobietę. I poczuł w sobie ogromną radość.

12. Cierpienie

MIESZKANIE BYŁO NORĄ składającą się z dwóch małych, brudnych pokoików wyposażonych w niezbędne, przegniłe i śmierdzące sprzęty. Na ścianach widniały wielkie plamy wilgoci, a bezlitosny chłód przenikał przez liczne szpary.

Przyjęła go kobieta z tłustymi włosami zwiniętymi w skołtunione, niechlujne gniazdo, które przygwoździła drewnianym patykiem znalezionym wśród odpadków. Miała na sobie starą lnianą sukienkę, a na kościste plecy zarzuciła obszarpaną chustę, którą zawiązała mocno z przodu na węzeł. W szczupłej, zapadniętej z głodu twarzy jaśniały niczym latarnie wielkie jasne oczy.

Wchodząc do pokoju, Isaac poczuł ukłucie bólu w piersi. Nie po raz pierwszy oglądał rezultaty działań ospy na ludzkim ciele, ale zawsze reagował tak samo. A teraz jeszcze nieszczęście dotknęło dziecka. Zmusił się do zachowania spokoju, choć dobrze wiedział, że niewiele będzie mógł tutaj poradzić.

Kobieta zaprowadziła go do łóżka.

– Chiaro – odezwała się słabym głosem – zobacz, doktor Liebermann przyszedł cię odwiedzić.

Dziewczynka poruszyła się pod kocem, a chwilę później zdołała nawet usiąść na łóżku. Spoglądając na nią, Isaac zrozumiał, że choroba postępuje w błyskawicznym tempie.

Ładną twarzyczkę gęstą siatką przypominającą skorupę pokrywały okrągłe, wypukłe, twarde krosty. Opuchlizna była już bardzo zaawansowana i kości policzkowe niemal zasłaniały oczy.

Isaac dotknął jej dłoni, sprawdził czoło, a potem pogładził dziecko po włosach.

– Ma gorączkę – powiedział i zwrócił się bezpośrednio do dziewczynki: – Jesteś bardzo odważna, Chiaro. Zobaczysz, że powoli uda nam się razem pokonać chorobę, która cię męczy. Zrobisz coś dla mnie?

Dziewczynka pokiwała głową.

– Grzeczna mała. Jestem z ciebie dumny – powiedział, głaszcząc ją po głowie. – Mogłabyś pokazać mi język?

Dziecko z wysiłkiem wykonało polecenie. Na widok spuchniętego języka matka zasłoniła sobie dłonią usta, tłumiąc okrzyk przerażenia.

Bo rzeczywiście język był dwa razy większy niż normalnie. Gdybym tylko mógł podać wcześniej dziewczynce szczep wirusa – pomyślał Isaac. Aby zapobiec chorobie,

należało zarazić ospą w lekkiej postaci zdrową osobę, a to dla postronnych oznaczało, że działania medyka pogarszają stan zdrowia, zamiast go poprawiać. Jednak w przypadku czarnej ospy zapobieganie rozprzestrzenianiu się epidemii było najważniejsze. Po zakażeniu się wirusem nie pozostawało już nic innego jak czekać, powierzając duszę Bogu. Pokręcił głową. Powtarzanie sobie w myślach znanych prawd do niczego nie prowadziło. U dziewczynki choroba była już bardzo rozwinięta i to dawało nadzieję, że Chiara przeżyje, gdyż najgroźniejsza faza minęła. Teraz nie można już było zrobić nic więcej, jak tylko się modlić i stosować chłodne okłady, by obniżyć gorączkę.

– Droga pani – zwrócił się do kobiety – ja teraz niewiele mogę pomóc, bo stan choroby jest już zbyt zaawansowany. Dziecko ma wysoką gorączkę, więc może pani moczyć czystą szmatkę w zimnej wodzie i okładać nią czoło Chiary, to powinno przynieść jej ulgę. Wiem, że moja skromna rada nie wyleczy dziecka, ale nie pozostaje nam już nic innego. Gdybyśmy mogli zacząć działać wcześniej! Dam wam jeszcze te pigułki – dodał cicho i wyjął drewniane pudełeczko. Przesunął wieczko i wskazał na tkwiące w środku czarne perełki. – To mój wynalazek. Przyniosą waszej córce ukojenie.

– Rozumiem – szepnęła kobieta.

– Wierzcie mi, że chciałbym jej pomóc, lecz nie jestem w stanie – ciągnął Isaac. – Podawajcie jej po dwie tabletki każdego dnia przez cały tydzień. Chiara bardzo cierpi – powiedział przez ściśnięte gardło i pogłaskał dziewczynkę po głowie. – Musisz dużo odpoczywać – szepnął i pomógł jej się położyć, po czym okrył ją kocem.

Wstał i podał kobiecie drewniane pudełeczko.

– Wrócę w przyszłym tygodniu, żeby sprawdzić, jak mała się czuje.

Kobieta pokiwała głową.

– Bardzo dziękuję – powiedziała. – Niech was Bóg błogosławi – dorzuciła, stojąc na progu.

Isaac opuścił skromne mieszkanie, zastanawiając się, co czeka zarażone dzieci. Ospa atakowała na ślepo, jednak właśnie nieletnich z nieznanymi, okrutnymi powodów dotykała częściej. Dla medyka najgorszą porażką była konieczność podawania małym pacjentom dawek opium, ale w ten sposób mógł przynajmniej nieco uśmierzyć ich ból. Owinąwszy się szczelnie peleryną, by choć trochę uchronić się od przenikliwego zimna, szedł wzdłuż kanału. Patrząc na miasto, nie mógł się pozbyć wrażenia, że Wenecja powoli umiera.

Być może nieprzyjemne doznanie potęgowała jeszcze dziwna atmosfera wiecznego bezruchu. Dostrzegł kołyszącą się lekko na powierzchni laguny gondolę. Mgła opadała powoli na wspaniałe, a zarazem smutne budynki przegładające się w lustrze wody.

Wszedł do najbliższej gospody z postanowieniem, by odegnąć od siebie melancholię, która nie dawała mu spokoju. Od rana nie miał nic w ustach, a teraz było już popołudnie. Powinien coś zjeść. Ostatnio coraz częściej o tym zapominał. Problemy, niepokój, poczucie bezsilności związane z wykonywanym zawodem – wszystko to sprawiało, że nie pamiętał o zaspokajaniu podstawowych potrzeb. Żył cierpieniem swoich pacjentów, a samotność nie pomagała mu pokonać koszmarów. Jeden jedyny raz spotkał w życiu wielką miłość, ale wszystko zgasło tak szybko jak światło w zimowy dzień. Teraz został mu tylko brat.

Poprosił o sardynki i kieliszek białego wina. Karczmarz skinął głową i poszedł do kuchni. Czekając na posiłek, Isaac zbliżył się do kominka. Wyciągnął dłonie w stronę ognia, by się ogrzać i choć po części zapomnieć o chłodzie, którego doświadczył w ciągu długiego dnia poza domem. Kiedy gospodarz podał zamówione danie, medyk wrócił do stołu i zabrał się do jedzenia. Ryby okazały się doskonałe, a wino całkiem znośne. Zajęty spożywaniem posiłku, utkwiał wzrok w ścianie, gdy nagle usłyszał wściekły głos.

– Wy też jesteście jednym z tych parszywych łotrów! – wycedził przez zęby jakiś mężczyzna.

Isaac odwrócił się w stronę, skąd dobiegła zniewaga, i ujrzał przed sobą chudego jak tyczka osobnika z długimi, rzadkimi włosami. Jego twarz od ucha do ust znaczyła głęboka blizna. Człek ten miał na sobie brudne łachmany i wcześniej siedział przy jednym ze stołów wraz z dwoma niebudzącymi zaufania typami o wyglądzie marynarzy, którzy prezentowali się nie lepiej od niego.

– Nie udawajcie, że mnie nie słyszycie! – ujął mężczyzna. – Nawet jak nie macie czapki, widać na odległość, że jesteście Żydem. Nie oszukacie mnie! Dlaczego nie nosicie odpowiedniego nakrycia głowy?!

– Niczego nie udaję, szanowny panie – zaskoczony niespodziewaną agresją Isaac pospieszył z wyjaśnieniem. – Nie rozumiem, o co wam chodzi. Nie noszę oznaczeń, bo jako medyk jestem zwolniony z tego obowiązku.

– No pewnie! – nie ustępował awanturnik. – A kto nam poświadczy, że naprawdę jesteście medykiem? A może jesteście rzeźnikiem i to wy wyrwaliście serce tej biednej dziewczynie? – Spojrzał na swoich kompanów. – Chyba znaleźliśmy mordercę.

Pozostali dwaj wykrzywili gęby w szyderczym uśmiechu. Jeden z nich wyjął nóż i zaczął nim szybko obracać. Isaac starał się zachować spokój.

– Nie mam zamiaru odpowiadać na wasze prowokacje.

– A kto tu mówi o prowokacjach? Przecież wszyscy wiedzą, że wy, Izraelici, jesteście przyczyną wszelkiego zła na świecie! A jak nie na świecie, to już na pewno w naszej

ukochanej Republice Weneckiej. Od czasu, kiedy osiedliliście się w mieście, zmieniło się ono w chlew, w wylęgarnię nędzarzy, kurew i lichwiarzy.

Isaac milczał. Nie chciał się wdawać w kłótnię, która tylko pogorszyłaby sytuację.

– Wynoście się – odezwał się nagle karczmarz.

– Ależ...

– Bez gadania – przerwał mu szybko – nie chcę kłopotów, a przede wszystkim nie podoba mi się, że plugawi Żydzi zachodzą do mojej gospody. Nie chcę waszych pieniędzy. Wynoście się stąd natychmiast!

– Słyszeliście, co powiedział gospodarz? Nie jesteście tu mile widziani – powtórzył piniacz. – Jednak zanim odejdziecie, chciałbym wam zostawić małą pamiątkę – mówiąc to, zbliżył się z groźną miną i spróbował chwycić Isaaca za ramię.

Okazało się jednak, że jest zbyt wolny, bo medyk zerwał się i szybkim ruchem złapał marynarza mocno za nadgarstek.

– Nie ważcie się mnie dotknąć.

– Bo co? Sądzicie, że jesteście w stanie mi zabronić? – Tamten popatrzył znacząco na swoich kompanów, którzy tylko czekali na zachętę.

– Nie szukam kłopotów – powtórzył Isaac.

– No to wynoście się stąd, i to już! – zagrzmiął karczmarz, wyciągając spod kontuaru pistolet. – Jest nabity i wiem, jak go użyć! A wy tam, nie ruszać się! – warknął w stronę napastników. – Nie chcę burd w mojej gospodzie!

– Dobra, dobra – mruknął zawiadacz, odwracając się na pięcie. – Tym razem ci się upiekło – warknął w stronę medyka.

– Wynocha! – ryknął karczmarz.

Isaac zrozumiał, że nie ma sensu się upierać. Dopił wino, wyjął z kieszeni kilka cekinów i rzucił je na ladę.

– Macie – powiedział, siląc się na pogardę – weźcie sobie wasze pieniądze. Ja zawsze płacę swoje rachunki – dokończył i skierował się w stronę drzwi.

Zatem jego brat miał rację. Tym razem nie chodziło jedynie o jego obsesyjne wymysły. Po wyjątkowo okrutnym morderstwie, którego ofiarą padła tak zwana alabastrowa dziewczyna, śledztwo ciągle było w toku. Nie znaleziono zabójcy. Teraz, kiedy sam stał się ofiarą nienawiści, przekonał się, że oskarżenie Żydów o zbrodnię byłoby dla władz miasta doskonałym rozwiązaniem problemu.

Postawa sędziów i członków nocnej straży wskazywała, że zgadzają się z powszechnym przekonaniem mieszkańców miasta, według którego to Żydzi są winni, i tym samym nie czują się nawet w obowiązku, by szukać mordercy. Zygmund się nie mylił. Ale Isaac też miał swoje powody, które skłaniały go do uległego zachowania i tłumienia złości budzącej się wśród mieszkańców getta. Ostatnie

krwawe morderstwo rzeczywiście mogło dać okazję do otwartej wojny Wenecjan ze znienawidzoną grupą, która niemal od dwustu lat niczym stado zwierząt żyła za zamkniętym o północy ogrodzeniem.

A teraz okrutna śmierć zadana „alabastrowej dziewczynie” roznieci tylko uśpiony i przez długi czas tłumiony płomień wrogości.

Nie było to nawet kwestią czasu. Niebezpieczeństwo już czyhało na progu. Nikt im nie pomoże. Zginą jak myszy w pułapce. Isaac uznał, że powinien z kimś o tym porozmawiać. Tylko z kim? Nie ma sensu fatygować się do głównego kapitana straży nocnej, bo ten nigdy mu nie uwierzy. Chyba że przedstawi mu jakiś dowód, który uwolni jego naród od podejrzeń. Z goryczą pomyślał, że do obarczenia ich winą nie trzeba było żadnych dowodów, wystarczyło rozpuścić plotkę, która w okamgnieniu obiegła całe miasto. I sprawa załatwiona.

Nie można dłużej czekać. Zdecydował, że porozmawia z rabinem. Nie widział innego rozwiązania. Zwierzchnik całej żydowskiej społeczności powinien przecież zostać wysłuchany przez władze, a jego głos musi zostać wzięty pod uwagę.

Trzeba zatrzymać to szaleństwo, zanim będzie za późno.

13. Maski

GDZIEKOLWIEK ZWRÓCIŁ WZROK, dostrzegał coś osobliwego i zaskakującego: pudełka, ozdoby, wielkie lustra, tace, słoiczki, przedmioty codziennego użytku oraz tysiące innych drobiazgów, które zapełniały przestrzeń wokół niego, tworząc barwny kalejdoskop złudzeń połączony z wystawnymi strojami gości, błyszczącymi klejnotami dam i ekstrawaganckimi maskami. Te ostatnie nie miały nic wspólnego z prostymi osłonami na twarz, lecz wyobrażały pyski dzikich zwierząt, symbole ciał niebieskich czy mitologiczne stwory.

Antonio, zaproszony do zamkniętego salonu Cornellii Zane, poruszał się wśród licznych gości, prowadzony niemal za rękę przez swojego przewodnika Owena McSwineya. Czuł się tutaj zupełnie nie na miejscu, oferowane przez gospodynię rozrywki odzwierciedlały bowiem według niego gorączkową desperację panującą w mieście.

Złożył jednak obietnicę doży, a tego typu zobowiązań się nie lekceważy. Odnalezienie właściwego mężczyzny w panującym zamieszaniu graniczyło niemal z cudem, lecz Antonio miał nie tylko jak najlepsze intencje, ale i zdecydowaną przewagę: szukał kogoś, kto kuleje. Ilu kawalerów biorących udział w dzisiejszym balu maskowym może się odznaczać taką ułomnością? W dodatku dość specyficzną, gdyż ledwo zauważalną. Jeśli tylko poszukiwany mężczyzna jest wśród gości, nie umknie mojej uwadze – pomyślał Canaletto.

Ominął grupkę dyskutującą bez krępacji na temat wyuzdania weneckich dam. Obecne kobiety zdawały się przyjmować komentarze z zadowoleniem, popiskując bądź wybuchając perlistym śmiechem. W rogu zgromadziła się grupka przystojniaków, którzy zachowywali się tak, jakby przygotowywali poważny spis, wychylając przy tym jeden kieliszek małmazji za drugim. Nieco na uboczu trzy damy wymieniały grzeszne myśli, przysłaniając twarze wachlarzami. Jedna z nich na widok Antonia zaczerwieniła się lekko, lecz w tej wystudiowanej pozie nie było ani odrobiny szczerości, a jedynie fałszywa ostentacja mająca na celu wyłudzenie kilku cekinów od jakiegoś naiwniaka. Bez wątplenia przynajmniej część obecnych pojawiła się na balu z zamiarem uprawiania nierządu i niektórzy wyraźnie czekali na okazję, by znaleźć odpowiednią osobę, z którą będą mogli się udać w bardziej ustronne miejsce. Zresztą willa oprócz wielkiej sali balowej, w której Antonio właśnie się znajdował, oferowała wiele zacisznych pokoi, gdzie gromadziły się kilkusobowe grupki pochłonięte

różnorodnymi grami i zabawami. Na górnym piętrze, jak twierdził Owen McSwiney, oddawano się już tylko czynom lubieżnym.

Antonio zmierzał właśnie w stronę kilku foteli, gdzie w spokoju pragnął się skupić na rozmowie z przyjacielem, gdy ten ostatni zatrzymał się, aby przedstawić mu pewną damę.

– Jestem szczęśliwy, że mogę złożyć moje uszanowanie królowej wieczoru – powiedział Irlandczyk z ukłonem, muskając ustami podaną dłoń.

Stała przed nimi kobieta odziana i ufryzowana tak strojnie, że prezentowała się niemalże wulgarnie. Jej głowę zdobiła monumentalna peruka, a lico sztuczny pieprzyk umieszczony nad wydatną górną wargą z taką wirtuozerią, że nie sposób go było nie dostrzec. Mała maseczka wyobrażająca kota zakrywała jedynie oczy i dość duży nos, pozostawiając odsłonięte usta. Okazały biust ściśnięty mocno gorsetem nie pozostawiał wiele miejsca wyobraźni, a suknia z krynoliną czyniła damę podobną do wielkiego tortu. Antonio podejrzewał, że pod fałdami wspaniałego aksamitu w pastelobłękitnym kolorze, ozdobionego kaskadą wstążek i koronek, kryją się buty na obcasach tak wysokich, że nieznanym jeszcze obowiązującej modzie. Pomimo tego kobieta poruszała się z pewną dozą wdzięku, rzucając zalotne spojrzenia w stronę McSwineya, który dyskretnie wprowadził Antonia do salonu kurtyzany, zapewniając mu jednocześnie anonimowość.

– Droga pani – ciągnął tymczasem Irlandczyk – jestem ogromnie zadowolony, że udało mi się przyjść do tego miejsca wyrafinowanych uciech z moim przyjacielem, którego talent budzi powszechny podziw. Ufam, że znajdzie tutaj pokrewne dusze, z którymi będzie mógł mile spędzić czas w waszym słynnym przybytku.

Dama nie straciła okazji, by ułożyć usta w urocze serduszko i udając zdziwienie, dotknęła ich palcami w śmiesznym geście podekscytowania.

– Mój drogi, jak zwykle jesteście niepoprawni! Przecież zawsze powtarzam, że wasi przyjaciele są moimi przyjaciółmi! Wasza wizyta to dla mnie przyjemność i jestem zaszczycona, że mogę poznać tak obiecującego młodego artystę.

– Niezmiernie miło mi panią poznać – odpowiedział grzecznie Antonio. – Nie muszę zapewniać, że mój znajomy dużo mi o pani opowiadał. Tak wychwalał zalety waszego salonu, że aż nie mogłem się doczekać, kiedy będę mógł panią poznać.

– Szkoda tylko, że incognito – pozwoliła sobie na mniej wystudiowaną uwagę Cornelia, uśmiechając się w bardziej naturalny sposób. Dała mu tym samym do zrozumienia, że bardzo lubi żartować i że z ogromną radością organizuje spotkania, których charakter oscyluje pomiędzy zlotem bawidamków a schadzka poprzedzającą cielesną ucztę.

– Z przyjemnością zaakceptowałem reguły gry.

– Za co jestem wam wdzięczna! Pozwólcie, że pochwalę waszą dopracowaną w najdrobniejszych szczegółach kolorystycznych maskę Pantalona. Czerwień i czern bardzo wam pasują.

– Jest pani dla mnie zbyt uprzejma – powiedział Antonio, chcąc zrobić dobre wrażenie, a jednocześnie uniknąć dodatkowych pytań.

– W końcu to Wenecja.

– Chętnie się poczęstuję – zmienił temat McSwiney, zwracając uwagę na przechodzących lokajów z tacami, na których wznosiły się wielkie piramidy słodczy.

– Co wybieracie? Pocałunki damy czy sutki Wenus? – zapytała go złośliwie Cornelia Zane. – Jakikolwiek będzie wasz wybór, na pewno się nie rozczarujecie – zapewniła z radosnym błyskiem w oczach.

– Chyba tym razem zdecyduję się na pocałunek – powiedział McSwiney, sięgając po ciasteczko.

– A wy? – zwróciła się do Antonia Cornelia.

– A ja jak zwykle wybieram Wenecję.

– Czyli jednak sutki Wenus? Oj, mój panie, widzę, że wasze skromne zachowanie kryje rozwiązłe skłonności – pisnęła dama podniesionym głosem, po czym wybuchnęła śmiechem.

– Jestem po prostu łasuchem. Nie mogę się oprzeć smakowi kasztanów – odpowiedział Antonio.

– Jak wam mówiłem, droga pani, mój przyjaciel jest prawdziwym światowcem i jeszcze nieraz was zaskoczy – rzekł sentencjonalnie McSwiney i pochłonawszy jednym kęsem swój pocałunek damy, zaraz sięgnął po następny.

– O, nie wątpię. A więc do zobaczenia później – pożegnała się Cornelia i ominawszy obu przyjaciół, skierowała się w stronę kawalera, który śmiał się w tak prostacki sposób, że wzbudzał zainteresowanie gości.

– Kim jest ten ordynus? – zapytał Antonio, nie rozumiejąc, jak dżentelmen może pozwalać sobie na takie zachowanie.

– Ach – westchnął z pobłażaniem McSwiney – to Olaf Teufel.

– Nie słyszałem... Któż to taki?

– Lokaj Cornellii Zane – uściślił Irlandczyk, ścisząc niespodziewanie głos. – Nie ufajcie mu. W jego słowach nie ma grama prawdy, a podejrzewam, że kłamstwa i oszustwa to niejedyne grzechy, które obciążają jego sumienie.

Słuchając wyjaśnień przyjaciela, Antonio pobladł nieznacznie, co nie umknęło uwadze Owena.

– Co się stało? – zapytał zaniepokojony. – Wyglądacie, jakbyście ujrzeli ducha.

– Nawet nie podejrzewacie, jak blisko jesteście prawdy – wyszeptał Canaletto, zrywając się na równe nogi.

Na drugim końcu sali dostrzegł bowiem mężczyznę, którego szukał. Kulawy przemieszczał się, utykając lekko, niemalże niezauważalnie, ale Antonio nie miał wątpliwości. Jego sposób poruszania się był jedyny w swoim rodzaju. Kawaler właśnie zbierał się do wyjścia, więc artysta nie zamierzał tracić okazji, pamiętając, ile wysiłku kosztowało go zastawienie pułapki. Chciał się natychmiast dowiedzieć, co zamierza jego podejrzany.

14. Sekrety

ANTONIO BYŁ JUŻ PRAWIE przy drzwiach, za którymi zniknął Kulawy, gdy poczuł, jak ktoś chwyta go za ramię. Odwrócił się i zobaczył przyjaciela, który zatrzymał go stanowczo. Pomimo że jak wszyscy goście twarz miał zakrytą maską, Antonio od razu wyczuł jego rozdrażnienie.

– Chyba zwariowaliście – syknął Irlandczyk przez zaciśnięte zęby, tłumiąc wściekłość. Rozejrzał się niespokojnie dookoła, ale na szczęście nikt się nimi w tym momencie nie interesował. – Myślicie, że możecie sobie chodzić samopas po całej posiadłości?

Antonio nie wiedział, co odpowiedzieć, dobrze, że McSwiney wcale tego nie oczekiwał.

– Chodźcie za mną! – powiedział tylko i wyszli z sali.

Po chwili znaleźli się na korytarzu. Po obu stronach znajdowały się drzwi do mniejszych saloników, teraz przymknięte, co sugerowało, że wszystkie pomieszczenia są zajęte. Antonio dostrzegł, że Kulawy stanął przed tymi znajdującymi się na końcu korytarza. Czerwona maska zakrywała mu twarz z wyjątkiem ust. Mężczyzna zapukał. Ktoś wyjrzał przez szparę, po czym otworzył drzwi i Antonio zobaczył kolejną salę, niemal tak dużą jak pierwsza.

McSwiney wreszcie zrozumiał intencje przyjaciela.

– Chcecie go śledzić? – zapytał cicho.

Antonio pokiwał głową.

– Wpakujemy się w kłopoty, ostrzegam was.

– Zaryzykuję.

– Przynajmniej powiedzcie mi dlaczego! Chyba jesteście mi to winni!

Irlandczyk miał rację.

– No dobrze. Muszę się dowiedzieć, co zamierza ten mężczyzna, i poznać powód, dla którego odwiedza ten przybytek.

– Od jak dawna go śledzicie? – zapytał McSwiney, kiedy stanęli pod drzwiami prowadzącymi do drugiego salonu.

Antonio westchnął. Teraz szukanie wymówek nie miało już większego sensu. Zresztą przyjaciel zawsze był wobec niego lojalny i on nie chciał odpłacać mu fałszem. Lepiej mieć go po swojej stronie – pomyślał.

– Dostałem takie zlecenie.

- Od kogo?
- Od władz Republiki.
- Kim wy tak naprawdę jesteście, Canaletto? – W tonie głosu Irlandczyka Antonio po raz pierwszy usłyszał niepokój zmieszany z niedowierzaniem.
- Artystą malarzem.
- I szpiegiem?
- Zamilczcie! – uciszył go Antonio. – Bo inaczej wpadniemy w kłopoty, tak jak mówiliście wcześniej.

McSwiney prychnął z niechęcią, dając tym samym do zrozumienia, że wcale nie jest przekonany co do słuszności decyzji, jednak w końcu zrezygnował i zapukał. Po chwili ktoś uchylił drzwi, by sprawdzić tożsamość nowych gości, po czym wpuszczono ich do środka.

Lokaj ukłonił się i zaprosił obu kawalerów do zabawy. Teraz Antonio mógł bez przeszkód sprawdzić, co dzieje się w tej części pałacyku. Naprzeciwko drzwi, po drugiej stronie sali, znajdował się duży marmurowy kominek ozdobiony błękitną majoliką z Delft. Wykwintne meble z drewna palisandrowego, szlachetne białe stiuki oraz surowa prostota ozdób doskonale pasowały do absolutnej ciszy królującej w tym pomieszczeniu z trzema wielkimi stołami. Za każdym z nich stał mężczyzna w masce i w czarnym fraku ze srebrnymi galonami, który trzymał bank. Stosy cekinów i dukatów połyskiwały w świetle ogromnych świeczników wykonanych ze szkła z Murano, a gracze w milczeniu oddawali się hazardowi. Największą popularnością cieszyły się faraon, basetta i biribissi.

Najbardziej uderzyła Antonia całkowita koncentracja graczy. Wyglądali tak, jakby spędzili przy stołach całe życie, niektórzy nosili nawet wyraźne ślady wycieńczenia, jakby gra opróżniała im nie tylko kieszenie, ale przede wszystkim umysły.

– Trafiliśmy do słynnej jaskini hazardu Cornellii Zane – szepnął McSwiney, a Antonio pokiwał głową. – Przez te otwory w ścianach – ciągnął tymczasem Irlandczyk, wskazując na luki – podawane są wprost z kuchni potrawy i napoje, dzięki czemu gracze ani na chwilę nie opuszczają stanowisk. Jak pewnie się domyślacie, niektórzy kawalerowie spędzają tu całe noce. Podejrzewam, że właśnie ta działalność przynosi naszej gospodyni największe zyski. Oczywiście kasyno jest całkowicie legalne, chociaż dostępne jedynie dla członków klubu.

W tym momencie jeden z graczy spiorunował McSwineya wzrokiem, a ten, zrozumiałwszy przytyk, szybko ruszył na drugą stronę sali, w kierunku innych drzwi. Antonio podążył za nim i już po chwili zamknęli za sobą wejście, śledzeni surowym spojrzeniem lokaja.

Znaleźli się w przedsionku, na wprost schodów prowadzących na wyższe piętro.

– No tak – powiedział McSwiney – jeśli wejdziemy na górę, trafimy prosto do alkowy. Nie muszę wam wyjaśniać, co tam się dzieje. Łatwo możecie to sobie wyobrazić.

– W salonie gier nie było mojego podejrzanego.

– Stąd wniosek, że udał się tam, gdzie króluje Wenus.

– Rozumiem.

– Macie zamiar sprawdzić pokoje uciech cielesnych? – zapytał Irlandczyk, a w jego głosie ponownie pojawiła się wyraźna niechęć.

Antonio doskonale go rozumiał, zwłaszcza że dosłownie przed chwilą wyjawiał mu prawdziwy powód swojej wizyty w przybytku Cornellii Zane. Chcąc go jednak przekonać do swojego planu, przez chwilę szukał w głowie odpowiedniego argumentu.

– Mój drogi – zdecydował się w końcu na szczerą – przykro mi, że nie wyjawiałem wam od razu prawdziwych powodów, dla których zainteresowałem się tym miejscem. Na swoje usprawiedliwienie dodam, że nie mogłem odmówić osobie, która zleciła mi to zadanie.

– Wybaczam.

– We właściwym czasie wszystko wam wyjaśnię.

– To nie jest odpowiednie miejsce na takie rozmowy – oświadczył Irlandczyk bez zastanowienia. – Idziemy?

– Skoro już tu jesteśmy... Czy możemy sprawdzić pokoje, nie rzucając się w oczy?

McSwiney zastanowił się przez chwilę, po czym potwierdził.

– Tak, jest taka możliwość.

– Naprawdę?

– Zamtuz zajmuje pomieszczenia wzdłuż korytarza podobnego do tego, jaki przemierzaliśmy wcześniej. Po obu stronach znajdują się pokoje, a każdy z nich wyposażony jest w judasza, przez którego można zajrzeć do środka, oczywiście za odpowiednią opłatą. Płacąc, można szpiegować.

– Aha!

– Niektórzy z nas czerpią większą rozkosz z przyglądania się niż z tradycyjnego współżycia.

– Cornelia Zane o wszystkim pomyślała!

– Dokładnie tak, przyjacielu. Chociaż ja, jeśli mam być szczerzy, należę do grupy tych, którzy wolą używać rąk i ust.

Antonio uśmiechnął się lekko.

– Zgadzam się w zupełności. Skoro już tu jesteśmy, to chciałbym zbadać sprawę do końca.

– No to idziemy.

Nie tracąc czasu, weszli po schodach na piętro i znaleźli się w kolejnym przedsiionku prowadzącym na korytarz, do którego dostępu bronił siedzący za stołem lokaj.

– Oglądamy czy konsumujemy? – zapytał.

– Oglądamy – odpowiedział McSwiney.

– Dukat za osobę. Proszę zachować ciszę i nie robić zamieszania.

Uiściwszy opłatę, dwaj przyjaciele weszli na korytarz, gdzie po każdej stronie znajdowało się troje drzwi prowadzących do alków. Miejsce pogrążone było w półmroku, gdzieniegdzie rozstawiono zaledwie kilka świeczników umożliwiających orientację.

– Teraz możecie sprawdzić, czy wasz człowiek znajduje się w którejś z alków – zasugerował Irlandczyk.

Antonio odsłonił judasza w pierwszych drzwiach po prawej. Na sofie siedziała para. Kurtyzana miała na sobie suknię z bardzo głębokim dekoltem, a klient zajęty był całowaniem jej drobnych białych piersi. Kiedy mężczyzna uniósł głowę, Antonio zorientował się, że to nie Kulawy, jego maska miała bowiem inne barwy i kształt. Szybko zasłonił judasza.

– To nie on – szepnął.

– Zajrzyjmy do następnego pokoju – zachęcił go McSwiney.

Tym razem Antonio stanął przy pierwszych drzwiach po lewej. W środku dwie kobiety rozbierały mężczyznę, który jednak w niczym nie przypominał Kulawego. Nie zgadzał się też kolor fraka i kamizelki. Znowu pudło. Artysta westchnął ciężko.

– Co się stało? – zainteresował się przyjaciel.

– Nic takiego. Po prostu szczęście nam nie sprzyja.

Zbliżając się do drugich drzwi po prawej, Antonio z niechęcią pomyślał, że niepotrzebnie tu przyszedł. Czuł się nieswojo, jakby zadanie, jakiego się podjął, wiązało się z czymś nikczemnym i niemoralnym. Nie był doskonały, co to, to nie, ale nie zwykł płacić kobietom za to, by zgodziły się grzać mu łoże, a tym bardziej za przyglądanie się, jak zaspokajają cieleśnie swoich klientów. Tymczasem w takiej właśnie sytuacji się znajdował.

Poza tym niedawno poznał kobietę swoich marzeń. Charlotte von der Schulenburg od razu skradła mu serce i na myśl o niej coraz silniejsze stawało się poczucie winy. Nieważne, czy było uzasadnione, czy też nie, może nieco przesadzał, ale po raz pierwszy zapałał szczerym, czystym uczuciem i teraz, gdy znalazł się w jaskini rozpusty, wydawało mu się, że je kała.

Przysunął oko do judasza. Mężczyzna, którego zobaczył, był odwrócony plecami. Miał na sobie frak o krwistoczerwonej barwie. Kiedy zdjął odzienie, rzucił je na oparcie fotela. Wystarczyło, by zrobił kilka kroków, a Antonio nie miał już wątpliwości, że lekko utyka.

To on!

Podczas gdy kobieta o długich rudych włosach zanurzała twarz pomiędzy jego uda, mężczyzna nagle odwrócił twarz w stronę drzwi.

Teraz to Antonio Canal odniósł wrażenie, że jest obserwowany. Czy to możliwe, aby Kulawy wiedział, że ktoś na niego patrzy?

Antonio zasłonił judasza i zastygł w bezruchu. Nic się nie wydarzyło. Może po prostu uległ złudzeniu. Niezależnie od tego poczuł dziwny przypływ silnego niepokoju.

– Widzieliście go? – zapytał McSwiney.

Antonio skinął jedynie głową na potwierdzenie, po czym jak nieprzytomny ruszył w stronę wylotu korytarza. Pewnie by się nie zatrzymał, gdyby nie przytomność przyjaciela, który chwycił go za ramię i szepnął zdławionym głosem:

– Nie tędy! Chodźcie za mną! – I pociągnął go w przeciwną stronę, mijając po drodze pozostałe pokoje.

Z jednego z nich dochodziły jęki rozkoszy. Po chwili McSwiney nacisnął klamkę i wyszli do małego przedsionka, z którego schody prowadziły zarówno na ostatnie piętro, jak i na parter.

Zbiegli na dół i wrócili do sali balowej, ale Antonio nie mógł się pozbyć wrażenia, że wpatrują się weń oczy Kulawego.

Nie istniała możliwość, by mężczyzna rozpoznał go przez otwór judasza, zwłaszcza że artysta nie zdjął maski. Jego poczucie było zupełnie nieracjonalne również dlatego, że przecież nigdy wcześniej się nie spotkali, a Kulawy nawet nie podejrzewał, że jest śledzony. Mimo to Antonio nie umiał się pozbyć nieprzyjemnego uczucia niepokoju.

15. Sprawozdanie

– CO MACIE MI DO POWIEDZENIA? – zapytał doża z nieukrywanym zniecierpliwieniem.

– Zaraz opowiem wam wszystko, czego się dowiedziałem – odpowiedział Antonio Canal, zastanawiając się, od czego zacząć. Po chwili zdecydował, że lepiej będzie pominąć wstępy oraz dygresje i od razu przejść do sedna. – Posłuchałem rady dobrego przyjaciela i zacząłem się na Kulawego w zaułku. Czekałem, aż się spotka ze swymi kompanami w pobliżu szpitala żebraków.

– Jesteście pewni, że was nie zauważył? – Doża się zaniepokoił.

Antonio wahał się przez chwilę. Nie miał wątpliwości, że mężczyzna nie widział go w trakcie spaceru, ale przypomniał sobie jego wzrok, kiedy tamten zabawiał się z kurtyzaną. Teraz żywił nadzieję, że doża nie dostrzegł jego niepewności.

– Z pewnością mnie nie widział. Kiedy tylko cała trójka ruszyła przed siebie, poszedłem za nimi. Pokonali plac Świętych Jana i Pawła, po czym skręcili w ulicę Barbara de le Tole.

– Udali się do ujeżdżalni?

– Ja też tak myślałem, jednak minęli ją i poszli dalej aż do ulicy Zon.

– Oho! I co dalej?

– Następnie skręcili w ulicę Cavalli i zatrzymali się przed jednym z pałacyków. Zapukali i kiedy pojawił się odźwierny, podali mu hasło. Dopiero wtedy ich wpuścił.

– Musieli podać hasło?

Antonio pokiwał głową.

– Mnie też z początku wydało się to dziwne, ale potem wszystko się wyjaśniło. W pałacyku znajduje się salon słynnej kurtyzany Cornelii Zane, która gości u siebie kawalerów i damy, graczy i prostytutki, gwarantując anonimowość dzięki maskom. Odniosłem wrażenie, że to miejsce jest tylko przykrywką, chociaż widziałem stoły do gry, graczy, alkowy...

– Sami rozumiecie, że nie możemy jej za to aresztować.

– Niczego takiego nie sugeruję. Mogę jedynie potwierdzić, że mężczyzna, którego przypadkowo sportretowałem na moim obrazie, nie gardzi przyjemnościami cielesnymi i odwiedza część willi, w której mieści się dom publiczny.

Doża westchnął. Pewnie do końca żywił nadzieję, że wynik śledztwa okaże się inny, ale cóż było robić. Podniósł wzrok i spojrzał uważnie na Antonia.

– To jeszcze nie wszystko, prawda? – zapytał z niepokojem w głosie.

Canaletto milczał. Jego Dostojność domyślił się, że salon Corneli Zane kryje znacznie więcej tajemnic. Na razie Antonio nie mógł wiele dodać, ale miał pewność, że nie chodzi o zwykły przybytek hazardu i rozkoszy. Uczestnicząc w przyjęciu, wyczuł unoszącą się wokoło atmosferę zepsucia, jakby za kurtyną tego wyjątkowego teatru rozgrywały się znacznie bardziej perwersyjne i niebezpieczne sceny.

– To wszystko, co dziś mogę wam powiedzieć. Jednak dałbym sobie rękę uciąć, że to dopiero początek.

– Rozumiem.

– Naprawdę? A zatem mogę zapytać, co nowego przyniosło śledztwo w sprawie „alabastrowej dziewczyny”?

– Musimy zapytać dowódcę nocnej straży o szczegóły, ale z tego, co wiem, to główne podejrzenia koncentrują się na społeczności żydowskiej.

– A są ku temu jakieś powody?

Antonio sam się zdziwił, słysząc swoje pytanie. Czyżby tak bardzo wziął sobie do serca rolę szpiega? Zdawało mu się, że nad wszystkim panuje, a tymczasem sprawa najwyraźniej wymykała się spod kontroli. Udało mu się szybko rozwikłać tajemnicę i odkryć, gdzie podejrzany spędza czas. Pomimo początkowych przeszkód niespodziewanie łatwo doprowadził powierzone zadanie do końca i teraz z niewiadomych powodów czuł potrzebę kontynuacji działań. Zamknięty świat namiętności i nałogów całkowicie pochłonął jego uwagę, a rozpoczęte śledztwo domagało się jeszcze wielu odpowiedzi i dodatkowych wyjaśnień.

– Muszę poznać prawdę – oświadczył, zmagając się z własnymi myślami. I chyba naprawdę czuł taką potrzebę.

– Rozumiem wasze racje, panie Canal, ale i wy musicie uznać moje. Pokładam ufność w działaniach głównego dowódcy nocnej straży i cenię jego rozsądek. Jestem pewien, że wykonuje swoje zadania skrupulatnie i odpowiedzialnie. Z drugiej strony szczerze zaskoczyła mnie gorliwość, jaką wy wykazaliście się w wypełnieniu mojego polecenia.

– No cóż, nie ośmieliłbym się zawieść waszego zaufania...

– To zrozumiałe! – potwierdził doża. – Wykonaliście dobrą robotę! Zresztą od początku nie kryłem moich intencji i dałem wam wolną rękę. Nigdy nie przyznam co prawda, że osobiście zleciłem wam śledzenie szlachetnie urodzonego obywatela Wenecji, lecz gwarantuję wam spokój ze strony wymiaru sprawiedliwości.

– To mi wystarczy. Niestety, jak już wspomniałem, nie sądzę, żebym zdołał się powstrzymać przed poznaniem całej prawdy – stwierdził Antonio, zdając sobie sprawę, że osobiwa intryga wciągnęła go bardziej, niż przypuszczał.

Nie mając nic więcej do dodania, poprosił dożę o pozwolenie na opuszczenie pałacu.

Złoty zmierzch barwił już błękit nieba na zachodzie. W oddali krzyczały mewy szybujące w chłodnym powietrzu nadciągającego wieczoru. Dostał gęsiej skórki. Trząśił się z nerwów i oblewał go zimny pot. Jak nigdy dotąd zdawał sobie sprawę, że żyje oszołomiony uczuciem do Charlotte i wstrząśnięty doświadczeniem wizyty w salonie Cornelii Zane. To specyficzne miejsce jednocześnie go pociągało i budziło w nim wstręt. Wyjątkowa gra światła i cieni tak bardzo przypominała kompozycje, które próbował uwiecznić na swoich płótnach.

No właśnie, obrazy. W ostatnich dniach zupełnie zapomniał o malowaniu. Do tej pory nigdy mu się to nie zdarzyło! Coś niesamowitego! Od zawsze to sztuka pochłaniała go całkowicie, a teraz nagle odezwało się w nim serce i odkrył, że jest zupełnie nieprzygotowany na uczucie, które wzbudziła Charlotte. A do tego dołączyła jeszcze żarłoczna ciekawość łącząca się z nowymi doświadczeniami sprowokowanymi prowadzonym śledztwem.

Pomyślał o przyjacielu. Szybkie postępy w sprawie były zasługą właśnie McSwineya, a poza tym za jego wstawiennictwem otrzymał nie jedno, a trzy zlecenia. Poczul wdzięczność i zrozumiał, że może mu zaufać. Zresztą Irlandczyk okazał mu swoją lojalność w znacznie większym stopniu niż ktokolwiek inny, a on do tej pory nie odpłacił mu się tym samym. Postanowił to zmienić. Nie miał zbyt wielu przyjaciół, gdyż jego zawód wymagał skupienia i długich godzin pracy w samotności, co też narzucił sobie bardzo stanowczo i wypełniał z żelazną dyscypliną mnicha. Wybrany styl życia nie sprzyjał nawiązywaniu trwałych kontaktów towarzyskich. Uznał, że jeśli dalej będzie się trzymał starych przyzwyczajzeń, nigdy się to nie zmieni. Postanowił zwierzyć się McSwineyowi i opowiedzieć o nietypowym zadaniu, które właśnie wykonywał. Po tym, co razem przeszli, początkowa dyskrecja nie miała już żadnego uzasadnienia.

Antonio Canal ciągle jeszcze był młodym człowiekiem, z natury zamkniętym w sobie, ale zauważył, że wydarzenia ostatnich dni trochę go zmieniły. Nieznane jego sercu uczucia i nowe zadania okazały się pociągające, nie zamierzał więc chronić się dłużej w okopach samotności. Postanowił rzucić się w wir zdarzeń i z otwartymi ramionami przyjąć przygody oraz niespodzianki, które przygotowuje dla niego życie.

Zupełnie nie trafiała mu do przekonania pogłoska o winie Żydów w sprawie zamordowania dziewczyny, choć doża dał mu do zrozumienia, że podejrzania skupiają się właśnie na nich. Nie miał żadnych dowodów na to, że jego wątpliwości są słuszne, jedynie to, co usłyszał w czasie rozmowy z inkwizytorem i głównym kapitanem nocnej straży: że dla niektórych Żydzi są doskonałymi kozłami ofiarnymi. Dali mu tym

samym wyraźnie do zrozumienia, że to jedynie wygodne rozwiązanie mające na celu uciszyć złe języki, a nie wynik rzetelnego śledztwa. Czy teraz coś się w tej kwestii zmieniło? Z pewnością pojawiły się nowe elementy – pomyślał artysta.

Popatrzył na bazylikę Świętego Marka: kopuły, które rysowały się majestatycznie na tle nieba mieniającego się czerwoną barwą zachodzącego słońca, pięcioro ogromnych drzwi wykończonych kunsztownymi łukami i bogato zdobione lunety. Za każdym razem, gdy spoglądał na fronton budowli, wzruszenie zapierało mu dech w piersiach. Wenecja czarowała go swoją wyjątkową urodą. Nie potrafił się przyzwyczaić do tak wyrafinowanego piękna i po raz kolejny zdał sobie sprawę, że jego obrazy nie oddają wspaniałości miasta, pomimo że tak bardzo starał się wiernie ukazać proporcje, harmonię, zarysy i grę światła.

Robiło się późno i zdecydował, że lepiej będzie wrócić do domu. Przechodząc obok wieży zegarowej, przyspieszył kroku. Kiedy znalazł się w pobliżu kościoła San Zulian, odniósł wrażenie, że ktoś go śledzi. Odwrócił się, lecz nikogo nie dostrzegł.

Prawdopodobnie się myłę – pomyślał, jednak nieprzyjemne uczucie nie opuściło go już przez całą drogę.

16. Banda uliczników

NIE WIEDZIAŁA, JAKĄ SZTUKĘ wystawiają tego wieczoru, ale przed Teatrem San Giovanni Crisostomo gromadziły się tłumy. Na tej właśnie scenie debiutowali najlepsi dramatopisarze, scenografie wzbudzały powszechny zachwyt, a primadonny i śpiewacy nosili kostiumy tak okazałe i eleganckie, że niejedna księżniczka mogłaby im pozazdrościć. Jakżeby chciała chociaż raz zobaczyć przedstawienie, na które właśnie zdążali szlachetnie urodzeni obywatele i bogaci mieszczanie.

Niestety Colombina wiedziała, że powinna zająć się pracą. Bieda zmuszała ją do podejmowania się drobnych kradzieży oraz robienia różnych sztuczek. Teraz też wraz z Magnaossim przymierzali się do skoku. Niedaleko kręcił się Moro. Nazywali go tak, bo miał ciemną karnację i kręcone włosy. Chciał mieć ich na oku. To on był hersztem bandy osieroconych dzieci, które dzieliły się wszystkimi łupami, próbując przeżyć na ulicach miasta niezależnie od sytuacji.

Ostatnio sprawy zaczęły się układać trochę lepiej, bo Moro pracował dla pewnego mężczyzny, którego Colombina widziała tylko raz w życiu. I to jej wystarczyło. Miał dziwne, mało weneckie imię, długie czarne włosy i czarne oczy. Nosił się bardzo elegancko i sprawiał wrażenie szanowanego kawalera, ale ona zobaczyła, jak w jednej sekundzie zmienił się w demona i pobił do krwi chłopca z bandy za to, że ten nie potrafił – według oceny nieznanego – wykonać powierzonego mu zadania.

Moro próbował sprzeciwić się atakowi furii, ale rozwścieczony napastnik nawet na niego nie spojrział, tylko odepchnął go tak mocno, że chłopak wylądował na ścianie pobliskiego budynku, skąd mógł się przyglądać, jak mężczyzna kopie w brzuch leżącego na ziemi kolegę.

Ten widok zmroził jej krew w żyłach. Ciągle miała przed oczami pełną okrucieństwa scenę i spoconego mężczyznę z długimi czarnymi włosami i twarzą wykrzywioną w bestialskim grymasie. Nie krył zadowolenia, że niemal udało mu się zabić jednego z bandy uliczników. Potem wyjął z kieszeni tabakierę, wysypał porcję brunatnej substancji na wierzch dłoni i wciągnął przez nos, a następnie odrzuciwszy do tyłu długie włosy, wybuchnął przerażającym śmiechem. Wreszcie powiedział, że zadba o ich bandę, jeśli będą wypełniać jego polecenia co do joty. Ale zaraz ostrzegł, że jeśli go rozczarują, to rozdepcze ich jak małe, obrzydliwe kraby.

Colombina starała się odegnać od siebie złe myśli. Miała do wykonania pracę i nie chciała sprawić zawodu hersztowi bandy. Moro był przystojny, sprytny i bardzo jej się

podobał. Oczywiście nie okazywała mu swoich uczuć, zwłaszcza że wiedziała, że ona również nie jest mu obojętna. Miała nadzieję, że w ten sposób prędzej czy później zdoła go do siebie przywiązać.

Na placu przed teatrem gromadziły się tłumy mieszkańców miasta: byli tam samotni kawalerowie, kurtyzany, kupcy oferujący swoje towary, początkujące aktorki, szlachetnie urodzone damy pragnące rozrywki, służący, lokaje, cyniczni poszukiwacze przygód, pisarze, dyrektorzy teatrów, szarlatani, pijacy, a między nimi krążyli sprzedawcy kandyzowanych jabłek, pączków z dziurką, kremówek i innych słodkości, a także nosiciele kawy. Nie brakowało też cwaniaków, którzy w ostatniej chwili gotowi byli odstąpić swoje miejsca w teatrze za kilka cekinów i szukali naiwniaków do oskubania.

Większość ludzi pchała się już do wejścia, tylko nieliczni ociągali się jeszcze w oczekiwaniu na towarzyszy lub po prostu rozglądali się dookoła, chociaż po zapadnięciu zmroku robiło się coraz zimniej.

Colombina nie zamierzała tracić więcej czasu. Upatrzyła sobie dobrze ubranego kawalera we fraku ozdobionym galonami, obszernej pelerynie i z trikornem w ręku. Na głowę nasadził wysoką upudrowaną perukę i paradował po placu z wypiętym brzuchem. Bogactwo i postura dodawały mu animuszu, bo zachowywał się niczym udzielny pan i władca. Dziewczyna obrzuciła go zalotnym spojrzeniem i wyeksponowała dekolt kryjący białe jędrne piersi. Sukienka, zwykły kawałek materiału pocerowany w wielu miejscach, wywoływała raczej litość, ale świeże ciało i zgrabne kształty i tak wzbudziły pożądane zainteresowanie.

– Dobry wieczór, szlachetny panie – zaszczębiotała wdzięcznie – jaką sztukę wystawiają dzisiaj w teatrze?

Pan i władca spojrzął i już po chwili rozbierał ją wzrokiem.

– Na Bachusa – huknął – powtarzają *Berenikę* Sergia Marii Orlandiniego. Kim jesteście, panienko? Aniołem?

– Cóż za galanteria! – pisnęła Colombina i uśmiechając się, wydeła czerwone usteczka, czym doprowadziła starego Ganimedesa niemal do ekstazy.

– Na Bachusa! – powtórzył – czy mógłbym... – nie dokończył, bo ktoś w biegu uderzył go w ramię. Podczas gdy uwodziciel za trzy grosze przeklinał nieuważnego niegodziwca, który go potrącił, Colombina podeszła bliżej i schyliła się po skórzany mieczek leżący na ziemi. Chwilę wcześniej Magnaossi zręcznie odciął sakiewkę i zniknął w tłumie, a teraz ona chwyciła ją szybkim ruchem i ukryła w kieszeni.

Ludzie, przepychając się do wejścia, rozdzielili dziewczynę i jej adoratora, po czym niczym morska fala zagarnęli mężczyznę ze sobą. Wbrew własnej woli bawidamek

znalazł się w pewnej odległości od Colombiny, mimo to, nie rezygnując, rzucił w jej stronę:

– Moja droga... chciałbym was zaprosić do mojej łoży...

Dziewczyna przesłała mu uwodzicielski pocałunek.

– Szlachetny panie, będę zaszczycona. Następnym razem na pewno przyjmę zaproszenie – rzuciła przez ramię i ruszyła w przeciwnym kierunku, pozostawiając starego satyra z rozdziawionymi ustami.

Opuszczony budynek znajdował się na obrzeżach dzielnicy Castello i sprawiał wrażenie, jakby za chwilę miał się zawalić. Nikt nie podejrzewał, że mógłby jeszcze posłużyć za mieszkanie i może właśnie dlatego banda uliczników wybrała go sobie na kryjówkę. Z czasem w starych, zniszczonych salonach urządzili sobie prawdziwą bazę: były tam jadalnia, gdzie spożywali posiłki, dwie wspólne sypialnie, osobne pokoje dla herszta i Colombiny, zbrojownia, w której gromadzili proce, sztylety, noże i wszelkiego rodzaju przedmioty mogące służyć jako broń. Kamienie, gwoździe, kije, szpady, nożyce – wszystko wydawało im się przydatne.

Moro był u niej w pokoju na poddaszu. Głaskał jej długie jasne włosy, które przypominały promienie słońca odbijającego się złotem w wodach laguny. Pocałował ją w policzek.

– Dobrze się spisałaś – pochwalił ją.

Colombina poczuła się w siódmym niebie.

– Muszę się spotkać z Olafem Teuflem – dodał.

Znowu on. Diabeł z długimi czarnymi włosami. Dziewczyna zadrżała ze strachu. Była przekonana, że nic dobrego z tej znajomości nie wyniknie.

Zaczęła prosić Mora, by dał sobie z nim spokój.

– On jest przerażający – szepnęła – to wcielony diabeł.

Chłopak odwrócił wzrok, bo wiedział, że Colombina ma rację. Jednak po chwili spojrzął jej w oczy i wyjaśnił:

– Muszę myśleć, jak zapewnić wszystkim kawałek chleba. Nie możemy liczyć na szczęście.

– Dlaczego nie? Przecież możemy powtórzyć dzisiejszą akcję.

– W sakiewce znaleźliśmy zaledwie dziesięć cekinów. Ten stary zboreźnik udawał bogacza, a miał przy sobie kilka groszy... Nie pierwszy raz daliśmy się nabrać. Potrzebujemy stałych wpływów, a Teufel może nam je zapewnić.

– Nie chcę jego dukatów – upierała się Colombina ze łzami w oczach.

– Zaufaj mi – powiedział Moro, całując ją w czoło. – Pomyśl o chłopcach. Oni są od nas młodszy i chociaż dobrze sobie radzą na ulicy, to nie można od nich wymagać

cudów. Każdego dnia od rana do wieczora kręcimy się po mieście, a ledwie mamy na chleb.

– Za to jesteśmy wolni!

– Jak długo jeszcze?

– Aż wystarczy nam odwagi, by się nie sprzedać.

Moro pokręcił głową.

– Dobrze wiesz, że to nie tak. Oszukujemy samych siebie. Pójdę się spotkać z Teuflem i potem zobaczymy. On szuka informatorów, którzy będą mu donosić, co się dzieje w mieście, a my możemy się tym zająć. Mamy ludzi we wszystkich dzielnicach, a twoje gołębie szybują bez przeszkód po weneckim niebie. No i są jeszcze twoje przyjaciółki, które będą naszymi oczami i uszami – powiedział i wstał, zbierając się do wyjścia.

Colombina próbowała go zatrzymać, ale odsunął ją zdecydowanie. Nie zamierzał zmieniać swojej decyzji. Kiedy wyszedł, dziewczyna zrozumiała, że to początek końca ich bandy.

17. Strach

PO RAZ KOLEJNY tego dnia Isaac zastanawiał się, czy dokonał dobrego wyboru, i za każdym razem nasuwała mu się ta sama odpowiedź: nie ma innego rozwiązania. W obliczu całkowitej obojętności ze strony władz Republiki musiał ostrzec swoją wspólnotę. Początkowo nie chciał się zgodzić ze stanowiskiem brata, ale w końcu pod wpływem ostatnich doświadczeń zmienił zdanie i teraz musiał koniecznie porozmawiać z rabinem.

Jak zwykle przeszedł przez bramę wiodącą do getta od strony murów rybackich ciągnących się wzdłuż kanału Cannaregio. Wielki żółty księżyc już świecił na niebie, przywodząc na myśl złoty medalion. W targowej części getta piekarze, rzeźnicy i sprzedawcy warzyw powoli zamykali swoje kramy. Isaac szedł pomiędzy wysokimi, wąskimi budynkami, podczas gdy mężczyźni, kobiety i dzieci spieszyli do swoich domów, zatrzymując się tylko po to, by wymienić pozdrowienia. Na kilka chwil zimne powietrze wieczoru wypełniły słowa pochodzące z różnych języków, zdania unosiły się nad wyimaginowaną wieżą Babel. Isaac rozpoznawał kolejno: jidysz, niemiecki, włoski, turecki, portugalski i hiszpański.

Poczuł się bezpiecznie jak w domu, zwłaszcza po tym, co przydarzyło mu się w karczmie. Być może w tych trudnych czasach ogrodzenie getta okaże się błogosławieństwem i naturalną ochroną.

Minął budynek szpitala dla ubogich i hotel dla przybyszów ze Wschodu, aż doszedł na plac przed synagogą. Skierował się dalej w stronę nowej części getta. Głosy szybko ucichły, opustoszały ulice i place, tylko od czasu do czasu jakiś nadgorliwy właściciel lombardu zwlekał z zamknięciem swojej budy.

Zatrzymał się, gdy dotarł do nowego getta. Domy były tu wysokie nawet na dziewięć pięter. Jedyne w taki sposób Żydzi mogli wygospodarować trochę więcej przestrzeni dla siebie: budując w górę. A mieszkań i tak brakowało. Potrząsnął głową, bo sytuacja budziła niepokój.

Po lewej stronie wznosiły się: Wielka Synagoga Niemiecka, synagoga Canton oraz synagoga włoska. Wszystkie trzy świątynie mieściły się wewnątrz zwykłych zabudowań i niełatwo je było rozpoznać z zewnątrz, ponieważ brakowało jakichkolwiek charakterystycznych znaków. Był to celowy zabieg, aby miejsca kultu nie rzucały się w oczy i nie ściągnęły na mieszkańców kar ze strony władz Serenissimy, które z niechęcią godziły się na budowę bóżnic. Podążył dalej,

skręciwszy w lewo, w stronę wielkiego sześciopiętrowego domu, wysokiego i wąskiego jak wszystkie inne. Stanąwszy przed dużymi drewnianymi drzwiami okutymi żelazem, wsunął klucz do zamka i przekręcił. Po chwili był już w środku.

Z wewnętrznego dziedzińca prowadziły na górę schody. Stopień po stopniu wszedł na pierwsze piętro, potem na drugie i na trzecie. Tego dnia wspinaczka wymagała więcej wysiłku niż zazwyczaj. Nagle zdał sobie sprawę, że jak wszyscy mieszkańcy getta, musi żyć w ciasnych, zatęchłych pomieszczeniach, których wynajem kosztuje trzykrotnie więcej, niż płacą Wenecjanie. I nie była to jedyna niesprawiedliwość – mieszkańcy getta nie mogli również nabywać na własność żadnych nieruchomości w mieście. Oczywiście Isaac nie marzył o zakupie rudery, którą zajmował, chodziło o zasady.

Wszedł do mieszkania, odłożył skórzaną torbę i zawołał Zygmunta, ale brat nie odpowiedział. Pewnie udał się do synagogi na wieczorne modły.

Obmył twarz i poszedł do kuchni, aby napić się wody, po czym zaczął odmawiać na stojąco Amidę z dziewiętnastoma błogosławieństwami.

Isaac przystanął na placu w nowej części getta na wprost Wielkiej Synagogi Niemieckiej obrządku aszkenazyjskiego, zbudowanej dwa wieki wcześniej. Świątynia mieściła się na pierwszym piętrze budynku i wprawne oko mogło ją rozpoznać, charakteryzowały ją bowiem pięć dużych okien łukowych oraz mała, wystająca na zewnątrz loża znana w Wenecji pod nazwą *liagò*.

Wszedł do środka i pokonał strome schody prowadzące prosto do miejsca kultu. Rzadko spotykany plan na bazie trapezu łąгодziła eliptyczna forma galerii dla kobiet opierająca się na wykwintnych kolumnach i wznosząca aż do sufitu. Ośmiokątna bima – pulpit, przy którym kapłan odprawia modły – znajdowała się na samym środku synagogi, a dziesięć przykazań lśniło złotymi literami na czerwonym tle. Wzdłuż krótszej ściany sali ustawiono wyszukany aron ha-kodesz, czyli świętą arkę wykonaną w stylu renesansowym i bogato zdobioną złotem. Obok znajdowały się stolce przeznaczone dla przełożonych świątyni, których nazywano *parnassimami*. Na drzwiach arki widniały dziesięć przykazań oraz inkrustowane ornamenty wykonane z masy perłowej. Ściany i ławy z ciemnego, surowego drewna kontrastowały ze złotymi ozdobami i czerwonymi kotarami wypełniającymi całą salę.

Wspaniały, bogaty wystrój był oszałamiający. Zachwycony Isaac nie mógł dostrzec ani rabina, ani zakrystiana. Zwrócił się więc do sekretarza rabiego, grubego mężczyzny o czerwonej twarzy, wodnistych oczach i rzadkim zarostem pokrywającym twarz okrągłą niczym księżyc w pełni.

– Gabaj Wiesel, potrzebuję pilnie porozmawiać z rabbinem Mordecaim Coenem.

Sekretarz był z natury małomównym człowiekiem. Komunikował się za pomocą monosylab, a i to tylko wtedy, gdy został do tego zmuszony. Teraz też się nie odezwał, lecz ruchem głowy wskazał na ostatni rząd ławek. Isaac spojrział w tamtą stronę i dopiero teraz zauważył siedzącego rabina, który sprawiał wrażenie bardzo zmęczonego. Podziękował gabajowi i ruszył w stronę Mordecaia Coena. Rabbi był mężczyzną posuniętym w latach i charakteryzował się dogłębną mądrością oraz doświadczeniem.

Początkowo zdawał się nie zauważać medyka i wpatrywał się przed siebie aż do chwili, gdy odgłos zbliżających się kroków przyciągnął jego uwagę. Dopiero wtedy uniósł głowę i spojrział na gościa. Miał bladą twarz zwieńczoną długą zadbaną brodą oraz otoczoną perfekcyjnie skręconymi pejsami.

Isaac stanął przed rabinem i pozdrowił go z należnym szacunkiem, a starzec przeszył go spojrzeniem swoich błękitnych oczu.

- Nie widziałem cię dzisiaj na wieczornej modlitwie, synu.
- Spóźniłem się, rabbi – usprawiedliwił się Isaac – i bardzo nad tym boleję.
- A ja razem z tobą – usłyszał w odpowiedzi.
- Przyszedłem, żeby porozmawiać o tym, co się dzieje w mieście.

Rabin westchnął ciężko.

– Chyba rozumiem. Masz na myśli okrutne morderstwo kobiety, którą wyłowiono z Rio dei Mendicanti?

Isaac pokiwał głową.

- Wenecja oskarża nas o tę zbrodnię.
- Wiem.
- Wczoraj zatrzymałem się na obiad w gospodzie...
- I co z tego? – zapytał rabin na pozór obojętnie.
- I zostałem zaatakowany przez kilku mężczyzn, którzy wyzwali mnie od morderców i krwiopijców.
- To się już dzieje – powiedział starzec, a w jego słowach rozbrzmiała zapowiedź nadciągającego nieuchronnie nieszczęścia, które poruszy fundamentami synagogi.

Isaac nie zrozumiał słów rabina, ale ten, nie czekając na jego komentarz, ciągnął:

– Pożoga. Strach jest niczym pożar. Zaczyna się od małej iskierki, która zapala łuczywo, a potem szybko się rozprzestrzenia i zmienia w pożogę. – Westchnął i dodał: – Szabetaj Cewi.

To imię i nazwisko zabrzmiało w świątyni złowieszczą niczym wyrok śmierci.

– Znasz tę historię, synu? – zainteresował się rabbi.

Isaac przytaknął.

– Siedemdziesiąt lat temu Szabetaj Cewi, młody uczeń rabina ze Smyrny, samozwańczo ogłosił się mesjaszem.

– Właśnie tak – potwierdził lakonicznie Mordecai Coen, jakby chciał go zachęcić do dalszej opowieści.

– Pomimo że wielu ze wspólnoty sprzeciwiło się stanowczo samowoli młodzieńca – ciągnął medyk – to grono jego zwolenników rosło, w związku z czym uznano go za niebezpiecznego i obłożono klątwą cherem. W konsekwencji musiał opuścić miasto i udał się do Konstantynopola, gdzie słynny prorok Abraham Jachini uznał go za mesjasza, uzasadniając decyzję starą hebrajską przepowiednią, która głosi, że ma on nosić właśnie imię Szabetaj.

– Wtedy też doszło do schizmy – zakończył rabbi Coen – między grupą, która uważała Cewiego za szarlatana, a tymi, dla których był prawdziwym mesjaszem. Dobrze znamy tę historię... Problem jednak stanowi co innego, Isaacu – dodał i westchnął głęboko.

– To znaczy co?

– Otóż w tamtym czasie większość mieszkańców naszego getta z ogromnym entuzjazmem przyjęła samozwańczą deklarację młodzieńca i potem, kiedy ten przeszedł na islam, musiała chować głowę w piasek.

Isaac chciał coś powiedzieć, ale ugryzł się w język.

– Boisz się głośno o tym mówić? – zadrwił rabin. – A więc ja sam dokończę: niektórzy przedstawiciele naszej społeczności twierdzą, że ostatnie wydarzenia są karą za to, że ulegliśmy namowom fałszywego proroka.

Czyli dyskutujemy o tym, czy barbarzyńskie morderstwo dziewczyny może mieć podłoże religijne? – przemknęło Isaacowi przez myśl.

– To znaczy, że uważacie, jakoby morderstwo tej dziewczyny...

– Nie ja tak uważam. Biorę jedynie pod uwagę, że zaraza i oskarżenia pod naszym adresem są spowodowane klątwą, która na nas ciąży – wyjaśnił swoje stanowisko rabin.

– Przecież dobrze wicie, że nie ma żadnych dowodów potwierdzających tezę, że to Żyd zamordował tę nieszczęsną dziewczynę!

– Oczywiście, że wiem, ale to nie ma żadnego znaczenia. Zresztą powtarzam ci, to nie ja twierdzę, że wybryki Cewiego i jego zwolenników ściągnęły na nas nieszczęście. Mówię tylko, że są tacy, którzy właśnie tak uważają i już roznoszą plotki.

– Naprawdę? Któż taki? – zapytał Isaac z niepokojem.

– Nie wiem. Zastanawiałem się długo, ale żadne nazwisko nie przychodzi mi do głowy. Jedynym wicherzycielem w naszej społeczności jest Shimon Luzzatto, ale

prawdę mówiąc, on podburza przeciw Wenecjanom. Dlatego też nie sądzę, aby miał jakiś związek z tą sprawą. Jednak nazwisko Cewiego ostatnio znów krąży po getcie.

– Jeśli plotki się rozniosą, to może zapanować chaos...

– Bez wątpienia. Poza tym nie wolno nam zapominać, że kiedy Cewi ogłosił się mesjaszem, społeczność żydów weneckich nie potępiła oszustwa. Co więcej, jak już wspomniałem, większość współbraci poparła samozwańca. A więc w pewnym sensie ponosimy część winy, chociaż stanowczo oświadczam, że osobiście w klątwę nie wierzę.

W czasie rozmowy Isaac przyglądał się rabinowi i nagle w jego oczach dostrzegł błysk, który przyprawił go o gęsią skórkę.

18. Umowa

ANTONIO SIEDZIAŁ W POGRAŻONEJ w ciemnościach sali i jak urzeczony śledził rozgrywające się widowisko. Na środku sceny królowa Mesenii, Merope, rozpaczała z powodu śmierci syna Kresfontesa. Piętnaście lat wcześniej straciła męża, którego zasztyletowano w następstwie spisku. Wtedy ich syn cudem uniknął śmierci, a królowa oddała go na wychowanie wiernemu słudze Polidorowi, aby mógł bezpiecznie osiągnąć wiek męski. Kiedy po latach pod wpływem gróźb musiała przyjąć zuchwałą propozycję Polifonta, zrozumiała, że to właśnie on zamordował jej męża.

W tej chwili Merope z rozpuszczonymi czarnymi włosami i zaczerwienionymi od płaczu oczami krzyczała z rozpacz, przyciskając zaciśnięte dłonie do piersi. Dowiedziała się, że syn został zabity przez Egista, człowieka, którego sprowadził do miasta sługa Polifonta. Kobieta zapałała żądzą mordu, chciała zatopić ostrze sztyletu w piersi niecnego zbrodniarza.

W krwawej tragedii spowodowanej zemstą, bólem i nieprawością Antonio dostrzegął przyszłość Wenecji niszczonej chorymi namiętnościami, dziesiątkowanej zarazą, uwięzionej w szponach niekończącej się zimy i miotanej intrygami. Niepewny los miasta jawił mu się w czarnych barwach.

Im głośniej krzyczała Merope, bijąc się w piersi, tym silniej Antonio odczuwał ciężar doświadczeń ostatnich dni. Odkrył lubieżne akty, którym oddawał się Kulawy, a zarazem nabrał pewności, że salon kurtyzany skrywa znacznie groźniejsze tajemnice. Pod patyną nieokiełznanej zabawy czaiło się coś o wiele bardziej niepokojącego i niebezpiecznego. Wspomnił o tym w rozmowie z dożą i zamierzał ujawnić wszystko, czego nie zdołał zgłębić podczas pierwszej wizyty. Hasła broniące dostępu do salonu, nieprzyzwoite aluzje Cornelii Zane, spostrzegawczy strażnik przy drzwiach oraz mężczyzna, którego wygląd i sposób zachowania wzbudziły jego podejrzenia – wszystko to sugerowało, że w pokojach pałacu zakorzeniło się wrogie, zdeprawowane zło. Początkowo Owen McSwiney próbował wyperswadować mu pomysł kontynuowania śledztwa, ale Antonio nie potrafił wybić sobie z głowy podejrzeń, chociaż wolałby oczywiście wrócić do swoich obrazów i zająć się pielęgnowaniem uczucia do Charlotte.

Podczas gdy trzeci akt tragedii Scipioneo Maffeiego dobiegał końca, Antonio po raz kolejny zaczął się zastanawiać, czy Irlandczyk nie mógłby mu pomóc

w rozwiązaniu sprawy. I po raz kolejny odpowiedział sobie twierdząco na dręczące go pytanie.

– Musimy porozmawiać – szepnęła do przyjaciela, który siedział obok niego.

Po chwili sztuka zakończyła się wśród okrzyków radości i głośnych oklasków. McSwiney spojrzał na niego, unosząc brwi.

– No i co powiecie? Podobało wam się przedstawienie?

– Ponury, krwawy dramat – odpowiedział Antonio.

– Zgadzą się w zupełności.

– Muszę przyznać, że jestem wzburzony, ale w końcu taka jest rola teatru, nieprawdaż? Sztuka powinna budzić emocje. A tragedia, którą właśnie obejrzelśmy, bardzo mną wstrząsnęła. Może dlatego, że przedstawione wydarzenia przypominają mi to, co się dzieje w naszej ukochanej Republice. I w związku z tym, jeśli pozwolicie, miałbym do was prośbę.

– Mam nadzieję, że będę mógł ją spełnić.

– Nic łatwiejszego, przyjacielu. Chciałbym wrócić do salonu Cornellii Zane.

– Naprawdę? Zdawało mi się, że tego typu rozrywki was nie interesują. Poza tym ostatnio naraziliśmy się na spore ryzyko.

– Muszę przyznać wam rację.

– Nie bardzo rozumiem...

– Powinniście wiedzieć... – Antonio się zawahał – ...że do tej pory nie mówiłem wam całej prawdy.

– Domyśliłem się.

– Chociaż wcześniej nie powiedziałem wam wszystkiego, to bardzo sobie cenię waszą przyjaźń i nie chcę mieć przed wami sekretów – stwierdził Antonio. – Będę z wami szczery: to doża we własnej osobie zlecił mi przeprowadzenie śledztwa.

McSwiney zamrugnął z niedowierzaniem.

– Naprawdę aż tak wysokie progi? – zapytał i nie czekając na potwierdzenie, zarzucił przyjaciela pytaniami, starając się zapanować nad głosem: – Zastanawiam się, dlaczego wybrał właśnie was. Czy nie mógł zlecić tego zadania stróżom porządku, szpiegom albo członkom nocnej straży?

– Na początku miałem się jedynie dowiedzieć, czym się zajmuje pewien kawaler, którego wizerunek przez przypadek umieściłem na jednym z moich obrazów.

– Chodzi o Kulawego?

– Tak, ale po wizycie w przybytku uciech nie mogę się opędzić od myśli, że spotkania w salonie mają też inny cel.

– To całkiem możliwe.

– Ach tak, a więc potwierdzacie moje przypuszczenia?

– Nie do końca, chociaż mogę wam powiedzieć, że właśnie wczoraj otrzymałem dziwne zaproszenie.

– Co macie na myśli?

– Na razie nie znam szczegółów, ale mogę potwierdzić, że mężczyzna, który was zaniepokoił, na pewno jest oryginałem, a może i skrywa jakieś tajemnice.

– Chciałbym go lepiej poznać.

– Sądzę, że to zły pomysł. Szczerze mówiąc, pomyślałem sobie, że lepiej byłoby unikać tego miejsca.

– Dlaczego? – zapytał Antonio, nie ukrywając nuty zaniepokojenia w głosie.

– Być może macie rację, że w tych spotkaniach jest coś podejrzanego.

– Jeśli to prawda, tym bardziej powinniśmy się dowiedzieć, o co chodzi.

McSwiney potrząsnął głową.

– A co, jeśli za naszą ciekawość przyjdzie nam zapłacić honorem? Reputacją? Albo nawet życiem?

– Chociaż niełatwo mi to przychodzi, proszę was o pomoc – wyznał Antonio. – Chcę, abyście byli moim okiem i uchem i opowiedzieli mi, co się będzie działo podczas spotkania, na które zostaliście zaproszeni.

– Jeśli mam być szczery, panie Canal, to pierwsza odpowiedź, która ciśnie mi się na usta, brzmi: za nic w świecie! Zaraz budzi się jednak we mnie dusza awanturnika, którą skrywam głęboko, a która narodziła się na wygnaniu z konieczności ciągłego stawiania czoła kłopotom, z jakimi każdego dnia musi się borykać banita. Powiem więc, że mógłbym podjąć się zadania po trosze z ciekawości, a po trosze dla odpowiedniego zysku. Dlatego muszę wam uświadomić, że prosicie mnie o bardzo wiele. Co innego narażać się na ryzyko z własnego wyboru, a co innego pod przymusem. Zapytam więc wprost: co ja będę z tego miał?

– Nowy obraz? Sprzedam go wam za kilka groszy albo nawet podaruję. Co wy na to?

– Całkiem nieźle – ucieszył się McSwiney i zamilkł, bo właśnie w tej chwili rozsunała się kurtyna, obwieszczając początek czwartego aktu.

Zanim jednak Antonio ponownie pogrążył się w kontemplacji zdarzeń rozgrywających się na scenie, szepnął do przyjaciela:

– Mój drogi, proponuję podjąć temat przy kieliszku dobrego wina.

– Z największą przyjemnością – usłyszał w odpowiedzi.

19. Plac Świętego Jakuba Apostoła na wyspie Rialto

KIEDY ANTONIO WYSZEDŁ Z DOMU, na ulicach było jeszcze ciemno. Chciał ujrzeć kościół Świętego Jakuba Apostoła w perłowej odświeżeniu świtu, więc musiał stanąć na placu właśnie o tej porze. Zamierzał wykonać odbitkę za pomocą camery obscury i potem przenieść wizerunek placu na płótno, przy którym od dawna pracował.

Trzymał małą latarnię, aby oświetlić sobie drogę. Szedł szybkim krokiem, bo nie pozostało wiele czasu do świtu. Dotarł do brzegów kanału, żywo pokonał most i znalazł się prawie u celu, gdy nagle usłyszał krzyk rozdzierający powietrze.

Biegając uliczką Ruga dei Oresi, odniósł wyraźne wrażenie, że niedaleko dzieje się coś przerażającego. Wschodzące słońce złotymi promieniami rozjaśniało mrok. Na wprost, w pewnej odległości, pod arkadami Fabbriche Vecchie dostrzegł dwie osoby. Poczuli, jak serce wali mu w piersi jak szalone.

W kilku susach znalazł się na miejscu. Zobaczył płaczącą kobietę w stroju mieszczyki oraz podtrzymującego ją mężczyznę w pocerowanej koszulinie i zniszczonych portkach. Pewnie był to rybak z pobliskiego targu. Dziurawe onuce i przydeptane kapcie stanowiły dopełnienie jego nędznego stroju. Niewiasta wyglądała na bardzo wzburzoną, lecz Antonio jeszcze nie widział powodu.

Potem nagle się odwrócił, jakby pchany jakimś niewyjaśnionym przeczuciem.

To, co zobaczył, zmroziło mu krew w żyłach.

Początkowo w szarym świetle świtu wcale jej nie zauważył. Dopiero teraz scena uderzyła go całym swym okropieństwem. Kobieta siedziała oparta o mur kościoła. Ktoś musiał zadać sobie trud, by ułożyć ją w pożądanej pozie. Elegancka suknia, a raczej to, co z niej pozostało, świadczyła bez wątpienia, że dama należała do patrycjatu Wenecji lub przynajmniej do którejś z zamożnych rodzin.

Długie włosy opadały jej na piersi po obu stronach głowy. Były jasne, ale matowe, jakby ktoś posypał je ziemią lub piaskiem. Duże niebieskie oczy zamarły w masce niemego przerażenia i sprawiały wrażenie, jakby były ze szkła. Śnieżnobiałą szyję pokrywały plamy ciemnej, zaschniętej krwi. Krople w kolorze żelaza znaczyły też dłonie i nadgarstki. Z rozdartej piersi zwisały strzępy oślizłego, zmasakrowanego mięsa. Ktoś dosłownie otworzył i wypatroszył klatkę piersiową kobiety – Antonio nie znalazł bardziej adekwatnego określenia.

Odwrócił wzrok, gdyż wydawało mu się, że przyglądając się nieszczęśnicy, tylko profanuje jej zwłoki.

Westchnął ciężko i oparł się o kolumnę, po czym osunął się i usiadł na schodkach prowadzących do kościoła. Próbował uspokoić oddech, gdy w pewnej odległości usłyszał ponownie krzyki mieszczeni. Ktoś zaklął szpetnie. Prawdopodobnie rybak, po chwili bowiem dało się słyszeć groźby i złorzeczenia płynące z jego ust, jakby mogły one ukarać autora zbrodni. A przecieź nie było to absolutnie możliwe.

Antonio otrząsnął się z szoku. Wziął ze sobą papier i ołówek, więc nie tracąc czasu, wbrew sobie, zaczął szkicować scenę, którą miał przed oczami, chociaż w tym momencie czuł obrzydzenie do swojej pracy. Na kartce szybko pojawiły się zarys siedzącej postaci i rozcięta klatka piersiowa z wyrwanym sercem, które zniknęło nie wiadomo gdzie, prawdopodobnie w łapach bezdusznego potwora odpowiedzialnego za morderstwo. Suknia zakrywała ramiona ofiary, lecz z przodu rozcięto ją aż do pasa, jakby jakiś szaleniec chciał pogłębić dekolt do nieprawdopodobnych rozmiarów. Dziewczyna była bosa, a pod nią widniała kałuża czarnej, zakrzepłej krwi. Antonio nie mógł znieść bestialstwa, z jakim zabójca pastwił się nad swoją ofiarą. Kto był zdolny do popełnienia podobnego czynu? W jakim celu? Canaletto wiedział, że w Wenecji panuje przemoc, ale tak drastyczne sceny do tej pory oglądał jedynie w trakcie publicznych egzekucji, kiedy w imię Serenissimy na placach Świętego Marka lub Świętego Teodora wykonywano wyroki na przestępcach skazanych za najcięższe zbrodnie. Nigdy wcześniej nie słyszał o tak okrutnych mordach, pomimo że docierały do niego wieści o przestępstwach popełnianych na ulicach miasta.

Na widok wychodzącego z kościoła zakrystiana Antonio natychmiast przerwał pracę. Naszkicował w miarę kompletny obraz całej sceny najszybciej i najdokładniej, jak tylko się dało. Mieszczeni i towarzyszący jej mężczyzna oddalili się nieco i teraz udawali, że zajmują się swoimi sprawami, choć ciągle kręcili się w pobliżu. Raczej nie zwracali na niego uwagi.

Jasny, chłodny ranek zajął miejsce szarego świtu. Krzyki kobiety zwabiły na plac kościelny wozaków, żebraków i służące, którzy gromadzili się szybko na miejscu zbrodni, by wziąć udział w strasznym widowisku będącym konsekwencją nocnych zdarzeń. Po nich ściągnęli kupcy z pobliskich targów Erbaria i Naranzeria oraz rzeźnicy z zaułka Beccheria. W większości byli to prości mieszkańcy okolicznych ulic i pewnie srodze poruszył ich widok zamordowanej kobiety.

Tymczasem Antonio schował już do kieszeni płaszcz papier i ołówek, po czym skierował się w stronę jednej z odleglejszych części placu.

I właśnie kiedy próbował się wycofać, z uliczki Ruga dei Oresi wyszedł sam główny dowódca nocnej straży. Postępował zdecydowanym krokiem, nieuchronny niczym

śmierć w swoim czarnym odzieniu, z powiewającą peleryną unoszoną zimnym wiatrem, który smagał Wenecję od samego rana. Za nim kroczyło pół tuzina rewirowych.

– Rozejść się! – zagrział dowódca, wyjmując szpadę z pochwy i grożąc jej użyciem przed nosami zgromadzonych na placu ludzi.

Na widok czarnego orszaku stojący na placu kościelnym tłum przechodniów, kupców i mieszczan rozstał się niczym wody Morza Czerwonego przed Mojżeszem. W akcie przemocy, do którego doszło zeszłej nocy i którego Antonio stał się mimowolnym świadkiem, było naprawdę coś biblijnego i nieludzkiego. A teraz dowódca nocnej straży jawił się jako wysłannik milczącej, acz nieuniknionej sprawiedliwości Bożej.

Jednak godzina sądu ostatecznego jeszcze nie nadeszła.

Antonio zawrócił i na miękkich nogach podszedł ku zwłokom. Kolejny raz zmusił się do skupienia wzroku na zmalretowanym ciele nieszczęsnej kobiety.

– Co wy tu, do diabła, robicie? – zapytał dowódca straży, zwracając się bezpośrednio do niego, a ponieważ Antonio zupełnie zapomniał języka w gębie, ciągnął: – Wiecie, co tu się wydarzyło? Byliście na miejscu w momencie popełnienia przestępstwa?

Artysta pokręcił przecząco głową, a na pomoc niespodziewanie przyszedł mu cichy, drżący głos. Kapitan odwrócił się i zobaczył zakrystiana, który wpatrywał się w nich uporczywie. Mężczyzna był niski, lecz dobrze zbudowany, nosił doskonale symetryczną tonsurę i zadbaną brodę. Miał na sobie habit, a na nogach sandały. Antonio nie mógł zrozumieć, jakim sposobem w takim stroju zakrystian nie zamarł jeszcze na kość. Biorąc jednak pod uwagę jego szybkie odpowiedzi oraz blask w oczach, można było wywnioskować, że niska temperatura wcale mu nie przeszkadza.

– To ja ją znalazłem w takiej pozycji jak teraz. Przyszedłem do proboszcza, ale niestety go nie zastałem. Niemal równocześnie ze mną pojawiła się tutaj ta kobieta – wyjaśnił, wskazując na mieszkankę, której krzyki zwróciły wcześniej uwagę Antonia. – Wątpię jednak, że zdoła wam powiedzieć coś więcej niż ja.

Kapitan spojrzał z niechęcią we wskazanym kierunku.

– Pewnie nie – przyznał i westchnął głęboko.

– Śmierć psom żydowskim – wrzasnął ktoś w tłumie.

Natychmiast zawtórowały mu inne głosy przepełnione nienawiścią, która zdawała się odbijać w powietrzu, nabierając mocy, w miarę jak ludzie wykrzykiwali kolejne groźby.

– Oprawcy kobiet! – ryknął mężczyzna stojący w pobliżu Antonia.

– Izraelskie pijawki! – włączył się kolejny.

– Milczeć! – rozkazał dowódca nocnej straży. – Bo jak mi Bóg miły, gorzko tego pożałujecie! – Potem zwrócił się do swoich ludzi i zarządził stanowczo: – Rozgońcie mi tę hołotę!

Strażnicy zaczęli popychać ciekawskich, przeganiając ich z placu niczym stado gęsi. Już po chwili mężczyźni i kobiety uciekali w stronę kramów na targu Erbaria oraz jatek stojących wzdłuż uliczki Ruga dei Oresi.

– Tylko tego nam jeszcze brakowało! Jakby nie wystarczyła już epidemia czarnej ospy! – krzyknął kapitan. – Co się zaś tyczy pańskiej obecności tutaj – zwrócił się do Antonia – to udam, że was nie widziałem. Nawet nie chcę wiedzieć, co tutaj robicie. – Chwyć go za ramię i ściszył głos do szeptu: – Pozwolę sobie wam przypomnieć, co obiecaliście nam kilka dni temu w zupełnie innych okolicznościach. Nie będę wam tu powtarzał warunków naszej umowy. Jeśli macie zamiar namalować właśnie to miejsce, lepiej będzie, jak od razu sprzedacie obraz za granicę. Czy wyrażam się jasno?

Antonio przytaknął.

– Co macie zamiar uczynić? – zapytał niemal instynktownie w obliczu przemocy ze strony kapitana.

– To, czego się ode mnie wymaga w takich sytuacjach – oświadczył z naciskiem stróż prawa i porządku publicznego. – Czyżbym był winien wam wyjaśnienia co do podejmowanych przeze mnie działań? – warknął z pogardą.

– Po prostu niepokoi mnie to, co dzieje się w mieście.

– Ach tak? – zainteresował się kapitan z wyraźną dozą ironii, unosząc przy tym znacząco brwi i wykrzywiając twarz w kpiącym grymasie. – Co was tak bardzo martwi, jeśli mogę wiedzieć?

– Jestem pewien, że to nie Żydzi odpowiadają za morderstwa tych nieszczęsnych kobiet!

– Czyżby? Czy macie jakieś dowody na potwierdzenie waszej tezy? Prowadzicie może śledztwo w tej sprawie? Jesteście biegli w działaniach dotyczących zbrodni?

– W żadnym razie.

– Tak właśnie myślałem. A więc bądźcie tak uprzejmi i zróbcie to, o co was proszę! A teraz znikajcie stąd jak najszybciej. I pamiętajcie: jeśli przyjdzie wam ochota uwiecznić to miejsce na obrazie, czego wam absolutnie nie radzę, to wyślijcie wasze dzieło za siedem mórz – mówiąc to, kapitan popchnął Antonia Canala w dół schodów kościoła, po czym zajął się przesłuchiowaniem zakrystiana.

20. Dwie kobiety

ANTONIO NIE POTRAFIŁ WYMAZAĆ z pamięci twarzy zamordowanej kobiety. Próbował o niej nie myśleć, ale obraz przerażonego oblicza ofiary ciągle go dręczył.

Pracował właśnie nad rozpoczętym szkicem przedstawiającym plac Świętego Jakuba Apostoła na wyspie Rialto. Uznał, że uwiecznienie widoku kościoła, straganów obwoźnych sprzedawców, wielkiego zegara odmierzającego godziny handlu i arkad okalających plac będzie doskonałym sposobem na utrzymanie cierpienia pod kontrolą. Nie zamierzał pozbyć się bólu, bo wiedział, że to niemożliwe, lecz chciał go poddać analizie i zachować na zawsze w szkatułce wspomnień. Konserwując doświadczenie w pamięci, miał nadzieję, że będzie mógł do niego sięgać zawsze wtedy, gdy będzie potrzebował silnego bodźca, napomnienia, że nigdy nie należy się poddawać. Nie mógł jednak pozwolić sobie na to, by przykre wspomnienie przygniotło go swoim ciężarem.

W ciągu ostatnich dni zaniedbał sztukę na rzecz śledztwa, które spędzało mu sen z powiek i burzyło spokój. Zadanie zleczone przez dożę naruszało porządek charakteryzujący jego życie również dlatego, że Antonio nie czuł się ani kompetentny, ani zdolny do jego realizacji.

Poza tym dręczyło go przekonanie uporczywie niczym kornik, że trafił do gniazda żmij – bo właśnie takie wrażenie zrobiła na nim wizyta w salonie Cornelli Zane. Nie potrafił uzasadnić swoich podejrzeń i po prawdzie nawet sam dokładnie nie umiałby zdefiniować tego, co go gryzie, lecz z upływem dni coraz silniejsze stawało się przekonanie, że ostre animozje wśród mieszkańców Wenecji, szalone rozprzestrzenianie się ospy, nienawiść do Żydów oraz szerząca się rozpusta stanowią część tego samego przerażającego planu.

Oczywiście na niektóre z tych wydarzeń ludzie nie mieli wpływu, chociaż... W głębi serca, instynktownie, Antonio czuł, że jego obawy są uzasadnione. Było to silniejsze od niego.

Dziewczyna zamordowana w tak okrutny sposób była niczym drzwi do tego groźnego świata. W jej wypełnionych strachem oczach dostrzegł przepaść, w którą staczała się Serenissima.

Postanowił, że odkryje prawdę. Znając siebie, wiedział, że nie spocznie, dopóki nie pozna dokładnie wielowątkowej tajemnicy, do której się zbliżył podczas śledzenia nieznanego mężczyzny.

Zdeprawowany do szpiku kości morderca wybierał na swe ofiary kobiety, i to nie te niższego stanu, lecz córki patrycjatu Wenecji. Antonio wyrobił sobie taką opinię na podstawie informacji z drugiej ręki, podejrzeń, hipotez i szkiców. Dziewczyna, którą znalazł o świcie w kałuży krwi, miała przecież na sobie elegancką suknię, chociaż napastnik w morderczym szale porozdzierał ją na strzępy. Czyżby również Charlotte znalazła się w niebezpieczeństwie? Na samą myśl, że tak może być, poczuł się niedobrze. Doszedł do wniosku, że to tylko fantazje wrażliwego artysty, któremu tragiczne obrazy zamieszały w głowie. No bo na jakiej podstawie opierają się jego twierdzenia? Nawet jeśli uda się z nimi do doży, to jakie konkrety będzie mógł mu przedstawić? Przecież jego idee nie są niczym innym jak rojeniami szalonego artysty.

Szukając ukojenia w obrazie, obserwował fasadę kościoła oraz arkady wzdłuż uliczki Ruga dei Oresi. Mieściły się przy niej zakłady złotników i jubilerów ciągnące się jeden za drugim aż do mostu Rialto. Naszkicował już kilka wersji tego widoku przy użyciu pióra i brązowego atramentu. Kiedy tak przyglądał się szczegółom, przypominając sobie przygotowane wcześniej obrazy wykonane na miejscu przy użyciu camery obscury, z kłębiących się w jego głowie myśli wyłonił się nowy aspekt całej sprawy. A mianowicie: zwłoki obu kobiet znaleziono w miejscach, które ostatnio odwiedzał, czyli w Rio dei Mendicanti oraz na placu Świętego Jakuba.

Niespodziewane odkrycie bardzo go zaniepokoiło.

Czyżby więc malował miejsca, które wybiera morderca, by porzucać w nich zwłoki swoich ofiar?

Czy ktoś go śledzi? Czyżby on sam był nieświadomym spiritus movens tego odrażającego projektu?

Jakkolwiek absurdalnie by to zabrzmiało, to jednak nie ulegało wątpliwości, że pierwsza ofiara została znaleziona w wodach kanału Rio dei Mendicanti po tym, jak jego obraz stał się powszechnie znany w Wenecji. A teraz, gdy zainteresował się kościołem Świętego Jakuba Apostoła, pojawiły się kolejne zwłoki. W tym przypadku morderca nie czekał, aż płótno zyska sławę, więc podobieństwa kończyły się na wyborze samego miejsca.

Niemniej jednak w ostatnim czasie Antonio bardzo często odnosił wrażenie, że ktoś za nim chodzi. Początkowo uznał, że to jedynie obsesja wynikająca z zadania, które zlecił mu doża, później zaczął się zastanawiać, czy aby najwyższy inkwizytor lub kapitan nocnej straży nie spuścili ze smyczy swoich chartów, żeby podążały jego tropem. To by miało sens. Insynuacje kapitana w czasie rozmowy na placu przed kościołem zaczęły nabierać znaczenia.

Zresztą trudno było nie przyznać urzędnikowi racji. Dlatego z wdzięcznością pomyślał o zakrystianie, który swoim oświadczeniem oddalił od niego zarzuty. Czy

jednak zapewnienia doży były prawdziwe? Czy rzeczywiście dał mu wolną rękę, czy tylko mydlił mu oczy? Czy jego uprzejme słowa nie miały jedynie dodać otuchy naiwnemu malarzowi, którego winą było to, że sportretował nieodpowiedniego człowieka w nieodpowiednim miejscu?

I wreszcie trzecia ewentualność, ta najbardziej przerażająca: morderca podąża jego śladem.

Jeśli tak się rzeczy mają, to być może wybór placu przy kościele Świętego Jakuba na miejsce rozerwania i porzucenia zwłok nieszczęsnej dziewczyny jest ostrzeżeniem dla bezczelnego artysty, który zajął się czymś, do czego absolutnie nie powinien się mieszać.

Jakby morderca śledził poczynania Antonia i chciał go zmusić do rezygnacji z planu poznania prawdy...

Pytania, morze pytań. I żadnej odpowiedzi.

Miał tylko nadzieję, że McSwiney zdoła dowiedzieć się czegoś interesującego. Im dłużej zastanawiał się nad tym, co się zdarzyło poprzedniego dnia, tym wyraźniej czuł, że stał się dla kogoś celem. Być może zresztą był nim od dawna, a dopiero teraz zdał sobie z tego sprawę.

Potrząsnął głową. Po pierwsze, musi znaleźć sposób, żeby się dowiedzieć, kim były zamordowane kobiety. Jak to zrobić? Do kogo się zwrócić?

A jeśli morderca naprawdę go obserwuje, to i Charlotte może grozić niebezpieczeństwo!

Postanowił, że od tej chwili zachowa wzmożoną ostrożność. Musi uważać i przyczać się na jakiś czas. Chociaż bardzo pragnął ją zobaczyć, zdecydował, że na razie odłoży wizytę. Uznał, że to jedyny sposób na zapewnienie ukochanej bezpieczeństwa.

A co, jeśli morderca pojechał za nim aż do Murano i teraz wie, gdzie znaleźć Charlotte?

21. Irlandczyk

ANTONIO WŁAŚNIE SKOŃCZYŁ OPOWIADAĆ O TYM, co się wydarzyło na placu Świętego Jakuba na wysepce Rialto: o zamordowanej młodej kobiecie, o jej zwłokach skąpanych we krwi, o przerażonym tłumie, o spotkaniu z dowódcą nocnej straży.

Owen McSwiney przyglądał mu się w napięciu.

– Obawiam się też, że ktoś mnie śledzi – dodał na koniec artysta, jakby to, co do tej pory wyjawiał, nie wystarczało, by zrobić wrażenie na Irlandczyku.

Ten jednak szybko zapanował nad konsternacją i zachował zimną krew.

– Łatwo możecie się przekonać, czy wasze podejrzenia są słuszne.

– W jaki sposób? – zapytał Antonio.

– Kiedy ponownie odniesiecie niepokojące wrażenie, że ktoś was obserwuje, spróbujcie się ukryć i z bezpiecznego miejsca to sprawdzić.

Antonio zastanawiał się przez chwilę i znalazł rozwiązanie.

– Mógłbym na przykład wejść do najbliższego kościoła, wspiąć się szybko na dzwonnice i przy pomocy lunety obserwować przyległy plac.

– Nie mam lepszego pomysłu.

Siedzieli w winiarni przy ukrytym w kącie stoliku. Irlandczyk skubał suszonego dorsza i marynowane sardynki z cebulą. Nagle westchnął ciężko i dodał:

– Drogi przyjacielu, jeśli mam być szczery, to muszę wam powiedzieć, że według mnie wpakowaliśmy się w niezłą kabałę.

Antonio przyznał w duchu, że właśnie tego się obawiał.

– Ja też tak myślę – potwierdził.

Irlandczyk nalał sobie małmazji i kilkoma łykami opróżnił kielich, jakby z nadzieją, że wino przyniesie mu ulgę. Ponownie napełnił szkło, westchnął i podjął przerwana opowieść.

– Ubiegłej nocy znowu odwiedziłem salon Cornelli Zane. Jak wspominałem, jej oddanym i wiernym pomocnikiem jest Olaf Teufel, wichrzyciel i człowiek niezwykle porywczy, którego trudno utrzymać na smyczy – wyjaśnił po cichu, nie chcąc wzbudzać zainteresowania innych gości.

– Co macie na myśli? – Antonio niemal zachłysnął się winem.

– Zaraz wam powiem. Przypominacie sobie, że otrzymałem specjalne zaproszenie?

– Jakże mógłbym zapomnieć!

– Oczywiście. Muszę przyznać, że nie po raz pierwszy ten szalony gach zaprasza mnie do udziału w swoich piekielnych igraszkach i kilkakrotnie zdarzało mi się przyjąć propozycję. W przeszłości chodziło zwykle o wyuzdane przyjęcia w wątpliwym guście – chyba już wam wspominałem, że od czasu do czasu pozwalałam sobie na takie rozrywki – ale tym razem chory umysł Teufela wykombinował coś naprawdę niezwykłego – powiedział McSwiney i zamilkł.

– Bardzo was proszę, opowiedzcie mi wszystko do końca – ponaglił go Antonio, nie mogąc poskromić ciekawości.

Irlandczyk skinął głową.

– No dobrze, a więc kiedy goście zebrali się w pałacyku Cornellii, a było nas wszystkich dziewiętnastu, Teufel przyprowadził dziesięć młodych dziewczyn znacznej urody. Każda z nich miała być przewodniczką dla dwóch mężczyzn. Kiedy kobiety przewiązały nam oczy jedwabnymi wstęgami, powiodły nas do części pałacyku, której nigdy wcześniej nie widziałem. Po prawdzie sędzę, że zaprowadziły nas sekretnym przejściem do sąsiedniego budynku.

– Skąd takie przypuszczenie?

– Podczas krótkiego spaceru rozpraszały nas słodkie słowa, które nasza przewodniczka szeptała nam do ucha, obiecując rozkosze nie z tej ziemi, jednak zdało mi się, że w pewnym momencie usłyszałem metaliczny zgrzyt. Dźwięk skojarzył mi się z uruchamianiem jakiejś maszyny. Na pewno schodziliśmy po schodach, które prowadziły prawdopodobnie na dziedziniec, bo nagle poczułem przeszywający chłód, jakbyśmy znaleźli się na zewnątrz budynku. Kiedy dotarliśmy na miejsce przeznaczenia i ściągnięto nam przepaski, zauważyłem, że dziewczęta zniknęły. Zostaliśmy we własnym gronie: zaproszeni goście oraz nasz gospodarz: Olaf Teufel.

– I co się wydarzyło?

– Jak już wspominałem, miejsce było bardzo dziwne. Wystrojem wewnątrz przypominało... – McSwiney zawahał się na chwilę, jakby szukał odpowiednich słów.

– Co takiego przypominało? – odezwał się niecierpliwie Antonio.

– Świątynię – wyznał wreszcie Irlandczyk.

– To znaczy, że trafiliście do kościoła?

– W żadnym razie! – zaprzeczył żywo McSwiney, z trudem tłumiąc niesmak. – Znaleźliśmy się w dużym salonie. W pobliżu willi, w której przyjmuje Cornelia Zane, nie ma przecież żadnego kościoła! Nie w tym rzecz. Chodzi o coś zupełnie innego.

– Możecie mówić jaśniej?

– Mam na myśli to, że wystrój wnętrza pałacyku patrycjuszów, w którym się znajdowaliśmy, był bardzo specyficzny. A sam Teufel też sprawiał wrażenie zupełnie innego człowieka. Jakby nagle zmienił się w kogoś innego.

– Nie bardzo rozumiem... – powiedział Antonio z wahaniem. Opowieść przyjaciela wydawała mu się coraz bardziej zagmatwana i ponura.

– Wyobrażam sobie. No więc tak: sufit w salonie przypominał gwiazdziste niebo wymalowane ręką jakiegoś podrzędnego artysty. Ale to jeszcze nic. Marmurowa podłoga wyglądała jak czarno-biała szachownica. Po obu stronach drzwi wejściowych znajdowały się kolumny: na środku jednej wyrzeźbiono literę B, a na drugiej J. Na ścianach wymalowano dziwne, tajemne symbole. Opisuję wam dokładnie całe wnętrze, aby dać wam do zrozumienia, że ktoś specjalnie tak je urządził, by przypominało miejsce, w którym odbywają się magiczne rytuały. Jednak najbardziej zdziwił mnie strój Olafa Teufla.

– Czy możecie go opisać? – Ciekawość Antonia sięgała zenitu.

– Był odziany cały na czarno i przewiązany w pasie jakąś dziwną białą szarfą. Wkrótce do sali weszło jeszcze dziesięciu mężczyzn w podobnych strojach. Stanęli za naszymi plecami. Teufel zachowywał się tak, jakby znajdował się pod wpływem jakiejś substancji lub napoju pobudzającego. Zaczął wygłaszać tyrady na temat braterstwa, nierozzerwalnych więzów, wspólnych projektów... Utrzymywał, że powinniśmy stać się jego oczami i uszami, że Wenecja zasługuje na obronę, więc należy ją chronić przed ludźmi zaślepienymi chciwością i okrucieństwem, przed tymi, którzy są gotowi na wszystko, byle tylko zepchnąć nas w piekło niedoli i zagłady. Odniosłem wrażenie, że słucham bredzenia szaleńca. Przynajmniej dlatego, że jak powszechnie wiadomo, Serenissima dysponuje rozległym aparatem sądownictwa wspieranym przez strażę, których zadaniem jest dbanie o bezpieczeństwo miasta i jego mieszkańców. Tymczasem nasz gospodarz majaczył coś o uświęconych przymierzach i symbolach bractwa przyjętych już przez konfratrów stojących za naszymi plecami. Następnie każdy z nas musiał przyrzec, że nie wyjawি żadnych szczegółów spotkania pod karą obcięcia języka. Jak widzicie, ja już złamałem obietnicę.

– Dziękuję i doceniam waszą odwagę.

– Jeśli mam być szczery, to wydarzenia ubiegłej nocy zaskoczyły mnie i wprawiły w zdumienie. No i nadały naszym podejrzeniom jeszcze mroczniejszą barwę. Zresztą, jak już wspominałem, to nie pierwsza osobliwość, jaka uderzyła mnie podczas wizyt w salonie Corneli Zane. Odkąd sięgam pamięcią, zachowanie Teufla zawsze było specyficzne. Myślę, że właśnie jego nietypowy sposób bycia sprawił, że zdołał zdobyć serce tej kobiety.

– Czyżby kurtyzana miała z nim romans?

– Nie wiem, czy można tak określić ich relację. Chociaż oczywiście Olaf, będąc jej kawalerem, zaspokaja również jej nienasycony apetyt i żądze cielesne. Równocześnie

wykorzystuje też swoją atrakcyjną powierzchowność oraz ujmujące maniery, aby nią manipulować i wpływać na jej decyzje.

– A konkretnie w czym się to przejawia?

McSwiney potrząsnął głową.

– Niełatwo to wytłumaczyć, bo nasz typ spod ciemnej gwiazdy działa bardzo dyskretnie i oficjalnie wystrzega się wszystkiego, co mogłoby się kojarzyć z łamaniem prawa. A jednak pamiętam, że początkowo salon Cornelii Zane rzeczywiście był miejscem spotkań artystów, aktorów i myślicieli. Dopiero później, kiedy Teufel wkradł się w jej łaski, wszystko się zmieniło. Jak sami widzieliście, zorganizowano świetnie funkcjonującą salę gier, a część pomieszczeń przeznaczono na sekretne rozrywki.

– Chodzi o pokoje usytuowane po obu stronach korytarza prowadzącego do szulerni?

– No właśnie. A na półpiętrze urządzono alkowy, o czym mieliście okazję się przekonać. Początkowo gwarantowano gościom i kurtyzanom całkowitą dyskrecję, dopiero z czasem za zgodą stałych bywalców podjęto decyzję o zamontowaniu judaszy w drzwiach. Z zewnątrz można więc szpiegować uczestników zabaw erotycznych, co czyni je jeszcze bardziej pikantnymi, gdyż kochankowie nigdy nie mają pewności, czy są naprawdę sami, czy też mają ukrytych świadków. Oczywiście maski do pewnego stopnia gwarantują anonimowość.

– Tak, tak, chociaż wiemy, że ich rodzaj też ma znaczenie.

– Bez wątplenia. Maseczki zakrywające jedynie oczy są mniej skuteczne od tych, które zasłaniają twarz aż po usta lub nawet po szyję.

– Właśnie to miałem na myśli.

– Ja jednak chciałem wam zwrócić uwagę na coś innego. Otóż od czasu, gdy Teufel zaprzyjaźnił się z Cornelią, można zauważyć, że atmosfera w pałacyku coraz silniej przesiąka finezyjną perwersją. Powtarzam, nie chodzi o postępowanie niezgodne z prawem, raczej o działania na granicy żenady, wulgarności, nieprzyzwoitości. Ja sam muszę przyznać, że nie sprzeciwiłem się jednoznacznie niektórym jego propozycjom: pokusy cielesne czynią nas słabymi, mój przyjacielu. Jedynie dusza jest nieśmiertelna. Niemniej jednak ceremonia, w której wziąłem udział ubiegłej nocy, była naprawdę dziwna i niepokojąca. Zwłaszcza w obliczu tajemnych symboli zdobiących ściany oraz bredni, którymi Teufel nas uraczył podczas swojej przemowy.

– Czy wiecie, kim on tak naprawdę jest?

– Teufel? Gdyby udało nam się odkryć jego prawdziwą tożsamość, moglibyśmy mówić o szczęściu. Tak cenna informacja pomogłaby nam zbliżyć się do odkrycia tajemnicy, która was interesuje. Na razie jednak wiem tylko to, co on sam puszcza w obieg na swój temat.

– To znaczy?

– Nasz znajomy podaje się za zubożałego pruskiego szlachcica i utrzymuje, że przybył do Wenecji, aby zanurzyć się w atmosferze wolności. Gdyby te opowieści nie brzmiały fałszywie dla moich uszu, mógłbym nawet pomyśleć, że jest banitą podobnie jak ja. Moim zdaniem Teufel pochodzi z Moraw albo ze Śląska i oczywiście nie ma w tym nic złego, jednak powszechnie wiadomo, że ludzie urodzeni na tych dzikich terenach charakteryzują się zmiennym i kapryśnym temperamentem. Podejrzewam, że jest włóczęgą i podróżnikiem, bo na pewno zdarzyło mu się odwiedzić kraj, który bardzo dobrze znam.

– Irlandię?

– Nie, Anglię.

– Skąd ta pewność?

– Bo bardzo dobrze posługuje się językiem... Ma świadomość niuansów, a nie można nauczyć się tego, nie mieszkając przez dłuższy czas w danym kraju. Poza tym równie dobrze mówi po niemiecku, po węgiersku, po francusku, po polsku, po rosyjsku, po turecku, po grecku i jeszcze w kilku innych językach, o których istnieniu nie miałem pojęcia. Skąd to wiem? Ponieważ w ciągu ostatniego roku byłem świadkiem jego rozmów z cudzoziemcami. Przypominam sobie na przykład pewnego markiza z Polski, kupców z Północy i z Rosji. I ani razu nie zauważyłem, żeby się wahał, potykał czy zastanawiał nad doborem słów. Nie muszę dodawać, że tak rozległa znajomość języków urzekła Cornelię, która, słusznie czy nie, uczyniła z niego swego zausznika oraz mistrza ceremonii.

– I ten oryginał zaprosił was i pozostałych dziewiętnastu kawalerów, aby dyskutować o bezpieczeństwie Wenecji?

– Nie zapominajcie też o dziesięciu mężczyznach, których ze sobą przyprowadził. Wiem, że to brzmi nedorzecznie, ale tak było. Powiem więcej: prawie wszyscy uczestnicy spotkania wyglądali na zachwyconych...

– A jakie są wasze wrażenia?

– W najlepszym razie mógłbym powiedzieć, że jestem zdumiony. Poza tym nie będę ukrywał, że ten dziwny rytuał wzbudził we mnie niepokój. Wyglądało to na jakąś mętną ceremonię inicjacyjną, a mimo to nie mogłem przecież okazywać niezdecydowania. Dlatego wraz z innymi udawałem entuzjazm. Również z tego powodu, że poza pewnymi stwierdzeniami, w całym tym przedstawieniu nie było nic, czemu można by się otwarcie sprzeciwić. Teufel przygotował wszystko w taki sposób, jakby proponował nam pakt braterstwa, a ktoś taki jak ja, pozbawiony protekcji wygnaniec na obcej ziemi, dwa razy się zastanowi, zanim odrzuci propozycję

przyjaźni. I jakkolwiek dziwnie by to zabrzmiało, wyznam wam, że do tej pory w salonie Cornellii Zane zawsze nawiązywałem interesujące i korzystne znajomości.

– Tymczasem teraz sprawy zaczynają się komplikować.

– Dokładnie tak.

– Nie wiem, co o tym wszystkim myśleć – oświadczył Antonio, a w jego głosie zabrzmiała wyraźna konsternacja. – Dwa brutalne morderstwa, których ofiary są prawdopodobnie wysoko urodzone. Bezwzględna nienawiść w stosunku do Żydów...

– Nienawiść do Żydów? O co tu znowu chodzi?

– Zapomniałem wam o tym powiedzieć. Po tym, jak dowódca nocnej straży pojawił się na miejscu zbrodni przy kościele, tam, gdzie w kałuży krwi spoczywało ciało dziewczyny, niektóre osoby w tłumie ciekawskich zaczęły rzucać obelgi pod adresem Żydów, sugerując, że to właśnie oni są odpowiedzialni za morderstwo.

McSwiney pokręcił głową.

– Ależ to nie ma sensu – powiedział – z jakiego powodu mieliby dokonać tak podłego czynu?

– Gdybyśmy mieli podjąć rozważania teoretyczne, to rzekłbym, że w ciągu ostatnich lat sami dostarczyliśmy im powodów, zamykając ich za ogrodzeniem od północy do świtu jak stado bydła, skazując na życie w ciasnych, zatłoczonych mieszkaniach, żądając niebotycznie wysokich opłat czynszowych, zabraniając zakupu nieruchomości, ograniczając do minimum sektory prowadzenia interesów... Jak widzicie, nie można się skarżyć na brak przyczyn.

– Rozumiem i zgadzam się z wami, jednak zastanawiam się nad następującą kwestią: umieszczenie ludności żydowskiej w getcie ma na celu zapewnienie jej ochrony przed atakami i uniknięcie niepotrzebnych ofiar. W przeszłości dochodziło już przecież do podobnych rozruchów. A poza tym Republika gwarantuje im liczne przywileje i prawa, z których w innym miejscu nie mogliby korzystać.

– To prawda.

– Drogi przyjacielu, uważam, że Żydzi zostali wybrani na kozła ofiarnego, żeby zamydląć oczy naiwnym. Niestety, na razie zbyt mało wiemy o dwóch zamordowanych kobietach. Proponuję więc zająć się sprawą krok po kroku – stwierdził z przekonaniem McSwiney.

– Co macie na myśli?

– Po pierwsze, należy dowiedzieć się czegoś więcej na temat pochodzenia i działalności Olafa Teufla. Po drugie zaś, wykorzystując wasze dobre stosunki z dożą, powinniście wydobyć od niego informacje dotyczące tożsamości zamordowanych kobiet.

– Wczorajsza uroczystość dała wam do myślenia, nieprawdaż?

– Macie rację. Jak już mówiłem, sekretne nocne spotkanie jednocześnie mnie zaniepokoiło i zaskoczyło. Dlatego po namyśle mam dla was propozycję.

– Słucham uważnie – powiedział Antonio.

– Mam w Wenecji serdecznego i zaufanego przyjaciela...

– Jak na człowieka pozbawionego protekcji naprawdę nieźle sobie radzicie, mój drogi. Jak nazywa się wasz znajomy?

– Joseph Smith.

– Jest Irlandczykiem?

– Nie, Anglikiem. Ale bardzo wpływowym. Chociaż przybył do Wenecji całkiem niedawno, to ma dobre układy w angielskim konsulacie w Republice. Jeśli jest ktoś, kto może rzucić światło na wydarzenia wczorajszej nocy, to właśnie on.

– A skąd cudzoziemiec miałby informacje na temat tajemnego spotkania sekty? – zdziwił się Antonio.

– Natknąłem się na niego niedawno i podczas rozmowy, jak często mi się zdarza, wspomniałem o mojej niechęci do Williama Colliera i poskarżyłem się na jego knowania, które doprowadziły do oddalenia mnie z dworu królewskiego. Na co Joseph wyznał mi otwarcie, że mój wróg cieszy się wsparciem ze strony ciemnych mocy.

– Naprawdę macie na myśli siły nadprzyrodzone? – wyjąkał niepewnie Antonio.

– Dokładnie takie samo pytanie mu zadałem!

– I co wam odpowiedział?

– Smith wspomniał mi o sekretnych bractwach i o mrocznych paktach. Teraz, kiedy wam o tym opowiadam, przyszło mi do głowy, że...

– Wczorajsze spotkanie miało właśnie taki charakter! – dokończył poruszony Antonio.

– Nic dodać, nic ująć.

– A więc na co czekamy? Czy możemy jak najszybciej umówić się ze Smithem?

– Oczywiście.

– Zajmiecie się organizacją spotkania? – Antonio kuł żelazo, póki gorące.

– Zgoda. Przy odrobinie szczęścia pomoże nam zrozumieć pokrętny sposób myślenia Olafa Teufła.

– Ja zaś udam się do doży i spróbuję się dowiedzieć czegoś na temat tożsamości ofiar.

– A tymczasem pomnijcie na moje słowa – zakończył McSwiney, wstając od stołu z zamiarem opuszczenia tawerny. – I zachowajcie zdwojoną ostrożność!

22. Fanatyzm

ISAAC LIEBERMANN SIEDZIAŁ PRZY STOLE, przy którym z reguły zajmował się zgłębianiem Talmudu. Tego dnia w jego ręce trafiły jednak zupełnie inne księgi. Rabin Mordecai Coen zaprowadził go do swojej biblioteki wypełnionej po brzegi grubymi tomami i polecił mu dwa z nich, oprawione w ciemną skórę i ozdobione złotymi literami, ze wskazaniem, by przeczytał je z należytą uwagą.

Isaac oczywiście posłuchał mentora, a skończywszy pierwszą księgę, stropił się wielce, dzieło zostało bowiem w całości poświęcone historii życia Szabetaja Cewiego. Młody i wyrafinowany znawca Słowa od początku wywierał duży wpływ na szybko rosnącą liczbę swoich zwolenników. Z czasem wokół jego postaci narosło wiele legend i pogłosek: ponoć jeździł na białym koniu, mieszkał w pałacu pokrytym złotem i drogimi kamieniami, odznaczał się wyjątkową urodą i nie miał sobie równych w bitwie, mówił ponad dwudziestoma językami i znał na tyle dobrze pisma kabalistyczne rabbiego Isaaca Lurii, że stworzył całkowicie nową wizję praw.

Pomijając jednakże te wszystkie opowieści, jedno było pewne: każdego dnia Szabetaj Cewi budził nadzieję wśród ludu Izraela rozproszonego po całym świecie, iż po wygnaniu trwającym długie lata wreszcie będą mogli wrócić do domu. Synowie narodu wybranego powtarzali jego słowa jak ziemia długa i szeroka. Wykorzystując swój urok osobisty, mężczyzna zaproponował całkowicie nową interpretację Tory, pozmieniał obowiązujące od wieków reguły i zniósł niektóre obowiązki. Ożenił się z Sarą, Żydówką wielkiej urody, która dzięki swemu nieodpartemu urokowi przysporzyła mu wielu zwolenników. Pochodziła z ziem polskich, była sierotą i uciekła przed okrucieństwem Kozaków łupiących przygraniczne wioski. Do czasu małżeństwa z Szabetajem Sara nie okazywała specjalnego przywiązania do religii i utrzymywała się z nierzędu.

Powodzenie samozwańczego mesjasza nie słabło, co więcej, rosło gwałtownie niczym wzburzona fala i nawet kiedy rabini wygnali go ze Smyrny, podróżował z miasta do miasta, powiększając szeregi swoich wyznawców, wśród których wyróżniał się uznany za proroka Natan z Gazy.

Rosnące powodzenie zaprowadziło go w końcu do Konstantynopola, gdzie miało dojść do Armagedonu, czyli bitwy dającej mesjaszowi ostateczne zwycięstwo. Przybywszy do miasta, Szabetaj Cewi zebrał ogromną liczbę nowych zwolenników, czym sprowokował wielkiego wezyra Ahmeda Köprülü do osadzenia go w tureckiej

twierdzy Gallipoli. W ten sposób władca chciał z jednej strony uniknąć rozruchów, a z drugiej zyskać czas na przygotowanie spotkania z wpływowym przywódcą religijnym. W miejscu odosobnienia nikt nie traktował Szabetaja jak wroga. Samozwańczy mesjasz pogrążył się w błogim lenistwie, spędzając czas na przyjemnościach i łamaniu świętych praw. Na przykład w wigilię Paschy kazał zarznąć baranka dla siebie i swoich najbliższych towarzyszy, po czym zjedli nawet niekoszerne części zabronione prawem mojżeszowym, potwierdzając w ten sposób ostateczne zniesienie starych zasad.

Podczas gdy Szabetaj Cewi kpił sobie z nieprzyjaciół, pijąc i oddając się zmysłowym uciechom oraz innym ziemskim przyjemnościom, wielki wezyr Ahmed Köprülü przygotowywał spotkanie w pałacu w Edirne, w którym mieli wziąć udział sam sułtan i jeden z jego najwyższych imamów – Vani Efendi. Kiedy mesjasz na wezwanie sułtana Mehmeda IV przybył na dwór, zmuszono go do wyboru pomiędzy karą śmierci a przejściem na islam. Nie zastanawiając się długo, samozwaniec zgodził się przyjąć nową religię i bez oporów przywdział turban.

Akt zaparcia się wiary przodków wzburzył społeczność żydowską i spowodował całkowite zamieszanie wśród wyznawców niedoszęłego mesjasza. Niemalże od razu podzielili się na dwie sekty. Jedni odrzucili decyzję swojego przywódcy, uznali go za apostatę i pogrążyli się w bólu oraz żałobie. Przywdziali pokutne szaty i umartwiali ciało, ryzykując życie. Druga grupa z jeszcze większym oddaniem poparła mesjasza i wykorzystując wieloznaczną interpretację Tory zaproponowaną przez Natana z Gazy, uznała, że Cewi przyjął wiarę nieprzyjaciela jedynie po to, aby od wewnątrz dokonać zniszczenia w jego szeregach. I właśnie oni stworzyli tak zwaną sektę Dönmeħ: oficjalnie praktykowali islam, lecz w ukryciu pozostawali wierni judaizmowi.

Zdarzenia zapoczątkowane apostazją okazały się jednak druzgocące, za pierwszą schizmą poszły bowiem kolejne. Odłam Dönmeħów podzielił się wkrótce na tych, którzy uważali, że powinni ściśle przestrzegać w życiu zasad czystości i cnoty w oczekiwaniu na rychłe przyjście prawdziwego mesjasza, oraz na zwolenników Barucha Russa, którzy twierdzili, że muszą powielać grzech Szabetaja, splamić się najgorszymi uczynkami i czekać na odkupienie. Na początku siedemnastego wieku Baruch, powodowany chęcią pójścia w ślady Szabetaja oraz dążeniem do drastycznej zmiany przykazań, doprowadził do kolejnego skandalu, głosząc, że mesjańska Tora, stanowiąca podstawę nauk Cewiego, zakłada całkowite odwrócenie porządku etycznego poprzez przekształcenie trzydziestu sześciu zakazów zwanych *keritot*, których naruszenie groziło dotychczas karą zatracenia i unicestwienia duszy, w pozytywne zalecenia. Jego szalone pomysły dopuszczały między innymi wszystkie możliwe relacje cielesne, łącznie z kazirodztwem.

W trakcie lektury Isaac nie potrafił się nadziwić, jak komuś mogła przyjść do głowy podobna orgia bluźnierstw. Kiedy rabin polecił mu lekturę ksiąg, uczulił go, aby zachował wszystko dla siebie i nikomu nie wspominał o treści tomów.

Teraz już rozumiał powód tej ostrożności. Jednak przeczucie mówiło mu, że to jeszcze nie koniec. Wszak czym innym było szczegółowe poznanie etapów działalności Szabetaja Cewiego, które doprowadziły do apostazji, a czym innym zgłębianie nauk obłąkanego Barucha Russa, wcielonych potem w życie przez jednego z jego uczniów. Drugi tom opowiadał właśnie o tym. Choć nie był zbyt obszerny, to zawierał tyle niegodziwych i nieprzyzwoitych opisów, że włos się jeżył na głowie.

Jak tylko Isaac skończył czytać, umocniło się w nim przekonanie, że jeśli tekst trafiłby w niepowołane ręce, mógłby się stać źródłem inspiracji dla najbardziej niewyobrażalnych okropności. Naszła go wątpliwość, czy czasem już do tego nie doszło. Biorąc pod uwagę to, co działo się ostatnio w Wenecji, można by przypuszczać, że ktoś naprawdę wszedł w posiadanie zakazanych ksiąg i nauczył się ich na pamięć. Właśnie tego dnia, gdy szedł do synagogi, usłyszał, jak ktoś wypowiada imię Szabetaja Cewiego. I nie zdarzyło się to wcale po raz pierwszy. Konsekwencje mogły się okazać niezwykle groźne.

Serenissima zawsze słynęła z drukarni i chociaż czasy Alda Manuzia minęły bezpowrotnie, nikt nie przeczył, że sztuka ta ciągle jeszcze przynosi chwałę Wenecji. Również dlatego, że chętnie zajmowali się nią właśnie Żydzi będący zręcznymi drukarzami. Zawsze mogli liczyć na pracę w tym fachu.

A jeśli któryś z nich przypadkiem natknął się na tę przeklętą książkę? Tak właśnie musiało być. Skoro rabbi Mordecai Coen miał kopię, to przecież i inni mogli wejść w posiadanie niebezpiecznego tomu i czerpać zeń inspirację do popełniania potwornych zbrodni albo po prostu do rozpowszechniania kłamstw i oskarżeń pod adresem Żydów na temat domniemanego mordercy, który miałby się wywodzić właśnie z ich społeczności. A wiadomo, że takie plotki plenią się szybciej niż najgorsze chwasty. Isaac przypominał sobie też, że młody Shimon Luzzatto pracuje w zakładzie drukarskim i właśnie dzięki temu rozpowszechnia kartki z informacjami, które w niezbyt zawoalowany sposób oskarżają władze i mieszkańców Wenecji o upokarzanie Żydów. Jednak ten sposób postępowania, jak już wspomniano, wydawał się całkiem sprzeczny z ewentualnym dążeniem do obarczenia własnej społeczności winą za morderstwa kobiet. Chociaż istniała możliwość, że Shimon popełniał zbrodnie, aby zemścić się za krzywdy swojego ludu. Jednak nawet wykorzystując całą swą wyobraźnię, Isaac nie zdołał przekonać samego siebie, że młodzieniec byłby w stanie splamić się podobnym okrucieństwem, a ponadto za jego niewinnością przemawiał pewien znaczący szczegół. Otóż swoją działalnością agitatorską już i tak

wzbudzał podejrzenia, więc oznaczałoby to, że sam kopie sobie grób. A przecież morderca powinien zrobić wszystko, by oddalić od siebie ewentualne posądzenia. Ostateczna diagnoza była zatem jasna: ta hipoteza nie ma większego sensu.

Isaac chciał wrócić do lektury, ale nie mogąc się skupić, ograniczył się do kartkowania stron. Historia opowiadała o losach małej żydowskiej wioski na Morawach i o tym, jak jej mieszkańcy ulegli namowom samozwańczego mesjasza Szabetaja Cewiego, a po jego przejściu na islam wpadli w sidła schizmy i podzielili się na dwa odłamy. Zwyciężyła grupa, która postanowiła wypełniać ściśle nakazy i zalecenia domniemanego mesjasza, radykalizując jeszcze bardziej jego pomysły dotyczące gwałcenia świętych praw grzesznymi uczynkami.

Na czele frakcji bałwochwalców, która przejęła władzę w morawskiej wiosce, stanął kabalista Shimon Friedman. Był on przystojnym mężczyzną z długą czarną brodą i oczyma przypominającymi rozżarzone węgielki, charakteryzował się wyjątkową elokwencją oraz urzekającą barwą głosu. Przedstawiał się jako uczeń Barucha Russa, jednego z najzagorzalszych zwolenników Szabetaja Cewiego.

Pod jego przewodnictwem mieszkańcy wioski bez opamiętania oddawali się nawet najbardziej ohydnych przyjemnościom. Ku chwale szarlatana Barucha Russa kabalista Shimon wykorzystywał najładniejsze dziewczyny i dopuszczał się wielu innych obrazoburczych aktów. A potem w środku nocy kładł się nago na śniegu i biczował cierniami i pokrzywami, a ta surowa dyscyplina, te rażące sceny zadawania sobie bólu nie tylko sprawiały, że w oczach wiernych uzyskiwał rozgrzeszenie, ale także czyniły zeń przewodnika i wzór do naśladowania, wychwalany pod niebiosa.

Jego ekstrawaganckie poczynania bardzo szybko przysporzyły mu zwolenników, a jego sława rozlała się szeroko poza okolice rodzinnej wioski, docierając do każdego zakątka Moraw, a nawet jeszcze dalej.

Wraz z popularnością rósł jego nienasycony apetyt: z każdym dniem stawał się bogatszy, bo gromadził dobra materialne wszelkiego rodzaju; przywiązywał coraz większą wagę do własnego wyglądu; żądał wystawnych potraw; zniewalał uśmiechem kobiety, a one nie mogły mu się oprzeć, żywiąc w sercach tajoną nadzieję, że kiedyś przydarzy się okazja, by dać potomka temu przystojnemu i zuchwałemu mężczyźnie.

On sam określał się mianem „małżonka Tory” oraz „pierworodnym synem Boga”. Szaleństwo, które ogarnęło mieszkańców wioski, nie miało końca. Zdawało się, że nic nie jest w stanie zagrozić nieograniczonej pozycji i władzy uzurpatora. Dopiero gdy jedna z kobiet poskarżyła się, że kabalista ją zniewolił, i na dowód pokazała głębokie zadrapania na biodrach, utrzymując, że są wynikiem użycia siły, coś się zmieniło i w doskonałej masce Shimona Friedmana dało się dostrzec pierwsze pęknięcia.

Oczywiście natychmiast pojawili się zwolennicy proroka gotowi zarzucić kobiecie kłamstwo i zaczęli rozgłaszać, że Sarah, bo tak miała na imię ofiara gwałtu, sama się poraniła, lecz ziarno nieufności i niezgody zostało zasiane. Oskarżenie wywołało skandal, a rabini z sąsiednich wiosek, którzy od dawna próbowali zaszkodzić sławie Shimona Friedmana, zaczęli rosnąć w siłę.

Zniesmaczony bzdurami i niegodziwościami zawartymi na kartach księgi, Isaac zamknął z niechęcią trzymany w rękach wolumin i potrząsnął głową. Postanowił, że nie będzie dalej zgłębiał tekstu, aby nie ryzykować utraty wiary. Doskonale rozumiał przestrożę rabiego Mordecaia Coena i przyznawał mu rację. To, co ostatnio działo się w Wenecji, naprawdę wyglądało na karę, którą ściągnęły na Żydów nieczne czyny popełnione najpierw przez Szabetaja Cewiego i Barucha Russa, a potem przez licznych naśladowców, takich jak Shimon Friedman. Ci ostatni, wcielając w życie nauki swoich przewodników, zradykalizowali je do tego stopnia, że szkodliwe konsekwencje ich działań stały się nieodwracalne.

Rabin Coen przypomniał mu też, że społeczność żydowska Wenecji nie odrzuciła wyraźnie kłamstw fałszywego mesjasza ze Smyrny, jak to uczynili na przykład bracia z Livorno.

A teraz zdradliwe, tendencyjne działania jakiegoś niegodziwego wichrzciciela sprawiły, że nad gettem zawisła groźba tragedii. Wiązały się one z tym, że obojętne milczenie będące reakcją na nauki Cewiego sprzed pięćdziesięciu lat czy nawet sprzyjanie jego teoriom było grzechem zaniechania lub świadomej apostazji, za które przyszło wreszcie zapłacić.

Niestety, nikt nie wiedział, czy któryś z członków społeczności nie uległ wpływom szalonych idei Cewiego i Russa i teraz wcielając je w życie, zdecydował zanurzyć naród wybrany w morzu krwi i zabarwić wody laguny żywą czerwienią.

Jego rozważania przypominały raczej majaczenia szaleńca. Jednak zawartość wydrukowanego w Wenecji dzieła, które właśnie miał w ręce, przywodziła na myśl zbiór bredni anonimowego podżegacza, stworzonych jedynie po to, by rozlewać truciznę pośród Żydów. A Isaac nie brał nawet pod uwagę tego, co mogłoby się wydarzyć, gdyby w posiadanie księgi wszedł ktoś, kto nie należał do zamkniętej społeczności Izraelitów.

Nie miał pojęcia, jak powinien postąpić. Z pewnością należało dobrze ukryć te pisma. Podejrzewał jednak, że skoro rabin przypomniał mu postać Cewiego i przekazał nieszczęsną księgę, to musiał żywić przekonanie, że ktoś w mieście już wie o jej istnieniu, co więcej, że uznaje ją za prostą drogę prowadzącą do obarczenia Żydów winą za ostatnie krwawe zbrodnie i całe zło świata.

A przepowiednia ogłoszona przez Cewiego i innych szalonych kabalistów była ku temu doskonałą wymówką.

23. Charlotte

NAJBARDZIEJ ZASKOCZYŁA GO wyrazistość pola widzenia. W przeciwieństwie do większości lornet efekt powiększający nie zakłócał ostrości, a przynajmniej nie do tego stopnia, by uniemożliwić natychmiastowe rozpoznanie obserwowanego obiektu.

Wszystko wskazywało na to, że szkła wytwarzane przez Charlotte von der Schulenburg były naprawdę najwyższej jakości. Co więcej, mechanizm urządzenia i zębatka pozwalały na szybkie przechodzenie od systemu ruchu kolistego do liniowego. Umożliwiało to skracanie tuby lornety, a dzięki prostej konstrukcji bocznych dźwigni również zdumiewająco szybką zmianę pola widzenia. Postępując zgodnie ze zwyczajową zasadą, że po skróceniu lorneta gwarantuje poszerzenie pola widzenia, Antonio przekonał się, iż jest w stanie niemal w całości obserwować przestrzeń przed sobą. Oczywiście perspektywa ulegała nieco zniekształceniu, lecz nie na tyle, by zakłócić dobrą widoczność, którą zapewniały wewnętrzne szkła przesuwane za pomocą dźwigni.

W każdym razie kierując lornetę raz w jedną, raz w drugą stronę, dokładnie widział przechodniów pojawiających się na placu. Pośród obwoźnych sprzedawców, żebraków, darmozjadów, pijaków, służących i kucharek zwłaszcza jeden mężczyzna zwrócił jego uwagę. Był ubrany na ciemno, począwszy od ciemnobrązowej peleryny okrywającej poplamiony i wymięty frak w kolorze butelkowej zieleni. Zużyty kołnierz koszuli z białego zmienił się w szary. Na głowie miał brudny, zasłaniający oczy kapelusz, który nadawał mu wygląd Cygana albo pirata. Wysuwały się spod niego długie kosmyki brązowych włosów przeplatanych gdzieniegdzie siwizną, które mimo że związane w kucyk, nie chciały tkwić spokojnie na swoim miejscu. Oryginalny złoty kolczyk nadawał jego twarzy nieco egzotyczny wygląd.

Od jakiegoś czasu Antonio żywił przekonanie, że ktoś go śledzi, i dlatego przy pomocy lornety podarowanej mu przez Charlotte postanowił sprawdzić plac przed budynkiem, w którym się ukrył. Zachowując zdwojoną ostrożność, szybko pokonał schody prowadzące na drugie piętro i przyczał się w loggii. W ciągu ostatnich dni co najmniej dwa razy odniósł wrażenie, że ktoś go obserwuje, i chciał się przekonać na własne oczy, czy to prawda.

Nie miał pewności, czy rozpoznał swojego tropiciela, ale sposób, w jaki szpicel rozglądał się dookoła, był niezwykle wymowny. Kiedy Antonio wcześniej zbliżył się do placu, przyspieszył kroku i podbiegł do budynku, w którym umówił się z przyjacielem

będącym jednocześnie właścicielem rezydencji. Popchnął drzwi i skrył się w środku, zanim szpiegujący go mężczyzna wyłonił się zza rogu.

Potem ruszył schodami na drugie piętro i znalazłszy się w loggii, stanął przy łuku i zaczął patrzeć na plac. Aby ułatwić sobie oględziny, nie będąc zauważonym, wyjął nową lornetę i poddał ją próbie. Rezultat przeszedł jego najśmielsze oczekiwania. Antonio zaczął się głowić nad tym, kim jest nieznajomy mężczyzna, pod warunkiem że naprawdę chodzi o szpiega. Dopiero widząc wyraz dogłębnego rozczarowania na twarzy podejrzanego, upewnił się, że ten rzeczywiście za nim chodzi.

To nowe odkrycie dawało mu przewagę. W tej chwili nie czuł się przygotowany do konfrontacji, poza tym nie zamierzał narażać na nieprzyjemności posuniętego w latach przyjaciela, który bez zbędnych pytań udostępnił mu swoją loggię. Wiedział, że teraz, kiedy już poznał wygląd swojego adwersarza, przy wsparciu McSwineya z łatwością będzie mógł go zdemaskować i dać mu porządną lekcję. Trzeba będzie wszystko starannie przygotować i wykorzystać to, że łajdak jest nieświadomy, iż został zdemaskowany. Jeśli się go zaskoczy, to może wymysknie mu się jakiś szczegół dotyczący całej tej zagmatwanej historii.

Tym razem Antonio bardzo dobrze przygotował się do akcji – zaopatrzył się również w odpowiednie przebranie. W ten sposób chciał sobie zapewnić anonimowość po wyjściu z budynku. Wybrał więc strój całkowicie odmienny od tego, w którym wcześniej widział go szpieg. Miało to jeszcze jedną dobrą stronę: w przebraniu nikt nie powinien go rozpoznać i dlatego mógł zaplanować spotkanie z Charlotte, nie narażając jej na niebezpieczeństwo.

Odetchnął z ulgą. Ostatnie wydarzenia sprawiły, że czuł się zagrożony, i nawet jeśli miałyby się okazać, że przesadza, wolał się narazić na śmieszność, niż później żałować, że nie zastosował niezbędnych środków ostrożności.

Charlotte patrzyła na niego oczami kobiety, która nie zna strachu. Jaka ona jest pociągająca! Dziewczyna miała ognisty temperament. Antonio żywił nadzieję, że wcześniej czy później uda mu się odegrać znaczącą rolę w jej życiu.

Po pełnej niespodzianek wizycie w Murano zgodziła się na spotkanie na pierwszym piętrze kawiarni Stella d'Oro w budynku Prokuracji Starej na placu Świętego Marka. Podobnie jak inne tego typu lokale, także ten należał do szwajcarskiego cukiernika pochodzącego z kantonu Gryzonia, wyjątkowego konesera słodkości i serwowanych razem z nimi napojów.

Wyjawiła mu, że w wolnym czasie uwielbia przesiadywać w małej salce, którą Josef Fischer rezerwował specjalnie dla niej. Kiedy cukiernik zauważył, kto towarzyszy Charlotte, skłonił się tak nisko, że Antonio aż się przestraszył, by nie upadł na ziemię. Pomimo potężnej postury gospodarz okazał się jednak niebywale zręczny.

Popijając gorącą czekoladę i pogryzając ciasteczka i herbatniki, Antonio poczuł nieodpartą chęć, aby wyznać dziewczynie, jak bardzo jest nią zauroczony. Rozsądek podpowiadał mu jednak, że nie może tego zrobić. Z jednej strony nie czuł się gotowy, a z drugiej nie wiedział, czy poradziłby sobie z ewentualną odmową. Przecież nie miał żadnej pewności, że ona mu sprzyja. Dlatego też postanowił zachować ostrożność i skierował rozmowę na bezpieczne tory – skupił się na wychwalaniu wspaniałej lornety, której nieocenione zalety miał okazję niedawno sprawdzić.

– Moja droga Charlotte – zaczął, odkaszlnąwszy kilka razy – chciałbym wam powiedzieć, że szkła waszej produkcji są naprawdę doskonałej jakości. Miałem już okazję skorzystać z lornety i zachwycały mnie wyrazistość pola widzenia oraz łatwość, z jaką obsługuje się urządzenie dzięki przekładni. Przyznaję, że nie spodziewałem się aż takiej precyzji!

– Jesteście niezwykle uprzejmi – odpowiedziała Charlotte. – Chciałabym zapewnić, że wasza pochwała jest dla mnie powodem do dumy.

– Bardzo mnie to cieszy – zapewnił Antonio.

Popijając wyśmienitą gorącą czekoladę, popatrzył jej głęboko w oczy, jakby chciał na zawsze zatrzymać w pamięci słodki wizerunek. Również tego dnia uroda Charlotte zapierała dech w piersiach: włosy ułożone w powabne loczki powiązane były aksamitnymi wstążkami w kolorze ciemnej zieleni, która jeszcze bardziej podkreślała jasny blask jej oczu. Zachwycająca rokokowa suknia z jedwabiu i tafty w podobnym kolorze ozdobiona była tu i ówdzie złotymi broszami oraz doskonale oszlifowanymi rubinami i szmaragdami. Antonio z trudem wstrzymał westchnienie. Nie mógł się nadziwić, że ma przed sobą tę samą kobietę, która kilka dni wcześniej gościła go w swojej pracowni w Murano.

Jednakże pomimo że Charlotte odznaczała się wyrafinowanymi manierami, jej sposób bycia charakteryzowały praktyczność i szczerść – nigdy bowiem nie popadała w sztuczną, wystudiowaną przesadę. Pod wpływem impulsu Antonio postanowił podzielić się z nią informacjami na temat ostatnich tajemniczych wydarzeń.

– Właśnie dzięki waszej lornecie odkryłem, że ktoś mnie śledzi! – wyrzucił z siebie jednym tchem, jakby chciał się pozbyć ciężaru.

– Ktoś was śledzi? Kim jest ta osoba? I czego od was chce? – wypowiedziała te słowa z ogromnym zaangażowaniem, które łatwo można było wziąć za niepokój o jego bezpieczeństwo. W świetle zimowego dnia w jej oczach zdawał się płonąć żywy ogień.

– Sprawa jest dość skomplikowana. Nie wiem nawet, od czego zacząć. A więc powiem tak: z nieznanych mi do końca powodów dostałem zlecenie śledzenia pewnego mężczyzny. A wszystko zaczęło się od tego, że przypadkowo umieściłem jego postać na swoim ostatnim obrazie przedstawiającym Rio dei Mendicanti. Pewna

znaczna osoba rozpoznała go i poprosiła mnie o wykonanie zadania. Niestety, wszystko wskazuje na to, że moje poczynania stały się dla kogoś niewygodne – zakończył.

Zdawał sobie sprawę, że powiedział dziewczynie tylko część prawdy, ale uznał, że jeszcze jest za wcześnie na więcej. Nie chodziło oczywiście o brak zaufania, po prostu obawiał się, czy podając zbyt wiele szczegółów, nie ściągnie na nią niebezpieczeństwa.

– I teraz ze śledzącego zmieniliście się w śledzonego – zauważyła z ironią Charlotte.

– No właśnie.

– Czy grozi wam niebezpieczeństwo?

– Nic z tych rzeczy. Pewnie chodzi o jakiegoś zwykłego natręta, którego pozbędę się przy najbliższej okazji – zapewnił Antonio, wzruszając ramionami.

– Jesteście bardzo pewni siebie...

– Chciałbym, żeby tak było – szepnął z nutą żalu.

– Słyszeliście, co się dzieje w mieście? – powiedziała nagle Charlotte, a ton jej głosu zmienił się nieoczekiwanie, przybierając znacznie poważniejszy ton.

– Co macie na myśli?

– Dwa krwawe morderstwa, do których doszło w ostatnich dniach. To nie do wiary. Znalaziono ciała dwóch młodych kobiet pozbawionych życia w bestialski sposób. Podobno wyrwano im serca...

Antonio milczał przez chwilę.

– To prawda – przyznał w końcu.

– Skąd...

– Skąd o tym wiem? – dokończył za nią, a Charlotte przytaknęła. – Otóż, jeśli chodzi o drugą zbrodnię, to los chciał, że jako jeden z pierwszych znalazłem się na miejscu, gdzie porzucono ciało.

Piękna córka feldmarszałka von der Schulenburga otworzyła szeroko oczy ze zdumienia.

– Wy? – szepnęła.

– Bardzo nieprzyjemne zdarzenie – ciągnął Antonio. – Owego ranka postanowiłem udać się na plac Świętego Jakuba Apostoła na wyspie Rialto, ponieważ chciałem się przyjrzeć barwie nieba o świcie, aby uchwycić to wyjątkowe światło, które można dostrzec tylko o tej porze dnia. Pamiętam, że przeszedłem przez most, a potem podążałem wzdłuż Ruga dei Oresi i właśnie wtedy ciemności nocy zaczęły ustępować pod naporem przedświt. Po chwili usłyszałem przeraźliwy krzyk kobiety, a gdy dobiegłem do miejsca, skąd dochodził, zauważyłem ciało na przykościelnym placu i niewiastę podtrzymywaną przez jakiegoś mężczyznę.

– Słyszałam przerażające rzeczy...

– Zapewniam was, że słowa nie oddają nawet w połowie tego, co zobaczyłem. Ta kobieta została dosłownie zmasakrowana.

– Któż mógł się dopuścić podobnego okrucieństwa? – zapytała Charlotte z błyskiem wzburzenia w oku.

– Nie mam pojęcia – odpowiedział Antonio. – Pewnie nie muszę dodawać, że zaraz po mnie na miejscu zbrodni pojawił się dowódca nocnej straży wraz ze swymi najemnikami.

– No właśnie, a mimo to wiemy tylko to, co na początku. Dwie kobiety zostały zamordowane, a do tej pory nikogo nie zatrzymano. Czy kogoś przesłuchano w tej sprawie? Czy pojawiły się jakieś uzasadnione podejrzenia na temat tożsamości mordercy? Oczywiście inkwizytorzy lubią utrzymywać wszystko w ścisłej tajemnicy, ale mam wrażenie, że ustalenie sprawcy zbrodni nikogo tak naprawdę nie interesuje. Nikt nic nie mówi i nic się nie zmienia. Dokładnie tak samo jak w przypadku plagi czarnej ospy. Wiem, że niektórzy żydowscy lekarze zaproponowali nową metodę leczenia polegającą na wszczepianiu substancji pobranej z ropni zarażonych w celu zapobiegania rozwojowi choroby. Jej przebieg byłby wtedy znacznie łagodniejszy, a szanse na wyzdrowienie o wiele większe. Jednak i w tym przypadku władze Republiki milczą. Wszyscy czekają nie wiadomo na co. Tak samo jak w sprawie zamordowanych kobiet. Jakby to, co się wydarzyło, było w jakimś stopniu uzasadnione. Taki świat nie przetrwa zbyt długo – dodała Charlotte ze złością.

Antonio wyczuł w jej słowach gorycz, wydało mu się, że to, o czym mówi, wynika z osobistych doświadczeń.

– Muszę przyznać wam rację – podjęła po chwili – że nie ma sensu psuć sobie miłego dnia. Po prostu nie mogę się pogodzić ze stylem, w jakim kilka rodów sprawuje od tysiąca lat władzę w naszym mieście. A wszystko po to, by utrzymać wpływy. Oczywiście dla zachowania status quo lepiej, żeby nic się nie zmieniało, a pewne kwestie samoczynnie odchodziły w zapomnienie.

– Charlotte, co się stało? – zapytał zaniepokojony artysta, nie mogąc się oprzeć wrażeniu, że dziewczyna tłumi w sobie ból i chce się wyzalić.

– Menego – szepnęła – mistrz szklarski, który mi pomagał przy obróbce materiału, przypominacie sobie?

– Oczywiście.

– Ubiegłej nocy... Czuwałam przy nim, kiedy zmarł na ospę.

24. Wyznania

ANTONIO POJMOWAŁ BÓL i rozpacz Charlotte. Percepcja sztuki, niezależnie od jej rodzaju, to umiejętność wykraczająca poza ramy rozumowania zwykłych ludzi. Jest w tym bowiem element magii, inwencja twórcza, która niewiele ma wspólnego z realnym życiem. Oczywiście jak w każdej pracy był też aspekt bardziej prozaiczny, związany z zapewnieniem sobie dochodów wystarczających na godziwe życie, lecz tak naprawdę malarstwo czy wyrób szklanych przedmiotów opierały się na sekretach i tradycjach czerpiących z wielowiekowego dorobku cywilizacji ludzkiej. Poznawanie tajników sztuki lub rzemiosła oznaczało więc czynny udział w procesie, który dostępny jest tylko dla wtajemniczonych. Dlatego też pomiędzy mistrzem a uczniem tworzy się wyjątkowa pod względem swej natury i intensywności relacja. Kiedy Antonio wszedł do palarni w wytwórni Charlotte, od razu zrozumiał, że mężczyzna o długich białych włosach jest mentorem pięknej dziewczyny. Zauważył też, że łączy ich głęboka więź. Mistrz miał okazję obserwować jej artystyczny rozwój, stając się mimowolnym świadkiem rozkwitu talentu, którego obecność z pewnością przeczuwał, lecz z którego rozmiarów prawdopodobnie nie zdawał sobie sprawy. Nic w tym dziwnego, gdyż zaledwie jeden uczeń na setkę może się poszczycić podobnym darem. A kiedy już coś takiego się zdarza, uczucia nauczyciela zmieniają się w ojcowskie przywiązanie.

Antonio miał możliwość doświadczenia tego samego, pracując ze swym ojcem Bernardem, który jako pierwszy popchnął go w kierunku malarstwa i uświadomił mu znaczenie i piękno kolorów, pokazał, jak wykorzystywać grę światła i cieni, nauczył go czerpać inspirację w teatrze oraz uczulił na znaczenie realizmu w sztuce. I chociaż w czasie pobytu w Rzymie Antonio zainspirował się wskazówkami Giovanniego Paola Panniniego oraz Gaspara van Wittela, to wcześniej czy później i tak głos ojca dyktował mu ostateczne rozwiązania. Malując obrazy, nauczył go kochać Wenecję. Miasto, które teraz przyciągało całą jego uwagę barwą nieba i lustrem wód w lagunie odbijającym promieniste światło, zdolnym do potęgowania cudów natury... To światło, za pośrednictwem którego próbował ożywiać swoje płótna z mocą huraganu.

Wszystkie te powody sprawiały, że doskonale wyczuwał i pojmował ból Charlotte.

– Wierzcie mi, że rozumiem wasze rozterki. To nieodżałowana strata. Mój ojciec był i pozostaje moim mistrzem. Gdyby go nagle zabrakło, też nie mógłbym się z tym pogodzić... Pewnie przez lata nosiłbym ból w sercu i może któregoś dnia nauczyłbym

się nawet z nim żyć. Wszystko, co osiągnąłem jako artysta, zawdzięczam właśnie jemu, a sztuka jest moim życiem i to w niej znajduję pocieszenie, kiedy rzeczywistość mnie przerasta i rani.

Charlotte spojrzała na niego błyszczącymi oczami.

– Ja też tak uważam – potwierdziła. – I nie mogę się pogodzić z brakiem reakcji władz. Z obojętnością Republiki. Nie chodzi tu przecież o śmierć jednego człowieka, który był drogi memu sercu, lecz o cierpienie tysięcy mieszkańców Wenecji padających jak muchy, dziesiątkowanych straszną zarazą... Żądam zadośćuczynienia dla dwóch brutalnie zamordowanych kobiet, którym nikt nie chce oddać sprawiedliwości, jakby chodziło o coś zupełnie naturalnego. Większe zainteresowanie wzbudziłoby przybycie do miasta jakiegoś ambasadora, a nawet ostatniego w hierarchii konsula!

– Macie rację. I właśnie dlatego staram się poznać prawdę – powiedział Antonio i zaraz zdał sobie sprawę, że wyjawiał więcej, niż powinien. Chodziło przecież o ich wspólne bezpieczeństwo. Zdradziło go serce i zareagował spontanicznie. Jednak rozważając wcześniej wszystkie za i przeciw, zdecydował z pełną świadomością, że może jej zaufać.

Charlotte nie ukrywała zdumienia.

– Naprawdę?

– Wenecja zmieniła się w gniazdo żmij – ciągnął Antonio. – Nie wiem, jak mam to wytłumaczyć, ale czuję tu wpływy jakichś mrocznych sił, których nie można dłużej lekceważyć. Na początku, kiedy polecono mi śledzić mężczyznę, którego nieopatrznie namalowałem, pomyślałem, że lepiej będzie nie angażować się w tę sprawę. W końcu jednak się zgodziłem. Również dlatego, że po prostu nie mogłem odmówić. Wygląda na to, że los tak chciał. I teraz, jeśli mam być szczery, przeczuwam jakąś niegodziwą siłę, jakiś podły spisek, który łączy moje odkrycia z bestialskimi morderstwami, z haniebnymi oskarżeniami pod adresem Żydów, z epidemią czarnej ospy, z obojętnością wobec krwawych zbrodni. Jeśli chcielibyście zapytać, co konkretnie mam na myśli, nie potrafiłbym wam sensownie odpowiedzieć. Nie wydaje mi się też, żeby szybko i skutecznie dało się zaradzić chorobie, która zabrała waszego mistrza. W jednej kwestii muszę się jednak z wami zgodzić bez żadnych zastrzeżeń: Serenissima wydaje się zbyt zajęta utrzymaniem obecnego stanu rzeczy za wszelką cenę, aby się zajmować czymkolwiek innym. I jeśli oznacza to obojętność i oczekiwanie, aż zły okres sam minie i czas zrobi swoje, ja nie zamierzam tego tolerować! Sądzę, że ludzie dobrej woli powinni starać się zmienić sytuację, nawet jeśli, jak w moim przypadku, nie mają większych możliwości, aby ich działania zakończyły się powodzeniem.

– Czasami przychodzi mi do głowy, że powinnam mieć w sobie więcej ufności. A przede wszystkim nie powinnam się skarżyć, bo nie mam do tego prawa, gdyż wychowałam się w utytułowanej, zamożnej rodzinie. A zaraz potem uświadamiam sobie, że właśnie dlatego nie mogę milczeć. Biorę za przykład mojego ojca, którego wszyscy uznają za bohatera. Przecież bronił Korfu przed najazdem tureckim, ryzykując życie dla Wenecji! Właśnie dla Wenecji, a nie dla rządzących miastem rodów. Dla idei, dla zasady, dla wyzwania rzuconego naturze: nasze miasto powstało i żyje na wodzie, podczas gdy reszta ludzkości wybrała sobie na siedzibę stały ląd. Wenecja to nasza ostatnia utopia i nie możemy jej zniszczyć. Jeśli ją zatracimy, zatracimy samych siebie. A mimo to ktoś usiłuje nam ją odebrać: inkwizytorzy, urzędnicy, zarządcy. To zwykli ludzie, którzy próbują nie dopuścić do zmian. Mistrzowie zajmujący się obróbką szkła uciekają z Murano, a inkwizytorzy w odpowiedzi posuwają się do gróźb, szantaży, nawet do użycia trucizny. Nikt jednak nie próbuje zrozumieć powodów, dla których rzemieślnicy porzucają swoje zakłady. Niewielu nas już zostało. Wenecja umiera dzień po dniu. Dlatego uwielbiam wasze obrazy, Antonio. Bo wasza miłość do naszego miasta jest tak ogromna, że promieniuje z dzieł jak gra światła, którą tak umiejętnie operujecie. Jakbyście obserwowali niebo, słońce i wodę i chwyтали palcami promienie, refleksy, blaski i smugi, i ciskali je na płótno z niespotykaną energią, pozostawiając oniemiałych widzów bez tchu. Macie rację i co do tego, że magia sztuki chroni nas przed okrucieństwem życia. Niemniej jednak uważam, że musimy ocalić Wenecję. Nie tylko dla nas samych, ale i dla tych, którzy przyjdą po nas. Kimże będziemy bez naszego miasta?

Antonio westchnął głęboko. W słowach Charlotte była porywająca pasja, która sprawiała, że zaczął marzyć o wzniosłych czynach. Nigdy wcześniej mu się to nie zdarzyło, a teraz za każdym razem, gdy się spotykali, ogarniała go chęć walki ze złem. Jej uroda nie miała znaczenia, bo bladła w porównaniu z nieustraszonym sercem i odwagą, których jemu zawsze brakowało.

W końcu dziewczyna spojrzała na niego w dziwny sposób, którego nie potrafiłby nawet określić, i zapytała:

– Idziemy?

– Właśnie miałem to zaproponować – powiedział Antonio, czując, że coś się między nimi zmieniło.

25. Angielski dżentelmen

WESZLI DO POMIESZCZENIA, które bez żadnej przesady Antonio określiłby mianem pokoju cudów.

Razem z Owenem McSwineyem zanurzyli się w świat kolekcji niezwyklej dziwów. Przy ścianach stały regały z czarnego drewna hebanowego wypełnione pochodzącymi ze Wschodu rękodzielami, które wykonano z czystego złota, kryształami, wazami z brązu i miedzi, kielichami z jaspisu, posągami z kości słoniowej oraz tysiącami rozmaitych unikatowych przedmiotów, które na zasadzie kontrastu jeszcze wyraźniej odznaczały się na czarnej powierzchni.

Antonio z zapartym tchem obserwował monumentalne dzieło Petrusa Christusa przedstawiające wojowniczego anioła w czarnej zbroi, który unosi miecz nad głową leżącego u jego stóp nieszczęśnika. Jego uwagę przykuły też grymuary i talie kart tarota ułożone w przepięknych gipsowych szkatułach ozdobionych złotymi i srebrnymi fryzami, inkrustowanych rubinami, szafirami i szmaragdami. Przez dłuższy czas nie mógł oderwać wzroku od z mumifikowanej ręki, od korony wykonanej z kruczych piór, od czaszek należących do nieznanymi zwierząt, wreszcie od wspaniałych globusów wyobrażających kulę ziemską.

– Ich twórcą jest Vincenzo Maria Coronelli – wyjaśnił gospodarz, wskazując kuliste przedmioty po tym, jak starannie zamknął za sobą drzwi.

– Zadziwiające – oświadczył Antonio.

– Podoba się panom mój pokój cudów?

– A czy coś podobnego może się nie podobać?

– Josephie – zwrócił się do znajomego McSwiney, skłaniając lekko głowę.

– Owenie – odwzajemnił powitanie Smith. – Czemu zawdzięczam waszą wizytę? Oczywiście chciałbym wam bardzo podziękować za to, że przyprowadziliście do mnie najsłynniejszego artystę w Wenecji.

Irlandczyk zakaszłał nerwowo. Smith był bardzo znanym kolekcjonerem, o czym świadczyły zbiory z pokoju cudów, i wcale nie ukrywał związków z zamożnymi brytyjskimi koneserami sztuki, a wręcz uczynił z nich swój oręż. Stanowił więc potencjalną konkurencję. Niemniej jednak McSwiney sam zasugerował nazwisko znajomego i teraz nie miał już innego wyjścia, jak tylko po chwili zakłopotania wyjaśnić cel wizyty.

– Drogi przyjacielu, jak wspomniałem w liście sprzed kilku dni, chciałem stworzyć okazję do wspólnego spotkania, na które zaprosiłem również pana Antonia Canala, według mnie najbardziej utalentowanego współczesnego malarza w Wenecji. Cieszę się, że podzielacie moją opinię, również dlatego, że Antonio jest moim dobrym przyjacielem i nie wstydę się przyznać, że udało mi się zdobyć dla niego kilka korzystnych zamówień. Wierzę, że wzajemne kontakty okażą się użyteczne dla was obu, a i ja będę mógł kontynuować rozpoczętą współpracę. W zamian obaj chcielibyśmy prosić was o wyjaśnienia związane z pewną szczególną sytuacją, w którą niechcący ostatnio się wplątałem. Powód, dla którego zdecydowałem się zwrócić właśnie do was, łączy się przede wszystkim z waszą wyjątkową erudycją i wiedzą nabytą w czasie niezliczonych podróży po całym świecie oraz w trakcie wnikliwych studiów, lecz również z waszymi znajomościami na dworze brytyjskim i w naszej Republice.

Smith przytaknął gorliwie, demonstrując w ten sposób chęć współpracy, McSwiney bowiem ze swej strony wykazał się ogromną subtelnością, proponując wymianę przysług, i odmowa mogłaby zostać poczytana za nieuprzejmość. Oczywiście taka ewentualność nie wchodziła w rachubę, gdyż obu dżentelmenów łączyły doskonałe relacje.

– A zatem słucham was uważnie – powiedział Joseph Smith.

Tego eleganckiego mężczyznę charakteryzowała również wyjątkowa szczerość, którą natychmiast zdobył sobie sympatię Antonia.

– Otóż kilka dni temu – zaczął McSwiney – miałem okazję wziąć udział w dość dziwnym zebraniu. Zaprosił mnie pewien kawaler. Sposób bycia amfitriona wydaje mi się co najmniej ekscentryczny. Nie chciałbym wdawać się w szczegóły, więc powiem tylko, że całe wydarzenie było dla mnie jedną wielką niespodzianką, i dodam, że chyba najbardziej zaskoczyło mnie nietypowe miejsce spotkania.

– Chyba nie do końca rozumiem – powiedział ze zdziwieniem Smith, który z niedowierzaniem przysłuchiwał się wstępnym i dość enigmatycznym wyjaśnieniom znajomego.

– Już podaję więcej konkretów. A więc trafiłem do dużego salonu, którego sufit wyglądał jak rozgwieżdżone niebo, a podłoga była biało-czarną szachownicą. Po obu stronach drzwi wznosiły się dwie kolumny: na środku jednej widniała wyżłobiona litera B, a na drugiej J. Na ścianach wymalowano dziwne magiczne symbole...

– Teraz wszystko jasne – potwierdził bez wahania Smith. – Pewnie chcecie się dowiedzieć...

– ...co one oznaczają.

– To prostsze, niż wam się wydaje, Owenie, nie rozumiem tylko jednej rzeczy: co pan Canal ma z tym wspólnego? Czyżby i on brał udział w zgromadzeniu?

– Nie, nie – zastrzegł się Antonio – tylko z różnych powodów jestem ciekaw, w jaką sytuację wplątał się mój przyjaciel. Ja występuję tutaj jedynie jako ten, któremu leży na sercu los Owena – skłamał artysta, trzymając się ustalonej wcześniejszej wersji.

– W porządku – zgodził się Smith, po czym zarzucił ich dodatkowymi pytaniami: – Czy na ścianach sali zauważyliście dziwne symbole? Były tam też rysunki przedstawiające cyrkle i węgielnice? Oko opatrzości?

– Właśnie tak – odpowiedział Irlandczyk, otwierając szeroko oczy ze zdumienia.

Joseph Smith uśmiechnął się, po czym kontynuował:

– A czy wasz amfitrion, jak go nazywacie, miał na sobie czarny strój i biały fartuszek przewiązany w pasie?

McSwiney wydał się całkowicie zaskoczony ostatnią obserwacją.

– Czyżbyście mieli moc czytania w myślach, Josephie?

– Nic podobnego, Owenie, nic podobnego – zaprzeczył z rozbawieniem gospodarz, po czym wyjaśnił: – Zważcie, że to, co ode mnie usłyszycie, może was nie tylko zadziwić, lecz również, jak miemam, rzucić światło na niektóre wydarzenia z waszego życia, kiedy jeszcze, jeśli się nie mylę, zajmowaliście się organizacją spektakli teatralnych w Anglii. Przypominam sobie, że nawiązałem do tego w czasie naszej poprzedniej rozmowy, ale bez wchodzenia w szczegóły... Ograniczyłem się chyba jedynie do stwierdzenia, że jeden z waszych zajadłych wrogów jest w zмовie z mrocznymi siłami.

Tym razem McSwiney się zaniepokoił.

– Podejrzewam, że mówicie o Williamie Collierze, ale nie do końca rozumiem...

– Wcale się nie dziwię. Ale od początku. Na podstawie waszego opisu sądzę, że zgromadzenie, w którym wzięliście udział, to jedno ze spotkań loży masońskiej, z reguły utrzymywanych w całkowitej tajemnicy. Podejrzewam, że wasz amfitrion, który pewnie kazał się tytułować mistrzem, dokładnie was o tym poinformował. A aluzja do waszej wcześniejszej działalności łączy się z faktem, że do narodzin owego sekretnego ruchu doszło właśnie w Anglii, a jednym z jego najznamienitszych przedstawicieli jest w ostatnim czasie dramatopisarz William Collier. Wasz zawzięty rywal dzięki kontaktom z jedną z pierwszych łóż masońskich, które czasem zwane są też sektami, nawiązał wiele ważnych relacji i przyjaźni z wpływowymi ludźmi na dworze królewskim i bez problemu pozbył się was ze sceny, skazując na banicję w Wenecji. Wybaczcie brutalną szczerłość moich słów, ale rzeczy właśnie tak się mają. Chyba sami się zresztą czegoś podobnego domyśliliście?

McSwiney zazgrzytał zębami ze złości.

– Oczywiście, zdaję sobie sprawę, że ten przebrzydły pochlebca jest bardzo dobrze ustosunkowany, ale nie miałem pojęcia, że należy do loży, która zakłada sobie za cel...

– ...przejęcie władzy – dokończył Joseph Smith. – Bo taki właśnie jest główny cel tajnych stowarzyszeń: stworzenie gęstej sieci powiązań i relacji opartych na wzajemnej pomocy, w ramach której zrzeszeni członkowie dzięki nawiązanym znajomościom i czerpanym stąd informacjom mogą liczyć na osobiste przywileje i korzyści. Przedstawiłem tu kwintesencję systemu, chociaż oczywiście jego otoczką jest cały bardzo złożony aspekt ikonograficzny oparty na numerologii i symbolach, co nadaje całej idei ekscentryczny, okultystyczny wyraz. Termin „masoneria” pochodzi od angielskiego słowa „mason”, oznaczającego murarza. Nawiązuje do cechu budowniczych będących depozytariuszami wiedzy na temat wznoszenia konstrukcji, którą loże masonskie wiążą z ideą tworzenia schematów opisujących funkcjonowanie świata. Niektórzy pomysł zakładania łóż przypisują twórcy świątyni Salomona, architektowi Hiramowi Abifowi, lecz to tylko legenda. Natomiast jest prawdą, że podstawowa zasada, na której opierają się stowarzyszenia masonów, dotyczy budowania i tworzenia, dlatego też pojawia się symbolika cyrkla, węgielnicy, kielni. Litera G oznacza Boga i nawiązuje do angielskiego słowa God lub Great Architect, czyli Wielki Architekt Świata. Pierwsza loża, ta najbardziej wpływowa, powstała właśnie w Londynie pod nazwą Great Lodge – Wielka Loża, a reguły określające działanie związku zawdzięczamy pracy i pomysłom księcia Montagu.

– Skąd o tym wszystkim wiecie? – Antonio był pod wrażeniem słów Josepha Smitha.

– Zostałem zaproszony do stowarzyszenia, ale na szczęście udało mi się delikatnie odmówić. Nie pociągają mnie takie sekretne bractwa. Wolę nawiązywać szczere przyjaźnie i działać zgodnie z prawem. Nie mam wątpliwości, że członkowie masonerii z lubością posługują się takimi metodami jak korumpowanie urzędników, sędziów i zarządców, przekupstwo i wymiana przysług, podstęp i malwersacja, a w wymiarze bardziej ogólnym odwołują się do zasady, że dobro publiczne zawsze jest drugorzędne wobec prywatnych interesów jednostki. Oczywiście możecie odpowiedzieć, że nic w tym dziwnego, ponieważ i urzędnicy Republiki Weneckiej nie pozostają odporni na tego typu pokusy, ale chciałbym wam uświadomić, że Wielka Loża pozbawiona swojej absurdalnej, ezoterycznej otoczki za jedyny cel stawia sobie osobiste zyski członków. A wy, panie McSwiney, staliście się po prostu jedną z wielu ofiar takiego sposobu myślenia.

Antonio miał dość rewelacji, które właśnie usłyszał. Nawet spokojny i opanowany zazwyczaj Irlandczyk wyglądał na wzburzonego. Rozmowa zaczęła się raczej niewinnie, a potem skierowała na tory prowadzące do przeszłości, o której pewnie wolałby zapomnieć. Owen McSwiney przypomniał sobie teraz wywody Teufla i musiał

się zastanowić nad swoim położeniem. Nieświadomie i nieco wbrew własnej woli przystąpił do paktu braterstwa, którego konsekwencji nie mógł przewidzieć, a wystąpienie ze związku wcale nie zapowiadało się bezproblemowo. W dodatku istniało teraz ryzyko, że dosłownie straci język, ponieważ pomimo wyraźnego zakazu mistrza loży podzielił się swoimi doświadczeniami z przyjaciółmi. Na szczęście przyzwyczajony do przeciwności losu szybko odzyskał zimną krew. Antonio natomiast przekonał się, że łączy ich wspólny cel. Obaj zdecydowali się na walkę, bo nie mogli przyglądać się beczynnie, jak najpiękniejsze miasto świata pogrąża się w wirze okropności i nadużyć.

Wszystko wskazywało na to, że McSwiney trafił na zebranie tajnego bractwa, które wyznaczyło sobie za cel uzyskanie nieograniczonych wpływów w Wenecji.

Antonio nie zamierzał się na to zgodzić. Pomyśleć tylko, że wszystko zaczęło się od postaci namalowanej na obrazie!

– Drogi panie, ja i Owen jesteśmy wam ogromnie wdzięczni za wyjaśnienia rzucające światło na działalność pewnych osób, z którymi nawiązaliśmy relacje. Niestety, nie mogę wyjawić wam szczegółów na ten temat. Pozwoliłem sobie użyć liczby mnogiej, ponieważ jak wspomniałem, chodzi o nasz wspólny kłopot. Nie ukrywam, że niezwykle angielski charakter leżący u podstaw sekretnych stowarzyszeń przynosi nie tylko negatywne skutki, ale i pozytywne, wszystko zależy od punktu widzenia. W ciągu ostatnich kilku miesięcy mój przyjaciel zauważył szczególne zainteresowanie, podsycane zresztą umiejętnie przez bywalców londyńskiego dworu, pięknem i świetnością, którymi Wenecja od wieków zachwyca cały świat. Jak się pewnie domyślacie, tworzę swoje dzieła właśnie na chwałę naszego wyjątkowego miasta. Dziękując za waszą uprzejmość, chciałbym zapewnić, że postanowiliśmy z panem McSwineyem, który dalej będzie się zajmował upowszechnianiem moich obrazów, nawiązać współpracę również z wami, oczywiście pod warunkiem, że jesteście zainteresowani naszą propozycją.

Joseph Smith się uśmiechnął.

– Wasze słowa wiele dla mnie znaczą, wierzcie mi. Nie mógłbym życzyć sobie niczego więcej. A jeśli nasze współdziałanie miałoby się okazać korzystne dla Wenecji i pomóc jej w przezwyciężeniu trudności oraz powrocie do dawnego splendoru, to zapewniam, że dołożę wszelkich starań, aby się do tego przyczynić, popularyzując obraz za obrazem.

– Bardzo się cieszę – oświadczył Antonio z uśmiechem, doceniając fakt, że Joseph Smith sam dostrzegł kluczowy sens jego pracy.

– Popularyzujmy więc obraz za obrazem – powtórzył Owen McSwiney, a wzajemne porozumienie sprawiło, że cienie, które zaległy w pokoju po sensacyjnych

wyjaśnieniach Anglika, teraz nieco się rozproszyły.

26. Rada pięciu

MIESZKANIE RABINA MORDECAIA COENA było skromne, za to stół bogato zastawiony. Goście z zapalem zabrali się do jedzenia. Świece płonęły jasnym blaskiem.

Gdziekolwiek Isaac skierował wzrok, widział książki. Zalegały w każdym kącie. Tomy poukładane jak bierwiona. Wieże z woluminów pnące się aż do sufitu, stosy rolek pergaminowych z zapisaną Torą, różne wydania księgi Proroków, Psalmi, Pieśń nad Pieśniami, Księga Koheleta i pozostałe części Pism.

Isaac nalał sobie wina z orientalnymi przyprawami. Wieczór był mroźny i pomimo że ogień płonął żywo w metalowym ogrzewaczu, w pomieszczeniach i tak panował chłód. Przy wieczerzy zasiedli również inni wysoko postawieni w hierarchii przedstawiciele żydowskiej społeczności, jak Taddeo Zylbermann, właściciel największego banku w getcie oraz w całej Wenecji, Josef Reischer, który handlował tkaninami na terenie Rialta, oraz Giacomo Ortona, koszerny rzeźnik.

Na twarzach zebranych mężczyzn rysowały się niepokój i strach wywołane ostatnimi wydarzeniami. Przez cały czas rozmawiali o zwykłych problemach dręczących ludność getta: o braku przestrzeni do życia, o ciasnych mieszkaniach i o tym, że ciągle dobudowywanie piętrowości może się kiedyś zakończyć zawaleniem całości. Taddeo Zylbermann zwrócił uwagę, że epidemia czarnej ospy wywołuje przerażenie i niepewność przyszłości, która nigdy wcześniej nie jawiła się im w tak czarnych barwach. Josef Reischer utrzymywał, że sprzedaje materiały wysokiej jakości, a przydomek „handlarza szmatami” narusza jego dobre imię i szkodzi interesom. Każdy z nich miał dobry powód, by się skarżyć. Wreszcie, kiedy wszyscy wyłożyli już swoje pretensje, gdy wszystkie powody do żalu rzucono na stół, kiedy rabin Mordecai Coen zalecił skromność i przyjmowanie ze spokojem wyroków Boskich, wreszcie światło dzienne ujrział prawdziwy powód spotkania. Dla Isaaca oznaczało to wielką ulgę.

– A więc ktoś się w końcu zdecydował! – powiedział Zylbermann.

– Na co? – zapytał Giacomo Ortona.

– Ktoś zaczął rozpowiadać, że to, co się teraz dzieje w naszym mieście, ma ścisły związek z historią Szabetaja Cewiego.

– Nie powinniśmy byli do tego dopuścić – powiedział rabin słabym głosem, jakby to stwierdzenie kosztowało go wiele wysiłku.

– Ale przecież... – Zylbermann nie rezygnował. – Wiedzieliśmy, że wcześniej czy później to nastąpi.

Isaac nie mógł znieść tego sposobu myślenia.

– Co takiego?! Jaki sens mają wzajemne oskarżanie się i niesnaski? Nie wystarczy wam to, co nakazują nam władze miasta? Musimy nosić te obrzydliwe nakrycia głowy, zamykają nas za ogrodzeniem jak zwierzęta, możemy wykonywać tylko niektóre zawody! W najlepszym wypadku z nas szydzą! W najgorszym... Nie! Sami z własnej woli mamy iść na rzeź? Dać pożywkę tym wszystkim, którzy nie mogą się doczekać, aby nas oskarżyć?

– Przecież to kara, na którą zasłużyliśmy, za wahanie i brak zdecydowania, za to, że nie sprzeciwiliśmy się jednoznacznie bzdurnym naukom głoszonym przez przemądrzałego kabalistę! – podkreślił Josef Reischer.

– Znowu wyskakujecie z tymi durnymi gadkami! – zagrzmiał Giacomo Ortona. – Czy to się nigdy nie skończy?

– Nie – syknął Zylbermann, jakby chodziło o nieodwołalne zrządzenie losu, a nie o nieprzemyślany wybór będący następstwem sugestii, które każdy z nich czuł w sercu, a które wynikały z zafascynowania ideą, że jest się ofiarą prześladowań.

– Przestańcie natychmiast! – zdenerwował się rabbi Coen, otrząsnąwszy się z apatii, w której pogrążył się przed chwilą. – Taddeo ma rację, wszyscy wiemy, że ktoś rozpowszechnia wśród naszych współbraci pogłoski o strachu przed karą, a ja osobiście uważam, że nasi przodkowie i my sami wcale nie jesteśmy bez winy, niemniej nie zamierzam pozwolić, by nasza społeczność popadła w popłoch i beznadzieję.

– Rabbi – zwrócił się do niego z szacunkiem Zylbermann – co macie zamiar uczynić? Nie chcę wzniecać paniki, ale z różnych stron dochodzą głosy, że zamordowane kobiety to ofiary jednego z uczniów Barucha Russa, demonicznego naśladowcy i zwolennika tego odszczepieńca Cewiego.

– Niczego nie da się wykluczyć – oświadczył z powagą rabin – taka jest prawda. Nie zaprzeczmy przecież, że istnieje taka możliwość.

– Ale ostatnie wydarzenia mogą też być wynikiem spisku przygotowanego specjalnie po to, by oczernić naszą społeczność przed mieszkańcami miasta – stwierdził z przekonaniem Isaac, który nie mógł uwierzyć, że rozmowa przybiera tak niekorzystny obrót.

– Co macie na myśli? – Giacomo Ortona poprosił o wyjaśnienie.

– Sądzę, że ktoś, kto poznał historię Szabetaja Cewiego, rozsiewa pogłoski tylko po to, żeby obarczyć winą Żydów!

– Trudno mi uwierzyć, że mógłby to czynić ktoś nienależący do naszej społeczności. Nikt w Wenecji nie zna na tyle praw i reguł judaizmu – zauważył Ortona.

– Twoje słowa nie odpowiadają prawdzie – zaprzeczył rabin. – Istnieje bowiem księga wydrukowana właśnie w Wenecji, która opisuje, jak złe ziarno rozpleniło się po świecie i znalazło żyzną glebę wśród uczniów Barucha Russa. A jeśli ktoś ogłosił drukiem właśnie to dzieło, to nic nie stoi na przeszkodzie, by jako zręczny agitator zawładnął słabymi umysłami niektórych członków naszej społeczności, siejąc strach w naszych szeregach.

– Ta wiadomość wszystko zmienia – zgodził się Zylbermann, a pozostali przytaknęli skwapliwie.

– Jeśli rzeczywiście tak się rzeczy mają – zaczął Josef Reischer – to grozi nam poważne niebezpieczeństwo. Wenecjanie będą mieli doskonały powód, by oskarżyć całą naszą społeczność. Powiem więcej: nie omieszkają wykorzystać okazji, aby przygotować dla nas nowe ograniczenia.

– Nie zapominajmy o tym, że w bestialski sposób zamordowano dwie młode kobiety. Przynajmniej takie pogłoski krążą po mieście – dodał Isaac.

Jego uwaga nie wzbudziła specjalnego zainteresowania, jedynie rabin pokiwał głową ze smutkiem, a pozostali mężczyźni trwali we wrogim milczeniu.

Dopiero po dłuższej chwili odezwał się Zylbermann:

– Co możemy zrobić, żeby ocalić skórę?

Słyszając przepełnione egoizmem pytanie, Isaac poczuł niesmak. Zdał sobie sprawę, że chociaż wszyscy dostrzegali powagę sytuacji, to nikogo tak naprawdę nie obchodził los zamordowanych kobiet. Nawet on sam do tej pory niewiele myślał o ofiarach. I zawstydział się, uświadamiając sobie własną obojętność.

– Spróbuję porozmawiać z dożą – odezwał się na koniec rabin – nie ma czasu do stracenia.

27. Na salonach władzy

JEGO DOSTOJNOŚĆ PRZEBYWAŁ w swoich apartamentach. Nie miał najlepszego humoru. Właśnie zakończył cotygodniowe spotkanie z Antoniem Canalem, w czasie którego wysłuchał sprawozdania dotyczącego prywatnego śledztwa, a to, czego się dowiedział, wcale nie wyglądało zachęcająco. Chociaż brakowało materialnych dowodów, wszystko wskazywało na to, że w salonie Cornellii Zane rozwija się jakiś ponury spisek. W dodatku artysta znalazł się przypadkowo na miejscu, gdzie odnaleziono drugą zamordowaną dziewczynę, a to, że ciągle nie złapano sprawcy, potęgowało tylko poczucie zagrożenia i wzmagało panikę w mieście. Przy okazji Canaletto natknął się na dowódcę nocnej straży, który potraktował go bardzo nietaktownie.

Doża miał więc dość przesłanek, by wezwać do siebie kapitana i zażądać wyjaśnień. Chciał się dowiedzieć, o co tak naprawdę chodzi. Śledztwo w sprawie podwójnego morderstwa, pod warunkiem że naprawdę zostało przeprowadzone, nie przyniosło żadnych rezultatów. A jakby i tego było mało, ofiary należały do znamienitych rodów weneckich i ojcowie nie tracili czasu, naciskając na władcę, by sprawiedliwości stało się zadość. Oczywiście ich roszczenia były jak najbardziej uzasadnione i zrozumiałe z ludzkiego punktu widzenia. Jakże inaczej miałby się zachować pogrążeni w żałobie bliscy ofiar? Jego Dostojność był człowiekiem kierującym się solidnymi zasadami moralnymi, a zarazem obdarzonym empatią, dlatego też szczerze współczuł rodzinom dotkniętym tragedią. Z drugiej strony sprawowana funkcja nakazywała mu chronić swoich współpracowników i właśnie z tego powodu przekazał ojcom zamordowanych dziewcząt ogólnikową wiadomość, że organy sądownicze Serenissimy prowadzą skrupulatne śledztwo. A to wiązało się z brakiem zezwolenia na pochówek w rodzinnych grobowcach. Łącząc się więc w bólu z nieszczęśnikami, taktownie i z autentycznym współczuciem, zdołał ich nawet przekonać, że w tym momencie najlepszym sposobem na uczczenie pamięci ofiar będzie kultywowanie pamiątek i przechowywanie dobrych wspomnień.

Jak to zwykle miało miejsce przy takich okazjach, przedstawiciele wymiaru sprawiedliwości, nie stroniąc nawet od pogroźek, jednogłośnie starali się uciszać tych, którzy zarzucali im niedokładność czy brak rezultatów. Doża jednak zdawał sobie sprawę, że takie zachowanie nie tylko osłabia jego pozycję, ale też narusza delikatną równowagę polityczną pomiędzy organami władzy.

Kiedy więc kapitan stawił się przed obliczem władcy, Jego Dostojność nie zamierzał krępować się w besztaniu podwładnego, gdyż w jego mniemaniu sytuacja wyraźnie wymknęła się spod kontroli.

Ukłon Giovanniego Morosiniego był tak głęboki jak jego niepokój. Doża wyczuł niepewność i niczym drapieznik węszący zapach krwi postanowił bez skrupułów zatopić ostrze oskarżeń w sercu podwładnego.

– Drogi kapitanie – zaczęła pogardliwym tonem – czy uważacie, że to właściwe, abym musiał osobiście po was posyłać, by się dowiedzieć, jak toczy się śledztwo w sprawie morderstw, które wstrząsnęły całym miastem? Poza tym, że groziliście panu Antoniowi Canalowi, co konkretnego zrobiliście razem z tym waszym grubiańskim poplecznikiem, głównym inkwizytorem? Wierzcie mi, że bardzo się martwię, słuchając, że nie tylko nie zdołaliście ująć mordercy, ale także pozwoliliście, by zasztyletował kolejną dziewczynę! Nie ma dnia, by rodzice ofiar nie domagali się audiencji i prawdy! Ja im powtarzam, że śledztwo jest w toku, ale to za mało, aby ich uspokoić. Czy można im się dziwić? Ja sam na ich miejscu miałbym wątpliwości! Zważcie, że na waszą prośbę zgodziłem się na odłożenie pochówku, sprzeniewierzając się prawom moralnym i zwykłej przyzwoitości. Odebrałem matkom i ojcom ofiar pocieszenie, jakie daje ostatnie pożegnanie. Uczyniłem to, mając na względzie rację stanu. Lecz jeśli sądzicie, że podobna postawa zwalnia was ze składania mi szczegółowych doniesień i raportów, to nie tylko poważnie się mylicie! Wygląda na to, że po prostu mnie nie znacie!

Zaskoczony ostrą reprimendą kapitan zawahał się. Na jego nieprzeniknionej zwykle twarzy pojawił się wyraz niepewności, a w oczach błysnęła iskra strachu. Choć mężczyzna szybko się opanował, doża i tak zdążył zauważyć jego konsternację.

– Wasza Dostojność – odezwał się Giovanni Morosini – przyznaję, że jestem nieco zbity z tropu.

– To nie wystarczy, kapitanie – przerwał mu doża – zwłaszcza że wasze zakłopotanie nie rozwiązuje sprawy.

– Oczywiście, macie rację. A więc wracając do toczącego się śledztwa, chciałbym pokrótce podsumować dotychczasowe ustalenia: jak wiadomo, obie ofiary należały do rodzin weneckiego patrycjatu. I morderca wyrwał im serca. Oczywiście nie mamy pewności, że chodzi o tego samego sprawcę, ale sposób dokonania zbrodni jest bardzo podobny. Świadkowie, którzy znaleźli ciała, niczego i nikogo nie zauważyli. Nie mamy konkretnych podejrzanych, pojawiły się jednak natarczywe pogłoski, które rozchodzą się coraz szybciej i wskazują na Żydów jako na sprawców zabójstw.

– Chyba rozumiecie, że wasze stwierdzenia brzmią w moich uszach niczym nieuzasadnione brednie? Naprawdę zamierzacie opierać wasze podejrzenia na

plotkach?

Giovanni Morosini wzruszył ramionami. Nie miał zbyt wiele do powiedzenia na swoją obronę i właśnie podzielił się skąpymi informacjami, które posiadał.

– Mogę jedynie dodać, że w getcie szepcze się o karze, która została zesłana na lud Izraela.

– Co takiego?

– Dowódca nocnej straży z dzielnicy Cannaregio przekazał mi, że jego podwładni dostrzegli nerwowe poruszenie w nowym getcie. Mówi się tam o jakimś Szabetaju Cewim i o grzechu bałwochwalstwa, któremu społeczność w przeszłości się nie sprzeciwiła.

– O czym wy, do diabła, rozprawiacie?

– Podobno ten kabalista, Szabetaj Cewi, przed siedemdziesięcioma laty ogłosił się mesjaszem. Przez dziesięć lat, podróżując po świecie, gromadził wokół siebie uczniów i zwolenników i zatruwał życie większości rabinów, a także umysły braci w wierze. Wreszcie pod groźbą utraty głowy przeszedł na islam. Jego poplecznicy, których nie brakowało również w getcie w Wenecji, zaskoczeni i zażenowani niegodziwym postępkiem, uważają teraz, że Bóg chce ich pokarać. Część z nich twierdzi, że jakiś sekretny zwolennik Cewiego, który przybył z daleka, interpretuje w sposób zbyt dosłowny nauki swojego mistrza i morduje chrześcijańskie dziewczyny, by obarczyć winą społeczność getta. Tyle udało mi się dowiedzieć. Mam nadzieję, że dość jasno przedstawiłem zagadnienie, zważywszy na to, że moja znajomość tematu jest bardzo nikła.

– Rozumiem – przyznał doża z surową miną, ponieważ niezależnie od tego, ile prawdy kryło się w rewelacjach kapitana, ten nowy aspekt mógł przysporzyć im kłopotów tak wielkich jak plac Świętego Marka. – Jesteście pewni, że coś jest na rzeczy? Że morderca naprawdę wywodzi się ze społeczności żydowskiej? Że jest naśladowcą szalonego kabalisty? Chyba zdajecie sobie sprawę, że nie mogę przyjąć do wiadomości wytłumaczenia o karze boskiej? To wbrew moim przekonaniom. A jeśli naprawdę skłaniacie się ku pierwszej hipotezie, to czy macie jakieś dowody na jej potwierdzenie? Czy też powtarzacie jedynie plotki i pogłoski krążące po mieście?

Giovanni Morosini westchnął i uniósł ręce, jakby chciał się osłonić przed gradem pytań.

– Wasza Dostojność, naprawdę chciałbym udzielić wam wszystkich odpowiedzi, ale po prostu ich nie znam. Mamy dwie młode kobiety zamordowane w barbarzyński sposób, mamy dwa znaczne weneckie rody pogrążone w bólu, wszystko rozumiem, zwłaszcza dlatego, że musieliśmy podjąć trudną decyzję o potajemnym pogrzebaniu zmasakrowanych ciał, aby oszczędzić rodzicom hańby, i wiercie mi, że uczyniliśmy to

z litości, a nie z braku szacunku. Jeśli zaś pytacie o moją opinię na temat tożsamości mordercy, który dopuścił się tak okrutnej zbrodni, to po prostu nie wiem, co odpowiedzieć. Muszę jednak przyznać, że po tym, co zobaczyłem, hipoteza o krwiożerczym zwolenniku szalonego kabalisty wcale nie wydaje mi się aż tak nieprawdopodobna. Wy, na całe szczęście, nie musieliście oglądać sceny przed kościołem Świętego Jakuba na wyspie Rialto... Ta dziewczyna naprawdę miała wyrwane serce i leżała w kałuży własnej krwi, która kapała, a raczej spływała po schodach otoczonych kolumnami.

– Macie rację, Morosini, nie było mnie na miejscu zbrodni, bo to nie ja pełnię funkcję kapitana nocnej straży w Wenecji. Nie pobieram godziwej pensji za rozwiązywanie zagadek i tropienie sprawców krwawych zbrodni, do których dochodzi nocą na ulicach naszego nieszczęsnego miasta. Nie mam też obowiązku kontrolowania, kto knuje przeciwko Republice, bo nie jestem ani dowódcą szpiegów, ani nawet naczelnym inkwizytorem! – wyrzucił z siebie doża Alvise Sebastiano Mocenigo, po czym wstał ze swego miejsca. Jego wyniosła postać górowała teraz nad kapitanem, który nie należał przecież do karzełków. – Ale to ja jestem *primus inter pares*, to ja jestem najważniejszym spośród reprezentantów Dwunastu Rodów, to ja jestem zwierzchnikiem kościoła Świętego Marka, ja mam prawo do noszenia nakrycia głowy z zakrzywionym rogiem, to przede mną powiewa osiem sztandarów z lwem Świętego Marka i Wenecjanie do mnie przychodzą po odpowiedzi, gdyż moim zadaniem jest ich chronić, pomagać im w potrzebie i dbać o ich interesy. Dlatego też to ja rozkazuję wam, kapitanie, abyście jak najprędzej znaleźli sprawcę ostatnich morderstw, bo nie chcę dłużej przyjmować zrozpaczonych matek ani załamanych ojców, nie chcę więcej słyszeć, że córki Wenecji są wyławiane z wód kanałów lub znajdowane na stopniach kościołów z rozciętą piersią, bez serca i w kałuży krwi! Czy wyrażam się dość jasno? – zagrzmiał.

– Tak, Wasza Dostojność.

– Jesteście pewni? – zapytał powtórnie doża.

Kapitan nocnej straży potwierdził skinieniem głowy.

– A więc co tu jeszcze robicie? Idźcie i znajdźcie tego szalonego zbrodniarza, kimkolwiek jest!

Giovanni Morosini ukłonił się bez słowa, po czym ruszył w stronę drzwi. Kiedy był już niemal na progu, zatrzymał go głos Alvisego Sebastiana Moceniga.

– Kapitanie! Jeszcze jedna rzecz.

Mężczyzna odwrócił się i przyklęknął na jedno kolano.

– Canaletto.

– Słucham, Wasza Dostojność.

– Zostawcie go w spokoju! I przekazcie mój rozkaz inkwizytorowi, bo jego też dotyczy! Jeśli się dowiem, że niepokoicie mistrza z jakiegokolwiek powodu, będziecie mieli ze mną do czynienia.

– Ależ...

– Nie chcę słyszeć żadnych protestów. Ostrzegłem was. I wierzę, że moje słowa dotrą do uszu Czerwonego Inkwizytora.

– Oczywiście.

– Na razie to wszystko. Możecie odejść.

28. Obsesja

RYSOWAŁ Z TAKIM ZAPALEM, jakby za chwilę papier miał zniknąć, atrament zaschnąć, a końcówka pióra złamać się na dobre. Czuł, że powinien się pospieszyć, chociaż nie wiedział dlaczego. Pocił się obficie, pomimo że w pokoju panował przenikliwy chłód, ten sam, który od wielu dni nie opuszczał Wenecji. Jakby mroźne, wilgotne powietrze zamierzało zostać w mieście na zawsze.

Kreślił piórkiem szybkie linie, ale czysty obraz uchwycony z różnych perspektyw przez kamerę obscure ciągle go nie zadowalał. Osobisty punkt widzenia odbijający niespokojny stan ducha zniekształcał proporcje i widoki, które jedynie wprawne oko artysty było w stanie dostrzec. Jakby właśnie przy tworzeniu tego dzieła nie potrafił się skupić na najważniejszym elemencie, na centralnym punkcie, na perspektywie.

Odnosił wrażenie, że kreślone linie żyją własnym życiem i zmieniają swoje miejsce na papierze, dlatego też ciągle je poprawiał, jakby w rozpaczliwej próbie przytwierdzenia ich na stałe do gładkiej powierzchni.

Nagle zdało mu się, że ściany pokoju zmarszczyły się i posypały, jakby były zrobione z popiołu, a zaraz potem znalazł się naprzeciw fasady kościoła Świętego Jakuba, na środku placu. Malował otaczający go widok.

Po prawej stronie widział zaułek Ruga dei Oresi z zamkniętymi sklepikami, arkady Pałacu Dziesięciu Mędrców puste niczym oczy trupa. Przed sobą miał budynki starych manufaktur.

Jak kilka dni wcześniej, tak i teraz plac był zupełnie opustoszały, chociaż ranek już dawno minął. Targ zniknął, a wraz z nim i stragany, które właśnie w tej chwili szkicował na skrawku papieru.

Ta całkowita niezgodność pomiędzy rysunkiem, który wyłaniał się na karcie, a otaczającą rzeczywistością osłabiła go, potęgując po każdym pociągnięciu pióra wrażenie, jakoby brunatny i wodnistoszary atrament wysysał z niego energię. Po raz pierwszy wyraźnie zdał sobie z tego sprawę. Chwilę później zobaczył coś, o czym chciałby jak najszybciej zapomnieć.

Pod kolumnami portyku kościoła Świętego Jakuba leżało zmasakrowane ciało zamordowanej dziewczyny. Znajdowało się dokładnie w takiej samej pozycji, jaką zapamiętał: morderca oparł je o mur świątyni. Dziewczyna na wprost siedziała, na wprost leżała. Miała na sobie elegancką suknię, długie jasne włosy opadały jej na plecy. Niebieskie, puste oczy ziały martwością, jakby wykonano je ze szkła, a mimo to, kiedy

Antonio odwracał wzrok, zdawało mu się, że go śledzą. Odniósł wrażenie, że należą do jakiegoś niezmiernie stworzenia, które nawet po śmierci nie chce się poddać bezruchowi charakteryzującemu koniec każdej żywej istoty.

Całym jego ciałem wstrząsnęły dreszcze. Szklane oczy przyglądały mu się uporczywie. Szklane oczy śledziły go bez ustanku. Szklane oczy szukały jego wzroku.

Śnieżnobiałą szyję kobiety plamiły krople suchej, niemal czarnej krwi. Na dłoniach i nadgarstkach widniały plamy w kolorze żelaza. Rozpruta klatka piersiowa, a raczej to, co z niej zostało, nie pozostawiała miejsca dla wyobraźni, i choć Antonio, tchórzając, próbował oderwać wzrok od jamy po wyrwanym sercu, nie był w stanie tego zrobić. Stał ze spojrzeniem utkwionym w oczach zamordowanej, jakby to ona domagała się uwagi, przekazując niemą przestrozę, żądanie, by o niej pamiętać, by nie zapomnieć o tym, co ją spotkało. Nie mogąc przestać patrzeć, Antonio nagle powziął podejrzenie, że jakieś dzikie zwierzę uczyniło sobie z jej ciała posiłek.

Potem wizje się zmieniły, jakby nagle nabrały życia. Krew, która wcześniej wyglądała na zakrzepłą, zaczęła płynąć silnym strumieniem z rozdartej piersi, tworząc czerwoną kałużę na schodach kościoła i dalej na bruku, gotowa pokryć cały plac Świętego Jakuba. Antonio siedział przy stole i patrzył na niemalże doskonały rysunek, który w najdrobniejszych szczegółach odzwierciedlał rzeczywistość, chociaż wcześniej nie był w stanie narysować tego, co widzi. Teraz obrazek stanowił dokładną kopię fragmentu miasta, a jedynym wyjątkiem był brak poranionego ciała.

Krew dotarła już do jego stóp i chociaż z całych sił próbował się podnieść, nie był w stanie tego uczynić. Czuł, że nogi ma mokre aż do kostek, jak w dniach, gdy stan wody znacznie się podwyższa. Tkwił w lagunie krwi, której poziom ciągle się podnosił.

Lepka, gęsta posoka oblepiała jego jedwabne pończochy.

Jak skamieniały przyglądał się temu, co się wokół niego dzieje, nie mogąc ani przeciwstawić się biegowi wydarzeń, ani uciec przed koszmarem...

W końcu się obudził i wtedy zdał sobie sprawę, że męczył go okropny sen. Jednak uczucie przerażenia nie chciało go opuścić. Tkwiło przy nim niczym niechciana kochanka.

Minęło trochę czasu, zanim całkowicie doszedł do siebie, jakby nieuchronnie wciągała go nienamacalna materia koszmaru, ale zarazem zdał sobie sprawę, że jego dusza nie dała się wciągnąć w pułapkę. Nawet jeśli zabrakło mu silnej woli, to instynkt samozachowawczy w stanowczy sposób przypominał mu o trudnej sytuacji. Wspierała go nieznana dotąd determinacja połączona z jasną świadomością co do prawdziwego stanu rzeczy. Siła, która od zawsze skłaniała go, by szukał schronienia w malarstwie, po raz pierwszy pomogła mu w codziennym życiu.

Trzęsąc się, wstał powoli z łóżka. Do pokoju wpadało słabe światło księżyca. Przez szczelinę między zasłonami z ciężkiego aksamitu sączył się blask.

Niemalże instynktownie zbliżył się do dużego okna wychodzącego na dziedziniec. Rzuciwszy okiem na dół, dostrzegł jakąś ciemną sylwetkę. Kiedy nieznajomy, przemykając bezszelestnie niczym kot, wszedł w obręb światła, Antonio zobaczył, że to ten sam mężczyzna, który śledził go kilka dni wcześniej.

Wcale mu się to nie spodobało.

29. Nocny wypad

Z MIEJSCA, W KTÓRYM SIĘ ZNAJDOWAŁA, Colombina nie mogła obserwować wnętrza budynku, ale co do jednego miała pewność: zakład, gdzie wypalano szkło i który teraz miała przed oczami, należał do tej kobiety. Jej przyjaciółka Zanetta, należąca do grupy uliczników z Murano, przysłała jej jednego z gołębi wyhodowanych przez Colombine z informacją, że kobieta, której szukają, przyjaciółka malarza Antonia Canala, zajmuje się produkcją szkła. Na karteczce widniał też adres, pod którym mieści się palarnia.

Moro, który wykonywał rozkazy Olafa Teufla, aby zyskać całkowitą pewność, polecił jej udać się na miejsce i sprawdzić to. Każdy błąd mógł mieć poważne konsekwencje, a on nie zamierzał ryzykować. Zresztą Colombina też wciąż pamiętała pobitego Bromba i nie potrzebowała innej zachęty do sumiennego wypełniania poleceń.

Udała się więc na miejsce. Od samego początku czuła strach na samą myśl, że będzie szpiegowała dla tego wcielonego diabła, a teraz nie potrafiła też stłumić obrzydzenia. Przede wszystkim wobec samej siebie. Miała się stać donosicielką. Miała przekazać temu łotrowi spod ciemnej gwiazdy, gdzie można znaleźć kobietę o czarnych włosach, którą przed chwilą zobaczyła.

Co zamierzają jej zrobić?

Czy jestem gotowa wydać na nią wyrok? – pomyślała. Przecież nawet nie znając szczegółów, wiedziała, że kobiecie grozi niebezpieczeństwo. Jednak potrzebowała pieniędzy. Nie dla siebie, ale dla grupy sierot, do której należała. Tworzyły ją porzucone bękarty ze związków, u podłoża których leżały grzech i nierząd. Niechciane dzieci połączyły się paktem krwi tylko po to, aby przeżyć. A teraz ich przywódca, ten, którego Colombina uważała za najodważniejszego na świecie, powierzył ich los człowiekowi będącemu wcieleniem czarta.

Czy jestem gotowa zaprzedać się diabłu? – pomyślała. Przecież właśnie o to chodzi. Z drugiej strony nie potrafiła znaleźć innego rozwiązania, chociaż bardzo się starała. Jak miała postąpić? Sprzeciwić się jedynej osobie, która o nią dba? Zdradzić swoich towarzyszy? Nie, nie mogła tego zrobić. Albo raczej nie chciała. Ulicznicy to była jedyna rodzina, jaką kiedykolwiek miała, nikt inny nawet palcem nie kiwnął w jej obronie. Sama musi zadbać o swoją przyszłość, bo ani artysta, ani kobieta o czarnych włosach nigdy nic dla niej nie uczynią.

Nic im nie jestem winna. To obcy ludzie.

Dlatego też postanowiła dokładnie wykonać polecenie i przekazać Morowi najbardziej szczegółowe informacje. Ułatwić mu zadanie.

Obserwowała budynek przez większą część dnia i poza kobietą nikogo w pobliżu nie zauważyła. Nikt nie wchodził do środka. Nikt nie wychodził. Wszystko wskazywało na to, że kobieta przebywa w swojej pracowni zupełnie sama. Budynek nie miał okien, a tylko wielkie drzwi. Jednak Colombina nie mogła przekroczyć progu, bo to równałoby się z utratą możliwości zbierania informacji, a przecież nawet w obecnej kryjówce nie czuła się zbyt pewnie. Nie mogła sama komplikować sobie zadania. Męczyło ją jednak poczucie winy, miała wrażenie, że okrada samą siebie. Kiedy wcześniej dopuszczała się drobnych kradzieży, jej ofiarami padali zawsze bogaci, często obrzydliwi mężczyźni, którzy przy sposobnej okazji nie zawahaliby się zrobić jej krzywdy. Colombina nie miała co do tego wątpliwości. Tymczasem ta kobieta była zupełnie inna. Po prostu wykonywała swoją pracę. A w dodatku wybrała sobie niełatwe zajęcie!

Colombina pokręciła głową, bo wiedziała, że popełnia błąd.

I żadne usprawiedliwienie nie było wystarczające, by uciszyć wyrzuty sumienia.

Jedyną rzeczą, jaką mogła zrobić, było przeciąganie zadania w czasie. Jak najdłużej się da. Może przy odrobinie szczęścia uda jej się wyjść cało z tego ambarasu. A jeśli nie, to będzie musiała ponieść konsekwencje. Bo jeśli Teufel przekona się, że ona próbuje pokrzyżować mu plany, to nic jej nie uratuje.

Westchnęła. Mimo wszystko spróbuję – postanowiła. Spróbuję zyskać na czasie.

Do diabła z tym łajdakiem!

30. Zauroczenie

NIE MOGŁA MU SIĘ OPRZEĆ.

Od momentu gdy Cornelia poznała tego mężczyznę, rozumiała, że to coś więcej niż chwilowe zauroczenie. Jakkolwiek dziwnie by to wyglądało, zrodziła się między nimi silna więź porozumienia, która bardzo szybko zmieniła się w zaborczą, niemalże chorobliwą relację. Początkowo Olaf spełniał wszystkie jej życzenia. Kiedy Cornelia potrzebowała kawalera, który towarzyszyłby jej w trakcie balu, przyjęcia, przedstawienia teatralnego czy kurtuazyjnej wizyty, on zawsze był na podorędziu – elegancki i z nienagannymi manierami. Organizował dla niej niezapomniane wieczory, przygotowując ciekawe zabawy, wyrafinowane gry i maskarady o oryginalnej tematyce. Wszedł w jej życie niczym majowe słońce i zachowywał się jak na rasowego utrzymanka przystało – niczego swej damie nie odmawiał.

Jednak Olaf był dla niej kimś więcej. Uwodził ją w tak wyszukany sposób jak żaden inny mężczyzna, a tych miała w swoim życiu na pęczki. W łóżu wykazywał się ognistym temperamentem, ale i poza nim potrafił zaspokajać jej najskrytsze żądze i niewypowiedziane marzenia, które dotąd wydawały jej się nieziszczalne. Słuchał jej i zawsze miał w zanadru jakąś dobrą radę: czy to dotyczącą artystycznego pokrojenia kawałka pieczeni, czy wyboru opery godnej obejrzenia. Olaf zawsze stawał na wysokości zadania. Kiedy zapragnęła nowych perfum dopasowujących się do jej skóry, mężczyzna natychmiast pojawiał się z doskonałym zapachem.

Lecz chociaż miał wszystko, czego pożądała, było w nim coś niepokojącego, coś mrocznego i ocierającego się o perwersję, co potęgowało się z każdym dniem. W oczach Cornelii jednak te złowrogie cechy czyniły go jeszcze bardziej atrakcyjnym. Nie mogła już bez niego żyć.

Zmiany następowały powoli i jakby mimochodem: pojawiły się stoły do gier hazardowych, kolejne alkowy, przyjęcia o bardziej rozwiązłym charakterze. Minęło kilka miesięcy i jej salon stał się zupełnie innym miejscem, niż był na początku. I bez wątpienia bardziej dochodowym. Szulernia zapewniała jej fortunę, chociaż część zysków zjadały podatki na rzecz Serenissimy. To samo dotyczyło sektora uciech cielesnych, gdzie szlachetnie urodzone damy i wpływowi kawalerowie, korzystając z małżeńskiej przepustki, wydawali pieniądze i wymieniali intymne pieszczoty ze znudzonymi panienkami z bogatych domów oraz z poszukiwaczami przygód, którym w podejrzany sposób udało się wzbogacić i zająć miejsce wśród szanowanych

obywateli miasta. Klienci podlegali starannej selekcji, a przyjemności oferowane przez gospodynię zarezerwowane były dla ściśle określonego grona bywalców, ponieważ wstęp do salonu mieli jedynie stali członkowie i ewentualnie osoby przez nich zaproszone. W przybytku nie pracowały też zawodowo męskie ani damskie prostytutki, gdyż stosunki rodziły się ze spontanicznego, chwilowego pożądania i opierały na wzajemnej dyskrecji, którą dodatkowo gwarantowały maski.

Proponowane w salonie Cornellii rozrywki były w Wenecji tajemnicą poliszynela i uczyniły z niej jedną z najbardziej pożądanych i najbogatszych kobiet w mieście. Olaf, który był niewątpliwie twórcą tej fortuny, dziwnym trafem niczego dla siebie nie żądał prócz sumy na pokrycie niezbędnych wydatków pozwalających mu na utrzymanie eleganckiej, wyrafinowanej prezencji. Jednak Cornelia szybko odkryła, że jego hojność nie jest bezinteresowna. Z czasem, gdy ich związek stawał się coraz silniejszy, kobieta poczuła się tak bardzo związana z kochankiem, że już nie wyobrażała sobie życia bez niego. I dlatego z radością zaspokajała wszystkie jego osobliwe, ekscentryczne i niebezpieczne potrzeby. Co więcej, im bardziej nietypowe miał pomysły, tym mocniej czuła, że żyje pełnią życia, dlatego nie zapomniała okazywać Olafowi wdzięczności. Jednocześnie i w alkowie mężczyzna stawał się coraz gwałtowniejszy, pozbawiony hamulców, wręcz nieprzyzwoity i zdeprawowany. Jego zachowanie nie budziło jednak w Cornellii strachu, a jedynie czyniło ją coraz bardziej uległą.

Nie sprzeciwiła się nawet wtedy, gdy Olaf zaczął wspominać o utworzeniu tajnego stowarzyszenia, którego celem miało być sekretne przymierze łączące sprawdzonych bywalców salonu. Tak też się stało po tym, jak kupili sąsiednią willę, Olaf zażądał bowiem dla siebie największego salonu, w którym zaczął organizować spotkania członków loży. Tak właśnie nazywał swoje bractwo.

Pewnego dnia Cornelia zapytała go, jaki jest cel tajnej organizacji, i w odpowiedzi usłyszała, że chodzi o zgromadzenie odważnych kawalerów gotowych bronić Wenecji przed drapieżnymi zakusami najmożniejszych rodów, które od niepamiętnych czasów wysysają szpik z kości Serenissimy. Olaf miał już plan, jak tego dokonać. Przed wszystkim zamierzał zacieśnić więzy łączące mężczyzn, którzy regularnie odwiedzali przybytek Cornellii.

Pomimo że jego zachowanie było coraz bardziej perwersyjne i tajemnicze, a Cornelia doskonale zdawała sobie z tego sprawę, to jednak coraz mocniej go pragnęła. Jakże odległe wydawały się teraz czasy, gdy najbardziej lubieżne i nieprzyzwoite gry salonowe ograniczały się do wierszydeł pornografa od siedmiu boleści, Giorgia Baffa! Teraz śmiało można by powiedzieć, że salon stał się jedynie przykrywką, okazją do rozkoszowania się czymś znacznie więcej niż tylko słowami

i tekstami. Poza tym hazard i cudzołóstwo zmieniły miejsce spotkań w oazę szpiegowania i szantażu. Na podstawie zgromadzonych informacji Cornelia mogłaby zdemaskować przynajmniej tuzin związków konspiracyjnych i spisków, z których żaden nie zakończył się sukcesem. Olaf osiągnął swój cel. Dzięki ciągłemu szpiegowaniu gości, dzięki znajomości najdziwniejszych języków świata, dzięki zgromadzonym plotkom, pogłoskom, półprawdom i kłamstwom weszli w posiadanie ogromnego zbioru informacji, na który składały się niemoralne obietnice i grzeszne czyny tak wielkiej wagi, że już połowa z nich pozwoliłaby im rzucić Wenecję na kolana.

W dodatku wiele niepowołanych oczu za jednego dukata mogło zabawiać się zgadywaniem, kto jest autorem nieprzyzwoitych uczynków, biorąc pod uwagę, że już wkrótce role mogą się odmienić. A ponieważ wszyscy pobrudzili się w gnoju tej latryny, nikt nie odważyłby się wspomnieć słowem o tym, co widział i słyszał. Losy członków salonu i ich przyjaciół splatały się więc nierozdzielnie, co czyniło z nich wiernych i lojalnych towarzyszy. Tak się zawsze dzieje, gdy spoiwem porozumienia są dwa najtwardsze metale, jakie można sobie wyobrazić: zdrada i tchórzostwo.

Z czasem obrzydliwa, plugawa skłonność Olafa do szantażu i groźby zaczęła coraz bardziej pociągać Cornelie, jakby z każdym dniem niepostrzeżenie i ukradkiem męzczyzna sączył w nią swój jad.

Teraz stała przed nim bezbronna i osamotniona, gotowa spełnić wszystkie jego zachcianki i sprawić mu przyjemność w taki sposób, w jaki zażąda.

Olaf kazał wyłożyć podłogę salonu wielkimi kafkami w postaci białych i czarnych kwadratów i teraz miała wrażenie, że stąpa po gigantycznej szachownicy. Na ścianach widniały symbole, których znaczenia nie znała, przedstawiające poziomicę i cyrkle oraz wyobrażenia egipskich bóstw. Nad jej głową rozciągało się rozgwieżdżone niebo.

Spojrzała na kochanka siedzącego na fotelu wyściełanym czerwonym aksamitem z oparciem w postaci złotego liścia. Czekał na nią. Długie ciemnobrązowe włosy miał rozpuszczone, a oczy podmalowane czarnym tuszem. Ciemne źrenice błyszcząły żądzą. Pierścienie na jego dłoniach skrzyły się w blasku świec. Jak zwykle nosił się bardzo elegancko: miał na sobie koronkową śnieżnobiałą koszulę zapiętą aż pod szyję, aksamitne spodnie do kolan, jedwabne pończochy oraz czarne lakierowane buty. Za guziki granatowego fraka o kobaltowym odcieniu służyły mu krwistoczerwone rubiny, które lśniły niepokojąco w płomieniach świec palących się w głębi salonu.

Nagle Olaf zdecydowanym ruchem szarpnął za sznur. Skórzana obroża zacisnęła się mocno na szyi Cornelii, niemal uniemożliwiając jej oddychanie.

– Chodź tu – szepnął Olaf. – Zobaczymy, czy potrafisz dać mi jeszcze trochę rozkoszy. Dopiero wtedy się tobą zajmę.

Cornelia poczuła podniecenie. Oblizła wargi i podeszła do kochanka, napawając się chwilą niepewności, jakby szła po niewidzialnej linii oddzielającej życie od śmierci. Czuła narastającą radość, która od zawsze towarzyszyła myśli, że musi zasłużyć na jego pieszczoty i pocałunki, godząc się na poniżenie i wyuzdane żądania. Ta niczym nieograniczona uległość stanowiła zapłatę za oddanie, które mężczyzna okazywał jej bezustannie, gdy znajdowali się w towarzystwie.

Olaf zawijał długą smycz wokół własnej dłoni i dystans dzielący kochanków skracał się z każdą chwilą. Zaopatrzył się w skórzaną obrożę nabijaną okrągłymi stalowymi ćwiekami, zlecając jej wykonanie jednemu z handlarzy, który pochodził z jego ojczystych stron znajdujących się gdzieś na rubieżach austriackiego imperium.

Stąpając niepewnie na wysokich koturnach, Cornelia oddychała z największym trudem, właśnie tak jak to sobie wymyślił Olaf. W tej chwili gotowa była zrobić dla niego wszystko.

– Na kolana – rozkazał.

Kobieta jęknęła z rozkoszy. Czuła, jak zalewa ją fala podniecenia, którego nie jest w stanie opanować. Posłuchała i padła na podłogę.

Mężczyzna pociągnął mocnej i Cornelia poczuła, jak jej twarz opiera się o jego buty.

– Liź – syknął złowrogo.

31. Trudny dzień

– CO CHCECIE PRZEZ TO OSIĄGNĄĆ? – zapytał namiestnik odpowiedzialny za stan zdrowia publicznego. – Przecież cały czas każemy kontrolować granice miasta i ulice. Każdego dnia wysyłamy nasze uzbrojone w armaty okręty na wody Serenissimy, aby zablokować nielegalne transporty. Sprawdzamy podejrzane statki i zezwolenia sanitarne, aby nie dopuścić do dalszego szerzenia się zarazy. W pobliżu górskich przełęczy postawiliśmy ogrodzenia i mury z kamieni. Nie wspominam nawet o takiej oczywistości jak punkty kontroli stanu zdrowia. Wierzcie mi, wszystkie te obostrzenia bardzo niekorzystnie wpływają na handel.

– Ekscelencjo – odezwał się Isaac – nie zaprzeczam, że robicie wszystko, co konieczne, aby zapobiec rozprzestrzenianiu się zarazy, ale ze swej strony proszę o pozwolenie na wprowadzanie szczepów bakterii do organizmów zdrowych ludzi w celu zwiększenia szans na wyleczenie wśród tych, którzy zarażą się ospą. Tylko w ten sposób można w znaczny sposób podwyższyć zbiorową odporność.

– Dobrze wiecie, że nie mogę się na to zgodzić. Większość medyków już wyraziła swą kompetentną opinię w tej kwestii.

– Przecież doskonale zdajecie sobie sprawę, że metoda szczepienia już istnieje i przynosi pozytywne rezultaty!

– I co z tego? To nie jest wystarczająco bezpieczne. Prewencyjne wprowadzanie do zdrowych organizmów substancji pobranych z dojrzałych ropni nawet w bardzo ograniczonej formie niesie ze sobą ryzyko zachorowań większej liczby osób. To prawda, że niektóre z nich pokonują w końcu chorobę, ale liczba zgonów i tak jest wysoka, bo zakażanie zdrowych ludzi powoduje rozprzestrzenianie się zarazy. No i mówimy o eksperymentach na ludziach, którzy są zdrowi.

– Wybaczcie mi, Ekscelencjo, ale nie chce mi się wierzyć, że nie macie do zaproponowania żadnego rozwiązania poza biernym oczekiwaniem.

– Przykro mi, że muszę rozczarować was, panie Liebermann, i wszystkich medyków, którzy podzielają wasze stanowisko, ale zarówno w obliczu dżumy, jak i czarnej ospy jesteśmy bezradni, a ludzie umierają! Nikt z nas nie może nic zrobić, musimy po prostu czekać, aż zaraza z czasem osłabnie.

Isaac pokręcił głową. W tym momencie czuł się naprawdę bezużyteczny. Skoro nauka nie jest skłonna zaakceptować nowych metod w walce z chorobą, skoro władza

nie ma odwagi podjąć radykalnych decyzji, by spróbować zmienić sytuację, która od miesięcy ciągle się pogarsza, to jaki los czeka młode pokolenie?

– Widziałem, jak śmierć zabiera niewinne dzieci, młodzianków proszących jedynie o nadzieję na dalsze życie. Trzymałem ich w ramionach i nic nie mogłem dla nich zrobić. Co mam powiedzieć matkom, które wypłakują sobie oczy aż do krwi? Dobrze wiecie, że najbardziej cierpią najbiedniejsi, a jeśli ospa napawa strachem tych, którzy mają już większą część życia za sobą, to jakże niesprawiedliwa jest dla tych, którzy ledwo co odrosli od ziemi!

– Panie Liebermann – odezwał się namiestnik tonem przepełnionym urazą – jakim prawem przychodzicie do mnie, by rzucać mi w twarz tak poważne oskarżenia? Doskonale wiem, że istnieją nowe metody zapobiegania zarazie, ale mówię wam, że nie mamy dostatecznych gwarancji powodzenia, by zdecydować się na eksperymenty na zdrowych ludziach! Nie sądzicie chyba, że jesteście jedyną osobą, która była świadkiem niesprawiedliwych, mrozących krew w żyłach scen? Już samo to, że stawiacie się ponad mną i wszystkimi medykami Republiki, stanowi dla nas śmiertelną obrazę. Czy wyrażam się dość jasno?

Isaac pochylił głowę.

– W dawnych czasach – powiedział ze smutkiem – medycy nie bali się chorób, a dobro pacjentów było dla nich nienaruszalną świętością. Przecież kiedyś Wenecja wiodła prym w sztuce leczenia! Wspomnieliście o dżumie, więc przypomnę wam, że to właśnie ta śmiertcionośna zaraza została pokonana dzięki środkom zaradczym wprowadzonym w Republice, chociaż wydawały się one wtenczas ryzykowne, by nie rzec: nierozważne. Rozumiem jednak, że tamte czasy minęły bezpowrotnie. Widzę, że zmęczona Wenecja unosi się bezwolnie na wodach laguny w oczekiwaniu, aż splądrują ją oszuści i szarlatani.

– Nie mam zamiaru dłużej wysłuchiwać waszych obelg! – zagrzmiął namiestnik. – Jak śmiecie zwracać się do mnie w ten sposób! Prawda jest taka, mój drogi panie Liebermann, że dżuma wcale nie została pokonana, i podczas gdy my tu sobie rozmawiamy, zaraza podążyła do nas od ludu Wołochów w Serbii i puka już do bram Istrii. Jeśli do tej pory udało nam się uchronić przed chorobą, to tylko dzięki zarządzeniom przez nas kordonowi sanitarnemu. Niestety, w przypadku czarnej ospy nie udało nam się zareagować na czas. Pewnie dlatego, że wiemy o niej jeszcze mniej niż o dżumie. Z przykrością muszę przyznać, że wasze słowa są nie do przyjęcia, i teraz już rozumiem dlaczego! W końcu jesteście Żydem, a wasze rozważania ukazały jasno waszą prawdziwą naturę, która jest okrutna, gwałtowna i skłonna do buntu! Czyż to nie w Księdze Kapłańskiej czytamy: „Ktokolwiek skaleczy bliźniego, będzie ukarany w taki sposób, w jaki zawinił. Złamanie za złamanie, oko za oko, ząb za ząb.

W jaki sposób ktoś okaleczył bliźniego, w taki sposób będzie okaleczony”? Przypominam sobie też teraz odpowiedni cytat z Księgi Wyjścia: „Oko za oko, ząb za ząb, rękę za rękę, nogę za nogę, oparzenie za oparzenie, ranę za ranę, siniec za siniec”¹. A zatem wszystko jasne. Wyjawiliście tu dzisiaj, kim tak naprawdę jesteście. Podziękujcie waszemu Bogu, że pozwałam wam odejść w pokoju, pomimo że przyszlście do mnie z wypowiedzeniem wojny.

– Ekscelencjo. – Isaac podjął rozpaczliwą próbę załagodzenia ostrego wydzźwięku własnych słów. – Być może pobiłdłem. Jeśli tak jest, proszę was o wybaczenie. Być może przesadziłem, ale błagam was, byście przyjęli do wiadomości, że uczyniłem to dla dobra tych wszystkich, których każdego dnia próbuję wyrwać ze szponów śmierci.

– To właśnie wasza największa wada, panie Liebermann. Uważacie się za lepszego od innych i nie tracie żadnej okazji, by o tym przypomnieć. Tylko że wasze przeświadczenie nie ma nic wspólnego z prawdą! Nie wystarczy się wychwalać, by rzeczywiście stać się lepszym człowiekiem. Dlatego teraz opuście mój gabinet, zanim zacznę żałować, że puszczam was wolno – zakończył namiestnik, uderzając pięścią w biurko zasłane dokumentami.

Isaac nie miał wątpliwości, że sytuacja wymknęła się spod kontroli i niczego nie da się już naprawić. Ukłonił się lekko i skinął głową na pożegnanie, ale jego rozmówca już wcześniej odwrócił się do niego plecami.

Isaac szedł powoli, a lampion, który trzymał w dłoni, kołysał się w rytm jego kroków. Ostro zapach unoszący się nad wodami laguny wypełnił mu nozdrza. Wenecja pogrążała się w lepkim uścisku nocy niczym wiarołomna kochanka.

Wiedział, że jest już późno, i żałował, że nie zdąży na czas, ale cały dzień potoczył się zupełnie inaczej, niż sobie zaplanował. Długie oczekiwanie na przyjęcie i rozmowa z namiestnikiem w pokojach urzędu do spraw zdrowia publicznego Republiki zabrały mu znacznie więcej czasu, niż się spodziewał.

Wreszcie dotarł do zrujnowanego osiedla, w którym roilo się od pozbawionej środków do życia biedoty. Kiedy wszedł na wewnętrzny dziedziniec obskurnego budynku, czarne postacie poowijane w podarte peleryny przyglądały mu się niczym głodne kruki wypatrujące łatwego łupu. Gdzieniegdzie płonęły małe ogniska, wokół których kilka kobiet próbowało ogrzać zziębnięte dłonie po mroźnym dniu spędzonym na ulicy. Jedna z nich postąpiła kilka kroków w jego stronę, uniosła spódnice i uśmiechnęła się, pokazując fioletowe, pozbawione zębów dziąsła. Nagle wśród grupy nędzarzy w blasku ognia Isaac dostrzegł pokrytą sadzą twarz małego chłopca. Dziecko wpatrywało się w niego wielkimi niebieskimi oczami, które błyszcząły gorączkowo w chudej, wycieńczonej twarzy. Brudny śluz sączył mu się z nosa.

W czymś rękę błysnęło ostrze noża.

Isaac przyspieszył kroku. Jak to możliwe, że ludzie żyją w takich warunkach? Zupełnie opuszczeni i pozostawieni na pastwę losu? Kto skazał ich na taką straszną egzystencję? A przecież zupełnie niedaleko rozciąga się bogata dzielnica San Marco z wyjątkowo piękną architekturą i należącymi do patrycjuszy pałacami, których zapierające dech w piersiach fasady przegładają się w wodach Canal Grande.

Wspiął się po schodach i dotarłszy na półpiętro, zapukał do drzwi.

Otworzyła mu kobieta w wełnianej podziurawionej spódnicy. Na plecy miała zarzucony stary szal, pod nim zniszczony gorset. Włosy podzielone przedziałkiem na środku głowy znikwały pod czepkiem, który kiedyś był pewnie biały.

– Dziękuję, że przyszliście – odezwała się i popatrzyła na niego z wyważoną wdzięcznością, jakiej nigdy wcześniej u nikogo nie zauważył.

– Jak się czuje Chiara? – zapytał.

– Sami osądźcie – odpowiedziała.

Rezygnując z dalszych pytań, Isaac podążył za drobną, uprzejmą kobietą do pokoju.

Tym razem dziewczynka siedziała, opierając się na poduszkach. Naciągnęła kołdrę aż pod brodę, ale uśmiechnęła się na widok medyka. Ropnie na jej twarzy już nie były napuchnięte i wyglądały teraz na całkiem dojrzałe. Niektóre pękły i zmieniły się w krosty. Spojrzenie dziecka było żywe i pozbawione tego wilgotnego blasku, charakterystycznego dla wysokiej gorączki. Dla pewności Isaac postanowił sprawdzić, ale jak podejrzewał, czoło miała chłodne i suche. Odetchnął z ulgą.

– Przespała spokojnie ostatnie dwie noce – powiedziała matka.

W jej oczach Isaac znowu zobaczył wdzięczność, jaką nikt go wcześniej nie obdarzył. Poczł silne wzruszenie i zrozumiał, że nie może pozostać obojętnym na delikatną słodycz tej kobiety.

– Wasze pigułki okazały się prawdziwym błogosławieństwem.

– Macie je jeszcze?

Przytaknęła.

– Gorączka ustąpiła – zapewnił ją, po czym zwrócił się do dziewczynki: – Lepiej się czujesz? Możesz otworzyć usta i pokazać mi język?

Nie odpowiedziała, tylko od razu wypełniła polecenie, a on zobaczył, że opuchlizna sprzed tygodnia zupełnie zniknęła.

Pokiwał głową.

– Bardzo dobrze – powiedział. – Świetnie się spisałaś. Naprawdę jestem z ciebie dumny.

Dziewczynka spojrzała na niego i bez żadnego trudu wypowiedziała pierwsze słowo od czasu, gdy ją poznał.

– Dziękuję. – Jej spojrzenie było tak uroczyste, że rozbawiło Isaaca.

Chiara przybrała bardzo poważną minę, która nie pasowała do jej dziecięcej buzi. Mała jest naprawdę odważna – pomyślał medyk – właśnie wygrała najważniejszą bitwę w swoim krótkim życiu.

– To jeszcze nie koniec – ostrzegł ją – musisz uzbroić się w cierpliwość. Te rany, które masz na twarzy i na całym ciele, wkrótce zaczną pękać i wypłynie z nich ropa o nieprzyjemnym zapachu – dodał i ponownie zwrócił się do matki: – Proszę się nie martwić, to potrwa kilka tygodni, aż ropnie całkiem znikną, pozostawiając po sobie blizny.

Kobieta pokiwała głową.

– Rozumiem – zapewniła. – Bez waszej pomocy Chiara by nie wyzdrowiała. Tylko to się liczy.

Jej słowa zabrzmiały z całą siłą niepodważalnej prawdy i Isaac nie widział sensu, by zaprzeczać.

– A teraz powinnaś odpocząć, moje dziecko – powiedział i pogłaskał dziewczynkę po głowie.

Kiedy wrócili do kuchni, zauważył, że w kominku paliły się ostatnie polana.

– Jak macie na imię? – zapytał niespodziewanie.

– Viola – szepnęła nieśmiało kobieta.

– Bardzo ładne imię – zawahał się. – Posłuchajcie... Chiara musi się dobrze odżywiać, a wy też powinniście coś zjeść. Dlatego proszę was, żebyście to przyjęły. – Zamilkł i położył na zniszczonym stole skórzaną sakiewkę z brzęczącą zawartością.

– Nie, nie mogę. – W słowach kobiety zabrzmiała godność.

– Wasza odmowa przynosi wam chlubę, zresztą niczego innego się nie spodziewałem... Jednakże bardzo was proszę, tu nie chodzi o jałmużnę, po prostu jako lekarz czuję potrzebę niesienia pomocy. Nie mam żony ani dzieci. Może dlatego Chiara przypomina mi córkę. Dobrze ją wychowujecie: jest silna i odważna.

Viola chciała wytrwać w swoim postanowieniu. Świadczył o tym blask jej oczu, które mówiły więcej niż tysiące słów, gdy nagle jakiś cień przesłonił jasność jej spojrzenia.

– Zwrócę panu wszystko.

– Proszę się tym nie martwić, nie mam problemów materialnych. Postaram się was częściej odwiedzać. Kominek... Przyślę wam trochę drewna na opał. Przynajmniej przestaniecie marznąć. Osobiście się wszystkim zajmę. Kupcie coś do jedzenia i jakieś ubrania.

– Jak mogę się wam odwdzięczyć? – zapytała Viola z zadziwiającym uporem.

– Przystając już o tym mówić – oświadczył stanowczo Isaac. – Pomogę wam. Obiecuję.

I po raz pierwszy tego dnia Isaac Liebermann się uśmiechnął.

32. Cygan

WIEDZIAŁ, ŻE KTOŚ GO ŚLEDZI.

Właśnie z tego powodu zdecydował się na spacer pomimo panującego chłodu. Miał nadzieję, że mężczyzna da się złapać na haczyk, bo miał już dość tej zabawy. Kiedy zauważył go w nocy pod oknami swojego mieszkania, pomyślał, że miarka się przebrała. Antonio po raz pierwszy postanowił, że sam poprowadzi grę. Miał świadomość, że naraża się na ryzyko, ale chciał dobrać do końca i przekonać się, czy zdoła odkryć coś interesującego.

Zdawał sobie sprawę, że Cygan ma go na oku od chwili, gdy opuścił mieszkanie. Mężczyzna najwyraźniej był przekonany, że nikt go jeszcze nie zdemaskował, ponieważ zachowywał się wyzywająco, niemal nierozważnie. Kto wie, od jak dawna depta mi po piętach – pomyślał Antonio. Może śledził mnie już wcześniej, zanim podjąłem się zadania zleconego przez dożę. Jego ubiór nie wskazywał, by należał do ludzi Czerwonego Inkwizytora ani nawet do podkomendnych dowódcy nocnej straży, którzy w większości nie wyglądali jak dżentelmeni. Ten typ już na pierwszy rzut oka wywoływał gęsią skórę, a poza tym od razu nasuwało się podejrzenie, że nie pochodzi z Wenecji.

Antonio szedł bez pośpiechu, chcąc zmęczyć i znudzić przeciwnika długim spacerem po Cannaregio i San Polo, potem znowu po Cannaregio i na koniec po dzielnicy Castello.

Na ulicach spotykał teraz niewielu przechodniów. Mrok zbliżającej się nocy wypełniał zaułki, a rzadkie płomienie pochodni lizały krwawymi jezorami ściany budynków. Od czasu do czasu słychać było plusk wiosła uderzającego w wody kanału. Księżyc w pełni rozdzierał wełniany całun chmur podobnych do waty cukrowej.

Antonio był naprawdę zdesperowany, skoro zdecydował się na podobną grę. Po prostu z biegiem dni jego charakter znacznie się umocnił i teraz nie mógł się doczekać konfrontacji z nieznanym.

Wszedł w wąską uliczkę, przemierzył ją zdecydowanym krokiem i na końcu skrzyżował w prawo. Idąc dalej, znalazł się na dobrze oświetlonym pochodniami placu. Nie odwracając głowy, kątem oka zauważył w pewnej odległości ciemną sylwetkę śledzącego go mężczyzny. Nie miał wątpliwości.

Skierował się w lewo i dotarł do końca uliczki, którą zamykał wysoki mur.

Odwrócił się i zamarł w oczekiwaniu.

Mężczyzna nie dał na siebie długo czekać. Już po chwili stanął naprzeciw Antonia.

– Drogi panie – rzucił zuchwale artysta – wreszcie mam okazję was poznać. Kim jesteście? Kto was przysyła? A przede wszystkim, dlaczego cały czas za mną chodzicie?

Cygan – gdyż z dużą dozą prawdopodobieństwa mężczyzna pochodził z ziem leżących za węgierskimi lasami, a przynajmniej takie przekonanie żywił Antonio – wykrzywił twarz w paskudnym grymasie, który jasno świadczył, że wcale nie spodobało mu się to, że został zdemaskowany. Wszystko wskazywało na to, że zupełnie się tego nie spodziewał.

– Nie powiem nic więcej, niż to konieczne – rzekł z dziwnym akcentem, sprawiając wrażenie, jakby zamierzał zahipnotyzować rozmówcę, a zarazem bawił się kołysaniem wypowiedzianych słów.

– A zatem słucham. – Antonio nie przestawał nalegać.

Zamiast udzielić wyjaśnień, Cygan wyjął z kieszeni fraka jakiś przedmiot, który błysnął niepokojąco w świetle kaganka trzymanego przez Antonia. Milcząc, mężczyzna zaczął zbliżać się do artysty bardzo powoli, jakby wcale mu się nie spieszyło. I chyba naprawdę tak było, gdyż to on trzymał Canaletta w szachu, wymachując mu nożem przed nosem.

– Chciałbym usłyszeć, co macie do powiedzenia – powtórzył Antonio, starając się opanować drżenie, co wcale nie było łatwe. Ostatecznie poczuł nawet dumę, że udało mu się stawić czoła przeciwnikowi.

Niespodziewanie do uszu obu mężczyzn dotarł nieznajomy głos:

– No właśnie! Posłuchajmy!

Zza pleców Cygana wysunął się zamaskowany człowiek, wyciągając zza ukrytego pod peleryną pasa pistolet o długiej lufie.

– Lecz najpierw chcielibyśmy się dowiedzieć, kto jest waszym zleceniodawcą – dodał, postępując w stronę Cygana.

Ten zaś, trzeba mu przyznać, zdołał zachować zimną krew i odwróciwszy się plecami do Antonia, stanął twarzą w twarz z nowo przybyłym.

– A niby dlaczego miałbym wam to powiedzieć?

– Bo ołowiana kulka jest szybsza niż nóż.

– To prawda, ale zawsze możecie chybić – zauważył Cygan.

– Naprawdę chcecie się przekonać? – odpowiedział bez mrugnięcia okiem mężczyzna w masce.

W tej chwili Antonio pomyślał, że zwabienie w pułapkę człowieka, który go śledził, to jednak nie był najlepszy pomysł.

– Nie sądzę, że zdecydujecie się oddać strzał – powiedział Cygan, wyrażając głośno obawę, która zagościła również w głowie Antonia.

Mężczyzna w masce odpowiedział milczeniem.

Przez chwilę powietrze wokół nich jakby zamarzło, wszystko znieruchomiało, a cała scena sprawiała wrażenie zawieszony w czasie i przestrzeni, jakby w oczekiwaniu na dalszy rozwój wypadków.

I właśnie wtedy Cygan rzucił się na przeciwnika.

– Zatrzymaj się! – zawołał Antonio.

Mężczyzna w masce wymierzył, lecz zanim zdążył nacisnąć spust, Cygan skoczył pomiędzy ścianę budynku po swej prawej stronie a ramię trzymające wymierzoną w niego broń. Wcisnął się w wolną przestrzeń ze sztyletem w lewej dłoni i przerzuciwszy w ostatniej chwili oręż do drugiej ręki, zadał przeciwnikowi cios pięścią w bok.

Ten próbował się odsunąć, aby uniknąć uderzenia, ale Cygan okazał się tak szybki i zręczny, że trafił prosto w cel.

Zaraz potem pojawił się błysk i rozległ huk wystrzału. Ołowiana kula chybiła celu i uderzyła w kostkę brukową.

Człowiek w masce krzyknął głośno. Uderzenie musiało sprawiać mu ogromny ból. Dotknął dłonią boku, w który ugodził go napastnik.

– Przeklęty łotr! – zawołał, upuszczając pistolet na ziemię, po czym upadł na kolana.

– Owen! – zawołał Antonio.

– Łap go – szepnął w odpowiedzi Irlandczyk.

Niestety, Cygan zdążył już uciec.

33. Szkło

ANTONIO ODPROWADZIŁ RANNEGO przyjaciela do domu, a kiedy zostawił go w bezpiecznym miejscu, natychmiast wsiadł na łódź do Murano. To właśnie Irlandczyk polecił jednemu z przewoźników, którego znał i opłacał, aby zawiózł Canaletta tam, gdzie ten sobie zażyczy. Jednak przed podróżą artysta chciał się upewnić, czy McSwiney nie potrzebuje jego pomocy. Jak tylko się przekonał, że nic mu już nie grozi, wskoczył na łódkę i pomimo że był środek nocy, ponaglił wioślarza, by odbił od brzegu.

W czasie przeprawy głowił się nad tym, co powstrzymało ich napastnika przed użyciem sztyletu. Przecież nie wyglądał na człowieka, który zawahałby się przed zabiciem kogoś, kto mierzy do niego z pistoletu.

A tak właśnie potoczyły się sprawy. Wcześniej zachowanie Cygana było ze wszech miar konsekwentne: pułapka, groźby, którymi go obrzucił, wymachiwanie nożem oraz pogarda dla niebezpieczeństwa, na jakie się narażał – wszystko to czyniło zeń doskonałego mordercę. A mimo to na koniec zdecydował się obezwładnić McSwineya w najbardziej nieszkodliwy z możliwych sposób. Takie działanie zupełnie przeczyło zdrowemu rozsądkowi.

Antonio, wpatrując się w nocne niebo, doszedł do wniosku, że nie jest w stanie rozwikłać tej tajemnicy.

Szkło ma w sobie jakąś przyciągającą moc. Charlotte była tego pewna.

Postanowiła spędzić tę noc przy palenisku, gdzie formując w ogniu kryształ, czuła dziwną błogość. Potrzebowała spokoju, by uciszyć swoje zranione serce. Brakowało jej starego mistrza, a poza tym chciała zastanowić się w samotności nad tym, co rodziło się między nią a Antoniem i co napawało ją obawą. Czy powinna pozwolić, aby serce wzięło górę? W głębi duszy czuła, że jeśli obdarzy Antonia gorącą miłością, może wiele stracić, a już dawno przyrzekła sobie, że nigdy nie pozwoli, by ograniczało ją przywiązanie do mężczyzny.

Wpatrywała się w ogień płonący wewnątrz paleniska.

Wróciła myślami do Menega, mistrza, któremu zawdzięczała znajomość sztuki obróbki szkła. Przypomniała sobie, jak trzymał ją w ramionach, kiedy była dzieckiem, jak uczył ją dostrzegać w płomieniach formę, którą mogłaby przybrać masa szkła podczas modelowania rozgrzanego materiału.

Wspomniała, jak bawiła się, ciągnąc go za brodę. Menego przypominał jej wtedy stwora pochodzącego z głębi ziemi, syna mitologicznych światów i zakazanych rytuałów nieznanymi większości ludzi. Oczami wyobraźni zobaczyła jego serdeczny uśmiech.

U podstaw sztuki obróbki szkła leżały wyobraźnia i fantazja. Po wyjęciu z paleniska świecącej kuli podobnej do surowej gwiazdy należało ją modelować przy pomocy obcęgow, by w ten sposób powołać do życia wybrany przedmiot, którego kształt już wcześniej powstał w głowie rzemieślnika.

Menego był mistrzem w swoim fachu. Miał niezwykle pragnienie, by przekazać swą wiedzę kobiecie, pomimo że tę sztukę zwyczajowo uprawiali mężczyźni. Co prawda zdarzały się w zawodzie przedstawicielki płci pięknej, ale chodziło raczej o córki mistrzów szklarskich – jak na przykład w przypadku Marietty Barovier. A ona nie była dzieckiem Menega, co więcej, nie była nawet Wenecjanką.

Teraz jej myśli podążyły ku Johannowi Matthiasowi. On też nie był jej rodzonym ojcem, znalazł ją porzuconą na ulicy, kiedy była małym dzieckiem, i przygarnął. Zaopiekował się nią i traktował jak własną córkę. Nigdy niczego jej nie odmawiał. I tak z czasem Charlotte stała się jedyną spadkobierczynią feldmarszałka, hrabiego von der Schulenburg. A pod nieobecność ojca, który wypełniał swoje obowiązki dowódcy i biorąc udział w wyprawach wojennych, na co dzień ryzykował życie, trafiała pod opiekę Menega. Doświadczony wojak wiedział, że mistrz szklarski przekaze jej wartości i zasady, które przydadzą się w życiu wymagającym cierpliwości i poświęcenia.

Obserwowanie Menega przy pracy przypominało udział w niesamowitym spektaklu tworzenia. Jako dziecko porównywała go do Hefajstosa, greckiego boga ognia, który miał swoją kuźnię w podmorskiej grocie. Mistrz nauczył ją, jak produkować różne rodzaje szkła – awenturyn, kryształ, opal, filigranę, przekazał jej tajniki dotyczące procesów dmuchania i szlifowania oraz pokazał, jak używać rozmaitych *barselle*, czyli obcęgow do cięcia, modelowania i dekoracji, a także rurek do wydmuchiwania.

Obserwowała go, jak nadaje kształt wyjętej z paleniska szklanej, błyszczącej masie podobnej do żywej gwiazdy połyskującej w półcieniu, która po jakimś czasie powoli gasła na skutek ochłodzenia. To było jak swoisty wyścig z czasem. Nie można jej poddawać obróbce w nieskończoność, lecz jedynie do chwili, gdy jej temperatura jest odpowiednio wysoka. Dlatego co jakiś czas trzeba ją ponownie umieszczać w otworze paleniska.

Charlotte nigdy nie miała matki, a raczej należałoby rzec, że nigdy jej nie poznała. Wychowywała się z dwoma ojcami i była im wdzięczna za wszystko, co jej dali. A otrzymała o wiele więcej, niż oczekiwała.

Zbliżyła się do paleniska. Podsyciła ogień i zapatrzyła się w czerwone, gorące i strzelające w górę języki. Jej wspomnienia pożegłowały w stronę Antonia Canala i jego bohaterskich zapędów, które wywarły na niej ogromne wrażenie.

Nie spodziewała się po nim podobnego zaangażowania, a tymczasem wszystko wskazywało na to, że artysta poświęcił swe życie Wenecji. Nie tylko wielbił jej urodę na swych płótnach, ale starał się jak mógł chronić ją przed ludźmi, którzy wykorzystywali jej piękno i wyjątkowy charakter dla osiągnięcia swoich podłych celów. To ich łączyło. On też zamierzał bronić miasta będącego ucieleśnieniem wzniosłych ideałów republikańskich, miasta, które zdołało przetrwać niekończące się przeciwności losu oraz zakusy ze strony wpływowych nieprzyjaciół i które właśnie w tym momencie historycznym wyznaczało artystyczne i kulturalne tendencje całemu znanemu światu. Antonio naprawdę zasługiwał na szacunek i podziw, jakimi go darzyła.

Nie koniec na tym. Młody, utalentowany malarz naprawdę szczerze cenił uprawiane przez nią rzemiosło. Traktował kobiety z ciekawością pozbawioną poczucia wyższości. Nie miał w sobie ani odrobiny arogancji charakteryzującej większość artystów, uważających się za nosicieli niezwykłego talentu nawet wtedy, gdy go nie posiadają zbyt wiele. Antonio był też uroczo niezgrabny, co dodawało mu naturalnego wdzięku. Jednym słowem, bardzo jej się podobał.

Nagle rozległo się pukanie do drzwi i wyrwało z zadumy pogrążoną w marzeniach Charlotte.

Uderzenia się powtórzyły, przyprawiając dziewczynę o gęsią skórkę.

Kto i po co szukał jej w środku nocy?

34. Spotkanie

– ANTONIO! – ZAWOŁAŁA CHARLOTTE. – Skąd się tutaj wziąłeś?

Mężczyzna nie mógł oderwać od niej wzroku, nawet w roboczym ubraniu wyglądała przepięknie.

– Charlotte, grozi wam niebezpieczeństwo... – Nie dokończył, bo kobieta położyła mu palec na usta.

Zastygł w milczeniu, a ona ujęła go za rękę i wprowadziła do środka.

– Pocałuj mnie – szepnęła.

Przez chwilę Antonio stał jak zaczarowany, po czym nagle jego zakłopotanie ulotniło się jak poranna mgła, objął ją w pól i namiętnie pocałował. W jednej chwili poczuł się wolny, jakby uczucie, które od dłuższego czasu dręczyło jego serce, zmieniło się w gorącą lawę, wezbraną rzekę przelewającą się przez wały, które wznosił w desperackiej próbie utrzymania go w granicach przyzwoitości i dobrego wychowania.

Wydało mu się, że niespodziewanie znalazł się w siódmym niebie. Miał świadomość, że dla Charlotte zrobiłby wszystko. W takiej chwili jak ta, gdy spijał z jej ust namiętne pocałunki, odczuwał burzę pierwotnych zmysłów, które przez zbyt długi czas trzymał w żelaznej klatce społecznych konwenansów. Poddał się ich sile i sam się zdziwił, do czego jest zdolny.

Gdyby za tę noc miał zostać skazany na potępienie, przyjąłby karę z największą radością, gdyż nie mógł oderwać się od tych cudownych oczu, które jednocześnie zdawały się go prosić i urzekać. Charlotte zauroczyła go całkowicie, otaczając delikatną mgiełką swojego zapachu, specyficzną, uwodzicielską aurą, która natychmiast pochłonęła ostre wonie siarki, krzemu i dymu dominujące w tym miejscu, gdzie narodziła się jego miłość do kobiety modelującej szkło niczym grecka bogini.

Podczas gdy pieszczoty Charlotte doprowadzały go do ekstazy, Antonio nie mógł pozbyć się wrażenia, że jest w niej coś boskiego, a chwila, którą przeżywał, zdawała mu się czymś na kształt sennego marzenia. W chwili gdy jego wzrok spoczął na pulsującej kuli ognia, który krzyczał szeroko otwartymi ustami paleniska, zrozumiał, że po raz pierwszy naprawdę przeżywa podobne uniesienie.

Biała, apollińska skóra Charlotte przypominała mu śnieg i łabędzi puch. Drżące podniecenie pulsowało w nim jak otwarta rana. Czuł krew krążącą w jej żyłach niczym

stopione złoto, rozpalone pożarem nie do ugaszenia, i wyobrażał sobie, jak ta krew łączy się z jego krwią i sprawia, że od tego momentu nic już nie zdoła ich rozdzielić.

Nieświadomi wiru namiętności, który ich zagarnął, znaleźli się na rozłożonym na ziemi posłaniu w pobliżu oczyszczającego ognia płonącego w palenisku. Antonio wyobraził sobie, jak pełną kolorów i światła duszę jego malarstwa otacza miękkie, lśniące szkło, a uprawiane przez nich sztuki stapiają się ze sobą w ogniu gorącej namiętności.

Ich ciała tworzyły wspólną melodię, usta szeptały czułe słowa, a wargi w nieskończoność szukały się nawzajem. Obojgu wydawało się, że czas się z nimi drażnił, bo godziny mijały zbyt szybko, zabijając namiętność krótkim trwaniem oszukańczej, fałszywej nocy, która postanowiła wyrządzić im szkodę, kończąc się szybciej niż zazwyczaj.

Antonio i Charlotte nie zamierzali się poddawać i bez żadnych zahamowań rzucali się w wir pożądania, znajdując przyjemność we wzajemnych pieszczotach, w jękach rozkoszy i w nieskromnych odpowiedziach drżących ciał. Ogarnęła ich gorączka, której podporządkowali własną wolę, nie dbając o otaczający świat, chciwi skosztowania uczucia, które od chwili pierwszego spotkania skazało ich na to, co wydarzyło się tej nocy.

Byli wdzięczni losowi, że mogą wziąć udział w mistycznym porozumieniu zrodzonym z wysublimowanej wspólnoty umysłów, a potem przekształconym w burzę zmysłów, która całkowicie zawładnęła ich ciałami. On całował jej powieki, dłonie, ramiona i łabędzią szyję. A chwilę później mlecznobiałe piersi, słodkie niczym świeży miód, wysmukłe nagie ramiona o kształtach tak doskonałych, jakby wyrzeźbił je sam Michał Anioł w najbielszym marmurze, jaki stworzyła natura.

Antonio pogrążył się w ślepych upojeniu. Zanurzył się w ekstazie, która zdawała się nie mieć granic niczym największy z oceanów, i rozkoszował magią ognia oraz zmysłów rozpalających jego ciało.

– Charlotte – jęknął.

Jej imię zabrzmiało jak wybawienie i obietnica nowej przygody, jakiej do tej pory nie przeżył, ponieważ całą dotychczasową egzystencję poświęcił malarstwu i Wenecji.

Teraz wszystko się zmieniło. Ta wyjątkowa, cudowna kobieta zaskoczyła go swoim oddaniem, a zwłaszcza tym, że tak bardzo go pragnęła.

Zanurzony w niej, pozwolił kołysać się fali i westchnieniom oraz płynnym ruchom z ogrodu rozkoszy. W jego głowie huczało wzburzone morze i poczuł się jak rozbitek płynący z prądem, uchwycony ułamanej deski z zatopionej tratwy. Unosił się na szczycie wysokich fal, które rozbijały się z hukiem o brzeg. Wreszcie, kiedy

przyjemność osiągnęła apogeum, wyczerpany i szczęśliwy oparł twarz na piersiach Charlotte niczym ocalały, który poczuł pod stopami piasek plaży.

35. Getto

NOSILI DŁUGIE PELERYNY i czarne trikorny.

Ich twarze osłaniały szczelnie białe maski uniemożliwiające rozpoznanie. Weszli przez bramę i rozlali się po getcie niczym rzeka niosąca rozkładające się truchła zwierząt.

W dłoniach dzierżyli pochodnie, kije i noże.

Błyszczące w otworach oczy żarzyły się ogniem i żądzą krwi. Wściekłość kierowała każdym ich ruchem.

Na ich widok Isaac wpadł w panikę. Nigdy wcześniej banda rozbójników – bo to musieli być właśnie oni – nie wpadła do getta. Nie miał pojęcia, dlaczego zdecydowali się na taki krok, ale instynktownie ukrył się za najbliższą kolumną w nadziei, że go nie zauważą.

Przeszli obok, nie zaszczycając go nawet jednym spojrzeniem. Pochodnie płonęły czerwonym blaskiem w mroku nocy. Kobiety, starcy i dzieci uciekali przed nimi niczym stado kaczek. Ktoś się pośliznął na brudnym śniegu i upadł. Jeden ze zbirów oparł stopę na jego plecach i wziął zamach. Uderzenie kijem było tak silne, że Isaac ze swego miejsca zobaczył, jak głowa nieszczęśnika wali o bruk i pada w kałużę brudnej wody. Kolejny zbój zbliżył się do towarzysza i razem, ze zdwojoną siłą zaczęli okładać leżącego. Zewsząd podniosły się krzyki przerażenia. Spanikowany tłum obalił na ziemię jakąś kobietę i depcząc ją, salwował się ucieczką.

Tymczasem rozbójnicy w śmiertelnej ciszy parli do przodu. Chwyтали opieszających i rzucali ich na bruk. Młody Żyd próbował stawić im czoła. Isaac rozpoznał śmiałka: to był Shimon Luzzatto, młodzieniec, który drukował informacje o charakterze propagandowym.

Jeden ze zbirów, prawdopodobnie herszt bandy, złapał go za szyję i przygwoździł do ściany pobliskiego budynku.

– To ty! – wrzasnął nieludzkim głosem dochodzącym zza białej maski. – To ty doprowadziłeś Wenecję do rozpacz. Niech cię dzuma pochłonie! I trąd, i cierpienie nie do wytrzymania!

Chłopak próbował się wyrwać, ale jeden z rozbójników zdzielił go kijem po nogach. Raz i drugi. Chwilę później młodzieniec klęczał już na śniegu i lodzie.

Jakaś kobieta zaczęła przeraźliwie krzyczeć. Była to matka chłopca. Rzuciła się w stronę herszta stojącego na czele odzianych w czerń kanalii, ale nim zdołała

podbiec, mężczyźni obalili ją na ziemię i zaczęli kopać.

Na widok bestialskiej furii Isaac skulił się za kolumną. Oparł się o jej powierzchnię całym ciężarem ciała, a przerażenie spowodowane niesprawiedliwym, niespodziewanym atakiem przepełnionym okrucieństwem i wściekłością całkowicie go obezwładniło, odbierając mu wszystkie siły. Przepełniony wstydem za swe tchórzostwo, które przykuło go do bezpiecznej kryjówki, zdobył się jednak na wysiłek, by opuścić zajmowane miejsce. Zbliżał się do grupki z zamiarem powstrzymania rozwścieczonych napastników.

Próbując zachować zimną krew, stawiał niepewne kroki jeden za drugim, aż wreszcie zatrzymał się za plecami zbira, który z taką wściekłością bił leżącą kobietę, że nawet nie usłyszał zbliżającego się Isaaca.

Kiedy oprawca po raz kolejny uniósł ramię, Isaac je zablokował i zebrawszy wszystkie siły, wyrwał mu kij z ręki, a chwilę później uderzył go mocno w klatkę piersiową.

Mężczyzna zgiął się wpół, a Isaac instynktownie wyprowadził następny cios, wymierzony tym razem w twarz napastnika. Ten zwałił się na bruk. Niestety w międzyczasie dwaj pozostali rozbójnicy dostrzegli obecność intruza i bez namysłu zwrócili przeciw niemu swą wściekłość.

Isaac otrzymał silny cios w głowę i upadł na kolana.

Ogłuszony odwrócił wzrok i zobaczył Shimona Luzzatta. Nad nim górował herszt rozbójników. Kiedy trikorn zsunął mu się z głowy i spadł na ziemię, Isaac dostrzegł długie czarne włosy opadające na ramiona i na plecy mężczyzny niczym macki ośmiornicy. W blasku lampionów zamigotał złoty kolczyk.

Chwilę później medyk stał się świadkiem fatalnego pchnięcia. Srebrne ostrze zanurzyło się w szyi młodzieńca tak sprawnie, jakby zbir zarzynał koziołka. Krew zalała pierś Luzzatta, a jego głowa opadła do tyłu.

Padając na bruk, chłopak w ostatnim konwulsyjnym odruchu zdążył jeszcze złapać maskę osłaniającą twarz zabójcy i pociągnął ją za sobą. Na ulicy rozkwitły czerwone plamy. Isaac usłyszał przekleństwo, a kiedy morderca odwrócił się i pochylił, żeby podnieść maskę, nie przestając przy tym kląć na czym świat stoi, zobaczył jego oblicze.

Potem poczuł uderzenie i upadł.

Kiedy się ocknął, getto wciąż jeszcze pogrążone było w ciemnościach. Poczuł najpierw ostry ból w głowie, a zaraz potem rytmiczne pulsowanie. Chwilę później zdał sobie sprawę, że jego twarz spoczywa na zimnym śniegu. Powoli zaczął dochodzić do siebie. Nie wiedział, ile godzin minęło od czasu okropnych wydarzeń, lecz teraz przynajmniej miał pewność, że jest sam. Leżał na bruku, bo mimo bólu i przenikliwego chłodu nie

był w stanie się podnieść. Zebrawszy wszystkie siły, jakie mu jeszcze zostały, podczołgał się w błocie i śniegu do ściany domu, który zauważył w pobliżu.

Niemalże cudem zdołał usiąść i oprzeć się plecami o kamienną powierzchnię, po czym ponownie zapadł w płytki sen, na przemian tracąc i odzyskując przytomność. Czasem budził go silny ból, ale po chwili znowu ogarniało go całkowite otępienie. Przytłaczające osłabienie nie pozwalało mu się podnieść.

Po jakimś czasie usłyszał kroki, a zaraz potem głośny krzyk.

Poczuł, jak czyjeś ręce chwytają go za ramiona.

– Isaacu – usłyszał głos łamiący się ze wzruszenia. – Isaacu, co tu się wydarzyło?

– To ty, Zygmundzie? – szepnął.

I rzeczywiście, był to jego brat, który wracał do domu.

– Kto cię tak urządził?

Isaac usłyszał szuranie kroków i zauważył, że za bratem podążają jacyś mężczyźni. Jedno oko zasłaniał mu strup zakrzepłej krwi, lecz mimo to rozpoznał dowódcę nocnej straży, za którym w szeregu maszerowali żołdacy.

– Zostałem zaatakowany – powiedział słabym głosem.

– Kto cię pobił? – zapytał Zygmund.

Isaac przez chwilę zwlekał z odpowiedzią. Chociaż wzrok nieco go zawodził, zdołał jednak dostrzec, że dowódca i jego ludzie coś sprawdzają. Szef patrolu nawet przyklęknął i przyglądał się czemuś ze zdwojoną uwagą i zainteresowaniem.

– Wreszcie go znaleźliśmy – powiedział. – Ludzie zlinczowali mordercę tych nieszczęsnych kobiet. Nie powinni byli sami wymierzać sprawiedliwości, ale przynajmniej możemy wreszcie zamknąć tę odrażającą sprawę.

Isaac nie mógł uwierzyć własnym uszom.

– Co takiego? – zapytał, jakby uważał, że ktoś odpowie mu na pytanie i udzieli dodatkowych wyjaśnień.

Tymczasem Zygmund pomógł mu wstać.

– Dasz radę dotrzeć do domu? – zmartwił się.

Najwyraźniej jego brat nie miał pojęcia, co się wydarzyło tej nocy w getcie.

– Wpadli na teren getta i zaczęli znęcać się nad ludźmi – powiedział, wspierając się na jego ramieniu.

– Kto taki?

– Nie wiem. Mieli czarne peleryny i trikorny, a ich twarze zasłaniały maski.

– A kim wy jesteście? – zapytał dowódca nocnej straży, jakby dopiero teraz ich dostrzegł.

– Jak to: kim jesteśmy? – Isaac niemal się zaśmiał. Czyżby miał się tłumaczyć ze swej obecności na własnym terenie po tym, jak został pobity do krwi? I za co? Tylko

za to, że jest Żydem? – Jestem doktor Liebermann – powiedział – wykonuję zawód medyka i jestem mieszkańcem getta.

– Aha – mruknął dowódca – to dlatego nie nosicie odpowiedniego nakrycia głowy – dodał, jakby to był teraz największy problem.

Isaac przełknął ślinę.

– A to mój brat Zygmund. Przecież widzicie, że zostałem pobity, prawda?

– Przez wicherzycieli, którzy wpadli do getta... Tak, tak, wiemy o wszystkim.

– Skoro tak, to oczywiście ukarzą winnych tej masakry?

– Jak już powiedziałem, sprawcy zostaną surowo ukarani, pod warunkiem że uda nam się ich zidentyfikować.

– Ten młodzieniec... – zaczął Isaac.

Dowódca przerwał mu ostro:

– Ten człowiek był mordercą!

– Skąd ta pewność?

Zamiast udzielić odpowiedzi, dowódca pokazał zaciśniętą pięść. Potem rozwarł dłoń i Isaac z trudem zobaczył w niej stary błyszczący wisior ze złota ozdobiony szlachetnymi kamieniami. Ozdoba przypominała klejnot rodziny. Mężczyzna zakołysał wisiorkiem przed oczami obu braci.

– Widzicie? Naszyjnik należał do dziewczyny zamordowanej kilka dni temu na placu Świętego Jakuba na Rialcie. Skąd o tym wiem? Otóż rodzice ofiary szczegółowo mi go opisali i nie mam wątpliwości, że chodzi właśnie o ten klejnot. Znalazłem go na szyi mordercy.

– To niemożliwe! – oburzył się Isaac.

– Ośmielacie się zarzucać mi kłamstwo?

– Ci zbóje... Oni nas zaatakowali. Rzucili się z kijami na kobiety i starców. Mnie też pobili. A potem ich herszt, mężczyzna z długimi czarnymi włosami i ze złotym kolczykiem w uchu, zamordował tego chłopaka, podrywając mu gardło!

– Nie ma wątpliwości, że ten człowiek zginął od ciosu nożem – potwierdził dowódca. – Poza tym nie widzę innych rannych, oczywiście poza wami – w jego głosie zabrzmiała obojętność zmieszana z niedowierzaniem. – Skoro zostaliście pobici, powinniście zadbać, by opatrzone wam rany.

– Tak właśnie zrobimy – włączył się Zygmund. – Jego Ekscelencja ma rację. Wracamy do domu. Ja się wszystkim zajmę.

– Jesteście bratem poszkodowanego? – upewnił się dowódca.

– Tak.

– A więc zróbcie tak, jak powiedzieliście: wracajcie do domu i opatrzcie mu rany.

– Czyżbyście nie słyszeli, co do was mówię? Zostaliśmy zaatakowani! Zamordowano młodego człowieka, a jego matkę dotkliwie pobito. Bandyci byli bezlitośni. A wy nawet nie zapytaliście, czy potrafiłbym ich rozpoznać!

Dowódca potrząsnął głową.

– Zabierzcie waszego brata do domu – zwrócił się dowódca straży do Zygmunta, a patrząc Isaacowi prosto w oczy, dodał: – Co się zaś tyczy waszej przygody... No cóż, udało się wam wyjść z niej cało. Zadrapanie na głowie szybko się zagoi. Podziękujcie waszemu Bogu za opiekę. Jak już powiedziałem, ten młodzieniec był mordercą i mamy na to solidny dowód, który dopiero co wam pokazałem. Bandyci zostaną ukarani. Nie każcie mi tego dwa razy powtarzać.

– Ekscelencjo – odezwał się Zygmunt – nie obawiajcie się, zastosujemy się do waszych zaleceń.

– Ależ... – próbował sprzeciwić się Isaac, ale brat przerwał mu stanowczo: – Jesteś zmęczony. Teraz pójdziemy do domu, żebyś mógł przemyć sobie twarz, a potem obłożę ci ranę zimnym kompresem.

I nie zwlekając dłużej, pociągnął Isaca za sobą. Objął go w pasie i założył sobie jego ramię na szyję, by wspierać go w czasie marszu, po czym niepewnym krokiem ruszyli w stronę domu.

36. Rozbójnicy

WIADOMOŚĆ SZYBKO OBIEGŁA CAŁE MIASTO. Nocna straż znalazła mordercę. Niestety był już martwy. Grupa rozbójników wtargnęła na teren getta i wymierzyła mu sprawiedliwość. Młodzieniec został zlinczowany.

Teraz nareszcie mieszkańcy Wenecji mogli spać spokojnie. Jednak cała ta historia wydawała się mocno naciągana. Zaledwie kilka dni wcześniej kapitan straży nie miał pojęcia, gdzie szukać mordercy. Oczywiście mogło to być jedynie mylące wrażenie. Mimo wszystko, kiedy tylko Antonio dowiedział się, co zaszło, natychmiast udał się do doży. Z jednej strony chciał przekazać mu informacje na temat postępów w śledztwie, a z drugiej liczył na więcej szczegółów. Był święcie przekonany, że wymiar sprawiedliwości kogoś kryje lub po prostu strażnicy wybrali najprostsze rozwiązanie, gdyż przez cały czas poruszali się po omacku i nie byli w stanie znaleźć winnego. Krążyły pogłoski, że istnieją niepodważalne dowody winy młodego Żyda, który padł ofiarą samosądu.

Doża wszystko potwierdził, podkreślając, że zbiry, które wtargnęły do getta, muszą zostać złapane i przykładowo ukarane. W trakcie spotkania Alvise Mocenigo został też poinformowany o działalności loży masońskiej, co przyjął z wyraźnym zaniepokojeniem, i poprosił Canaletta, aby kontynuował swoje zadanie. Sam władca nie mógł podjąć żadnych działań, dopóki właściwy dowódca nocnej straży, ten z dzielnicy Castello, nie zgłosi swoich zastrzeżeń. Słowo Owena McSwineya niestety nie wystarczało.

Antonio, chcąc nie chcąc, musiał zgodzić się z dożą.

Kiedy wyszedł z pałacu, postanowił udać się prosto do getta, gdyż w czasie rozmowy władca wspomniał mu o pewnym medyku, który był świadkiem napadu na Żydów. W ciągu ostatnich dni Antonio już po raz drugi usłyszał to nazwisko. Wcześniej opowiadała mu o nim Charlotte.

Medyk nazywał się Isaac Liebermann.

– Panie Canal, nie przypuszczałem, że kiedykolwiek będę mógł was poznać – odezwał się Isaac. – Gdybym wiedział o wizycie, przygotowałbym wszystko, aby godnie was przyjąć.

– Proszę o wybaczenie, doktorze Liebermann – usprawiedliwił się Antonio. – Wyznaję, że pozwalałam sobie was niepokoić, ponieważ uważam, że jesteście niezwykle

utalentowanym i rozważnym człowiekiem.

– Jesteście bardzo uprzejmi, panie Canal.

– Nie chodzi o uprzejmość, po prostu panna von der Schulenburg nie przestaje was chwalić.

– Ach tak! – ucieszył się Isaac. – Nieszczęsna Charlotte niedawno musiała pogodzić się z ogromną stratą.

– Właśnie dlatego o was wspomniała. Opowiedziała mi o walce, jaką toczycie z władzami miasta, aby zgodziły się na procedurę szczepień w celu pokonania ospy. Przyznaję, że nie rozumiem dobrze, o co chodzi, a zresztą przychodzę do was w zupełnie innej sprawie.

– A jaki jest powód tego, że zaszliście w moje skromne progi, jeśli mogę zapytać?

– Już wam wyjaśniam – powiedział Antonio. – Otóż dowiedziałem się, co zaszło w getcie przed dwoma dniami, i muszę przyznać, że jestem wstrząśnięty. Nigdy wcześniej wasza społeczność nie została zaatakowana w tak nieczny i brutalny sposób.

Isaac wznosił ręce ku niebu.

– Nareszcie! – zawołał. – Do tej pory nikt nie zainteresował się tym, co tu się naprawdę wydarzyło.

– Jak to możliwe? – zapytał Antonio, a w jego głosie zabrzmiało szczere zdziwienie.

– Powiem więcej, zostałem uciszony przez dowódcę nocnej straży, który zasugerował, że wszystko lub prawie wszystko sobie wymyśliłem.

– A co niby mielibyście sobie wymyślać, jeśli mogę spytać?

Isaac westchnął.

– Drogi panie Canal, nie mam zamiaru skarżyć się na warunki, w jakich przyszło mieszkać Żydom w Wenecji, jednak nie sądzę, abym powiedział coś odkrywczego, jeśli zauważę, że dość często oskarża się nas o najgorsze niegodziwości. I nie zawsze jesteśmy winni czynów, które nam się przypisuje.

– Ja też tak uważam. Na przykład nie wydaje mi się, aby któryś z mieszkańców getta naprawdę odpowiadał za krwawe morderstwa, których dokonano ostatnio w mieście. Hipotetycznie oczywiście nie możemy tego wykluczyć. Do niedawna nikt nie miał pojęcia, kto może być odpowiedzialny za te zbrodnie, więc równie dobrze mógłby to być jakiś Wenecjanin, Niemiec, Turek lub ktokolwiek, kto u nas mieszka.

– No właśnie – potwierdził stanowczo Isaac. – Nie zamierzam ukrywać przed wami prawdy, gdyż jak mi się wydaje, jesteście jedynym człowiekiem, który interesuje się tym, co tu się wydarzyło. Chciałbym tylko zapytać, co was do tego popycha? Chyba się ze mną zgodzicie, że to niecodzienna sytuacja, aby znany i poważany artysta zajmował się takimi sprawami.

I co teraz? Co powinien odpowiedzieć? Czy należy wyjawić Isaacowi Liebermannowi szczegóły śledztwa, które zresztą od samego początku nie miało nic wspólnego z morderstwami młodych kobiet? Antonio wybrnął z trudnej sytuacji najlepiej jak umiał.

– Nie mogę powiedzieć wam wszystkiego – oświadczył. – Dostałem zadanie do wykonania, tyle musi wam na razie wystarczyć. I proszę was, abyście z nikim o tym nie rozmawiali.

Nawet jeśli Isaac Liebermann był zaskoczony słowami gościa, to w żaden sposób nie dał tego po sobie poznać. Być może Antonio Canal wzbudził w nim instynktowne zaufanie, a może przekonało go szczere zainteresowanie artysty wydarzeniami w getcie, zwłaszcza że wcześniej nikt nie potraktował ich poważnie. Nie wiadomo. Dość, że bez dodatkowej zachęty medyk zaczął opowiadać ze szczegółami o tym, czego był świadkiem.

– Pojawili się po zachodzie słońca, kiedy zrobiło się już całkiem ciemno. Mieli ze sobą pochodnie, kije i sztylety. Byli odziani w czarne peleryny i trikorny, a ich twarze zasłaniały białe maski. Zachowywali się tak, jakby ich diabeł opętał. Rzucili się na ludzi i bili kogo popadnie aż do krwi. Ich ofiarami padali starcy, kobiety i dzieci.

– Kim byli napastnicy? – zapytał Antonio.

– Dobrze pytanie. Wyglądali jak wataha bezlitosnych zbójców. Jak grupa najemników, którym zlecono ekspedycję karną. Odniosłem wrażenie, być może mylne, że po prostu szukali winnego.

– Skąd to przekonanie?

– Bo najpierw pobili ludzi, którzy nawinęli im się pod rękę, a później, korzystając z zamieszania, zamordowali człowieka. Przewodził im pozbawiony hamulców, okrutny mężczyzna.

– Widzieliście jego twarz?

Isaac westchnął głęboko. Nie było wątpliwości, że wspomnienia tamtej nocy ciągle jeszcze go gnębią, a ponieważ nie wyglądał na człowieka łatwo wpadającego w panikę, Antonio pomyślał, że przeżyte doświadczenia musiały być naprawdę okropne.

– Jak już wspomniałem, mieli na twarzach białe maski. Ja też zostałem pobity. Kilka razy uderzono mnie kijem i zraniono w głowę. Krew przesłoniła mi oczy.

– Bardzo mi przykro – powiedział Antonio.

– Pewien młodzieniec, Shimon Luzzatto, został kilkakrotnie ugodzony sztyletem. Później oskarżono go o dwa brutalne morderstwa młodych kobiet, ale moim zdaniem został po prostu wybrany na kozła ofiarnego. Nie mogłem mu pomóc. To herszt bandy we własnej osobie zaatakował go i zabił z wyjątkowym okrucieństwem. Tak go urządził, że ledwie mogłem go rozpoznać, ale chłopak tuż przed śmiercią, padając na

bruk, zdążył jeszcze złapać i ściągnąć maskę oprawcy. Mężczyzna obejrzał się na chwilę i wtedy go zobaczyłem...

– Widzieliście jego twarz?

Isaac przytaknął.

– Możecie go opisać?

– Nie widziałem go dokładnie, ale mogę powiedzieć, że miał długie czarne włosy oraz cienkie wąsy. Zauważyłem też błysk złotego kolczyka i jego zamglone, jakby obłądne spojrzenie.

Antonio aż podskoczył na krześle, opis niemalże dokładnie odpowiadał bowiem postaci Cygana, tego samego, który kilka dni wcześniej napadł na niego i na Owena.

– Co się stało? – zapytał Isaac. – Wyglądacie na zaniepokojonego.

– Wasz opis przypomina mi pewną osobę.

– Kogo mianowicie?

– Na razie nie mogę powiedzieć wam nic więcej.

Isaac pokiwał głową.

– Rozumiem – powiedział, a w jego głosie zabrzmiał ledwo wyczuwalny zarzut.

– Jednak chciałbym was zapewnić – podjął Canaletto – że spróbuję udowodnić, że to nie zamordowany młodzieniec był winnym zbrodni.

– Dowódca nocnej straży i jego podkomendni bardzo szybko zabrali ciało – dodał medyk. – Zachowywali się tak, jakby nie mogli się doczekać, aż ogłoszą całemu miastu, że wreszcie wykryli mordercę nieszczęsnych kobiet.

– Twierdzą, że mają niepodważalne dowody.

– Strażnicy dotarli na miejsce, kiedy już się ocknąłem. Dowódca pokazał mi wisior należący do jednej z zamordowanych kobiet i potwierdził, że znalazł go przy Shimonie Luzzatcie.

– Nie wierzycie w to, prawda?

– Nie – stwierdził stanowczo Liebermann.

– A dlaczego?

– Otóż dowódca zapewnił mnie, że rodzice ofiary dokładnie opisali mu klejnot, który dziewczyna zawsze nosiła na szyi, a którego nie znaleziono przy zwłokach.

– Coś wzbudziło wasze podejrzenia?

– Właśnie tak. Zaraz wyjawię wam moje wątpliwości: jak to możliwe, że wisior znalazł się w posiadaniu Shimona Luzzatta? Przecież ten chłopak nie potrzebował pieniędzy. Mówię wam, coś się za tym kryje.

– Czyżbyście sądzili, że to morderca podrzucił mu ten drobiazg?

– Niestety niczego nie widziałem, bo straciłem przytomność... Ale miał dość czasu, by to zrobić.

- Też byłbym skłonny tak myśleć. Na razie jednak nie mamy żadnych dowodów.
- Oczywiście. Pytaliście o moją opinię, więc pozwoliłem sobie ją wyrazić.
- Jestem wam za to wdzięczny – oświadczył Antonio.
- Czy mogę udzielić wam dobrej rady? – zapytał Isaac.
- Bardzo by mi się przydała, panie Liebermann.
- A więc muszę powiedzieć coś, co będzie wbrew moim zasadom i przekonaniom religijnym. Jednak jeśli naprawdę chcemy wyjaśnić tę sprawę i ustalić winnego, powinniśmy ekshumować ciało młodzieńca.
- Ekshumować? – Antonio nie był pewny, czy dobrze usłyszał.
- Jestem lekarzem. – Isaac nie ustępował. – I studiowałem w Padwie. Sami powiedzieliście, że Charlotte wam o mnie wspominała.
- To prawda.
- Mam na myśli to, że jedynie badając dokładnie ciało, możemy ustalić nowe szczegóły dotyczące tego, jak doszło do śmierci, oraz przekonać się, czy morderca nie pozostawił śladów, które pozwoliłyby go zidentyfikować – wyjaśnił Liebermann.
- Moglibyście się tym zająć?
- Nie pierwszy raz przeprowadziłbym tego typu badanie, ale rozumiem, że nie macie pojęcia, jak wiele rzeczy można odkryć na podstawie oględzin zwłok. Zrobmy tak – ciągnął Isaac, jakby głośno myślał. – Jestem pewny, że ktoś chce zszargać dobre imię społeczności żydowskiej. Obciążyli nas winą za morderstwa kobiet, ale ja nie wierzę, żeby jakiś Żyd dopuścił się tych czynów. Musicie poprosić o ekshumację ciała. Jako medyk mogę opuszczać getto również w nocy, a nie mam wątpliwości, że zwłoki nieszczęsnego Luzzatta zostały złożone na żydowskim cmentarzu w Lido. Zrobiono to zresztą w pośpiechu, nie pozwalając matce nawet na przygotowanie rytualnego obrządku. Skoro byli pewni jego winy, mogli przynajmniej zgodzić się na tradycyjny żydowski pochówek. Tymczasem ciało nie zostało obmyte, jak nakazuje nasz obyczaj, nie pozwolono też, by zawinięto je w białe płótno, ani nie udzielono zgody na odprowadzenie na cmentarz.
- A co zrobimy, kiedy już wykopimy ciało? – zapytał Antonio zdziwiony własną śmiałością.
- Przeniesiecie je do mojego laboratorium.
- Jak sobie to wyobrażacie?
- Mam laboratorium anatomiczne niedaleko cmentarza. Tam, na stole do sekcji zwłok, będziemy mogli spokojnie dokonać szczegółowych oględzin i przed świtem ponownie złożymy ciało w grobie.
- To bardzo ryzykowny pomysł – zaniepokoił się Antonio.
- I jedyny sposób na poznanie prawdy.

- Macie rację, tylko że ja nie jestem ani sędzią, ani nawet kapitanem straży.
- Wiem i dlatego musimy wszystko starannie przygotować...
- Zamieniam się w słuch – powiedział Antonio.
- Dwie godziny po zachodzie słońca spotkamy się przy bramie cmentarnej. Do tego czasu ja zadbam, by ciało znalazło się w moim laboratorium na stole, i nikt nie będzie was mógł oskarżyć o udział w tej sprawie.

37. Sekcja

NASTĘPNEGO DNIA CANALETTO I MCSWINEY dotarli na pokładzie gondoli do portu w Malamocco, gdyż ten w Lido był zamknięty z powodu niskiego poziomu wody, co uniemożliwiało wpływanie do niego nie tylko dużym statkom, lecz również małym łodziom. Utrudniało to nieco całe przedsięwzięcie, ale nie mieli wyboru. Na szczęście McSwiney znał kilku marynarzy, tych samych, którzy wcześniej przewozili Antonia na Murano i którzy zawsze pozostawali do jego dyspozycji, nie zadając zbyt wielu pytań. Canaletto nie ukrywał podziwu dla nieograniczonych możliwości, którymi zaskakiwał go przyjaciel, oraz dla jego niezwyklej przytomności umysłu, tak pomocnej w chwilach niebezpieczeństwa czy w momencie pojawienia się niespodziewanych trudności. Irlandczyk w mgnieniu oka znajdował rozwiązania, o jakich Antoniowi nawet się nie śniło.

Kiedy dobili do brzegu w Malamocco, czekała tam na nich nieoznakowana karoca. Stangret, który zawiózł ich na cmentarz żydowski, zapewnił, że poczeka przy bramie, aby ich odebrać, gdy tylko zakończą swą misję.

– Został sownie opłacony – wyjaśnił lakonicznie McSwiney.

Otaczała ich mroczna atmosfera wywołująca gęsią skórę. Padał drobny deszcz wzmagający poczucie wilgoci. Jakaś postać owinięta w przemoczoną pelerynę ruszyła w ich kierunku. Kiedy mężczyzna podszedł bliżej, pod nasuniętym na oczy kapeluszem Antonio rozpoznał twarz Isaaca Liebermanna. Medyk dał im znak, by podążyli za nim.

Canaletto i McSwiney szli szybkim krokiem w ślad za doktorem, podczas gdy deszcz przybierał na sile, zmywając resztki śniegu zalegające na wąskich alejkach wokół kościoła pod wezwaniem Świętej Marii Elżbiety. Przez jakiś czas krążyli po cmentarzu, aż wreszcie dotarli do furtki prowadzącej na opustoszały dziedziniec.

Przemoczeni do suchej nitki dwaj przyjaciele, poprzedzani przez Isaaca Liebermanna, przemierzyli dziedziniec i weszli do pomieszczenia, które na pierwszy rzut oka przypominało magazyn. Zaraz jednak znaleźli się w dobrze oświetlonej sali. Liczne kaganki, świeczniki i pochodnie zostały rozmieszczone w taki sposób, by zapewnić dobre oświetlenie w każdym zakątku. Na środku znajdował się marmurowy stół, a na nim leżało ciało młodego Shimona Luzzatta. Wszędzie panował nieprzyjemny zaduch, który niemalże uniemożliwiał oddychanie.

– To wszystko przez nieprzestrzeganie rytuałów pochówku. Zwłoki już zaczynają gnić – zauważył Isaac. – Dlatego też zalecam, abyście zakryli nos i usta kawałkami materiału nasączonymi płynem kamforowym. To pozwoli wam uniknąć mdłości, które pewnie już zaczynacie odczuwać.

Antonio i Owen natychmiast skorzystali z okazji i przyłożyli płótno do nosa. Ostry zapach kamfory i mięty przynajmniej połowicznie zniwelował najbardziej intensywny fetor stężenia ciała, który unosił się w powietrzu.

– Jak wspomniałem, ciało już zaczęło gnić – powtórzył doktor Liebermann – to dlatego w niektórych miejscach na skutek stężenia pośmiertnego możemy dostrzec sine przebarwienia skóry, która jak widzicie, zmieniła kolor na bladozielony.

– Tak, zauważyłem ten dziwny odcień – odezwał się Canaletto – jednak bardziej interesuje mnie to, czego szukamy... Choć nie wiem, czy moje pytanie ma sens.

– Wasze spostrzeżenie jest jak najbardziej na miejscu, panie Canal. I chciałbym was zapewnić, że chociaż badanie zwłok dostarcza raczej skąpych informacji, to może nam podsunąć jakieś sugestie.

Canaletto nadal nie rozumiał sensu tego przedsięwzięcia.

– Przecież na własne oczy widzieliście, jak mordowano tego młodzieńca – zaoponował.

Isaac spojrział na artystę.

– Zapominacie, że widziałem jedynie, jak herszt bandy wbił mu sztylet w szyję. Świadczy o tym ta rana na ciele Shimona Luzzatta – ciągnął, wskazując prawą dłońią odpowiednie miejsce. – Spójrzcie tutaj, główna tętnica szyjna została przecięta precyzyjnym ruchem, a nacięcie jest na tyle głębokie, że ofiara wykrwawiła się w bardzo krótkim czasie.

Owen McSwiney zbliżył się do stołu, z uwagą słuchając słów medyka, natomiast Antonio ciągle zachowywał większy dystans. Nigdy wcześniej nie miał okazji obcować ze śmiercią w tak bezpośredni sposób jak w tym momencie i chociaż żydowski lekarz badał ciało bez żadnych oporów, bez wahania dotykając zmarłego, to on wyczuwał w tym miejscu jakąś nadprzyrodzoną, nienamacalną obecność. Nie potrafił racjonalnie tego wyjaśnić, ale miał pewność, że dusza nieszczęsnego Shimona Luzzatta uważnie im się przygląda. Nie mógł się wyzwolić od tej myśli. Oczywiście zdawał sobie sprawę, że reaguje jak artysta, który nie ma żadnego pojęcia o tajnikach medycyny, lecz im dłużej przebywał w pomieszczeniu, tym silniejsze stawało się to wrażenie, i dlatego z ostrożnością zmieszaną z pokorą kogoś, kto niewiele wie o budowie ludzkiego ciała, nie miał dość śmiałości, by zbliżyć się do zwłok, które Isaac Liebermann poddawał oględzinom.

– Bez wątplenia morderca doskonale wiedział, gdzie uderzyć oraz jak mocno i jak głęboko zanurzyć ostrze. Natomiast to, że zadał kilka ciosów, sugeruje, że zaspokajał potem własną żądzę krwi. Świadczą o tym niezbitce dwie głębokie rany na brzuchu – wyjaśniał dalej medyk, wskazując na dwa przerażające nacięcia przypominające kształtem romb. – Dwie rany klute. Widać dokładnie, jak cienkie ostrze sztyletu przebiło tkanki, rozrywając je na strzępy. Poza tym mogę stwierdzić, że morderca jest praworęczny, co potwierdzają ślady rotacji i układ krawędzi ran.

– Przecież powiedzieliście przed chwilą, że najpierw morderca przeciął tętnicę szyjną i rana była śmiertelna – zauważył Irlandczyk.

– Właśnie tak. Potwierdzam moje słowa.

– Nie rozumiem zatem – nie ustępował McSwiney – jaki sens miało zadawanie kolejnych ciosów?

– Jak już powiedziałem – wyjaśnił cierpliwie Isaac – wszystko wskazuje na to, że morderca chciał dać upust swojej wściekłości oraz nienasyconej żądzy krwi. Kiedy pomyślę, jak pastwił się nad tym nieszczęsnym chłopcem... – Przerwał niespodziewanie.

– Co się stało? – zapytał Antonio, zdziwiony reakcją medyka.

– Pozwólcie mi się uważnie przyjrzeć – odpowiedział lekarz i pochylił się nad ciałem, jakby dostrzegł coś wyjątkowo interesującego.

Dwaj przyjaciele, których połączyła koszmarna przygoda, stali w milczeniu, wymieniając pytające spojrzenia. Wreszcie McSwiney zdecydował się przerwać niepokojącą ciszę:

– Co takiego zobaczyliście, doktorze?

Isaac Liebermann nie odezwał się od razu, przez chwilę trzymając ich w niepewności, by na koniec odpowiedzieć pytaniem na pytanie:

– Wy też to zauważyliście, prawda, Owenie?

– Co takiego? – zniecierpliwił się Antonio.

– Podejdźcie bliżej.

Canaletto posłuchał.

– Czy teraz widzicie to co ja? – zapytał Isaac i ruchem głowy wskazał na dziwne, czerwone otarcie na skórze w okolicy lewego barku. Początkowo Canaletto nie rozumiał, o co chodzi, ale po chwili dostrzegł kilka nacięć, które tworzyły jakiś tajemniczy znak.

– Wygląda na to, że ktoś zadał sobie trud wycięcia na ciele ofiary jakiegoś symbolu przy użyciu cienkiego ostrza – oświadczył z przekonaniem Isaac Liebermann.

– Nie rozumiem... – McSwiney zaczął się głośno zastanawiać. Zamilkł na chwilę, po czym odezwał się ponownie: – Jednakże... – Pochylił się, by dokładniej obejrzeć

nacięcia. – Jednakże odnoszę wrażenie, że już gdzieś widziałem ten znak.

– Przypomina głowę jakiegoś potwora – dodał Canaletto. – Kto to zrobił? I co oznacza?

– Może to znak rozpoznawczy? Specyficzny podpis? – podpowiedział Isaac. – Niezależnie od znaczenia nacięcia ten, kto je wykonał, chciał zostawić swój symbol na ciele nieszczęsnego Shimona.

– Wśród tych, które widziałem tamtej nocy...

McSwiney sprawiał wrażenie, jakby wpadł w trans, oczy miał szeroko otwarte i uporczywie starał się coś sobie przypomnieć. Co takiego? Antonio nie mógł się doczekać wyjaśnienia, lecz kiedy spróbował ponaglić przyjaciela, ten go uciszył.

– Właśnie myślę – uciął krótko.

– Popatrzcie uważnie – włączył się ponownie Isaac – macie rację, panie Canal, jeśli przyjrzeć się dokładnie, to symbol wycięty ostrzem może przedstawiać stylizowaną głowę jakiegoś zwierzęcia...

– Wygląda jak łeb...

– Lwa! – wykrzyknął McSwiney. – Tak, to bez wątpienia lew! Widzicie? – Wskazał palcem krwawe linie wycięte ostrzem sztyletu lub noża przez mordercę. – O, tu jest pysk, oczy, grzywa. Teraz sobie przypominam, taki sam rysunek w postaci spersonifikowanej lwiej głowy już kiedyś widziałem... To było w sali, w której Olaf Teufel celebrował rytuał wprowadzenia nowych członków do loży.

Antonio poczuł, jak krew zastyga mu w żyłach. Wreszcie dostał konkretny dowód, że istnieje związek pomiędzy salonem Cornellii Zane i śmiercią młodego Żyda. Nie oznaczało to oczywiście wyjaśnienia sprawy, ale artysta odniósł wrażenie, że szybkim krokiem zbliża się do rozwiązania mrocznej tajemnicy.

– Co macie na myśli? – zapytał z niedowierzaniem Isaac, zwracając się do Irlandczyka.

– Muszę przyznać, że od początku mieliście rację. – Canaletto wyręczył przyjaciela. – Otóż mężczyzna, który zamordował Shimona Luzzatta, jest związany z pewną sektą, a mój przyjaciel miał niestety okazję uczestniczyć w spotkaniu jej członków.

– A co oznacza ten symbol? – zainteresował się medyk.

– Nie mam pojęcia, ale koniecznie musimy się tego dowiedzieć – podsumował Antonio.

38. Decyzje

ANTONIO MIAŁ WRESZCIE PEWNOŚĆ, że znaleźli się w punkcie zwrotnym. Pomysł z przeprowadzeniem sekcji zwłok okazał się kluczowy, a wkład Isaaca Liebermanna naprawdę nieoceniony. Dopiero teraz w pełni zrozumiał słowa Johanna Matthiasa von der Schulenburga – do wykonania zadania zleconego przez dożę i zamknięcia śledztwa potrzebował pomocy. W końcu nie miał odpowiednich kompetencji. I chociaż nauczył się śledzić podejrzanych, bez problemów szkicował miejsca i osoby powiązane ze sprawą, a dzięki pomocy Charlotte i produkowanym przez nią lornetom mógł obserwować osoby bez narażania się na zdemaskowanie, to przecież nie miał zielonego pojęcia, jak się przeprowadza sekcję zwłok, i sam nigdy nie byłby w stanie zauważyć różnych znaków ani wskazówek na ciele denata.

Teraz się zastanawiał, jak wykorzystać nabytą wiedzę. Przyszło mu do głowy, że należy skoncentrować się na szczegółach. Wyjął notatnik i zaczął rysować symbol, który właśnie zauważyli na skórze Shimona Luzzatta, próbując jak najwierniej oddać jego charakter. W międzyczasie rozmyślał nad sytuacją w nadziei, że zdoła stworzyć plan działania.

– Doktorze Liebermann – odezwał się po chwili – wasza pomoc okazała się bezcenna. Czy zdajecie sobie sprawę, że ten, którego szukamy, może zagrażać naszemu miastu? Na razie nie mamy pewności, czy morderca Shimona Luzzatta zabił również dwie dziewczyny, i niestety nie możemy wykluczyć, że winnym, jak twierdzą władze, naprawdę był zlinczowany młodzieniec. Jak już wspomniałem, osobiście w to nie wierzę, ale na tym etapie musimy wziąć pod uwagę każdą ewentualność. Jednak zważywszy na ostatnie ustalenia, proponuję podjąć konkretne działania.

– Co macie na myśli? – zaciekał się McSwiney.

– Zaraz wam wszystko wyjaśnię. Przyjmijmy, że symbol wycięty na ramieniu Shimona Luzzatta naprawdę przedstawia głowę człowieka-lwa, jeśli mogę ją tak określić, a więc znak, który Owen widział w sali, gdzie odbywało się zgromadzenie sekretnego stowarzyszenia.

– Potwierdzam – odpowiedział Irlandczyk.

– Świetnie – ciągnął Antonio. – A więc posłuchajcie, proszę, mojej propozycji: powinniśmy spotkać się ponownie z Josephem Smithem i poprosić go o wyjaśnienie symboliki tego rysunku. Pamiętaj, Owene, że twój znajomy już raz nam pomógł i pewnie teraz też możemy na niego liczyć.

– Sądzę, że to dobry pomysł – poparł przyjaciela McSwiney – i prawdę mówiąc, właśnie chciałem wam zaproponować to samo.

– Ponadto musimy odkryć, gdzie złożono ciała dwóch młodych kobiet, i znaleźć sposób, aby się im przyjrzeć. Mogę się oczywiście mylić, ale jeśli Shimon Luzzatto nie ma nic wspólnego z tymi zbrodniami, o czym chyba wszyscy jesteśmy przekonani, to prawdziwy morderca zostawił swój znak również na ciałach pozostałych ofiar – włączył się do dyskusji Isaac.

Antonio się z nim zgadzał, nie zdołał jednak ukryć niesmaku.

– Obaj macie całkowitą rację, drodzy panowie – zgodził się McSwiney. – Jednak najpierw musimy pomyśleć, kto mógłby udzielić nam informacji w sprawie miejsca pochówku ofiar.

– W tej kwestii chyba mogę okazać się pomocny – powiedział medyk. – Jeśli ciała kobiet nie zostały złożone w rodowych kaplicach lub w kryptach jakiegoś kościoła, to jest tylko jedno miejsce, gdzie mogły trafić.

– To znaczy? – zapytał Canaletto.

– Na cmentarz na Wyspie Świętego Hadriana.

– Mogę to sprawdzić, chociaż jestem przekonany, że macie rację, doktorze – stwierdził Antonio.

– W takim razie musicie udać się na cmentarz Świętego Hadriana. Mnie nikt nie wpuści na chrześcijańskie miejsce pochówku, zresztą od razu wzbudziłbym podejrzenia. Jednak jeśli wasze przypuszczenia okażą się słuszne, panie Canal, to znalezienie podobnych znaków na ciałach obu kobiet nie powinno sprawić większych trudności. Zwłaszcza że już wiecie, czego szukać. Radzę się jednak pospieszyć, gdyż proces rozkładu najszybciej daje się zauważyć właśnie na skórze. Słyszałem też, że cmentarz, o którym mówimy, to przedsiónek piekła i liczne robactwo już pewnie zabrało się do roboty... Wybaczcie moją brutalną szczerłość.

– Rozumiem – powiedział Antonio. – Chyba już wiem, co powinienem zrobić. Najpierw się upewnię, że zwłoki złożono właśnie na cmentarzu Świętego Hadriana, a później postaram się o odpowiednią autoryzację.

– To nie do przyjęcia! – oburzył się McSwiney. – Gdyby ktoś was rozpoznał, wasza tajna misja od razu wyszłaby na jaw. Załatwcie mi bezimienne upoważnienie, a zajmę się oględzinami zwłok. Już ja poradzę sobie z ludźmi, którzy lubią dużo gadać. Wystarczy trochę pieniędzy, by zamknąć im usta.

– W porządku – zgodził się Canaletto. – A więc wszystko ustalone. Jak tylko uporamy się z tym zadaniem, musimy porozmawiać ze Smithem na temat znaczenia symbolu.

– Oczywiście – potwierdził McSwiney.

– A czym ja mógłbym się zająć? – zapytał Isaac. – Chyba teraz możecie już dopuścić mnie do śledztwa? Chciałbym was przynajmniej zapewnić, że możecie liczyć na moją pomoc.

– Jesteśmy wam ogromnie wdzięczni – odpowiedział Canaletto. – I zapewniam was, że jak tylko będzie to możliwe, od razu prześlemy wam wieści dotyczące postępów w śledztwie. Przecież chodzi o obronę dobrego imienia waszej społeczności! Jeśli uda nam się udowodnić winę osoby spoza getta, będzie to najlepsza odpowiedź na kalumnie, którymi od jakiegoś czasu jesteście obrzucani. Ale nasze działania skierowane są przede wszystkim na odkrycie prawdy, jakakolwiek by ona była.

– A więc wszystko postanowione – zakończył debatę Isaac Liebermann.

– A co z ciałem? – zapytał McSwiney, wskazując na pomieszczenie, w którym odbyła się sekcja.

– Nie martwcie się o szczątki Shimona Luzzatta – powiedział medyk – sam zorganizuję dla niego godny pochówek. Zostało jeszcze trochę czasu do świtu i wiem, kto może mi pomóc. Zresztą nikt nie będzie się sprzeciwiał mojej obecności na żydowskim cmentarzu.

– Zgoda – potwierdził Antonio. – A więc my wracamy do Wenecji, aby się upewnić, czy dwie ofiary brutalnych morderstw naprawdę pogrzebano na cmentarzu Świętego Hadriana. Dziękujemy wam bardzo, doktorze, za przeprowadzenie oględzin ciała i do zobaczenia.

Obaj przyjaciele skłonili się, żegnając tym samym Isaaca Liebermanna, po czym wyszli na dziedziniec, by po chwili znaleźć się przy bramie, za którą czekał na nich powóz. Niedługo potem wchodzili już na pokład łodzi zakotwiczonej w porcie Malamocco.

39. Zezwolenia

– NAWET RODZICE NIE MOGLI ZOBACZYĆ ciał dziewcząt przed pogrzebem. Z jednej strony chcieliśmy zaoszczędzić im bólu, ale z drugiej przedstawiciele wymiaru sprawiedliwości Republiki stwierdzili, że w interesie całej społeczności lepiej będzie zachować tajemnicę. Chyba sami rozumiecie. Dlatego też zdecydowaliśmy się na ochronę racy stanu. – Doża bez skrpułów wyjaśnił wszystko Antoniowi. Przynajmniej w tym względzie Antonio nie miał wątpliwości.

– Rozumiem – potwierdził, po czym dodał szybko: – Jednakże nawet przyjmując do wiadomości powody, o których wspomnieliście, można odnieść dziwne wrażenie, że w całej sprawie pominięto wiele znaczących elementów.

– Mój drogi panie Canal – ciągnął spokojnie doża. – Nie mogliśmy postąpić inaczej. Ja sam z przykrością wyraziłem zgodę na taki rozwój wypadków, ale nikt nie może zaprzeczyć, że sprawca został zidentyfikowany, a ciała nieszczęsnych ofiar były w tak okropnym stanie, że przekazanie ich rodzinom zwiększyłoby jedynie cierpienie. Osobiście rozmawiałem z Markiem Foscarinim i Alvisem Barbarem i z ogromnym żalem musiałem ich przekonać, by zadowolili się pustym grobowcem. Niestety sytuacja tego wymagała. Zrobiłem to, by oszczędzić wszystkim dodatkowej udręki. – Westchnął ciężko, a po chwili wrócił do przerwanej wątku: – Uważacie, że odebrałem im pocieszenie, jakie daje ostatnie pożegnanie? Pewnie macie rację, ale chcieliśmy zadbać zarówno o dobro krewnych, jak i wszystkich mieszkańców naszego miasta. Już samo rozpoznanie, które ograniczyliśmy jedynie do odsłonięcia twarzy ofiar, bardzo nimi wstrząsnęło. Wyobraźcie sobie, jak by zareagowali, gdyby musieli oglądać całe ciała. Pomyślcie tylko, jak poczułby się ojciec na widok zmasakrowanych zwłok dziecka? Przecież wy widzieliście, w jakim stanie znaleziono ciała dziewcząt.

– To prawda – przyznał Antonio – nieszczęsna ofiara została potraktowana w naprawdę bestialski sposób. Rozcięto jej klatkę piersiową... – Przerwał i po długiej chwili milczenia dorzucił łamiącym się głosem: – Rozumiem.

– Pochowaliśmy je na cmentarzu Świętego Hadriana – powiedział doża, zanim jeszcze Antonio zdążył zapytać.

– Bezimienne miejsce pochówku...

– Tak. Wydzieliliśmy dla nich osobne miejsce ogrodzone murkiem, aby zapewnić choć odrobinę szacunku córom najznakomitszych patrycjuszowskich rodzin. Nie

chcieliśmy wrzucać kości do wspólnej mogiły, dlatego postanowiliśmy złożyć ich doczesne szczątki w specjalnych grobach.

– Dlaczego mi to wszystko mówicie?

– Ponieważ zdążyłem was już trochę poznać, panie Canal... No i dlatego, że to ja obudziłem w was instynkty, których istnienia nie podejrzewaliście.

– Macie całkowitą rację – powiedział Antonio.

– A teraz się zastanawiam, czy powinienem was zachęcać, abyście nadal zajmowali się tą sprawą.

– Mówicie poważnie?

– Sądzę, że możemy uznać, że wasze śledztwo utknęło w martwym punkcie. A tymczasem upieracie się, by doprowadzić je do końca. Nie wiem, jakie pobudki wami kierują, i nie chcę wam niczego narzucać. Proszę jednak, byście wzięli pod uwagę dobrą radę. Jesteście najlepszym malarzem w Wenecji i powinniście zająć się tym, do czego zostaliście stworzeni.

Antonio pokręcił głową. Odwołując się do logiki, musiał przyznać władcy rację. Jednak jakiś mniej racjonalny głos w jego głowie popychał go do działania. Wiedział już, że nie zadowoli się nawet przypadkowo odkrytą dzięki doktorowi Liebermannowi informacją, która może doprowadzić do oddania sprawiedliwości niewinnie oskarżonemu Shimonowi. Jednocześnie nie miał pewności, czy powinien podzielić się tym odkryciem z Alvisem Mocenigiem. Na razie jedynym dowodem, jakim dysponował, był krwawy symbol wycięty na skórze młodzieńca. Nawet nie wiedział, co on dokładnie przedstawia. Chyba lepiej dać sobie teraz spokój i wrócić do doży z konkretnymi dowodami – pomyślał. Zwłaszcza że nie potrzebował już nawet naciskać, aby zdobyć potrzebne informacje. Zwłoki dziewcząt złożono na cmentarzu Świętego Hadriana. McSwiney na pewno sprawdzi, czy noszą ślady czyjejś ingerencji. A tymczasem trzeba przynajmniej pozornie spełnić życzenie władcy i chwilowo się wycofać, aby niepotrzebnie nie wzbudzać jego gniewu.

– Zgadzam się z wami – oznajmił na koniec. – Mam naprawdę bardzo dużo pracy.

– Nie wątpię.

– Proszę o wybaczenie, jeśli... – Nie zdążył dokończyć, bo doża ponownie zabrał głos.

– Nie macie za co przepraszać, panie Canal. Rozumiem waszą chęć poznania prawdy, bo odpowiada ona również moim dążeniom. Jeszcze do niedawna zajmowaliście się czymś zupełnie innym, i chociaż nie jesteście zawodowym szpiegiem, to z pewnością macie zadatki na świetnego członka nocnej straży. Nie mam wątpliwości, że sprawdzalibyście się w tej roli lepiej niż niejeden z obecnych strażników – wypowiadając te słowa, doża zrobił znaczącą minę. – Jednakże nie mogę

wyrządzić Wenecji niewybaczalnej szkody, pozbawiając ją artysty, który potrafi oddać na płótnach duszę miasta w niespotykany wcześniej sposób.

– Dziękuję za uznanie, Wasza Dostojność.

– Nie, panie Canal, to ja jestem wam wdzięczny. I właśnie dlatego zapewniam was, że pozostanę do waszej dyspozycji w każdej sprawie, z chęcią wysłucham też waszych kolejnych cotygodniowych sprawozdań. Zwłaszcza że, jeśli dobrze pamiętam, w salonie Cornellii Zane i jej podejrzanego przyjaciela mają miejsce mało przystojne wydarzenia.

– Na razie nie mam na ten temat żadnych nowych wieści, lecz obiecuję, że jak tylko czegoś się dowiem, nie omieszkam was poinformować.

– Głęboko wierzę w waszą lojalność – powiedział doża. – A zatem jeśli nie macie nic więcej do dodania, życzę wam przyjemnego dnia, panie Canal, i zapewniam, że drzwi mojego pałacu są dla was zawsze otwarte.

– Jeszcze tylko jedna sprawa, Wasza Dostojność – rzucił malarz na pozór obojętnie. Doża uniósł brwi.

– Słucham.

– Chciałbym zapytać, czy zważywszy na trudności, jakie napotykam podczas wykonywania zleconego zadania, byłibyście skłonni wydać mi glejt pozwalający na swobodne poruszanie się po mieście i podejmowanie koniecznych działań? Doskonale rozumiem, że nie chcecie, aby wiązano was z moją osobą, i właśnie dlatego proszę o zwykłe potwierdzenie na okaziciela, dające mu wolną rękę.

– Aha!

– Na dokumencie nie potrzeba mojego nazwiska.

Doża pomyślał przez chwilę.

– Wydaje mi się, że rozumiem, o co chodzi.

Podszedł do sekretarzyka, wziął gęsie pióro i zaczął pisać. Przygotowanie glejtu zajęło mu zaledwie kilka minut. Złożył podpis i odczytał wiadomość:

– Na mój rozkaz i dla dobra Republiki Weneckiej okaziciel tego dokumentu uczynił to, co uznał za słuszne. Podpisano: Alvise Sebastiano Mocenigo, CXII doża Wenecji. – Spojrzał znacząco na Canaletta i dodał: – Taka formuła musi wam wystarczyć.

– I wystarczy.

Doża przyłożył pieczęć i podał glejt Antoniowi. Ten, skłoniwszy się nisko, poprosił o zgodę na oddalenie się, po czym ruszył w stronę wyjścia. Miał wrażenie, że spotkanie okazało się bardziej owocne, niż się spodziewał. Teraz McSwiney, uzbrojony w glejt, mógł bezzwłocznie udać się na cmentarz Świętego Hadriana, a w międzyczasie Antonio zamierzał umówić się z Josephem Smithem, aby rozwiązać

tajemniczą łamigłówkę w postaci symbolu wyciętego na ramieniu nieszczęsnego Shimona Luzzatta.

Ktoś z pewnością go śledził i być może nadal to czyni, gdyż zna jego przyzwyczajenia tak dobrze, że dopuścił się morderstw w miejscach przez niego odwiedzanych. Dwie najbardziej wpływowe weneckie rodziny zostały doświadczone w najokrutniejszy z możliwych sposób, a grupa złoczyńców zaatakowała mieszkańców getta. Trudno było uwierzyć, że wszystkie te wydarzenia nie są ze sobą powiązane.

Kiedy, poprzedzany przez strażnika, przemierzał korytarze Pałacu Dożów, pomyślał o swojej pierwszej wizycie w siedzibie władcy. Od tego czasu minął zaledwie miesiąc, a jego życie całkowicie się zmieniło.

Od samego początku nie opuszczało go dziwne poczucie paraliżującego strachu i mrocznego zagrożenia. Towarzyszyło mu ono nieustannie, doprowadzając go do wyczerpania dającego się szczególnie we znaki w takich dniach jak ten, kiedy czuł się jak łowca duchów.

A przecież był tylko zwykłym malarzem!

40. Cmentarz w Wenecji

JEŚLI SIĘ DOBRZE ZASTANOWIĆ, nie było w tym nic nadzwyczajnego. Gdzie można by lepiej ukryć ciała, których nikt nigdy nie powinien odnaleźć? Skoro nie wypadało zostawić ich pod wodą, wystarczyło pogrzebać je na największym cmentarzu Serenissimy. Od początku się tego domyślali, ale potwierdzenie z ust doży dodało im pewności siebie. Zwłaszcza że Canaletto otrzymał od władcy glejt na okaziciela, na mocy którego McSwiney czuł się upoważniony do wykonania każdego zadania. Nawet do wizyty na cmentarzu Świętego Hadriana i do grzebania w mogiłach.

I właśnie teraz przygotowywał się do swojej misji.

Prawdę mówiąc, nigdy wcześniej nie odwiedził tej nekropolii, ale gdy znalazł się w pobliżu wysepki, naszła go niespodziewana chęć, aby skłonić marynarzy do powrotu. Był w gorącej wodzie kąpany i często rzucał się w objęcia nowej przygody bez rozważenia możliwych konsekwencji. Tak się stało w przypadku udziału w zgromadzeniu sekty, do której teraz należał, pomimo że wcale nie interesowała go jej działalność i w gruncie rzeczy to samo można by powiedzieć o wycieczce na cmentarz. A jednak gdy tylko Canaletto poinformował go o miejscu pochówku zamordowanych dziewcząt, Owen nie zawahał się nawet przez chwilę i zaraz polecił dwóm znajomym marynarzom przygotowanie nocnej przeprawy.

Stał na dziobie łodzi rozdzierającej mgłę unoszącą się nad powierzchnią wody w postaci jasnych tumanów. Otaczająca ich aura potęgowała tylko upiorne wrażenie. Kiedy wreszcie minęli Torcello, powoli zaczęły wyłaniać się przed nimi nieregularne kształty małej Wysepki Świętego Hadriana. Byli już bardzo blisko, gdy zobaczyli ład. Mogło się wydawać, że mgła przerzedziła się nagle i odsłoniła ziemię jak kurtyna, która unosi się, gdy aktorzy wchodzi na scenę.

Ciemności sprawiały, że chociaż McSwiney miał ze sobą latarnię, to z trudnością rozpoznawał ukształtowanie wyspy. Szybko jednak dostrzegł linię mola, którą wyznaczały światła o mlecznej barwie. Chwilę później łódź, prowadzona doświadczonymi ruchami wiosł Bona i Rustica, jakby za sprawą magicznego zaklęcia delikatnie podpłynęła do pomostu. Ci dwaj warci są tyle złota, ile sami ważą – pomyślał McSwiney. Być może nie bez przyczyny nosili imiona dwóch kupców, którzy wykradli szczątki Świętego Marka z Aleksandrii w Egipcie. Może to zrządzenie losu. Porzuciwszy jałowe rozważania, Irlandczyk odetchnął z ulgą, jak tylko postawił stopę na spróchniałych deskach mola. Radość trwała jednak bardzo krótko, gdyż zaraz zdał

sobie sprawę z potworności tego miejsca. Po obu stronach pomostu wznosiły się jeden za drugim wysokie czarne krzyże, które ktoś wbił w dno laguny. Z ramion niektórych z nich zwisały latarnie, których światło Owen zauważył jeszcze na morzu.

McSwiney nie miał pojęcia, co za perwersyjny architekt zadał sobie trud stworzenia tak ponurej scenografii, której rezultat mroził krew w żyłach. Przyszło mu na myśl, że oto znajduje się u wrót piekła. Postąpił kilka kroków naprzód, czując pod stopami zdradzieckie deski i słysząc nieprzyjemne trzeszczenie. Przystanął i poczekał, aż marynarze zacumują łódź, po czym wszyscy razem ruszyli w głąb wyspy.

Widok krzyży wznoszących się wzdłuż mola sprawił, że zimny dreszcz przebiegł mu po plecach. Zdało mu się, że wchodzi do matecznika piratów, i podziękował losowi, gdy wreszcie stanął na twardym lądzie i dostrzegł, że otaczająca ich mgła zaczyna ustępować. Po chwili McSwiney zauważył przed sobą mur ogrodzenia wysoki na jakieś dziesięć stóp. Niedaleko od brzegu w kamienną barierę wbudowana była kaplica.

– Tędy – powiedział Bono, wysuwając się naprzód i kierując wprost do drzwi przybytku.

Kiedy stanęli przy wejściu, mężczyzna ujął żelazny pierścień kołatki i zastukał. Zamarli w oczekiwaniu.

Irlandczyk miał wrażenie, że minęła cała wieczność, gdy nagle wiatr się nasilił i zaczął świszcząc przeciągle, przenikliwie niczym ostrze brzytwy. Uniósł kołnierz płaszcza i właśnie w tym momencie, skrzypiąc przeraźliwie, otworzyły się drzwi prowadzące do kaplicy.

Pojawił się w nich wysoki mężczyzna w poplamionym trikornie, z gęstymi, długimi włosami, które swą białą barwą przypominały srebrny kłębek utkany na kołowrotku przez jakąś morską czarodziejkę. Miał wychudzoną twarz ze spiczastym podbródkiem, a jedno oko zasłaniała czarna opaska. Na jego policzkach widniały głębokie blizny, jakby linia ust została przedłużona od ucha do ucha przy użyciu ostrza sztyletu. Odzienie przypominało zużyte łachmany, a wierzchnia peleryna musiała pamiętać jeszcze czasy ubiegłego wieku. Efekt był jednocześnie śmieszny i tragiczny, jakby śmierć w okrutny sposób zabawiała się z tym człowiekiem.

– Jednooki! – zawołał Rustico, jakby się witał ze starym znajomym.

Grabarz pokiwał głową i uśmiechnął się, odsłaniając rząd popsutych zębów, na widok których McSwiney z odrazą odwrócił wzrok. Mężczyzna kościstą, bladą dłonią wykonał gest zachęcający ich do wejścia.

Kiedy znaleźli się pod łukiem prowadzącym do wnętrza budowli, Bono zbliżył się do Irlandczyka i szepnął:

– On jest niemową.

– O, nareszcie jakaś dobra wiadomość – zauważył z ironią McSwiney.

– Za to doskonale widzi i słyszy – dodał marynarz.

– Tym lepiej. Na pewno będzie mógł nam pomóc.

Kiedy znaleźli się w kaplicy, Jednooki poprowadził ich do wyjścia po drugiej stronie. Wnętrze było puste i bardzo skromne, wyposażone jedynie w mały ołtarz oraz kilka ławek, gdzie można przykłęknąć i odmówić modlitwę. Każdemu krokowi grabarza towarzyszył dźwięk wydawany przez pęk kluczy, które miał przytwierdzone do pasa. Uderzały o jego udo ze złowieszczym zgrzytem, który wyznaczał rytm ich nocnego marszu. Zamknąwszy za sobą drzwi, Jednooki poprowadził swoich gości do ossarium.

McSwiney stanął na progu i głos uwiązał mu w gardle. Naprzeciwko zobaczył stosy ludzkich kości ułożone niczym drewno na opał. Piszczele, kości udowe, kości strzałkowe, kości ramienne, kości łokciowe – jedno na drugich. Tworzyły coś na kształt białego muru o wysokości co najmniej pięciu stóp. Jednooki spojrzał na Irlandczyka i uśmiechnął się, wystawiając na pokaz wszystkie swoje odrażające, zbutwiałe zęby.

– Szukamy zwłok dwóch zamordowanych kobiet, które trafiły tutaj w ostatnich dniach – wyjaśnił McSwiney, starając się zachować przytomność umysłu.

Grabarz przyglądał mu się z dziwną miną, której znaczenia nie sposób było określić, bo przypominała połączenie szyderczego grymasu z uśmiechem dziecka.

– Rozumiesz, co do ciebie mówię? – zapytał Irlandczyk. – Czy pracuje tu z tobą ktoś jeszcze?

Jednooki pokręcił przecząco głową.

– To on opiekuje się ossarium – potwierdził Rustico. – Raz w tygodniu przywożą mu jedzenie, a przez resztę czasu sam się wszystkim zajmuje. To jego królestwo.

– Rozumiem – powiedział McSwiney i wyciągnął z kieszeni dokument podpisany przez dożę, z nadzieją, że ułatwi im zadanie.

Na widok pieczęci strażnik cmentarza otworzył szeroko swe jedyne oko, po czym z przekonaniem pokiwał głową. Nie tracąc czasu, ruszyli za nim pośród stosów kości piętrzących się dookoła.

Kilka metrów dalej w blasku pochodni Owen zauważył piramidy ułożone z ludzkich czaszek, które zdawały się obserwować ich uważnie pustymi oczodołami, jakby zarzucały im pogwałcenie ciszy mrocznego, zakazanego miejsca.

Szli dalej, a blask lampionów wątlym promieniem rozjaśniał im drogę. McSwiney odniósł wrażenie, że ossarium jest tak ogromne, iż zajmuje całą wysepkę, jakby powstała na prochu z kości zmarłych.

Niezależnie od tego, jak było naprawdę, Jednooki prowadził ich pośród piramid ułożonych z czaszek oraz murów zbudowanych z kości, aż wreszcie dotarli na pusty plac oświetlony ogniem, który płonął w rozstawionych na obrzeżach żelaznych

koszach, gdzie w rzędach ustawiono czarne krzyże. Mężczyzna się zatrzymał i wskazał dwie mogiły świeżo przysypane ziemią.

To tutaj spoczęły ciała zamordowanych kobiet.

Nie czekając na zachętę, dwaj marynarze zapalili kilka smolnych pochodni, które przynieśli ze sobą. Krwawe promienie rozproszyły nieco ciemności nocy. Uwijając się zręcznie, Bono i Rustico wbili łuczywa w ziemię w czterech rogach wyznaczających miejsce pochówku, aby oświetlić teren, gdzie mieli kopać.

Chwycili za łopaty i zabrali się do pracy. Zaraz dołączył do nich sam McSwiney, który nie tylko nie żywił uprzedzeń i nie afiszował się szlacheckim pochodzeniem, lecz poza tym doskonale rozumiał, że czas nagli i nie powinni pozostawać w tym miejscu dłużej, niż to naprawdę konieczne. Mając do dyspozycji trzy pary rąk, machali łopatami najszybciej jak się dało. Ziemia była jeszcze wilgotna i miękka, dlatego też dość szybko natrafili na opór. Pierwszy wyczuł coś twardego McSwiney i razem z Rustikiem zajęli się okopywaniem obwodu trumny, podczas gdy Bono zajął się drugą mogiłą.

Kiedy pierwsza skrzynia wyłoniła się spod grudek ziemi, Rustico zeskoczył do poszerzonego dołu. Zapierając się nogami, oparł na barkach bok trumny i wypchnął ją z grobu. Użył do tego całej swojej siły i niechcący zrzucił wieko skrzyni, tak że obecnych przy mogile towarzyszy uderzył cuchnący odór śmierci. Fetor był nie do zniesienia. McSwiney natychmiast założył rękawiczki i z wewnętrznej kieszeni fraka wyjął kawałek płótna nasączony płynem kamforowym, który otrzymał kilka dni wcześniej od Isaaca Liebermanna. Tak uzbrojony zdołał zbliżyć się do zwłok, podczas gdy Rustico znowu wziął się do pracy, by pomóc koledze i czym prędzej zakończyć przykrą robotę. Ktoś zadał sobie trud, by okryć ciało białym prześcieradłem, więc Owen, przyciskając jedną ręką płótno do nosa, musiał poradzić sobie wolną dłonią. Wreszcie udało mu odsunąć materiał.

I wtedy zwłoki ukazały się w swej okropnej, śmiertelnej odsłonie. Jednak Irlandczyk skupił się na szukaniu precyzyjnego punktu, wiedząc, że przy odrobinie szczęścia powinien znaleźć na ramieniu ofiary wycięty sztyletem symbol. Przebiegł wzrokiem po sianej twarzy, która wpatrywała się weń z dna trumny, i skoncentrował się na ręce.

W momencie gdy zdarł prześcieradło i odsłonił ramię, mocny podmuch wiatru niespodziewanie rozproszył chmury zakrywające niebo i matowy promień księżyca oświetlił całą scenę, jakby kierowany jakąś ponadnaturalną siłą. W blasku pochodni i naturalnego światła McSwiney zobaczył to, czego szukał.

Na ramieniu nieszczęsnej dziewczyny wycięto krwawą linią znak przypominający głowę stwora łączącego w sobie cechy zarówno człowieka, jak i lwa.

41. Krew

KIEDY UDERZYŁ JĄ UPIERŚCIENIONĄ DŁONIA, Colombina poczuła w ustach smak krwi. Głowa odskoczyła jej do tyłu, a ostry, pulsujący ból unieruchomił kark.

Czerwona strużka sączyła się z rozciętej wargi, która już zaczynała puchnąć, a łzy spływały po policzkach dziewczyny. Nie chciała dać Teufłowi satysfakcji, ale choć bardzo się starała, nie zdołała powstrzymać płaczu. Ból okazał się silniejszy.

Mężczyzna od razu się wszystkiego domyślił i poczuł perwersyjną przyjemność. Uśmiechnął się, czerpiąc dziką radość z jej cierpienia.

– Odpowiadaj! Wiesz, gdzie ona mieszka? Domyśla się czegoś? Odpowiadaj!

Colombina oparła dłoń o ścianę, jakby chciała się uchronić przed upadkiem. Niedaleko stał Moro i nie odzywał się ani słowem. Wiedziała, że od czasu pierwszego spotkania Teufel budzi w nim strach i przyjaciel nie kiwnie placem, by ją obronić. Mogła liczyć tylko na siebie, jeśli nie chciała, by ten czart zatłukł ją na śmierć.

– Nie wiem.

Kolejne uderzenie, jeszcze mocniejsze od poprzedniego, trafiło ją w policzek i tym razem Colombina osunęła się na kolana, nawet nie zdając sobie z tego sprawy. Nie rozumiała, jak to możliwe, lecz czuła, że jej twarz płonie. Usta rwały ją tak bardzo, jakby ktoś przyłożył do nich rozżarzone szczypce.

– Jak długo chcesz się ze mną bawić w kotka i myszkę, dziwko? Nie widzisz, że twój kawaler... – wskazał na Mora – ...nie stanie w twojej obronie? A wiesz dlaczego? Bo gdyby tylko spróbował, tobym go zabił, tak samo jak zabiję ciebie, jeśli będziesz uparcie milczeć! Po raz ostatni pytam więc, gdzie ukrywa się Charlotte von der Schulenburg?

Colombina z trudem podniosła się z kolan. Spojrzała na Mora. Nie miała zamiaru prosić, by jej pomógł. Rozumiała, że boi się tak samo jak ona. Jednak nie potrafiła mu wybaczyć. Wiedziała, że uczucie, którym go darzyła, słabnie z każdą chwilą. Dlaczego on nic nie robi? Boi się, to jasne. Ale przecież powinien przynajmniej zareagować. A tymczasem milczy i patrzy na mnie przerażonym wzrokiem.

Poczuła, jak palce Teufla zaciskają się na jej twarzy i niczym w imadle miażdżą szczękę.

– Gadaj! – wrzasnął mężczyzna.

Spróbowała się odezwać, ale z jej gardła wydobył się jedynie stłumiony charkot nieprzypominający wcale ludzkiego głosu. Mężczyzna cofnął rękę, a Colombina

zakaszłała. Potem, łkając, wyjawiała to, czego się dowiedziała.

- Ma pracownię wytapiania szkła.
- Co takiego?
- Produkuje szkło.
- Skąd wiesz?
- No, wiem.
- Byłaś tam?

Colombina się zawahała.

Kolejne precyzyjne uderzenie sprawiło, że jej twarz odwróciła się o dziewięćdziesiąt stopni. Trysnęła krew. Dziewczyna uniosła dłoń i osłoniła usta, ale cios był tak silny, że odrzucił ją na ścianę. Na moment straciła równowagę, a potem oparła się plecami o mur.

- Byłaś tam? – wrzasnął Teufel.
- Tak.
- Jak się dowiedziałaś, gdzie jej szukać?
- Moja przyjaciółka... Zanetta...

- Kto? Ach tak, kolejna parszywa sierota z waszej szajki. – Teufel splunął na podłogę. – Brzydzę się tobą. Uważasz, że jesteś lepsza ode mnie, co? Myślisz, że spotkało cię nieszczęście, bo nie masz rodziców... Chciałabyś żyć sobie spokojnie i uczciwie w ciepłym domku i inne takie pierdoły...

- Ja...

- Jedna z twoich znajomych z ulicy powiedziała ci, że ta kobieta ma pracownię, w której zajmuje się wyrobem szkła, tak? A gdzie? W Murano?

Colombina skinęła głową.

- Jesteś tego pewna?

- Tak. Mówiłam ci, że tam byłam – szepnęła, próbując wytrzeć sobie ubrudzoną krwią twarz.

- Tak trudno było powiedzieć prawdę?

Colombina się nie odezwała.

- No to teraz się zastanowimy, co dalej – ciągnął Teufel. – Moro!

Chłopak zbliżył się ostrożnie w obawie, że zostanie potraktowany tak samo jak nieszczęsna dziewczyna.

- Tak, panie – odezwał się, przyjmując służalczą postawę.

- Skoro teraz straciłeś już uznanie w jej oczach... – wskazał ruchem głowy Colombinę – ...bo przyglądałeś się beczynnemu, jak nią poniewieram, i ona nigdy ci tego nie wybaczy, zresztą ma rację... – Teufel przerwał na chwilę. – Chciałbym, żebyś zebrał kilku swoich towarzyszy, kilku silnych uliczników, bo musimy zająć się tą

kobietą. Złożymy jej niezapowiedzianą wizytę i trochę się zabawimy, co o tym sądzisz?

Moro w milczeniu skinął głową, a Teufel wybuchnął szyderczym śmiechem.

– Biorę twoje milczenie za zgodę – powiedział, próbując się opanować. – Nie martw się, zamierzam ją porwać i umieścić w bezpiecznym miejscu.

– Nie! – krzyknęła Colombina. – Zostawcie ją w spokoju!

Mężczyzna spojrział na nią ze zdziwieniem, jakby nie wierzył własnym uszom.

– Na brodę szatana – wypalił. – Muszę przyznać, że ona jest odważniejsza od ciebie, Moro. Jasne, że to nic specjalnego, ale ma dziewczyna charakter! Tylko że twój sprzeciw na nic się zda – zwrócił się do Colombiny – bo i tak zrobię, co zechcę.

Dziewczyna miała ochotę wepchnąć mu te słowa z powrotem do gardła, ale wiedziała, że opór nie ma sensu. Brakowało jej siły, by przeciwstawić się silnemu mężczyźnie. Poczowała, jak ogarnia ją nienawiść do Mora. W jednej kwestii Teufel miał rację. Ten chłopak był zwykłym tchórzem. Gdyby zamiast trząść się ze strachu, pomyślał, jak przeciwstawić się oprawcy, może razem mieliby szansę, żeby dać mu nauczkę. A przynajmniej mogliby spróbować.

Zebrała siły i wyprostowała się.

Miała wrażenie, że wraca z dalekiej podróży. Jej twarz pulsowała z bólu, a warga spuchła. Przełykała krew z dziwnym wrażeniem, że płyn jest ciężki i gęsty niczym żelazo rozpuszczone w niewidzialnym ogniu. Przyglądała się mężczyźnie, który przed chwilą pobił ją bez litości.

I nagle dostrzegła w jego oczach blask zdradzający najpilniej skrywane uczucia. Jakby przyznał w końcu przed sobą samym, że jej waleczna postawa budzi w nim podziw.

42. Symbol

PONOWNIE SPOTKALI SIĘ Z JOSEPHEM SMITHEM w nadziei, że posłuży im radą, jak rozwiązać trapiącą ich zagadkę. Antonio już na samym początku obdarzył tego człowieka nieograniczonym zaufaniem. Podziwiał jego encyklopedyczną wiedzę, o której wspomniał McSwiney, i nie miał wątpliwości, że angielski dżentelmen udzieli im wskazówek, a może nawet od razu dostarczy gotowych rozwiązań.

Smith przyjął ich z właściwą sobie uprzejmością. Tym razem zamiast do pokoju cudów zaprosił ich jednak do biblioteki, gdyż jak uprzedził McSwineya, to właśnie w księgach można znaleźć odpowiedź na dręczące ich pytanie.

Pomieszczenie było obszerne i urządzone z rzucającym się w oczy zbytkiem, na który składały się: okazały kominek z białego marmuru z Carrary, urocze fotele wyłożone aksamitnym karmazynowym obiciem, bogate zdobienia, masywne biurka z palonego orzecha i wrzośca o wymyślnych kształtach oraz cennych inkrustacjach wykonanych z egzotycznego drewna różanego. Nie wspominając o wykwinnych regałach ozdobionych fryzami. Wysokością sięgały sufitu, ustawiono je wzdłuż ścian przestronnej sali i wypełniono tomami najróżniejszych rozmiarów i objętości.

Joseph Smith prezentował się nienagannie we fraku o modnym kroju i eleganckich mankietach, w jedwabnych spodniach, delikatnie haftowanej koszuli i śnieżnobiałej peruce. Miły, uprzejmy sposób zachowania w połączeniu z bezpośrednim, szczerym charakterem czyniły zeń doskonałego kompana, z którym łatwo było znaleźć wspólny język i osiągnąć porozumienie. Przynajmniej takie zdanie wyrobił sobie na temat Anglika Canaletto już podczas pierwszego spotkania. Być może dlatego, że sam też mógłby zostać scharakteryzowany w podobny sposób. Z pewnością nie był mężczyzną lubiącym używać kwiecistego języka i zawiłych struktur.

I rzeczywiście Anglik od razu przystąpił do rzeczy.

– Moi panowie, bardzo się cieszę z waszej wizyty i już zacząłem się zastanawiać nad sprawą, którą Owen McSwiney pokrótce przedstawił mi w swoim wczorajszym liście. A jednak muszę poprosić, abyście szczegółowo opisali mi symbol, o którym będziemy dyskutować, bo to on jest tematem naszego spotkania, nieprawdaż?

– W rzeczy samej! – potwierdził Antonio. – I wiedząc, że jesteście człowiekiem skorym do działania, postanowiłem naszkicować obrazek przedstawiający znak, o którym wspominał mój przyjaciel. Mam nadzieję, że to ułatwi wam zadanie.

Wypowiadając te słowa, Canaletto położył na biurku kartkę z rysunkiem, na którym widniał dziwny symbol wycięty na ramionach ofiar i dodatkowo kojarzący się Owenowi z malunkiem przedstawionym na ścianie sali, gdzie Olaf Teufel odprawiał ceremonię przyjęcia do loży masońskiej nowych członków.

– Bardzo interesujące – zauważył Smith – i sądzę, że od razu mogę wam udzielić kilku ogólnych informacji.

– Naprawdę? – Canaletto szczerze się zdziwił.

– Chciałbym przede wszystkim zaznaczyć, że nie mam pojęcia, w co wplątał się nasz drogi McSwiney, co więcej, nawet nie chcę tego wiedzieć, domyślam się tylko, że ma to związek z naszą poprzednią rozmową. Rozumiem, że chcecie mu pomóc i może w jakimś stopniu jesteście również zamieszani w całą sprawę, dlatego o nic więcej nie pytam, ale muszę was przestrzec, że ten symbol nie zapowiada niczego dobrego. Sądzę, że przedstawia jedno z egipskich bóstw. Możecie wierzyć lub nie, ale niektóre loże masońskie, o których ostatnio rozmawialiśmy, wybierają je jako swoje znaki rozpoznawcze.

– Egipskie bóstwa? – McSwiney był wyraźnie zaskoczony nową wiadomością.

– Właśnie tak, przyjacielu! Spróbuję dokładniej naświetlić wam tę kwestię, gdyż z pewnością mam wśród moich ksiąg jakiś tom poświęcony wierzeniom starożytnego Egiptu. Tam powinniśmy znaleźć odpowiedź na wasze pytanie. Pozwólcie mi sprawdzić.

Joseph Smith zbliżył się do jednego z regałów wypełniających jego bogato wyposażoną bibliotekę. Wszedł na drewnianą drabinkę i wspiął się na wysokość ostatniej półki. Tam z uwagą przejrzał grzbiety ustawionych w równym rzędzie woluminów, by wreszcie wyjąć jeden z nich. Z oprawioną w skórę księgą w ręku wrócił do przyjaciół.

Położył dzieło na biurku i otworzywszy je, zaczął kartkować, umożliwiając gościom obserwację zawartości.

– Kto jest autorem tej książki? – zapytał zaciekawiony Canaletto.

– Dobre pytanie! – zawołał Smith. – Niestety, nie znam odpowiedzi. Wiadomo jedynie, że był to jakiś wenecki kupiec i poszukiwacz przygód, który zainteresowany opowieściami poprzedników, w połowie siedemnastego wieku udał się do Egiptu, by po wielu perypetiach powrócić do ojczyzny i przygotować dziennik z podróży. Jego wspomnienia zostały później wydane w Wenecji w niewielkiej liczbie egzemplarzy. A ja, odwiedzając pałace i mieszkania moich licznych przyjaciół, zdołałem wejść w posiadanie jednej z kopii.

– Niesamowite! – skomentował z entuzjazmem Canaletto.

– Tak... Jak możecie się przekonać, nasz anonimowy podróżnik był człowiekiem charakteryzującym się wybujałym intelektem oraz szeroką wiedzą, posiadał też liczne talenty, w tym ten do rysunku. Wiernie dokumentował swą podróż nie tylko w słowach, ale i w obrazach, które zostały później skopiowane na kartach tej książki. Jednym z tematów jest właśnie historia egipskich bóstw, która musiała go wielce zaabsorbować, gdyż sam to potwierdza na stronach swojego dzieła. O, widzicie? – Smith wskazał na kilka rysunków.

Zdziwionym oczom jego gości ukazały się stworzenia przedstawiające pół człowieka, pół ptaka lub pół człowieka, pół psa. Podczas gdy wszyscy trzej przyglądali się szkicom, Anglik czytał opisy, które wenecki podróżnik zamieścił w swoim dzienniku.

– Oto Ra z głową sokoła, bóg słońca, który rządzi światem, niebem, ziemią i życiem pozagrobowym. A to Anubis, opiekun cmentarzy i zmarłych, przedstawiany z głową szakala. Dalej mamy Heket w postaci żaby, boginię płodności...

Przekazując informacje, Joseph Smith obserwował z niekłamany podziwem strony wypełnione wiedzą dotyczącą odległych czasów i miejsc, która dotarła doń dzięki badaniom odważnego, a zarazem ekscentrycznego Wenecjanina. Nie bacząc na niebezpieczeństwo, człowiek ów udał się na nieznaną ziemię, by zebrać informacje na temat mądrości i tradycji ludu otoczonego nimbem tajemnicy i magii.

Nie tylko Smith uległ czarowi dawnej symboliki oraz urokowi legend. Również Canaletto był pod wrażeniem, i to do niego zwrócił się najpierw gospodarz, by po chwili przenieść wzrok na Irlandczyka.

– Teraz już pewnie rozumiecie, dlaczego sekta zwana lożą masońską odwołuje się do tego typu symboli. Otóż emanują one tajemną siłą, która zdaje się doskonałym narzędziem wpływu na grupę nowych zwolenników. Zresztą ja sam żywię głębokie zainteresowanie tą tematyką. Możecie wierzyć lub nie, ale musiałem wydać znaczną sumę pieniędzy, aby wejść w posiadanie tej książki, a jednak nie mogłem się powstrzymać. Pobudzona skutecznie ciekawość sprawiła, że coraz więcej kupców, podróżników i poszukiwaczy przygód organizuje teraz wyprawy do tej dalekiej krainy.

– Przecież nawet Wenecja stworzyła swą własną mityczną historię w odniesieniu do Egiptu – zauważył Canaletto.

– No właśnie! Czyli nie ma nic dziwnego w tym, co obserwujemy – potwierdził Joseph Smith. – A zatem skoncentrujmy się na postaciach bóstw przedstawionych przez anonimowego autora dziennika z podróży.

Anglik przerzucił kolejnych kilka stron, a Antonio i McSwiney zobaczyli dziwne stwory, będące niemal zawsze połączeniem człowieka i zwierzęcia. Tajemnicze szkice wywoływały niepokój. Figury przedstawiono w prosty sposób, używając do tego kilku

pociągnąć pióra, bez skupiania się na szczegółach. Być może dlatego łatwo było im przypisać symboliczne znaczenie.

– Oto Sfinks – podjął tymczasem Joseph Smith – ma ciało lwa i głowę człowieka. Umieszczano je przy piramidach jako strażników, a ponieważ strzegły wejścia do grobowca faraona, ich twarze miały rysy zmarłego. A tutaj... – Zawahał się, ale szybko wrócił do przerwanej wątku. – Tutaj widnieje wizerunek, którego szukamy! Bogini z głową lwa i ciałem kobiety.

– Znaleźliście nasz symbol! – ucieszył się Canaletto.

– Tak, udało się. Posłuchajcie, ona nazywa się Sechmet i zgodnie z przekazem autora jest boginią wojny, zniszczenia, zagłady. Przypisuje się jej takie cechy jak okrucieństwo, wściekłość i gwałtowność, dlatego reprezentowana jest przez kobietę z głową lwicy.

Joseph Smith poprosił, aby jego goście podeszli jeszcze bliżej i dokładniej przyjrzeni się rysunkowi przedstawiającemu boginię. Według autora była wysoka, smukła, z dyskiem słonecznym nad głową.

– Spójrzcie tutaj – ciągnął Anglik, wskazując na okrąg nad głową Sechmet. – To symbol słońca, a zarazem potwierdzenie, że ona należy do bóstw słonecznych. Zgodnie z wierzeniami starożytnych Egipcjan, które przytacza autor, jej oddech zamieniał ziemię w pustynię.

– Sprawia wrażenie okrutnej – zauważył Canaletto.

– W rzeczy samej – zgodził się Joseph Smith. – A ci, którzy umieścili jej wizerunek na ścianach swojej sali spotkań, bez wątpienia zamierzają sprowadzić do Wenecji zarazę i zniszczenie.

– Okrutnie zamordowane kobiety i epidemia czarnej ospy – zauważył Antonio – wszystko nabiera sensu. Przynajmniej teoretycznie znaleźliśmy wyjaśnienie tego, co się dzieje w mieście.

– Nie mam wątpliwości, że widziałem postać bogini wśród symboli zdobiących salę łoży masońskiej – zapewnił McSwiney.

– Wszystko się zgadza. Jak się domyślacie, ciągle jeszcze niewiele wiadomo o starożytnym Egipcie, a mimo to kultura, tradycje, a nawet sztuka tego ludu stanowią podstawę symboliki masońskiej. Pamiętacie, co wam mówiłem w kontekście architektury i geometrii?

– Cyrkiel, węgelnica, wielki architekt – rzucił McSwiney.

– Właśnie tak.

– Nie wspominając o tym, że starożytni Egipcjanie byli doskonałymi budowniczymi – dodał Canaletto.

Joseph Smith pokiwał głową i się uśmiechnął.

– To nie wszystko. Właśnie pokazałem wam dziennik z podróży napisany przez weneckiego kupca i podróżnika, który charakteryzował się błyskotliwym umysłem i sporą wiedzą. Jednak korzeni zainteresowania tą starożytną kulturą należałoby szukać we Florencji, skąd wywodzą się pierwsi znawcy przedmiotu.

– Macie na myśli Marsilia Ficina? – zapytał Antonio.

W odpowiedzi Smith oddalił się od biurka, przy którym wcześniej zgromadzili się wszyscy trzej, i przeszedł na drugą stronę sali. Przez chwilę lustrował z uwagą półki i w końcu skierował się do piątego regału. Bez wahania sięgnął po jeden z tomów i zaczął go kartkować.

– *Corpus Hermeticum* Hermesa Trismegistosa, znacie to dzieło?

– Oczywiście – potwierdził Antonio. – Jak już wspomniałem, to Marsilio Ficino przetłumaczył je na łacinę.

– No właśnie, a ja przez przypadek posiadam w moich zbiorach kopię.

Canaletto otworzył szeroko oczy ze zdumienia. Anglik znowu zdołał go zaskoczyć. Nie mógł wyjść z podziwu, widząc przygotowanie gospodarza i jego bogate zasoby.

– Naprawdę? – zapytał z niedowierzaniem.

– Naturalnie. W końcu jestem kolekcjonerem. Zresztą ukazało się wiele wydań tej książki.

Joseph Smith położył wolumin na biurku, otworzył i przerzucił kilka stron. Można było odnieść wrażenie, że dotykanie pergaminu sprawia mu niemal fizyczną przyjemność. W pewnym momencie Antoniowi zdało się, że ze stron uniosły się opary wiedzy, a Anglik chłonie je całym sobą. Wyobraźnia spłatała mu figła, więc uśmiechnął się na myśl, jak bardzo jest naiwny, jednak podobnie jak sztuka, kolory i gra świateł pociągały go w sposób, jakiego nie był w stanie kontrolować, tak samo nie mógł się oprzeć słowom i wiedzy zawartym w księgach. A styl, w jakim Joseph Smith łączył pozornie niemające ze sobą nic wspólnego dzieła, które pochodziły z różnych epok i poruszały odmienną tematykę, też ze wszech miar wzbudzał zainteresowanie. McSwiney naprawdę pomógł mi w tym śledztwie – pomyślał Antonio. Nie tylko okazał się wiernym towarzyszem przygód obdarzonym odwagą i determinacją, ale to właśnie on poznał mnie z tym wyjątkowym erudytą. Jego wiedza jest wprost niewyobrażalna! A apetyt na nią nienasycony.

– Według Marsilia Ficina, znawcy kultury greckiej oraz mistrza wiedzy ezoterycznej, Hermes Trismegistos miałby być wcieleniem Thota, egipskiego boga księżyca, pisma, patrona medycyny i wynalazków, władcy świata podziemnego i pana śmierci. Bez wątpienia to właśnie z dzieł legendarnego maga czerpią teraz łożę masonskie powstałe w Szkocji i Anglii, odwołując się do kosmogonii, antropogenii i eschatologii egipskiej. Nie ma innego wytłumaczenia!

– Chciałbym się upewnić, czy dobrze zrozumiałem – zagaił nieśmiało Antonio. – A więc ktoś, prawdopodobnie mistrz loży, do której został włączony kawaler McSwiney, używa mitologii egipskiej, a w szczególności postaci bogini Sechemet utożsamianej z destrukcją, epidemią i śmiercią jako symbolu wiedzy oraz według mojej opinii podstawy systemu filozoficznego sekty.

– Sam bym tego lepiej nie ujął – potwierdził Joseph Smith. – Oczywiście chciałbym się od was dowiedzieć czegoś więcej, ale jak już wspomniałem, mogę poczekać.

– Wasza dyskrecja przynosi wam zaszczyt – uciał McSwiney.

– Dziękuję za uznanie, Owenie. – Anglik się skłonił, nie tracąc nic ze swej przysłowiowej uprzejmości.

Antonio czuł się nieco zakłopotany. Już po raz drugi prosili Josepha Smitha o pomoc bez wtajemniczenia go w arkana podejmowanych działań. I chociaż z jednej strony zgadzał się z przyjacielem, że należy zachować tajemnicę, to z drugiej chciał się jakoś odwdziaczyć gospodarzowi.

– Chciałbym porozmawiać z wami o malarstwie – powiedział z przekonaniem. – I w żadnym razie nie oznacza to braku szacunku z mojej strony dla mojego przyjaciela – dodał, patrząc Irlandczykowi w oczy. – Uważam jedynie, że razem możemy stworzyć szeroki plan łączący interesy Wenecji i Anglii.

– Zgadzam się w zupełności – powiedział Joseph Smith. – Sądzę, że byłoby to z korzyścią dla wszystkich. Jednak w obecnej chwili, chociaż nie znam was zbyt dobrze, panie Canal, to wyczuwam dręczący was niepokój. Dlatego też proponuję, byście najpierw zamknęli sprawę, która przysparza wam zmartwień, a potem się zastanowimy, jak najlepiej zająć się sztuką.

Antonio nie mógł opanować zdumienia, choć za wszelką cenę starał się go nie okazywać. Zresztą sądząc po odpowiedzi Josepha Smitha, ten zdawał się czytać w nim niczym w otwartej księdze. Postanowił więc zaniechać niepotrzebnej gry.

– W porządku – powiedział tylko – macie absolutną rację.

I zgodziwszy się z Anglikiem, zdał sobie sprawę, ile naprawdę kosztuje go to przekłete śledztwo.

43. Pytania

ANTONIO BYŁ ZMĘCZONY. Ostatnie wydarzenia bardzo go wyczerpały. Minione dni były pełne wrażeń, wypełniały je nowe przerażające odkrycia, niepokój i ciekawe doświadczenia poznawcze. Karuzela niekontrolowanych do końca emocji sprawiła, że poczuł się nieco zagubiony. Gdzie podziała się moja ukochana sztuka? Co mnie, do diabła, skłoniło do rzucenia się w wir tej mrocznej sprawy i dlaczego moje serce w perwersyjny i niewytłumaczalny sposób domaga się ciągle więcej i więcej?

Sięgnął po ołówki z zamiarem oddania się ulubionemu zajęciu. Zawsze tak czynił, gdy miał potrzebę przemyślenia różnych kwestii. Rysunek był dla niego niczym zanurzenie się w przestrzeni, która opierając się na rzeczywistości, prowadzi go do miejsca zawieszzonego gdzieś pomiędzy jawą a fantazją, gdyż jego Wenecja łączyła w sobie elementy realne i wymaginowane. Kiedy przekładał z ręki do ręki czarne ołówki, krwistoczerwone farby, kredę, pióra gęsie i te wykonane z trzciny, a zakończone metalową nasadką, dotykając wybierając odpowiednie do pracy narzędzie, jego wyostrzony nieustannym zamieszaniem umysł ciągle powracał do wydarzeń poprzedniego wieczora.

Nie mógł przestać analizować ostatnich wskazówek, które ujrzały światło dzienne w trakcie prowadzonego śledztwa.

Dzięki wyjątkowym zdolnościom Isaaca Liebermanna dowiedział się, że na ramieniu żydowskiego młodzieńca obwinionego o krwawe zbrodnie i zamordowanego w getcie przez zbójów zrobiono ostrzem noża lub sztyletu specyficzne nacięcie. Głębokie rysy przedstawiały symbol, który widniał również na ciałach zabitych kobiet należących do najznamienitszych rodów w mieście. Sprawdził to McSwiney, więc nie mogło być najmniejszych wątpliwości.

Nie koniec na tym.

Podczas swojej wyprawy na cmentarz Świętego Hadriana Owen McSwiney przekonał się na własne oczy, że grabarz strzegący tego zapomnianego przez Boga miejsca to nieszczęśnik wyznaczony przez władze do pracy, która przypomina raczej życie w więzieniu. Chociaż Irlandczyk próbował wyciągnąć od niego jakieś informacje, skończyło się to fiaskiem. McSwiney zarówno przy pomocy kija, jak i marchewki starał się dowiedzieć, kto dostarczył na wyspę zwłoki zamordowanych dziewcząt. Prawdopodobnie niewdzięczne zadanie zlecono strażnikom dzielnicy albo zwykłym żołdakom, a w tym przypadku nie było dużych szans na odkrycie tożsamości sprawcy.

Niemniej jednak znak wycięty na ramionach trzech ofiar, uwzględniając też Shimona Luzzatta, wskazywał na tego samego mordercę lub organizację, jeśli przyjąć, że zbrodnie zostały popełnione przez grupę osób.

Wizerunek kobiety z głową lwa przedstawia egipską boginię Sechmet, związaną z zagładą i szerzeniem się epidemii. Wydawało się, że znaleźli odpowiedź na to, co ostatnimi czasy działo się w Wenecji. Próbując zrozumieć motywację mordercy, Antonio dostrzegał w biegu zdarzeń pewną perwersyjną spójność. Sprawca, czy też sprawcy, śmierci i zarazy wycinał na ciałach ofiar symbol bogini, jakby chciał przywołać jej obecność i okrutne moce, które jej przypisywano.

Kto mógł być na tyle szalony? A przede wszystkim kto znał historię starożytnego Egiptu? Canaletto niemal instynktownie pomyślał o Olafie Teuflu. Jego nazwisko nasunęło mu się samo. Mężczyzna nawet nie ukrywał chęci panowania nad miastem, a strach jest bardzo silną bronią. Zresztą jak inaczej można by określić to, co szerzyło się w Wenecji?

Lecz nawet przyjmując, że ten opętany żądzą władzy człowiek jest sprawcą zła, które niszczy lagunę, nawet wierząc, że ma zamiar stworzyć armię wiernych zauszników gotowych spełniać wszystkie jego rozkazy, jak udowodnić mu tę winę? Zbieg okoliczności polegający na podobieństwie symboli umieszczonych na ścianach sali, w której odbywają się zebrania loży, z tymi wyciętymi na ramionach zamordowanych z pewnością nie jest wystarczającym dowodem. Poza tym, nawet gdyby chciał tam dotrzeć, Antonio nie miał zielonego pojęcia, gdzie szukać tajemniczego pomieszczenia, do którego trafił przypadkowo McSwiney.

Zbyt wiele pytań kłębiło się w jego głowie, a żadna rozsądna odpowiedź nie przychodziła mu na myśl. Zwłaszcza względem podejrzeń co do winy Teufla, które opierały się jedynie na intuicji. Nie miał w ręku żadnych konkretnych dowodów, jeśli nie liczyć świadectwa Isaaca Liebermanna, który twierdził, że widział, jak mężczyzna podobny do Olafa wbija sztylet w gardło Luzzatta. Chociaż gdyby się dobrze zastanović, opis mógłby odpowiadać też wyglądowi Cygana, który śledził Antonia przy różnych okazjach, a później nawet nie drasnął McSwineya, kiedy miał ku temu doskonałą sposobność. A wracając do wydarzeń w getcie, należało też wziąć pod uwagę to, że kiedy doktor Liebermann starał się przekonać kapitana nocnej straży, iż zamordowany młodzieniec nie miał nic wspólnego z zabójstwami młodych kobiet, jego wyjaśnienia zostały pominięte wrogim milczeniem.

Wreszcie kim był mężczyzna, który chodził za nim krok w krok, a przyciśnięty do muru, zdołał się wymknąć? Skąd pochodził? Wszystko wskazywało na to, że to cudzoziemiec.

Antonio był tak pochłonięty rozmyślaniami, że nie potrafił skupić się na pracy. Zbyt dużo pytań bez odpowiedzi. Zbyt wiele niewiadomych. Westchnął ciężko. Wolałby wrócić do swoich farb i pędzli, do obserwacji światła w Wenecji, ale zdawał sobie sprawę, że dopóki nie rozwiąże zagadki, nie zazna spokoju.

To było silniejsze od niego.

I właśnie w tym momencie pomyślał o Charlotte.

Śledztwo pochłonęło go tak bardzo, że nie miał ostatnio okazji się z nią spotkać. Pożegnali się czule po namiętnej nocy i od tamtej pory nie było od niej żadnej wieści. Zresztą on sam też nie próbował się z nią skontaktować. Teraz poczuł, że coś jest nie w porządku.

Czyżby przydarzyło jej się coś złego?

Na samą myśl o niebezpieczeństwie zadrżał na całym ciele.

Co ze mnie za niegodziwiec – pomyślał.

44. Nocna napaść

ZDOŁALI JĄ ZASKOCZYĆ. Świetnie przygotowali zasadzkę. Kim oni są? Czego chcą, do diabła? Jakikolwiek jest powód napaści, postanowiła drogo sprzedać własną skórę.

Złapała rozżarzony pręt. Jeśli zamierzają wyrządzić mi krzywdę, odpłacę im pięknym za nadobne.

Charlotte była zdeterminowana. W jej oczach odbijał się ognisty blask paleniska. Miała przed sobą grupę umorusanych sadzą dzieci z ulicy, których twarze pokrywały zadrapania i blizny. Otoczyły ją i zaczęły zacieśniać krąg. Wszystko wskazywało na to, że mają złe intencje. Podchodziły do niej niczym młode, wygłodniałe wilki. Najbardziej zawzięty okazał się herszt bandy, chłopak o ciemnych, kręconych włosach. Ubrany był w podziurawiony niczym sito kubrak, spod którego wystawała podarta koszula. Na spodniach łąta goniła łątę. Cerowane w nieskończoność skarpety ledwo trzymały się na nogach, a buty, o ile można było tak nazwać to, co włożył na stopy, przypominały skórzane podeszwy wyrzucone przez jakiegoś szewca.

- Czego chcecie? – zawołała.
- Ciebie – usłyszała w odpowiedzi.
- Dlaczego właśnie mnie?
- Dostaliśmy taki rozkaz.
- Od kogo?

Jeden z napastników zakręcił ostrzem sztyletu. Miał rude włosy, piegi i niegodziwe spojrzenie.

- Spróbuj się zbliżyć, a przypalę ci gębę – syknęła Charlotte.
- Nie ważcie się jej skrzywdzić. On chce ją dostać żywą – warknął herszt.
- Co za on? – krzyknęła Charlotte. Miała już dość tych sekretów.

Rudy podszedł bliżej i wyprowadził niezdarne pchnięcie. Chociaż Charlotte nie miała żadnego doświadczenia w używaniu szpady, bez większych problemów uniknęła ciosu. Zrobiła unik w bok i rozżarzoną prętem ukłuła go w uzbrojone ramię. Rudzielec zawył z bólu i upuścił broń. Tam, gdzie dosięgnął go rozpalony drąg, skóra przybrała purpurowy odcień.

Stali teraz naprzeciw paleniska. Charlotte naliczyła aż dziesięciu małych napastników. Gdyby zaatakowali ją wszyscy razem, musiałaby im ulec. Było ich za dużo, żeby mogła ich pokonać w pojedynkę. Mimo to nie zamierzała się poddać.

I właśnie wtedy sytuacja uległa zmianie na gorsze. Ktoś wszedł do zakładu. Charlotte dostrzegła postać, która zbliżała się pewnym krokiem, demonstrując złowieszcze opanowanie, jakby miejsce, w którym się znajdował ów mężczyzna, należało właśnie do niego.

Zatrzymał się kilka kroków przed nią. Był wysoki i miał długie czarne włosy, które nosił rozpuszczone, a także nad wyraz eleganckie odzienie w postaci czarnej szerokiej peleryny i czarnego fraka ze złotymi galonami. Na przystojnej twarzy widniał okrutny uśmiech, którego nieprzyjemne wrażenie potęgowały czerwone usta odsłaniające białe ostre zęby przypominające wilcze kły.

– Nareszcie mam przyjemność was poznać – rzucił ze śmiechem. – Widzę, że zachowujecie zimną krew. No tak, w końcu to tylko zwykłe wyrostki, chociaż uważajcie, bo głód czyni je agresywnymi. Jednakże sposób, w jaki się bronicie, zasługuje na szacunek.

– Kim jesteście?

– Kim jestem? – nieznajomy powtórzył pytanie. – Nie sądzę, że powinniście poznać odpowiedź, zwłaszcza że, moja droga, na nic się wam ona nie przyda, biorąc pod uwagę moje zamiary względem was...

– Co zamysławiacie?

Mężczyzna przysłonił usta dłonią i ziewnął na pokaz, jakby wszystkie te pytania okropnie go nudziły. Przekroczył krąg stworzony przez małych uliczników i zbliżył się do Charlotte.

– A teraz... – nacisnął guzik na lasce, wyzwalając błyszczące ostrze ukryte w jej wnętrzu – ...rzucicie ten wasz patyk i pójdziecie ze mną – powiedział, mierząc w szyję kobiety.

– W przeciwnym razie?

Nieznajomy westchnął, dając do zrozumienia, że Charlotte wystawia jego cierpliwość na poważną próbę.

– Okropnie marudzicie. Muszę jednak przyznać, że nie spodziewałem się oporu z waszej strony. A więc chcecie wiedzieć, co się stanie, jeśli nie posłuchacie? Będę musiał was skrzywdzić. Oto moja odpowiedź. A to ostatnia rzecz, na którą mam ochotę, biorąc pod uwagę wyjątkową urodę waszego oblicza, jak i zachęcający widok dekoltu.

– Jesteście zwykłym tchórzem! Udajecie chojraka, bo trzymacie w ręku broń.

– Nie zaprzeczam. Lubię mieć przewagę nad przeciwnikiem. Jednak dość już tej drętwej gadki, tracimy niepotrzebnie czas.

Charlotte zrozumiała, że nie ma co liczyć na cud. W desperackiej próbie obrony wymierzyła cios prętem, ale mężczyzna bez wysiłku sparował uderzenie, co więcej,

wytrącił jej z ręki broń, która upadła na podłogę w odległym kącie pomieszczenia. Przyłożył jej ostrze do szyi.

Kobieta otworzyła szeroko oczy z przerażenia.

– Nie mam pojęcia, co zamierzacie, ale jestem pewna, że przyjdzie wam drogo zapłacić za gwałt – szepnęła.

W następnej chwili mężczyzna ubrany na czarno uderzył ją pięścią w głowę.

Charlotte poczuła przeszywający ból i zemdląła.

Otoczyła ją ciemność.

– Ale z was zgraja nieudaczników! – ryknął Teufel. – Gdybym się nie pojawił, nic byście nie wskórali!

Moro nie odezwał się ani słowem.

– Teraz wiecie, co macie robić, czy nie? – rzucił przez zęby mężczyzna.

– Tak.

– To znaczy?

– Nie spuszczać z oczu malarza – odpowiedział chłopak.

– Świetnie. Jeśli nie zdołacie wypełnić przynajmniej tego zadania, to każę moim ludziom rozerwać was na strzępy! Jasne?

– Tak.

– Ja sam przewiozę nasz skarb na Wyspę Świętego Hadriana. A teraz zejdźcie mi z oczu – pożegnał oschle swoich pomocników.

Teufel nie zamierzał tracić na Murano więcej czasu, niż to było naprawdę konieczne. Wskoczył na łódź i rozkazał marynarzom, aby natychmiast wzięli się do wiosł. Przed nimi rozciągała się czarna laguna, a tumany gęstej mgły unosiły się nad wodą.

Wcześniej, korzystając z tego, że Charlotte była nieprzytomna, podał jej mocny środek nasenny. Będzie spała przez całą noc, a on przewiezie ją w miejsce, gdzie nikomu nie przyjdzie do głowy jej szukać. Zwłaszcza temu pomyłonemu artyście. Zadbał też o to, by usunąć Owena McSwineya z szeregów nowych adeptów stowarzyszenia. Od dawna podejrzewał go o związki z Canalettem, a teraz banda uliczników potwierdziła przyjacielskie relacje łączące obu mężczyzn. Nie zamierzał oczywiście informować smarkaczy o planach łoży. Do tej pory zachowywał się dość nieodpowiedzialnie. Jednak prawdę mówiąc, ta zbieranina sierot okazała się bardziej przydatna, niż podejrzewał. I chociaż w ostatniej akcji nie wykazali się skutecznością, to jako siatka informatorów nie mieli sobie równych.

Charlotte mu się podobała. Była piękną i odważną kobietą. Canaletto miał przynajmniej dobry gust. Szkoda było zabijać taką ślicznotkę. Niestety, nie miał wyjścia. W żadnym razie nie uda mu się wyrwać jej z rąk mordercy, który wymyślił

cały ten spektakl z lożą masońską, aby dać upust swojej niepohamowanej żądzy krwi. Szczęśliwym zbiegiem okoliczności lata spędzone w Anglii pomogły mu uwiarygodnić cały plan. Wieloletnie wysiłki nie poszły na marne, a ten szaleniec mógł bezkarnie zaspokajać swoje perwersyjne pragnienia. A poza tym obaj korzystali z brutalnej przemocy na rzecz wyższego celu, którym było przejęcie władzy nad miastem. Zamierzali tego dokonać, siejąc wokół terror i przerażenie. Nie wspominając o tym, że akces do loży wzmacniał opór tych wszystkich, którzy nienawidzili rządzących rodów. Przede wszystkim dożów i członków Rady Dziesięciu, którzy od dawna żyli w przekonaniu, że mogą robić w Wenecji, co im się żywnie podoba.

Jakkolwiek by na to patrzeć, udało mu się połączyć przyjemne z pożytecznym. Strach wywołany zbrodnią stał się doskonałym narzędziem zagrażającym istniejącemu porządkowi. A obrzydliwa żądza krwi mordercy z biegiem czasu z przeszkody zmieniała się w błogosławieństwo.

Przerzucenie winy na Żydów okazało się naprawdę mistrzowskim posunięciem. Pierwszym krokiem do celu było opłacenie kilku głupców, aby zaczęli rozpowszechniać pogłoski o naukach Szabetaja Cewiego. Natomiast podrzucenie do drukarni, w której pracował, kilku kopii morawskiej księgi było już ruchem wytrawnego gracza. I rzeczywiście, rabin będący wielbicielem słowa pisanego nie oparł się pokusie nabycia podejrzanego dzieła. Wystarczyła pobieżna lektura i już zapragnął zniszczyć wszystkie dostępne kopie. W ten sposób strach przed naukami Szabetaja Cewiego i Barucha Russa zaczął się rozprzestrzeniać niczym zaraza. Nie można nie doceniać siły sugestii.

Podczas gdy łódź przecinała ciemne wody laguny, Olaf Teufel rozkoszował się smakiem przewidywanego zwycięstwa swojej frakcji.

Ze swej kryjówki Colombina przyglądała się, jak Teufel odpływa po mulistych wodach. Po tym, co jej zrobił, przyrzekła sobie, że pewnego dnia się zemści. Jeszcze nie wiedziała jak, ale wiadomość, że nieprzytomna kobieta malarza została porwana na Wyspę Świętego Hadriana, wydawała jej się godna uwagi. Może będzie mogła ją wykorzystać, by zapewnić sobie pożądany odwet. Dobrze zrobiłam, że śledziłam moich dawnych towarzyszy – pomyślała.

Jeszcze przez jakiś czas tkwiła w ukryciu. Kiedy blask księżyca i gwiazd oświetlił jej postać, Teufel był już daleko. Dopiero wtedy poczuła się bezpieczna.

45. Zniknięcie

NIGDZIE NIE MÓGŁ ZNALEŹĆ CHARLOTTE. Wszystko wskazywało na to, że zniknęła.

W końcu, kiedy Antonio przybył do jej zakładu na Murano, przekonał się, że coś jest nie tak.

Ktoś wyważył drzwi, ale w środku panował względny porządek i nie sposób było się domyślić, co się wydarzyło. Jedynie kilka prętów leżało gdzie indziej niż zwykle, a całe pomieszczenie sprawiało wrażenie opuszczonego. Palenisko wygasło. Gdyby nie miał wyrzutów sumienia, Canaletto pomyślałby, że kobieta po prostu odeszła.

Tymczasem jakiś głos mówił mu, że stało się coś złego.

Dalsze poszukiwania jedynie potwierdziły wcześniejsze przecucia. Nie znalazł jej w domu w Wenecji, a ojciec też jej ostatnio nie widział. Mieszkanie w Murano stało puste. W bogatej rezydencji znajdującej się w pobliżu zakładu zastał jedynie pokojówkę, która twierdziła, że nie widziała pani od trzech dni. Była nieco przestraszona, że Charlotte nie wróciła do domu. Wcześniej też się zdarzało, że jakieś pilne zamówienie zatrzymało ją w zakładzie, ale nigdy na tak długo.

Wątpliwości szybko przerodziły się w dręczącą pewność. Choć nie miał żadnych dowodów, był przekonany, że kobieta została porwana przez typa, który go śledził, lub przez innego niegodziwca. Kto się kryje za jej zniknięciem? Dlaczego to zrobił? Co jej grozi? Może chcą wyciągnąć od niej informacje na mój temat? – zastanawiał się. Na samą myśl, że ukochanej zagraża niebezpieczeństwo, poczuł rozpacz. I złość. Jeśli choć włos spadnie jej z głowy, pożałują, że się urodzili!

Postanowił na razie nie informować o niczym ojca dziewczyny, bo co miałyby mu powiedzieć? Skończył się czas rozważań i dyskusji. Należało działać. Tylko że nie miał pojęcia, co robić i gdzie się udać. Wiedział jedynie, że każda zwłoka może się okazać tragiczna w skutkach. Jeśli jak podejrzewał, Charlotte została porwana, to może jej grozić poważne niebezpieczeństwo. Kiedy o tym myślał, wyobraził sobie, że może nawet już nie żyje.

Antonio poczuł, jak ogrania go zimne przerażenie. Zdał sobie sprawę, że w ostatnim czasie zaniechał ostrożności, narażając kobietę na niebezpieczeństwo. I chociaż ona zaakceptowała ryzyko, to teraz nie mógł sobie wybaczyć lekkomyślności. Poza tym stracił już dwa dni na bezskuteczne poszukiwania. Czas mijał, a prawdopodobieństwo, że wydarzyło się coś złego, rosło z każdą chwilą.

Miał wrażenie, że zaraz zwariuje. Choć łamał sobie głowę, by znaleźć rozwiązanie, na razie niczego sensownego nie wymyślił. Nie miał przecież żadnych dowodów. No, może poza symbolem bogini Sechmet wyciętym na ramionach zamordowanych brutalnie dziewcząt i ich domniemanego zabójcy. Symbolem, który zdobi też ściany tajemniczej sali spotkań loży masonskiej.

Być może powinienem wrócić do salonu Cornelia Zane? Ale jak się tam dostać? Chyba jedynie w towarzystwie McSwineya? Czego, do diabła, powinienem szukać?

Nagle znalazł się przed własnym domem. Był tak pogrążony w myślach, że nawet nie zauważył, kiedy pokonał całą drogę. Wspinając się po schodach prowadzących do pracowni, poczuł rosnącą obawę w sercu, jakby właśnie wypił zatrutą zawartość kielicha. Dręczyła go trwoga o ukochaną kobietę. Usiadł przy stole i w napadzie złości gwałtownym ruchem zmiotł wszystko, co się na nim znajdowało: szkice, ołówki, pióra, farby i pędzle wylądowały na podłodze. Był tak wyczerpany, że marzył tylko o tym, by zasnąć. Chciał w ten sposób odsunąć od siebie uporczywy ból głowy i przestać myśleć o tragedii, którą mimowolnie sprowokował.

Co ze mnie za tchórz! No pewnie, najłatwiej nie myśleć o problemach. Świetny pomysł! Jak coś takiego mogło w ogóle przyjść mi do głowy! Podczas gdy ja tu sobie dywaguję, Charlotte przebywa w rękach złoczyńców!

W jednej chwili postanowił, że natychmiast musi się spotkać z przyjacielem. Rozmowa przyniesie ulgę, a przede wszystkim spróbują wspólnie znaleźć jakieś sensowne rozwiązanie.

Narzucił pelerynę i szybko zszedł po schodach.

Po chwili ponownie znalazł się na ulicy.

Mężczyzna, który ją porwał, zniknął. Nie było też tych małych urwisów, które nie wiadomo skąd pojawiły się w jej zakładzie. Teraz znajdowała się w ciasnej, zimnej celi o kamiennych ścianach, przypominającej wykutą w skale grootę. Na zewnątrz panowały ciemności. Domyśliła się, że jest noc, ponieważ w jednej ze ścian mieścił się wąski otwór zabezpieczony żelaznymi prętami. To przez niego do środka wpadało świeże powietrze.

Zajęło jej to trochę czasu, ale wreszcie udało jej się wstać. Czuła się osłabiona i oszołomiona. Jak po zażyciu substancji halucynogennych. Szczęka rwała ją tak mocno, jakby ściśnięto ją w imadle. Przypomniła sobie cios zadany przez mężczyznę o czarnych włosach. Jego diaboliczny uśmiech i elegancję zupełnie nieprzystającą do prostackiego zachowania będącego mieszkanką tchórzostwa i arogancji.

Charlotte nie przypominała sobie, aby spotkała go kiedykolwiek wcześniej. Czego mógł od niej chcieć? Czyżby porwanie miało związek z sytuacją, o jakiej wspominał jej Antonio?

Nie zdążyła się nad tym głębiej zastanowić, gdyż w tej samej chwili jakiś mężczyzna zbliżył się do kraty w prowizorycznych drzwiach. Wyglądał na olbrzyma, a jego postura i odzienie wskazywały, że jest żołnierzem. Na pierwszy rzut oka nie prezentował się jak typowy Wenecjanin: nosił długie wąsy, a głowę miał starannie wygoloną. Z wysokiego buta wystawał mu sztylet, a przy boku miał przypiętą szpadę o rękojeści w postaci koszyczka z ażurową osłoną. Charlotte zadrżała ze strachu.

Mężczyzna włożył klucz do zamka i przekręcił. Mechanizm zazgrzytał, krata się otworzyła, a on wszedł do celi i bez zbędnych ceregieli postawił na zniszczonym stole talerz z zimnym pasztetem. Obok umieścił dzbanek z wodą i kryształowy kielich.

– To dla was – powiedział.

– Dlaczego mnie tu zamknęliście? – zapytała Charlotte.

Mężczyzna nie odpowiedział. Zamknął kratę i zniknął tak samo bezszelestnie, jak się pojawił.

Znowu zapadła całkowita cisza, która spotęgowała przerażenie kobiety. Od kiedy znalazła się w rękach długowłosego mężczyzny, nie przestawała zastanawiać się nad tym, co ją czeka. I ciągle jeszcze nie знаła odpowiedzi. Jeśli wcześniej żywiła odrobinę nadziei, że zdoła uciec z więzienia, to teraz, po tym, jak zobaczyła swojego strażnika, zupełnie ją straciła.

Nagle poczuła przenikliwy chłód. Wzięła z pryczy koc i narzuciła sobie na ramiona. Usiadłszy przy stole, zaczęła jeść, zastanawiając się jednocześnie nad swoim losem.

46. Powrót do początków

PO ROZMOWIE Z PRZYJACIELEM ANTONIO utwierdził się w przekonaniu, że aby odnaleźć Charlotte, musi zacząć wszystko od początku. Od czego rozpoczęło się to nieszczęsne śledztwo? Od zlecenia dotyczącego odkrycia, gdzie i z kim zabawia się Kulawy. W konsekwencji trafił do salonu Cornellii Zane, a potem jeden po drugim odsłaniał kolejne elementy układanki.

Dowiedzieli się, że najśłynniejszy w mieście przybytek uciech odwiedzają ludzie pełniący ważne funkcje w szeregach władzy. Podejrzewali też, że ktoś przejrzał ich zamiary i śledzi każdy ich krok. McSwiney wyznał, że po ceremonii inicjacyjnej Teufel już więcej nie zaprosił go do udziału w spotkaniach, co wzbudziło jego podejrzliwość. Oznaczało to bez wątpienia, że został wykluczony z wąskiego kręgu wtajemniczonych.

Nie mógł zdobyć żadnych informacji o działaniach członków loży. Męczył się okropnie, próbując sobie wyobrazić, gdzie znajduje się przejście prowadzące do salonu, w którym masoni przygotowują swoje plany. Może warto by sprawdzić przyległy budynek? Jednak nie mając pewności, narażają się tylko na niepotrzebne ryzyko. Przecież nikt nie da im prawa do przeszukania prywatnej własności, wpakują się tylko w jeszcze większe kłopoty. McSwiney zachował co prawda glejt na okaziciela podpisany przez dożę, ale nie byli aż tak naiwni, by wierzyć, że dokument otworzy im drzwi do pałacu. Przydał się do zastraszenia grabarza niemow, ale na pewno nie wystarczy, by bezkarnie węszyć na terenie posiadłości jednej z najpopularniejszych kurtyzan w mieście, zwłaszcza gdy prowadzi ona legalną i opodatkowaną działalność.

Dlatego też poniekąd z bezsilności, a poniekąd z przekonania Antonio i Owen ponownie zaczęli śledzić trzech kawalerów wskazanych swego czasu przez dożę. Tym razem jednak udoskonalili metody działania. Antonio zaczął się na nich przy szpitalu żebraków i jak tylko się pojawili, ruszył ich śladem, tak jak to czynił w przeszłości. Spróbował nawet nieco się do nich zbliżyć, uważając oczywiście, by nie wzbudzać podejrzeń. Chciał po prostu usłyszeć, o czym mężczyźni rozmawiają po drodze. Wieczór był pogodny, choć chłodny, a niebo rozświetlało tysiące gwiazd. Niestety szczęście mu nie sprzyjało, gdyż nie zdołał się dowiedzieć niczego użytecznego. Druga część planu przewidywała jednak, że McSwiney ukryje się w niszy pod arkadami naprzeciwko pałacu należącego do Cornellii Zane i spróbuje ich podsłuchać, kiedy znajdą się w pobliżu.

Wreszcie trzech przyjaciele znaleźli się na ulicy Cavalli. Skulony w swej kryjówce Irlandczyk przyglądał im się uważnie, nadstawiając uszu.

– Ekscelencjo, mam nadzieję, że dziś będziecie się dobrze bawić – powiedział Kulawy.

– Postaram się – odrzekł mężczyzna idący po jego prawej stronie.

Był wysoki, miał szerokie ramiona i twarz zakrytą białą maską. Nosił czarną pelerynę oraz trikorn w tym samym kolorze. Prezentował się naprawdę okazale.

Trzeci kawaler początkowo zachowywał milczenie. Również on miał zasłonięte oblicze. W pewnej chwili zakaszłał nerwowo, po czym upomniał Kulawego:

– Uważajcie na słowa – syknął – to miasto ma uszy. – Rozejrzał się wokoło, jakby przeczuwał czyjąś obecność.

McSwiney poczuł nieprzyjemny dreszcz na plecach, ale nie ruszył się ze swego miejsca z nadzieją, że usłyszy jeszcze coś ciekawego. Niestety musiał zadowolić się złorzeczeniem ze strony Kulawego. Trzej mężczyźni poczekali, aż odźwierny im otworzy, rzucili hasło i weszli do środka.

Po jakimś czasie przy wejściu do pałacu pojawił się Antonio i wtedy Irlandczyk opuścił swoją kryjówkę. Razem podążyli ulicą Cavalli i zatrzymali się dopiero przy skrzyżowaniu z Salizada San Luca. Mieli teraz trochę czasu, aby się zastanowić, co dalej.

Owen natychmiast poinformował przyjaciela o tym, co zdołał usłyszeć.

– Kulawy zwrócił się do tego wyższego per „ekscelencjo” – wypalił.

– Naprawdę? – zdziwił się Antonio.

McSwiney pokiwał głową, po czym dodał:

– Nie wyglądało to na żart, jeśli to chcieliście zasugerować. Wprost przeciwnie. Zresztą specyficzny strój postawnego mężczyzny w postaci czarnej peleryny w połączeniu z białą maską coś mi przypomina.

– Co takiego?

– Powiem wam, choć nie mam pewności. Jego postawa, wygląd i sposób poruszania się typowy dla wojskowych... Według mnie to jakiś oficer lub dowódca.

Antonio otworzył szeroko oczy ze zdumienia.

– Jeden z dowódców nocnej straży?

Irlandczyk się uśmiechnął.

– Właśnie o tym pomyślałem. Rozumiemy się bez słów. Dlaczego miejsce, w którym uprawia się hazard i zachęca do uciech cielesnych, nigdy nie znalazło się na celowniku władz? Oczywiście Cornelia Zane działa legalnie i posiada odpowiednie zezwolenia, wiem o tym. Czy to jednak możliwe, że nigdy nie pojawiły się żadne podejrzenia co do odbywających się tam praktyk? Nie przeprowadzono żadnej

kontroli? Coś mi tu nie pasuje. Czy to nie cud, że nie wyszła na jaw nawet tak delikatna sprawa jak powołanie nowej loży masońskiej?

– Pewnie nikt z zainteresowanych nie zyskałby na rozpowszechnianiu tych informacji. Większość z członków należy przecież do najzaciejszych rodów Wenecji.

– To prawda, ale gdyby dowódca nocnej straży z dzielnicy Castello naprawdę odwiedzał salon, z pewnością zagwarantowałby Cornelii nietykalność i nakazał swoim ludziom omijać jej przybytek szerokim łukiem. Nie sądzicie?

Canaletto przytaknął, bo rozumowanie przyjaciela było ze wszech miar logiczne.

– Co proponujecie?

– Zrobimy tak: zaczekamy, aż nasze trzy gołąbki wyfruną z klatki albo aż pojawi się przynajmniej ten, który najbardziej nas interesuje. Pójdziemy za nim i zobaczymy, gdzie się uda. Jeśli moje przypuszczenia są słuszne, nasz podejrzany nie ma zbyt dużo czasu na rozrywki i wkrótce będzie musiał wrócić do swych zajęć czy raczej do swych podwładnych.

– Macie rację.

– Ruszam więc do mojej kryjówki i poczekam, aż wyjdzie.

– A ja?

– Powinniście wrócić do domu. Ja do was dołączę.

– W porządku. Będę czuwał.

– Liczę, że otworzycie mi o każdej porze.

– Oczywiście, bądźcie spokojni – zapewnił przyjaciela Canaletto.

– A więc do zobaczenia.

– Do zobaczenia i uważajcie na siebie.

47. Skrucha

CHIARA WRESZCIE MOGŁA wstać z łóżka. Czuła się o wiele lepiej. Zostały jej blizny po ospie, tak jak powiedział Isaac Liebermann, ale najważniejsze, że wyzdrowiała. Minęły już dwa dni, jak wrócił jej apetyt i zaczęła nabierać sił. Medyk zadbał, by dostarczono im drewno na opał i w skromnym mieszkaniu panowało przyjemne ciepło.

Za pieniądze pozostawione przez doktora Viola mogła kupić nawet trochę mięsa. Teraz miała zapasy żywności na cały miesiąc. Kobieta przygotowywała posiłki z ogromną radością, której już od dawna nie miała okazji doświadczyć.

Gościła w domu przyjaciółkę córki, sierotę z dzielnicy Castello. Viola nie wiedziała o niej zbyt wiele poza tym, że okazywała dziwną skłonność do gołębi, które tresowała. Byłaby bardzo ładna, gdyby ją umyć i uczesać. Jednak Viola wiedziała, że w Wenecji nie każdy może pozwolić sobie na podobne luksusy, zwłaszcza gdy jest sierotą, jak stojąca przed nią dziewczyna. Poza tym nie miała najmniejszego zamiaru przypominać jej o trudach życia w momencie, gdy sama po wielu cierpieniach dostała wreszcie szansę na pomoc.

Przecież jedynie dzięki zainteresowaniu medyka miała teraz zastawiony stół, ciepły pokój i wełniane odzienie. Czuła się szczęśliwa i chciała podzielić się z kimś swoim niespodziewanym dobrobytem. Dlatego też zwróciła się do dziewczyny z propozycją:

– Colombino, czy mogłabym ci umyć włosy? – Widząc zaskoczony wzrok dziewczyny, która nie wiedziała, co odpowiedzieć, dodała: – Zgadzasz się, prawda?

Nie zwlekając, ujęła ją za rękę. Nagrzała wody i razem z Chiarą zabrały Colombine do małego pomieszczenia służącego im jako łazienka. Wśród wielu drobiazgów, które Viola zakupiła, była też kostka mydła z Aleppo. Polała włosy dziewczyny ciepłą wodą z dzbanka, a w reszcie namoczyła mydło, aż wytworzyła się piana, przy pomocy której masowała delikatnie jej głowę. Trwało dobrą chwilę, zanim osiągnęła pożądany rezultat. Sięgnęła po drugi dzbanek z ciepłą wodą i starannie spłukała włosy, po czym dała Colombine kawałek płótna, żeby je wytarła. Posadziła dziewczynę przy kominku, by przyspieszyć suszenie.

W tym samym czasie Chiara przyniosła kościany grzebień i delikatnie zaczęła rozczesywać splecione kosmyki przyjaciółki, które dopiero teraz ukazały swą naturalną kasztanową barwę o intensywnym, lśniącym odcieniu.

Colombina nie ukrywała zachwytu. Siedziała spokojnie i w skupieniu przyjmowała uwagę, której do tej pory nikt jej nie okazał. Viola patrzyła na nią z uśmiechem.

– Jesteś śliczna – powiedziała.

– To prawda – dodała Chiara. – Nigdy nie widziałam takich błyszczących włosów.

– Dziękuję – szepnęła Colombina, jakby się obawiała, że czar pryśnie.

Obie dziewczynki siedziały przy kominku, jedna czekała, aż wyschną jej umyte i uczesane włosy, a druga wpatrywała się w czerwone języki ognia.

Nie wiedziały, ile czasu upłynęło, gdy nagle ktoś zapukał do drzwi, a po chwili w pokoju pojawił się Isaac Liebermann. Chiara bez zastanowienia podbiegła do medyka, a on objął ją niczym własną córkę.

Viola patrzyła na mężczyznę jak na bohatera z antycznych legend. Dla niej rzeczywiście był kimś wyjątkowym, człowiekiem, który odmienił jej życie.

Isaac od razu zainteresował się stanem zdrowia Chiary.

– Jak się czujesz? Sądząc po rumieńcach na twarzy, powiedziałbym, że znacznie lepiej – stwierdził i uszczypnął ją w policzek. Dziewczynka zachichotała. – Przyniosłem ci prezent – ciągnął medyk, podając jej śliczną wełnianą pelerynę. – Przymierz, zobaczymy, czy pasuje – zachęcił.

Dziewczynka z radością założyła pelerynkę i spojrzała pytająco na matkę.

Viola poprawiła fałdy narzuty i spięła ją z przodu zapinką, którą podał jej Isaac.

– Leży jak ulał – powiedziała.

– Jest taka mięciutka – szepnęła Chiara – i ciepła.

– Gdybym wiedział, że cię tu zastanę, przyniosłbym ci jakiś prezent – medyk zwrócił się tymczasem do drugiej dziewczynki, która stała przy kominku, sprawdzając, czy umyte niedawno włosy już wyschły. Była naprawdę ładna, choć miała na sobie jedynie łachmany udające sukienkę. – Jak masz na imię? – zapytał.

– Colombina.

– Zapraszam do stołu – odezwała się tymczasem Viola.

Gdy tylko zajęli miejsca, Isaac poprosił o wodę do obmycia rąk. Viola była przygotowana i podała mu małą miszkę, na tyle głęboką, że mogła doskonale spełnić zadanie. Nalała wody. Przed dokonaniem zwyczajowej ablucji Isaac półgłosem zaczął się modlić, a kobiety instynktownie przymknęły oczy w oczekiwaniu, aż skończy. Choć nie były Żydówkami, rozumiały znaczenie tego aktu.

Kiedy Isaac odmówił dziękczynienie, Viola nalała wszystkim zupełną faszolową, która była gęsta, a przy tym pachniała zachęcająco. Isaac napił się wody i powiedział:

– Miałem okazję poznać najsłynniejszego weneckiego malarza.

W jego głosie zabrzmiała duma, gdyż wiedział, że zrobi wrażenie na słuchaczkach, a poza tym naprawdę cieszył się z tej znajomości pomimo okoliczności, jakie jej

towarzyszyły.

– Jak on się nazywa? – zapytała zaskoczona Chiara.

– Antonio Canal, zwany też Canalettem – odpowiedział Isaac, pochylając lekko głowę. Jego pejsy zakołysały się nieznacznie.

Na dźwięk tego imienia Colombina spochmurniała. Przypomniała sobie, co zrobiła. Nie jemu osobiście, lecz kobiecie, która darzyła go uczuciem. Poczła żal, że właśnie w domu przyjaciółki wspomniano o osobie, do której nieszczęścia się przyczyniła. A przecież matka Chiary była dla niej taka miła.

Viola dostrzegła wzburzenie dziewczyny.

– Co się stało, Colombino? – zapytała.

Ta pokręciła głową, ale jednocześnie poczuła, że się czerwieni. Miała wrażenie, że wszyscy wiedzą o jej występku i zamierzają ją teraz oskarżyć. Im dłużej o tym myślała, tym szybciej rosło w niej poczucie winy.

– To naprawdę wspaniały człowiek – podjął tymczasem Isaac Liebermann. – I nie chodzi mi jedynie o jego wyjątkowy talent artystyczny. Ma przy tym wielkie serce i kieruje się w życiu zdrowymi zasadami i wartościami, a same przyznacie, że to w naszych nędznych czasach rzadkość. Poza tym łączy nas przywiązanie do pewnej osoby.

– Kogo macie na myśli? – zapytała zaciekawiona Viola.

– Córkę feldmarszałka hrabiego Johanna Matthiasa von der Schulenburga, bohatera bitwy o Korfu.

– Ach tak, to szlachetnie urodzona dama – skomentowała Viola.

Colombina wyczuła w jej głosie nutę gorczy.

– Tak, a mimo to prowadzi swój własny zakład, gdzie wytapia szkło. Na wyspie Murano. Chciałem uratować jej mistrza i współpracownika, ale nic nie mogłem zrobić. Zabrała go czarna ospa.

Ostatnie słowa przelały czarę gorczy. Viola zaczęła pocieszać medyka, mówiąc, że nie powinien czuć się odpowiedzialny za konsekwencje zarazy, bo nie wszystko od niego zależy i czasami nic nie można poradzić na zło, które nas otacza. W pewnym momencie przerwała jej Colombina, która nie zdołała powstrzymać słów cisnących jej się na usta. Popłynęły wartko jakby wbrew jej woli.

– Ja ją znam – rzuciła.

– Co takiego? – zapytała Chiara, a wszyscy spojrzeli na dziewczynę z zaciekawieniem.

– Znam tę kobietę – powtórzyła.

– Aha... – wykrztusił medyk.

– Ona została porwana.

Isaac otworzył usta ze zdziwienia, a łyżka wypadła mu z ręki i uderzyła o dno miseczki. Jednak bardzo szybko otrząsnął się z zaskoczenia i zapytał:

– Skąd o tym wiesz?

Colombina wybuchnęła płaczem.

– Ja nie chciałam – wyjąkała wśród łez – naprawdę nie chciałam. To nie moja wina.

Widząc, jak bardzo jest poruszona, Chiara objęła przyjaciółkę i zapewniła czule:

– Nie płacz, opowiedz nam wszystko, a zobaczysz, że znajdziemy jakieś rozwiązanie.

Colombina nie zdołała odpowiedzieć od razu, bo najpierw musiała się wypłakać. Czując, że łzy przynoszą ulgę jej obciążonemu winą sercu, i z każdą chwilą nabierała otuchy i wiary, że wszystko można jeszcze naprawić. Kiedy oczyszczająca moc płaczu zrobiła swoje, dziewczyna popatrzała na Chiare, na Violę, a w końcu i na Isaaca. A potem opowiedziała im, co się wydarzyło.

– Pewien mężczyzna, wcielony diabeł, zmusił mnie do śledzenia tej kobiety. Miałam się dowiedzieć, kim ona jest i gdzie pracuje – zaczęła słabym głosem. – Odkryłam, że jest związana z Antoniem Canalem. Znalazłam jej zakład na wyspie Murano. W końcu zostałam pobita do krwi i musiałam wyznać mu, czego się dowiedziałam, choć zdawałam sobie sprawę, że wystawiam ją na niebezpieczeństwo. Ten podły typ, Teufel, nie przestawał się nade mną znęcać, dopóki wszystkiego nie wyjawiałam. Ma długie czarne włosy i naprawdę przypomina diabła, wierzcie mi! Nie wiem, skąd pochodzi, ale niszczy wszystko, czego się dotknie – ciągnęła swą opowieść Colombina. – Postanowiłam sobie, że mu nie daruję. Śledziłam go i widziałam, jak wsiada na łódkę, niosąc nieprzytomną kobietę. Słyszałam, że popłynęli na cmentarz na Wyspę Świętego Hadriana – wyrzuciła z siebie, po czym zamilkła.

– Colombino – powiedział Isaac, po czym wstał i sięgnął po swój wielki filcowy kapelusz – chodź ze mną. Musimy natychmiast udać się do pana Canala. Powtórzysz mu wszystko, co nam opowiedziałaś. Może zdołamy uratować Charlotte.

48. W poszukiwaniu rozwiązania

WYPRAWA OWENA MCSWINEYA przyniosła pożądane rezultaty. Dowódca nocnej straży z dzielnicy Castello okazał się częstym gościem salonu Cornellii Zane. Niedługo po tym, jak Antonio wrócił do domu, wysoki urzędnik ponownie pojawił się na progu przybytku rozkoszy, by po chwili zniknąć w mroku nocy. Na placu Świętych Jana i Pawła spotkał się ze swoimi podwładnymi i poprzedzany przez dwóch strażników skierował się w stronę podrzędnego burdelu o wątpliwej reputacji działającego w jednej z uliczek niedaleko Arsenалу.

McSwiney wszedł do lokalu, udając klienta gospody. Z góry dobiegły go krzyki jednej z prostytutek. Okazało się, że jakiś pijany marynarz oszpecił ją podczas kłótni, i teraz dowódca nocnej straży kopniakami zrzucił go ze schodów. Nie tylko nałożył karę pieniężną w ramach odszkodowania dla kobiety i jej alfonsa, ale zadbał też o to, by damski bokser został zakuty w kajdany i odstawiony pod eskortą do Pałacu Dożów.

Na pozór dowódcy nic nie można było zarzucić, gdyż przykładowo wykonywał swoje obowiązki, jednak z drugiej strony nie ulegało wątpliwości, że wykorzystując swą pozycję, chroni Cornelię Zane i jej partnera z piekła rodem choćby poprzez sam fakt, że zapewnia im spokój w zamian za możliwość korzystania z uciech i rozrywek oferowanych w salonie.

Pozostawało pytanie, jak sprawić, by przedstawiciele władzy odkryli miejsce spotkań loży masońskiej znajdujące się w pałacu kurtyzany. Z pewnością nie można było liczyć w tej sprawie na dowódcę nocnej straży, skoro łączyły go tak dobre stosunki z właścicielką. A wszystko wskazywało na to, że także wspólne interesy.

Tymczasem Antonio myślał jedynie o podjęciu konkretnych działań na rzecz uwolnienia ukochanej.

– Jestem pewny, że trzymają Charlotte w pałacu Cornellii, może właśnie w tym tajemniczym pomieszczeniu, gdzie odbywają się spotkania loży masońskiej – powiedział łamiącym się głosem.

– To bardzo prawdopodobne, drogi przyjacielu, ale co możemy zrobić?

– Porozmawiam z dożą.

– Co zamierzasz osiągnąć?

– Poproszę go, żeby kazał kapitanowi nocnej straży przesłuchać swojego podwładnego. A może główny inkwizytor mógłby się podjąć tego zadania?

– Będziesz musiał przedstawić jakieś dowody.

- Obaj będziemy świadczyć.
- I to wystarczy? – zapytał z niedowierzaniem McSwiney.
- Musi wystarczyć!
- Zdajesz sobie sprawę z tego, na co się porywasz?
- Oczywiście.

– A więc posłuchaj: czy naprawdę sądzisz, że wysoki urzędnik w randze dzielnicowego dowódcy nocnej straży może zostać oskarżony o niedopełnienie obowiązków na podstawie oświadczenia weneckiego artysty i irlandzkiego banity?

Antonio potrząsnął głową. Rozumowanie przyjaciela było nie do podważenia. Co robić? Czy istnieje jakieś inne rozwiązanie? On go nie widział, czuł jedynie, że każda chwila zwłoki naraża Charlotte na coraz większe niebezpieczeństwo. Problem polegał na tym, że nie dysponowali żadnymi konkretnymi dowodami. Mogli powiedzieć doży, że wszystkie ofiary miały wycięty na ciele symbol przedstawiający egipską boginię, ale jak udowodnić prawdziwość własnych słów? Należałoby zmusić dowódcę nocnej straży do mówienia. Tylko w jaki sposób? Grożąc mu wywołaniem skandalu? Zdawał sobie sprawę, że nie ma czasu na subtelności i podchody. Nie, nie mogli liczyć na pomoc dowódcy. Ta droga prowadziła w ślepy zaułek. Postanowił, że przekona dożę, który zresztą sam na początku zlecił mu śledzenie wpływowego kawalera, aby teraz przekazał sprawę do innego okręgu lub poprosił o pomoc Czerwonego Inkwizytora.

– Musimy opowiedzieć Jego Dostojności o naszych odkryciach.

– W porządku, ale o czym konkretnie?

– O znakach wyciętych na skórze ofiar, o trupach, o sali ozdobionej niczym jakaś pogańska świątynia, o wizytach dowódcy nocnej straży w przybytku Cornellii Zane, o waszej inicjacji w łoży... Jednym słowem: o wszystkim.

– Nigdy nam nie uwierzy.

– Być może. Ale przynajmniej zleci urzędnikowi odpowiedzialnemu za porządek publiczny dokładną kontrolę miejsca, które dwaj szanowani obywatele miasta wskażą jako siedzibę łoży masońskiej.

– Nawet jeśli macie rację, to skąd pewność, że znajdziemy tam córkę marszałka von der Schulenburga?

Kiedy McSwiney zadawał ostatnie pytanie, coś przerwało rozmowę. Przyjaciele usłyszeli hałas na zewnątrz, a chwilę potem drzwi otworzyły się na oścież.

– Muszę natychmiast porozmawiać z panem Canalem – rzucił Isaac Liebermann w stronę kamerdynera i wszedł do gabinetu, ciągnąc za sobą śliczną dziewczynę w łachmanach, która mogła mieć czternaście lub piętnaście lat.

Antonio i Owen zdziwili się niepomieranie, widząc nietypowe zachowanie medyka.

Ten od razu zauważył ich osłupienie, więc dodał pośpiesznie:

– To sprawa najwyższej wagi.

Canaletto natychmiast odprawił Alvisa i bez słowa wskazał doktorowi wolne krzesło. Poproszony o wyjaśnienia Isaac nie zamierzał tracić czasu.

– Moja towarzyszka ma na imię Colombina i jest przyjaciółką małej pacjentki, którą leczyłem w ciągu ostatnich tygodni i która na szczęście wyzdrowiała. Wie, gdzie znajduje się porwana Charlotte von der Schulenburg.

Usłyszawszy ostatnie słowa, Antonio skoczył na równe nogi.

– Gdzie? – zawołał z niecierpliwością.

– Na cmentarzu weneckim na Wyspie Świętego Hadriana – odpowiedziała Colombina.

– Czy... – Canaletto się zawahał, jakby bał się wyrazić na głos swoje myśli.

– Kiedy dziewczyna widziała ją po raz ostatni, Charlotte żyła – zapewnił szybko Isaac Liebermann.

– To znaczy kiedy? – drążył Antonio.

– To było dwa dni temu. Nocą – uściśliła Colombina.

– Do dzieła! – zawołał Owen McSwiney. – Nie mamy ani chwili do stracenia! Kto ją tam zabrał?

– Mężczyzna podobny do diabła. Nazywa się Teufel.

– Olaf Teufel! – krzyknął Antonio i zabrzmiało to jak przekleństwo.

– Tak.

– Na pewno ma pomocników – dodała dziewczyna.

– W porządku – zdecydował Canaletto, narzucając pelerynę na ramiona. – Zrobimy tak: pójdziemy teraz do doży i opowiemy mu wszystko, czego się dowiedzieliśmy. Poproszę o eskortę wojskową w postaci kilku żołnierzy. W ten sposób zaskoczymy Teufła i pokonamy jego sługusów niezależnie od tego, ilu ich jest.

49. Przekonywanie doży

– NIE MOŻEMY DŁUŻEJ ZWLEKAĆ, Wasza Dostojność. Każda upływająca chwila oznacza zbliżającą się śmierć Charlotte von der Schulenburg.

– Obiecuje, że nie będę się wahał, chcę tylko dobrze zrozumieć wasz plan. Mówicie, że ten Teufel stoi na czele łoży masońskiej i zamierza zburzyć równowagę w Wenecji oraz sprawić, by w mieście zapanował chaos. Zresztą już mu się to udało. Nie rozumiem tylko, po co wam eskorta zbrojnych? Czy nie wystarczy zwrócić się do kapitana nocnej straży? – zapytał Alvise Sebastiano Mocenigo.

– Niestety nie, bo dowódca nocnej straży z dzielnicy Castello jest zamieszany w sprawę jako stały bywalec salonu Cornelia Zane. Możemy zaświadczyć o tym razem z obecnym tu panem McSwineyem i obawiamy się, że kapitan jest co najmniej winien zaniedbania, gdyż nie kontroluje pracy swojego podwładnego, by nie powiedzieć, że jest z nim w zмовie.

– To poważne oskarżenie, panie Canal.

– Przecież to właśnie on uznał zabójstwo młodego Shimona Luzzatta za lincz na mordercy, chociaż nieszczęsny chłopak był jedynie kolejną ofiarą. Isaac Liebermann, medyk, który ukończył studia na uniwersytecie w Padwie, jest tutaj ze mną i może potwierdzić moje słowa – ciągnął Canaletto i korzystając z okazji, przedstawił towarzysza.

– Aha – mruknął doża. – To świadek, który utrzymywał, że widział mordercę chłopaka, jeśli dobrze pamiętam? Słucham was – zwrócił się bezpośrednio do lekarza, przyglądając mu się uważnie.

– Wasza Dostojność, potwierdzam wszystko, co powiedział pan Canal.

– Nie ma czasu do stracenia – nie przestawał nalegać Antonio.

– W takim razie muszę wam zaufać. Kapitanie! – zagrmiał Alvise Sebastiano Mocenigo.

Chwilę później do apartamentu doży wszedł kapitan gwardii.

– Kapitanie – zwrócił się do niego władca – wezwijcie natychmiast Marca Sagreda i rozkażcie mu, aby w ciągu godziny stawił się wraz ze swoimi ludźmi na placu Świętego Marka. Będzie zapewniał ochronę panu Canalowi i jego przyjaciółom podczas wyprawy na cmentarz.

– Wasza Dostojność ma na myśli ossarium Świętego Hadriana?

– Właśnie tak.

– Czy mogę się teraz oddalić, aby wykonać rozkaz? – zapytał kapitan, zmierzając do wyjścia.

– Nie ma takiej potrzeby – usłyszeli nagle męski głos i w kolejnej sekundzie na progu apartamentu stanął feldmarszałek Johann Matthias von der Schulenburg.

– Ach! – zawołał doża. – To ci dopiero niespodzianka!

Nieszczęsny Canaletto stał teraz jak słup soli. Artysta cały czas miał nadzieję, że nie trzeba będzie niepokoić starego bohatera z Korfu.

– Wasza Dostojność, moja córka zniknęła i muszę ją odnaleźć. Jestem do dyspozycji.

– Macie całkowitą rację. – Doża od razu zgodził się z wojskowym.

– Panie Canal – zwrócił się do Antonia feldmarszałek – sądzę, że winniście mi wytłumaczenie.

– Ekscelencjo... – wyjąkał Canaletto.

Nie zdążył dodać nic więcej, bo wojskowy przerwał mu stanowczym głosem.

– Nie teraz. Przyjdzie na to czas. Aha, chciałem was poinformować, że dwunastu muszkieterów czeka na nas na placu Świętego Marka.

– Rozumiem, że o wszystkim pomyśleliście – powiedział doża.

– Oczywiście – odpowiedział feldmarszałek z nutą satysfakcji w głosie, po czym spojrzał na McSwineya, Liebermanna i dziewczynę. – A wy kim jesteście?

– Przyjaciółmi pana Canala – oświadczył Irlandczyk bez chwili wahania.

– Nie wiem, czy Colombina... – Antonio chciał zaprotestować, ale dziewczyna mu przerwała.

– Idę z wami. Chcę pomóc, żeby przynajmniej po trosze naprawić to, co zrobiłam.

Isaac Liebermann pokiwał głową, a Canaletto dodał:

– To bardzo dobrze o tobie świadczy.

– Świetnie! – Doża zakończył spotkanie. – A zatem, panowie, jeśli nie macie nic więcej do dodania, nie pozostaje mi nic innego, jak zapewnić was o moim całkowitym poparciu dla sprawy. Aha, panie Canal...

– Tak, Wasza Dostojność?

– Czy macie jeszcze ten dokument, w który was wyposażyłem?

Antonio wyjął kartkę z kieszeni fraka.

– Bardzo dobrze. To zapewni wam nietykalność. Poza tym to oczywiste, że działania podjęte przez marszałka wykonywane są w moim imieniu. I dla dobra Wenecji.

– Ruszamy, panowie – zarządził feldmarszałek – musimy uratować moją córkę.

Niedługo później oddział kierował się w stronę placu Świętego Marka, by skorzystać z zacumowanych tam łodzi i przepłynąć się na cmentarz. Po drodze feldmarszałek von

der Schulenburg zbliżył się do Canaletta i chwycił go za ramię.

– Ja sam, niechący, doprowadziłem do waszego spotkania z moją córką – wycedził przez zaciśnięte zęby. – Ale na miłość boską, nigdy bym nie podejrzewał, że narazicie ją na niebezpieczeństwo. Wiedziałem, że zlecono wam śledztwo, lecz powinniście mnie uprzedzić, że wasze sprawy sercowe zaszły już tak daleko.

Antonio nie wiedział, co powiedzieć. Musiał przyznać rację ojcu zatrwożonemu o życie córki.

– Wybaczcie mi, proszę – zdołał jedynie wykrztusić.

– Nie sądzę, że przeprosiny wystarczą – warknął stary wojak. – Chociaż zawsze to coś.

– Oddałbym wszystko, by ją ocalić.

– A więc bierzcie się do wioseł. Musimy się zmieniać, żeby jak najszybciej dotrzeć na Wyspę Świętego Hadriana.

– Jak każecie.

– Będę miał was na oku, pamiętajcie!

– Rozumiem.

Feldmarszałek westchnął ciężko. Mimo że wokoło panowały ciemności, latarnie ustawione przy brzegu kanału rzucały słabe światło na jego twarz i Antonio dostrzegł na obliczu żołnierza malujący się wyraźnie niepokój o córkę.

– To moja wina – wybuchnął nagle Johann Matthias von der Schulenburg. – Powinienem być bardziej się nią interesować. Spędzać z nią więcej czasu. Tymczasem, kiedy byłem młodszy, zajmowałem się wojaczką, a teraz starałem się po prostu szanować jej prywatność, bo niby jakim prawem miałbym nalegać, żeby Charlotte zaprosiła mnie do swego życia? Oto rezultat.

Antonio milczał, uznając, że jakiegokolwiek słowo byłoby teraz nie na miejscu.

– Kapitanie! – zawołał nagle feldmarszałek.

– Na rozkaz! – zabrzmiała odpowiedź i z ciemności wyłonił się oficer muszkietarów.

– Musimy pędzić niczym wiatr na Wyspę Świętego Hadriana – rozkazał von der Schulenburg.

Kapitan ze zdziwieniem spojrział na kompanię towarzyszącą feldmarszałkowi.

– Oni są ze mną – ton wojskowego nie dopuszczał sprzeciwu.

– Jak sobie życzyście.

Chwilę później Antonio, von der Schulenburg, McSwiney, Liebermann i Colombina wsiadali na zakotwiczone przy brzegu łodzie.

Czekały ich nocna przeprawa przez lagunę i rozpaczliwa próba ocalenia Charlotte von der Schulenburg.

50. Sechmet

TEN PRZERAŻAJĄCY CZŁOWIEK mimo wszystko traktował ją z należnym szacunkiem. Oczywiście doskwierał jej chłód przenikający aż do kości, a miejsce, w którym ją uwięziono, mroziło krew w żyłach. Wraz ze wschodzącym słońcem przez kraty zaczęło sączyć się słabe światło przypominające raczej mglisty blask księżyca, ale Charlotte powitała świt jak błogosławieństwo. Przez całą noc nie zmrużyła oka. Podobnie zresztą jak i poprzedniej doby.

Cudzoziemski żołnierz będący jej strażnikiem musiał mieć słowiańskie lub węgierskie pochodzenie, co wywnioskowała ze sposobu jego mówienia. Każdego dnia pojawiał się w celi trzykrotnie, aby podać jej posiłek i zapytać, czy niczego jej nie brakuje.

Charlotte nie miała pojęcia, gdzie się znajduje, ale czuła ostry, słony zapach morskiej wody, a cela przywodziła na myśl jakąś starą, porzuconą fortecę. Nabrała pewności, że przewieziono ją na jedną z wysepek w pobliżu Wenecji. Westchnęła. Dzień szybko minął i znowu zapadła złowroga ciemność. Chociaż bardzo chciała odpocząć, zdawała sobie sprawę, że i tej nocy nie zdoła zasnąć.

Przełknęła kilka łyków zupy. Włożyła do ust kawałek chleba. Nie była głodna, ale zmuszała się do jedzenia, by całkiem nie opaść z sił. Żywiła nadzieję, że ktoś przyjdzie jej z pomocą. Może ojciec? Albo Antonio? W końcu znalazła się tutaj z powodu sprawy, którą on prowadził.

Nie miała do niego pretensji. Nic z tych rzeczy. Przecież sama zgodziła się podjąć ryzyko. Nie cofnęła się, choć wiedziała, że grozi jej niebezpieczeństwo. Nie zapomniała też rozmowy w kawiarni, a zwłaszcza obietnic, które złożyli sobie podczas namiętnej nocy. Wierzyła, że ukochany ją odnajdzie, choć może były to jedynie złudzenia zakochanej bez pamięci kobiety, która nie chciała poddać się rozpacz i z całego serca ufała upartemu mężczyźnie o skromnej posturze, który został wybrany do zadania ponad jego siły.

Chociaż z drugiej strony to właśnie dlatego się w nim zakochała. Canaletto chciał uwiecznić na swoich płótnach Wenecję i sprawić, by miasto zawsze zachwycało tych, którym dane będzie podziwiać jego obrazy.

A teraz próbował rozwikłać krwawą zagadkę, niebezpieczny spisek, którego inni zdawali się nie zauważać. Prawdopodobnie wpadłam prosto w sieć konspiratorów –

pomyślała. Oni śledzą każdy ruch Antonia i postanowili odsunąć go od sprawy, porywając mnie. Jak inaczej można to wszystko wytłumaczyć?

Nie będę rozpaczać – postanowiła. Cokolwiek się wydarzy, zachowam spokój. Spojrzę przeznaczeniu prosto w oczy i stawię mu czoła. Z dumą i godnością. Tak jak mój ojciec. Może jakaś kropla jego szlachetnej krwi krąży jednak w moich żyłach, bo chociaż los drwi sobie ze mnie w okrutny sposób, to wcale nie czuję się słaba ani pokonana. Będę walczyć aż do końca. Tego jednego jestem pewna!

– Wiosłujcie szybciej, do wszystkich diabłów! – krzyknął Antonio.

Choć żołnierze pracowali ze wszystkich sił, a on sam też się nie oszczędzał, miał wrażenie, że przeprawa zajmuje im zbyt dużo czasu. A właśnie czasu nie mieli w nadmiarze, nie wspominając już o tym, że pełne wyrzutu spojrzenia feldmarszałka też nie ułatwiały zadania. Staremu wojakowi niczego nie można było zarzucić. Pominąwszy wybuch, na który pozwolił sobie po drodze w stronę mola, żadnym dodatkowym słowem nie dał mu odczuć swojej niechęci, choć na jego twarzy malowało się cierpienie. Zresztą Antonio wcale mu się nie dziwił. Przecież mógł się tego spodziewać. Po tym, co się wydarzyło, to właśnie ja ponoszę znaczną część winy za zniknięcie Charlotte – kołatała mu się w głowie ponura myśl.

Tak właśnie było i niezależnie od tego, co myślał feldmarszałek, Antonio sam winił się za to, co przydarzyło się Charlotte.

Zamiast jednak pogrążyć się w poczuciu winy i podsycać wyrzuty sumienia, wiosłował z całych sił, aby szybko pokonać dystans dzielący go od Wyspy Świętego Hadriana. Nie miał pojęcia, co zastaną na miejscu, liczył tylko, że teren będzie opuszczony tak jak podczas niedawnej wizyty Owena McSwineya.

Spojrzał na rozciągające się przed nim czarne wody laguny, która nocną porą rozpościerała się wokoło niczym nieskończona, groźna i ponura otchłań. Woda była spokojna. Wiosła unosiły się nad powierzchnię, obracały i znowu wpadały w toń w rytm uderzeń. Antonio czuł ból napiętych, zmęczonych z powodu wysiłku mięśni. Oddychał nierówno z powodu strachu i niepewności, które starał się od siebie odegnąć tą ciężką pracą. Kaganki na obu łodziach błyszczały niczym diabelskie ślepie odbijające się od gładkiej czarnej powierzchni.

Płynęli równym rytmem.

– Uwaga! – odezwał się nagle feldmarszałek. – Zbliżamy się do Torcello. Jak tylko minimy wysepkę, zgasimy ogień.

– Trudno będzie nam się orientować po ciemku – zauważył jeden z muszkieterów.

– Poprowadzi nas światło księżycy.

Żołnierz przełknął przekleństwo, które cisnęło mu się na usta, natomiast Antonio pomyślał, że to doskonały pomysł. W przeciwnym razie zapowiedzieliby swoje

przybycie, będąc jeszcze na morzu, i dąłoby porywaczom czas na zorganizowanie obrony.

– Nie obawiajcie się – włączył się McSwiney – molo prowadzące na cmentarz jest dobrze oznakowane. Otaczają je lampiony zawieszane na wysokich czarnych krzyżach, zresztą zaraz sami zobaczycie. Uważajmy raczej, żeby niepotrzebnie nie czynić hałasu.

Wszyscy zamilkli. Zgaszono kaganki. Słyszał było jedynie cichy plusk wiosł zanurzających się w ciemną wodę laguny. Zachowywali najdalej idącą ostrożność, aby odpowiednio wykorzystać element zaskoczenia.

Łodzie podpływały do wyspy niczym dwie wielkie amfibe: ciche, zdradzieckie, niosące śmierć. Już po chwili Antonio, feldmarszałek, McSwiney i reszta załogi zobaczyli przed sobą lampiony, o których wspominał Irlandczyk. Błyszczały w oddali, zwiastując zejście do piekieł.

Canaletto westchnął głęboko. Zbliżali się do miejsca przeznaczenia. Nie miał pojęcia, co zastaną na cmentarzu, ale przecucie ostrzegło go, że nie będzie to nic dobrego. Zależało mu jedynie na Charlotte, choć wszystko wskazywało na to, że na wyspie czekają na nich uzbrojone zbiry, które nie pozwolą przeszkodzić sobie w realizacji powziętych wcześniej planów. Noc zapowiadała się nieciekawie.

Był przygotowany na każdą ewentualność. Nie dlatego, że czuł się w obowiązku, aby cokolwiek udowodnić Johannowi Matthiasowi von der Schulenburgowi! Po prostu od pierwszego spotkania pokochał jego córkę, a uczucie to rosło z każdym dniem, stając się wyjątkowo intensywne, niemal bolesne. Doskonale pamiętał cierpienie wywołane niepewnością, kiedy ukochana nie miała dla niego czasu, ponieważ musiała poświęcić się pracy, by w terminie przygotować zamówienie. Rozpamiętywał pierwszą wizytę w jej pracowni, gdzie oglądali szkła, kamerę obscurę i lornetę, dzięki której dostrzegł śledzącego go szpiega.

Nie spodziewał się takiej reakcji, nie sądził, że rozłąka przysporzy mu tak ogromnego cierpienia, a będąca jego wynikiem melancholia będzie się nasilała z każdym dniem, aż do kolejnego spotkania. W czasie wspólnych rozmów Antonio wyraźnie wyczuwał w niej bratnią duszę, która go zna i rozumie. Podziwiał ją. Oczarowały go jej uroda, inteligencja i zaradność, ale oprócz tego jego uczucie opierało się na czymś znacznie głębszym i tajemniczym, co sprawiało, że był niezwykły, a zarazem pragnął mieć ją zawsze u swego boku. Dlatego właśnie nie mógł sobie wybaczyć, że nie uchronił ukochanej przed niebezpieczeństwem.

Teraz nadszedł czas, żeby naprawić błędy.

I zrobię to – obiecał sobie w myślach – nawet ryzykując własne życie!

51. Wśród masek i kości

PATRZYŁA NA ŚWIAT jak przez mgłę. A raczej jej oczy zniekształcały rzeczywistość: postacie przed nią były niewyraźne, rozmyte, drżące, jakby nie chodziło o ludzi z krwi i kości. Kształty się zamazywały. Poczwała, że ją rozbierają, ale nie miała siły się sprzeciwić. Czyjeś ręce ujęły ją za ramiona i nałożono jej dziwną suknię, jakiej nigdy wcześniej nie widziała. Nie miała nawet pojęcia, skąd pochodzi taki strój.

Wydawało jej się, że przeżywa jakiś dziwny koszmar. Żadna z otaczających ją postaci nie miała ludzkiej twarzy. Wszystkie nosiły czarne maski. Może prowadzą mnie na zabawę karnawałową, w której, chcąc czy nie chcąc, będę musiała wziąć udział? – pomyślała. Nie mogła ustać na nogach i musieli podtrzymać ją dwaj dobrze zbudowani mężczyźni.

Ciągle znajdowali się w tej samej celi oświetlonej teraz krwawym blaskiem pochodni umieszczonych na ścianach w żelaznych obręczach. Ktoś mówił w nieznanym jej języku. Zauważyła tylko, że ci, którzy się nią zajmują, noszą czarne stroje. Związali jej ręce za plecami. Sznur zacisnął się na jej nadgarstkach z taką siłą, że się przestraszyła, czy nie naruszy kości.

W końcu wyszli na zewnątrz. Charlotte poczuła, jak przenika ją nocny chłód. Zadrzała z zimna, jednak nikt nie zwracał na nią uwagi. Ciągnęli ją za sobą, a ona czuła się zupełnie bezsilna, jakby pozbawiono ją wolnej woli i zmieniono w szmacianą lalkę, którą oddano w ręce jakiejś kapryśnej dziewczynki.

To, co zobaczyła po wyjściu z celi, jeszcze bardziej ją przeraziło. Kaganki płonęły w ciemnościach, a przed nią wznosiły się wysokie kolumny złożone z kości, piramidy ludzkich czaszek, mury z piszczeli w kolorze kości słoniowej. Czy to wszystko jest realne? Czy też śni mi się jakiś okropny koszmar? Spróbowała krzyknąć, ale głos uwiązł jej w gardle. Czyżbym straciła mowę? Twarze zakryte czarnymi maskami poruszały się wokół niej w diabelskim tańcu. Zobaczyła białe, wykrzywione w okrutnym uśmiechu usta i wyczuła uroczystą tajemniczość, jakby przygotowywano się do odprawienia jakiegoś ponurego rytuału. Za górą kości zamajaczył szereg czarnych krzyży i Charlotte odniosła wrażenie, że znajduje się na największym cmentarzu, jaki ludzie zdołali kiedykolwiek stworzyć.

Skoro już muszę umrzeć, to przynajmniej znajdę tu miejsce wiecznego spoczynku – pomyślała.

Nagle dostrzegła kobietę z głową lwicy, która zdała jej się jednocześnie piękna i przerażająca. Poczuła strach połączony z nieodpartą fascynacją. Zachwiała się pod wpływem burzy uczuć oraz zniekształconej percepcji otoczenia. Znajdowała się na otwartej przestrzeni, niedaleko ktoś szeptał jakąś dziwną litanie w obcym języku. Wypowiadane coraz szybciej słowa potęgowały atmosferę wyobcowania.

Miała na sobie białą szatę. Otaczało ją około dwudziestu mężczyzn w czarnych strojach przewiązanych śnieżnobiałymi przepaskami. Obok niej stał ten, który sprawował funkcję kapłana czy krzewiciela kultu i recytował magiczne formuły. Był odziany tak samo jak pozostali, ale wyróżniały go długie czarne włosy oraz złote kolczyki. Charlotte nie miała wątpliwości, że to ten sam człowiek, który ją porwał i przewiózł na wyspę.

Kobieta z głową lwicy milczała. Ta nieruchoma postawa odbierała jej ludzkie cechy. W końcu wzniosła ramiona ku rozgwieżdżonemu niebu, jakby wzywała nieznanego boga.

Mężczyzna recytujący modlitwy w obcym języku zbliżył się do niej i upadł na kolana, okazując swój bezbrzeżny szacunek.

Właśnie wtedy zobaczyła, że ktoś się do niej zbliża. Był wielki niczym dąb. Jego olbrzymia postać zdawała się tracić spójność, jakby był rycerzem stojącym na tle horyzontu w sierpniowym skwarze. A przecież wyczuwała jego zabójczą bliskość i wpadła w panikę na widok wyciągniętego z pochwy błyszczącego miecza. Zrozumiała wreszcie, że to ona jest ofiarą, którą zamierzają poświęcić. Ten, który do tej pory trzymał ją za ramiona, pchnął ją na ziemię, a potem złapał za włosy i umieścił jej głowę na pieńku, rzucając jej w twarz obelgi przepełnione nienawiścią, złością i okrucieństwem.

Charlotte uderzyła głową o pień i poczuła w ustach smak krwi.

Ujrzała nad sobą miecz o zakrzywionym ostrzu. W czerwonym świetle pochodni, które rozmieszczono na cmentarzu, dostrzegła swoje oblicze odbijające się w wypolerowanej stali.

Zamknęła oczy, przygotowując się na śmierć.

52. Akcja

DOTARLI DO MOLA. Wyskoczyli na drewniany pomost i przywiązali łodzie do pali.

– Nie ma czasu do stracenia – powtórzył po raz kolejny Antonio.

– Weźcie to – powiedział cicho feldmarszałek, wręczając mu pistolet z rękojeścią ozdobioną masą perłową. – Jest naładowany, a proch jest suchy. Wystarczy wymierzyć i strzelić.

Canaletto nie spodziewał się takiego gestu, ale docenił starania starego wojaka. Wziął broń do ręki. Do pasa miał już przypiętą szpadę. Liczył, że nie będzie musiał ich użyć.

McSwiney, Isaac Liebermann i Colombina dołączyli do niego na molo.

– Odwagi – zachęcił ich feldmarszałek – za mną.

Antonio ponownie się zdziwił, widząc, z jaką ostentacyjną odwagą stary wódz prowadzi swój oddział. Postanowił dotrzymać mu kroku, a przyjaciele i muszkietrzy ruszyli za nimi.

Bez przeszkód dotarli do ogrodzenia i podążyli wzdłuż muru. Wydawało im się nieco podejrzane, że nigdzie nie ma strażników, więc poruszali się bardzo ostrożnie i uważnie rozglądali dookoła, choć wszystko wskazywało na to, że nikt na nich nie czeka. Wreszcie znaleźli się przy kaplicy wbudowanej w ogrodzenie i stanowiącej jednocześnie bramę wejściową na cmentarz. Kilka dni wcześniej przechodził przez nią McSwiney. I to właśnie do niego zwrócił się Johann Matthias von der Schulenburg, przywołując go ruchem dłoni. Irlandczyk zbliżył się bez wahania.

– Słucham was, feldmarszałku – powiedział.

– Przyjacielu, chciałem was zapytać, czy orientujecie się, ilu strażników pilnuje cmentarza.

– Z tego, co wiem, to tylko jeden grabarz, niemowa, zwany Jednookim z powodu, którego łatwo się domyślić.

– Jednakże nie możemy wykluczyć, że porywacz mojej córki sprowadził swoich ludzi.

– Oczywiście – zgodził się Irlandczyk.

– Gdybym ja się obawiał ataku nieprzyjaciół – powiedział do siebie feldmarszałek, jakby rozważał głośno sytuację – to rozstawiłbym strażę już na molo. Wszystko wskazuje więc na to, że porywacze są przekonani, iż nikt nie wie o ich pobycie na cmentarzu Świętego Hadriana. To daje nam przewagę. Ruszajmy więc, nie

zaniedbując środków ostrożności. – Przywołał gestem dwóch muszkieterów, a oni natychmiast stanęli u jego boku. – Otwórzcie drzwi i sprawdźcie kaplicę.

Żołnierze bez słowa wykonali rozkaz. Najpierw zajęli się zamkiem. Trochę to trwało, lecz w końcu wszyscy usłyszeli metaliczny zgrzyt i mały oddział wkroczył do niewielkiego pomieszczenia. Wewnątrz znaleźli świece, mały ołtarz i drewniane ławki. Feldmarszałek, Canaletto i cała reszta przeszli przez główną nawę. Drzwi prowadzące na cmentarz stały otworem.

Dwaj muszkieterzy ze straży przedniej przekroczyli próg, w pewnej odległości za nimi podążała reszta grupy.

Miejsce oświetlone było pochodniami i żelaznymi koszami, w których płonął ogień. Antonio zobaczył stopy czaszek i kości, niekończącą się ścianę śmierci wznoszącą się przed każdym, kto ośmielił się wejść na teren nekropolii. Sterty były tak wysokie, że przypominały góry.

Serenissima przez wieki gromadziła w tym miejscu szczątki swych dzieci – stopy piszczeli przypominały śmiertelnikom, że trafili właśnie do przedsionka piekieł stworzonego ludzką ręką.

Czerwonawe płomienie odbijały się od piramid kości, rzucając niepokojące cienie, a języki ognia lizały gładką powierzchnię czaszek i piszczeli.

Jak odnaleźć miejsce, w którym przetrzymują Charlotte?

W tym momencie z ciemności przed nimi dobiegł głos sugerujący rozwiązanie problemu.

– Tędy. – Usłyszeli wskazówkę jednego z muszkieterów, który wysunął się nieco do przodu i pewnie zauważył coś, co umknęło uwadze reszty grupy.

Idąc za nim, skręcili w prawo i po pokonaniu kilkunastu metrów ich uszu dobiegła monotonna litania wypowiedana ochrypłym głosem w nieznanym języku. Melodyjne słowa unosiły się w powietrzu bezgwiezdnej nocy.

Ruszyli za głosem.

Podążający za przewodnikiem Antonio zauważył, że rozległa przestrzeń zarzucona kośćmi prowadzi na cmentarz, gdzie mieszczą się groby oznaczone czarnymi krzyżami. Rozłokowane w znacznej odległości od siebie ognie rozjaśniały nieco cały teren nekropolii, na końcu której znajdował się rozległy plac. I właśnie tam zobaczył coś, czego nigdy by się nie spodziewał.

W świetle wbitych w ziemię pochodni grupa ubranych na czarno mężczyzn uczestniczyła w jakiejś dziwnej ceremonii rytualnej. Byli tak pochłonięci obrzędem, że nie usłyszeli nieznanego hałasu, który swoim nadejściem spowodował oddział Antonia i feldmarszałka.

Kiedy Canaletto znalazł się w pobliżu zgromadzonych ludzi, natychmiast zdał sobie sprawę, że przygotowany ceremoniał budzi perwersyjną fascynację uczestników, pozostawiając ich obojętnymi na wszystko, co się dzieje dookoła.

Przed nimi stał mężczyzna recytujący antyfonę. Miał długie czarne włosy i nosił złote kolczyki. Jego twarz zasłaniała maska. Ciemne szaty przepasał białym fartuchem. Nie było wątpliwości, że to Olaf Teufel. Wyglądał dokładnie tak samo, jak opisał go Owen McSwiney po tym, kiedy mimowolnie trafił na ceremonię inicjacyjną nowych członków loży.

Nieco dalej na drewnianym podeście stała kobieta z twarzą lwicy. Miała posągowe kształty i była ubrana w niecodzienny, egzotyczny strój. Długa tunika sięgająca ziemi ledwie zakrywała obfity biust. Niewiasta wznosiła ramiona ku niebu. Antonio uznał, że wcieliła się w rolę bogini Sechmet, której podobiznę widział na ilustracjach książki w bibliotece Josepha Smitha.

W środku mistycznego kręgu znajdowała się też druga kobieta z dłońmi związanymi na plecach. Kiedy uniosła głowę, Antonio natychmiast rozpoznał Charlotte.

Wysoki mężczyzna w pelerynie i czarnym trikornie pewnym krokiem zmierzał w jej stronę.

W rękę dzierżył miecz.

Antonio nie rozumiał, dlaczego Charlotte nie jest w stanie normalnie się poruszać.

Chwilę później uniósł pistolet i wymierzył.

Rozległ się strzał.

53. Miłość i muszkiety

WYSTRZAŁ ZAGRZMIAŁ W CISZY przerywanej jedynie monotonnym głosem Olafa Teufla.

Kula przecięła powietrze.

Całą wieczność trwało, zanim ugodziła przeciwnika. Przynajmniej tak się zdawało Antoniowi. Jednak w końcu trafiła w ramię odzianego na czarno mężczyzny. Ten krzyknął rozpaczliwie, odrzucony do tyłu siłą uderzenia. Upuścił błyszczący miecz, chwytając się za zraniony bark. Zachwiał się i rozejrzał dookoła, jakby nagle nie wiedział, co robić.

Na szczęście Johann Matthias von der Schulenburg gromkim głosem zaczął wydawać rozkazy:

– Stać! Jesteście aresztowani w imieniu Jego Dostojności doży Wenecji!

Wezwanie nie wywołało oczywiście oczekiwanego efektu wśród członków zgromadzenia, którzy wreszcie otrząsnęli się z transu trzymającego ich w surrealistycznej bezwładności. Wspólnicy sięgnęli po szpady i pistolety, po czym rzucili się w stronę żołnierzy prowadzonych przez feldmarszałka.

Muszkieterowie też nie tracili czasu: stanęli w podwójnym szeregu, wymierzyli broń i zaczęli strzelać. Nie zamierzali zabijać czarnych postaci z piekła rodem, które wyszły im naprzeciw. Chcieli jedynie powstrzymać je przed atakiem. Jasna chmura unosiła się nad długimi lufami muszkietów, z których eksplodowały czerwone błyskawice ognia. Pierwsza seria obaliła na ziemię co najmniej pięciu przeciwników. Druga nadeszła w chwilę później i trafiła kilku następnych.

Wybuchło zamieszanie i w ogólnej wrzawie Antonio, zebrawszy się na odwagę, spróbował pokonać przestrzeń dzielącą go od Charlotte. Nie miał pojęcia, jak zdoła ją obronić, w końcu jego pistolet był nienaładowany, a umiejętności posługiwania się szpadą pozostawiały wiele do życzenia.

Widząc, co się dzieje, Owen McSwiney ruszył za przyjacielem, by go osłaniać.

Na szczęście dla Antonia masoni byli zbyt pochłonięci unikaniem kul z muszkietów, by się zajmować jego osobą. Kilkoma susami pokonał więc dystans i znalazł się obok ukochanej. Kobieta klęczała na wilgotnej ziemi cmentarza, bezbronna, porzucona w zgiełku walki. Jej ciałem wstrząsały dreszcze. Antonio zdjął pelerynę i okrył Charlotte.

– Jesteś tutaj? – szepnęła głosem łamiącym się na skutek bólu i strachu. – Przyszędłeś mnie ocalić?

– Oddałbym za ciebie życie – odpowiedział Antonio, biorąc ją w ramiona.

Przycisnął Charlotte mocno do piersi i na moment zapomnieli o grożącym im niebezpieczeństwie. Miłość zatriumfowała nad śmiercią.

Nie zauważył jednak, że zraniony przez niego wcześniej mężczyzna pomimo krwawiącego ramienia wcale nie zamierza się poddać. Zdrową ręką odrzucił trikorn daleko od siebie, jakby pozbywał się niepotrzebnego ciężaru. Kapelusz upadł pomiędzy czarne krzyże wznoszące się na grobach.

Kiedy Canaletto odwrócił głowę, w blasku płonących pochodni i kaganków rozpoznał kapitana nocnej straży. Nie mógł uwierzyć własnym oczom.

Mężczyzna zbliżał się do klęczącej na ziemi pary. Na szczęście nie zdołał wyjąć zza pasa pistoletu, bo wcześniej rozległ się huk wystrzału. Ołowiana kula przeszła jego prawą nogę i upadł wśród czarnych mogił.

Antonio spojrział w stronę, z której przyszło ocalenie, i zobaczył Owena McSwineya z dymiącym pistoletem w dłoni. A nieco dalej uciekającego Olafa Teufla.

– Zatrzymajcie go! – krzyknął, ale piekielny drań już zniknął za murem z białych kości.

Jeden z muszkieterów zaniechał udziału w zażartej bijatyce toczącej się po drugiej stronie cmentarza i rzucił się w pogoń. Antonio mógł tylko mieć nadzieję, że żołnierz dopadnie łotra, bo sam nie miał najmniejszego zamiaru opuszczać Charlotte.

Nagle jasna błyskawica przecięła niebo i zaczął padać zimny deszcz. McSwiney podszedł do kapitana nocnej straży i z całej siły kopnął go w klatkę piersiową, obalając na błotnistą ziemię. Wyrwał mu z ręki pistolet i wymierzył do kobiety przebranej za boginię Sechmet, która zresztą sprawiała wrażenie całkiem nieprzytomnej. Trzymając ją na muszce, McSwiney zerwał jej z twarzy maskę lwicy, a wtedy wyłoniła się spod niej blada twarz najsłynniejszej weneckiej kurtyzany. Kobieta wyglądała na zupełnie wyczerpaną. Milczała.

– Nie próbujcie uciekać – zagroził jej Irlandczyk.

Żadnej odpowiedzi.

– To wy – zwrócił się tymczasem Antonio do kapitana – to wy jesteście mordercą, który utopił nasze miasto we krwi.

– I to was dziwi? – odezwał się Giovanni Morosini, a na jego twarzy pojawił się grymas świadczący o bólu. – Któż inny mógłby manipulować śledztwem? Przyznaję, że popełniłem błąd, bo kiedy dowiedziałem się, że doża zlecił wam odnalezienie sprawcy śmierci tych dwóch dziewczek, nie doceniłem waszych możliwości.

– Jego Dostojność nie zlecił mi niczego podobnego, poza tym to nie jest odpowiedni moment, by o tym rozmawiać. Charlotte – zwrócił się do ukochanej – pozwólcie odprowadzić się w bezpieczne miejsce.

– Do kaplicy! – odpowiedział natychmiast McSwiney.

W międzyczasie feldmarszałek von der Schulenburg zdążył się rozprawić z resztą masonów. Ci, którym nie udało się uciec, zostali zakuci w kajdany. Wśród nich znaleźli się również dwaj starzy znajomi: Kulawy oraz dobrze zbudowany odźwierny strzegący wejścia do przybytku Cornelii Zane.

Canaletto wziął Charlotte na ręce i ruszył w stronę kaplicy. Kiedy byli w połowie drogi, podszedł do nich feldmarszałek i przystanąwszy, pogłaskał córkę po policzku.

– Ojczy – szepnęła kobieta.

– Nie męcz się teraz, moje dziecko – powiedział von der Schulenburg. – Antonio ma rację, schrońcie się w kaplicy i tam przeczekaście deszcz.

Bez zbędnych dyskusji Canaletto z ukochaną w ramionach skierował się do wejścia do świątyni.

54. Wyrównanie rachunków

KAPITAN NOCNEJ STRAŻY zakuty w kajdany klęczał na kamiennej posadzce w sekretnej celi w Pałacu Dożów.

Przed nim stali jego sędziowie: doża Alvise Sebastiano Mocenigo, Czerwony Inkwizytor i Antonio Canal.

Giovanni Morosini miał ramiona związane sznurem zwisającym z żelaznej obręczy umocowanej na suficie.

– Odpowiadajcie! – ponaglił go doża. – Jak mogliście dopuścić się tak haniebnych czynów!

– Tfu! – Kapitan splunął krwią. – A dlaczegoż by nie?

– Zaczynj wreszcie mówić, przeklęty morderco! – wrzasnął inkwizytor.

– A co niby mam wam powiedzieć? Że ród Mocenigów wraz z innymi możliwymi trzyma Wenecję w garści od czasów powstania miasta? Że niemożliwa jest jakakolwiek próba zmiany istniejącego porządku? Wy udajecie zbawcę ojczyzny – zwrócił się do doży – pozujecie na ojca wszechmogącego, a prawda jest taka, że należycie do klanu pijawek od wieków wysysających krew z naszego miasta poprzez waszą żądzę władzy. Tylko w ciągu ostatnich dwudziestu lat z waszej rodziny wyszło aż dwóch władców! Jakim prawem śmiecie mnie krytykować? I to za co? Że zabiłem dwie dziwki?

– Nie wolno wam tak mówić! – ryknął doża z twarzą wykrzywioną złością, gdyż obraźliwe słowa ugodziły go do żywego. – Przecież te dziewczyny nikomu nie zrobiły nic złego. To były nieskalane anioły! I należały do najznamienitszych weneckich rodów!

– Czyżby? – odpowiedział kapitan kpiącym tonem. Sprawiał wrażenie szczerze rozbawionego całą sytuacją. – Wiecie, że obie panny ochoczo oddawały się uciechom cielesnym w alkowach pałacu Cornellii Zane? No pewnie, nie macie o niczym pojęcia.

– Kłamiecie! – zagrzmiał doża.

– Wcale nie – odpowiedział krzykiem Morosini – po prostu dostrzegam to, czego wy nie chcecie widzieć! To, co dla was jest szlachetne i święte, tak naprawdę gnije od środka. Przeklęte miasto! A winę za taki stan ponosicie wy i wam podobni!

– Nie pozwalam na rozprowadanie takich oszczerstw! – zaprotestował inkwizytor. – Nie ma usprawiedliwienia dla waszych czynów. Nie tylko zamordowaliście niewinne dziewczyny, ale pastwiliście się nad nimi, wrywając im serca!

– Tak było.

– Czyżbyście naprawdę nie zdawali sobie sprawy z powagi waszych czynów?

– Chcieliśmy wzbudzić terror w mieście. Gdybym się ograniczył do podejrzenia im gardeł, nie osiągnęlibyśmy oczekiwanego rezultatu.

Słowa kapitana sprawiły, że Antonio poczuł dreszcz grozy. To naprawdę wyglądało na wyrównywanie rachunków.

Nagle inkwizytor nieznacznym ruchem dłoni przywołał stojącego w rogu strażnika. Ten zbliżył się do więźnia i wymierzył mu cios pięścią w twarz. Głowa Giovanniego Morosiniego odskoczyła do tyłu jak uderzona młotem. Kiedy kapitan doszedł do siebie po silnym ciosie, włosy opadły mu na czoło, zasłaniając oczy, a usta wykrzywiły się w drwiącym grymasie, ukazując ostre białe zęby. Z rozciętej wargi kapała krew.

– Opowiedz nam o sekcje – rozkazał inkwizytor.

Giovanni Morosini splunął na podłogę. Sina grudka gęstej śliny zastygła na kamiennej posadzce.

– Loża masońska była jedynie przykrywką. Wykorzystując sugestywne symbole zaczerpnięte z wierzeń egipskich, a także cyrkiel, węgielnicę i znak wielkiego architekta, ten szaleniec Teufel chciał odwrócić uwagę od prawdziwego projektu.

– Tak naprawdę chcecie przejąć władzę w Wenecji – stwierdził Antonio.

Kapitan nocnej straży wybuchnął stłumionym śmiechem.

– To wy, przekłety artysto, staliście się cierniem, który boleśnie utkwiał mi w boku. Doża wiedział, co robi, zlecając śledztwo osobie poza wszelkimi podejrzeniami. Pomyśleć tylko, że jeszcze niedawno sam wam radziłem, byście zajęli się malowaniem.

– Ta nieszczęsna dziewczyna... – zaczął Antonio, przypominając sobie okropny ranek na placu Świętego Jakuba na Rialcie – ...to wy pocięliście ją na kawałki! A teraz mówicie o tych zbrodniach, jakby to była zabawa.

– Nieuniknione straty – uciął zimno oskarżony. – Wierzcie mi, Canaletto, doża doskonale wie, o czym mówię. Spróbujcie zapytać Jego Dostojność, jakich bezceństw się dopuścił po zdobyciu wyspy Chios. Jego wojsko zrównało miasto z ziemią, pałac i gwałcąc...

Tym razem inkwizytor zatrzymał przesiąknięty jadem potok słów więźnia, wymierzając mu cios pięścią.

– Milcz, podły robaku. Nie wiesz, co mówisz!

Usta kapitana ponownie pokryły się czerwienią. Na podłogę spadły krople świeżej krwi.

– Możecie mnie katować, jak długo chcecie – oświadczył zuchwale Morosini. – Każdy odpowiada za swoje czyny.

– A gdzie przepadł Teufel? I kim on w ogóle jest?

– Któż to wie...

– Nie udawajcie, że go nie znacie! – powiedział doża.

– Nikt go tak naprawdę nie zna. I nigdy go nie złapiecie.

– Mów wszystko, co o nim wiesz! – Jego Dostojność nie przestawał nalegać.

Kapitan zakaszał. Westchnął głęboko, by zyskać na czasie. A potem zaczął mówić.

– Sądzę, że pochodzi z jakiegoś zapomnianego zakątka imperium austro-węgierskiego. Z Czech, z Moraw, a może z Wołoszczyzny? Z pewnością sporo podróżował i z czasem rozwinął niesamowity talent polegający na uwodzeniu i manipulowaniu kobietami. Nie koniec na tym. Potrafi podporządkowywać sobie również mężczyzn. Charakteryzuje się ogromną wiedzą i niezwykłą ciekawością świata. Tylko on mógł rozpowszechnić pogłoski o życiu i naukach Szabetaja Cewiego. – Wspomniawszy o podejrzanym proroku, Giovanni Morosini uśmiechnął się perfidnie.

– A niech go! – zawołał Czerwony Inkwizytor.

– Ale to wy oskarżyliście niewinnego Shimona Luzzatta – powiedział z pogardą Antonio – a potem jeszcze zarzuciliście kłamstwo Isaacowi Liebermannowi.

Kapitan nocnej straży pokiwał głową.

– Tak było. To Olaf Teufel poderzwał mu gardło, ale ja wprowadziłem zamieszanie w śledztwie. I wszystko skończyłoby się po naszej myśli, gdyby nie wasza interwencja. Cieszy mnie jedynie to, że już niedługo Teufel wróci i odpłaci wam z nawiązką. Wasze dni są policzone. Tym razem udało wam się powstrzymać wybuch buntu, ale kiedyś i na was przyjdzie czas.

– Jakie macie plany? Mów! – zażądał Czerwony Inkwizytor.

Na wszelki wypadek strażnik po raz kolejny zdzielił kapitana w pysk, ale ten nie należał do mięczaków. I chociaż poczuł uderzenie, starał się nie okazywać bólu.

– Możecie robić ze mną, co chcecie – oświadczył – bo nie macie pojęcia, do czego zdolny jest Teufel. A poza tym sieć naszych popleczników jest o wiele szersza, niż myślicie.

Antonio poczuł zimny dreszcz na plecach. Nagle przeszło mu przez myśl, że dzisiejsze zwycięstwo ma niezwykle gorzki smak. Udało im się co prawda rozwiązać sprawę tajemniczych morderstw, ale nienawiść, jaką żywił Giovanni Morosini i jemu podobni, ujawniła swe przerażające oblicze. Zdał sobie sprawę, że człowiek o diabolicznym umyśle, który przygotował spisek, zdołał im się wymknąć i nikt nie wie, gdzie się ukrył. Przeczynał jednak, że prędzej czy później Teufel powróci, by się zemścić.

– Diabeł – dodał po chwili Morosini – to właśnie po niemiecku znaczy jego nazwisko. I uwierzcie mi, że ten mężczyzna naprawdę przypomina czarta. Nigdy

wcześniej kogoś takiego nie spotkałem.

– Niech wam będzie – powiedział doża. – Ale i wy w niczym mu nie ustępujecie. Z niespotykanym okrucieństwem zamordowaliście dwie niewinne dziewczyny.

– I zrobiliście to z perwersyjną przyjemnością! Umieściliście na ich ciałach wasz znak rozpoznawczy w postaci oblicza bogini Sechmet. Podobny wizerunek wycięliście na ramieniu Shimona Luzzatta – ze złością rzucił mu w twarz Antonio, który powoli zaczynał tracić zimną krew.

To, co usłyszał od kapitana, spotęgowało jego niepokój.

– Macie rację! To właśnie żądza rozkoszy mnie zgubiła. – Dopiero teraz w słowach oskarżonego zabrzmiał prawdziwy żal.

– Chcieliście zamordować również Charlotte von der Schulenburg! – wybuchnął Antonio.

– Ta kobieta wiele dla was znaczy, nieprawdaż? – zapytał Morosini tonem świadczącym, że doskonale zna odpowiedź.

Canaletto pominął zaczepkę milczeniem.

– Jesteś podłym człowiekiem. Zwykłym śmieciem! – orzekł inkwizytor Matteo Dandolo.

– I tak też zostaniesz potraktowany – dodał doża. – Jutro o świcie zostaniesz powieszony na placu pomiędzy kolumnami Świętego Marka i Świętego Teodora.

– Jak uważacie. Niech wszyscy zobaczą egzekucję. Może niektórzy zaczną się zastanawiać nad jej prawdziwym powodem. Wiem, że przedstawicie mnie jako potwora mordującego niewinne dziewczęta. Bunty społeczne zaczynają się od najdziwniejszych i często bardzo okrutnych incydentów.

– Zamkniemy ci usta na zawsze, parszywy draniu! – zaperzył się inkwizytor.

– A twoje imię będzie przeklęte na wieki – zakończył doża.

55. Koniec zabawy

PLAC ŚWIĘTEGO MARKA PEKAŁ W SZWACH. Wszędzie tłoczyli się ludzie. Zimowy chłód nieco ustąpił i słońce jasnym blaskiem przypominającym płynne srebro zalewało wszystko dookoła.

Ciekawski tłum jak zwykle stawił się w komplecie. Oblegano stragany sprzedawców kandyzowanych jabłek, a przedstawiciele różnych stanów starali się zająć jak najlepsze miejsca, by nie uronić ani chwili z zapowiedzianej egzekucji. Wieść o złapaniu człowieka odpowiedzialnego za ostatnie makabryczne morderstwa krążyła po całym mieście. A to, że okazał się nim kapitan nocnej straży, jedynie potęgowało ogólne ożywienie. Tym razem na plac wyległy nie tylko pospólstwo i różnej maści biedota, lecz również bogaty patrycjat. Byli też rodzice zamordowanych dziewcząt.

Obok sprzedawców, Żydów prowadzących kantory walutowe, handlarzy starociami, kupców i drukarzy, oprócz służących i prostytutek, płatnych morderców, szpiegów, kotlarzy i setek innych osób reprezentujących najróżniejsze zawody pojawili się przedstawiciele weneckiej szlachty w nienagannie skrojonych strojach, kilku oficerów weneckiej armii, a nawet dobrze urodzone damy, którym udało się wymknąć spod kontroli mężów. Wszyscy z niecierpliwością czekali na rozpoczęcie egzekucji Giovanniego Morosiniego, kapitana nocnej straży.

Nikt nie miał wątpliwości, że doża postanowił ukarać go w widowiskowy sposób, który będzie przestrożą dla innych. Alvise Sebastiano Mocenigo dobrze wszystko przemyślał i zamiast pozbyć się niewygodnego urzędnika, topiąc go nocą w którymś z mniej uczęszczanych kanałów, postanowił dać przykład innym. W ten sposób ostrzegał każdego, komu przyszedłby do głowy pomysł naruszenia bezpieczeństwa Republiki i jej mieszkańców. Wysyłał jasny sygnał, że karą będzie stryczek, niezależnie od tego, jak daleko wstecz sięgałby rodowód śmiałka.

Po lewej stronie placu, niedaleko bramy głównej prowadzącej do Pałacu Dożów, ustawiono drewniane podwyższenie. Wszystko wskazywało na to, że przygotowano je nocą w wielkim pośpiechu, ponieważ było bardzo małe, wyposażone jedynie w krzywe schodki. Na środku stał doża przystrojony w reprezentacyjne szaty władców Serenissimi: ozdobny, purpurowy płaszcz, sobolowe futro i złote nakrycie głowy w kształcie rogu.

U jego boku zajął miejsce inkwizytor Dandolo w czerwonej szacie odpowiadającej jego tytułowi. Za nimi siedzieli: kapitan weneckich muszkieterów, który aresztował

skazańca, oraz feldmarszałek, hrabia Johann Matthias von der Schulenburg. Dwaj inkwizytorzy w czarnych pelerynach trzymali się nieco na uboczu.

W niewielkiej odległości od szubienicy, wmieszany w tłum gapiów, stał Canaletto. Czuł w sercu dziwne poruszenie, gdyż zdawał sobie sprawę, że tajny spisek po raz pierwszy ujrzał światło dzienne. Wreszcie stało się jasne, jak skorumpowana jest machina sprawiedliwości w Republice Weneckiej. Przez długi czas kapitan nocnej straży trzymał wszystko w ukryciu, jako że sam był w to zamieszany, a i doża nie miał żadnego interesu w ujawnieniu prawdy, choć powody, którymi się kierował, były zupełnie inne.

Bez wątpienia również Jego Dostojność i pozostali wysocy urzędnicy w randze inkwizytorów mieli się czego obawiać, skoro skazali kapitana nocnej straży na śmierć za zamordowanie dwóch młodych, szlachetnie urodzonych kobiet, a nie za przynależność do organizacji spiskowej działającej na szkodę Serenissimy.

A przecież to nie wszystko.

Podczas przesłuchania Giovanni Morosini dał do zrozumienia, jak niebezpiecznym człowiekiem jest Olaf Teufel. Na samą myśl, że ten ciągle przebywa na wolności i prawdopodobnie planuje zemstę, Antonio nie mógł się uspokoić. Wszystko wskazywało na to, że z powodu wyjątkowych znajomości Teufla należy się z nim liczyć.

Kat czekał na podwyższeniu szubienicy. Właśnie zajmował się sprawdzaniem wytrzymałości sznura. Ubrany na czarno, był wcieleniem śmierci. Wreszcie Antonio zobaczył, że od strony bramy głównej pałacu strażę prowadzi Giovanni Morosiniego. Mieli do pokonania niewielką odległość, ale i tak wsadzono go na wóz zaprzężony w jednego konia. Na ten widok rozwścieczony tłum zaczął go głośno przeklinać i obrzucać zgniłymi owocami. Skazaniec miał skołtunione włosy, związane do tyłu ręce i zgrzebny worek na grzbiecie. Ten, który do niedawna budził strach w całym mieście, teraz klęczał na wozie i był tak maltretowany, że wyglądał jak cień samego siebie. Jego twarz pokrywały sińce, zakrzepła krew i ślady po zepsutym mięszu owoców, które rozbijały się z głuchym młaśnięciem i wraz ze strużkami soku spływały na ziemię w postaci miękkiej masy.

Antonio nie czuł litości dla kapitana, gdyż ciągle myślał o zamordowanych kobietach i tragedii, której udało się uniknąć w ostatnim momencie dzięki sprawnej akcji, jaką podjęli wraz z feldmarszałkiem von der Schulenburgiem. Przeniósł wzrok na wojskowego, który siedział na drewnianym stolcu, na szczycie trybuny obok doży. Nieprzenikniony wyraz jego twarzy zastygł w formie przypominającej lodową maskę, pod którą kryły się rysy niewyrażające żadnych uczuć.

Z drugiej strony Antonio nie potrafił nawet cieszyć się widokiem kaźni z prostego powodu wynikającego z porażki nocnego przesłuchania, po którym pozostała mu jedynie gorycz. Zdawał sobie sprawę, że nie wszystkie groźby i oskarżenia rzucone przez Morosiniego są pozbawione podstaw. Prawda jest taka, że weneckie rody w ciszy toczą walkę o władzę, a doża i jego krewni w tym historycznym momencie znaleźli się na szczycie, jeśli chodzi o wpływy i prestiż. Dominująca pozycja Mocenigów oczywiście nie mogła być usprawiedliwieniem dla przerażającej rzezi rozpętanej przez zdeprawowanego szaleńca, niemniej jednak doża i główny inkwizytor również nie byli bez winy. I nie chodziło tu o ewentualne wydarzenia z przeszłości, o których Antonio nie miał pojęcia, lecz o brak szczerego zainteresowania rozwiązaniem sprawy ostatnich morderstw. Dopiero w momencie gdy do podejrzeń i dowodów dostarczonych przez artystę dołączył swe stanowcze żądania feldmarszałek von der Schulenburg, Alvise Mocenigo wydał rozkaz przeprowadzenia akcji na cmentarzu Świętego Hadriana. Jeszcze dziwniej zachowywał się Dandolo, który zupełnie nie interesował się całą sprawą. Wystarczy przypomnieć, że natychmiast z ulgą przyjął wiadomość o rzekomej winie Shimona Luzzatta i jego śmierci.

W przyszłości muszę być ostrożniejszy – upomniał się w myślach Antonio.

Próbując rozproszyc nieprzyjemne myśli, skupił się na swoich przyjaciółach z Wysp Brytyjskich: Owenie McSwineyu i Josephie Smicie. Wiele im zawdzięczał, a poza tym obiecał im przygotowanie serii obrazów. Uznał, że znajomość może się okazać owocna nie tylko ze względu na nowe zamówienia, lecz również dlatego, że umożliwi wejście na całkiem inny rynek: większy i nie ograniczony jedynie do Wenecji, a przy tym niepowiązany z tutejszymi układami, które nieuchronnie prowokują zazdrość i wzbudzają podejrzania. Marzył, by przybliżyć Wenecję światu, pokazać jej wyjątkowe piękno wszystkim tym, którzy ją podziwiają, nawet jeśli nigdy nie mieli okazji jej odwiedzić. Dzięki jego obrazom będą mogli zobaczyć choć kawałek ziemskiego raj.

Kat zarzucił stryczek na szyję Morosiniego i zacisnął mocno. Kazał kapitanowi wejść na drewniany stołek i kiedy ten na nim stanął, precyzyjnym kopniakiem odrzucił zydeł najdalej, jak mógł.

Stopy Morosiniego, pozbawione oparcia podnóżka, zawirowały w powietrzu. Głuchy krzyk wydarł się ze zdławionego gardła, potem za jednym zwierzęcym charkotem nadszedł drugi. I trwało to aż do czasu, gdy brak tlenu sprawił, że twarz kapitana stała się sinofioletowa. Żył na jego szyi nabrzmiała tak, jakby zaraz miała pęknąć.

Tłum ani na chwilę nie przestawał przeklinać kapitana nocnej straży, jakby w ten sposób chciał się uwolnić od widma kontroli obyczajowej, którą ten reprezentował. Przynajmniej przez chwilę ludzie mogli bezkarnie wyrażać złość i frustrację, chociaż

dobrze wiedzieli, że już niedługo zostanie nominowany nowy stróż porządku i wraz ze swoimi pięcioma odzianymi na czarno pomocnikami przejmie władzę nad miastem.

Giovanni Morosini rzęził i wierzgał jeszcze przez jakiś czas, po czym wyprężył się i wytrzeszczył oczy, a jego ciało zawisło bezwładnie i kołysało się w tańcu śmierci, podczas gdy zgromadzeni na placu gapie obrzucali go wyzwiskami i życzeniami najstraszliwszych mąk piekielnych.

Gdy przycichły nieco triumfalne okrzyki i złorzeczenia, a mieszkańcy Wenecji nacieszyli się odwetem i zmęczeni wygrażaniem pięściami, na trybunie przeznaczonej dla dostojników wszczął się ruch. Doża wstał ze swojego ozdobnego krzesła i uniósł dłonie na znak, że będzie przemawiał. Wokoło zaległa cisza i władca odezwał się tymi słowami:

– W ten sposób Serenissima Republika odwdzięcza się mordercom i zdrajcom. Mam nadzieję, że to jasne. Wenecja nie zna litości dla nieprzyjaciół, zwłaszcza jeśli wywodzą się oni spośród jej własnych dzieci. – Przerwał na chwilę, po czym skinął na kata. – Zostawcie go tutaj, na przestrożę – powiedział głośno.

Nie zwlekając, Jego Dostojność ruszył w stronę swej siedziby i zszedł po drewnianych stopniach. Na dole czekał na niego kapitan gwardzistów wraz z ośmioma żołnierzami. Otoczyli władcę i odprowadzili go do bramy pałacu. Za nimi szli inkwizytorzy.

Tłum, zobaczywszy, że widowisko dobiegło końca, zaczął się powoli rozchodzić, podczas gdy blade światło poranka spływało jak w gorączce po arkadach budynku prokuracji. Antonio nie mógł oprzeć się wrażeniu, że właśnie wziął udział w egzekucji, która bardziej niż wymierzanie sprawiedliwości przypominała wyrównywanie rachunków.

Canaletto siedział przy stole w tawernie w towarzystwie Owena McSwineya i Josepha Smitha. Przyjaciele umówili się, aby uczcić szczęśliwy koniec wspólnej przygody, ale on wcale nie był w dobrym humorze. I chociaż, co było do przewidzenia, Irlandczyk zamówił butelkę przedniego wina z regionu Piave i teraz cmokał z rozkoszą na znak zadowolenia, Antonio nie miał ochoty na zabawę.

– Co was martwi, przyjacielu? – zapytał McSwiney, który o wiele lepiej rozumiał samopoczucie Antonia, niż ten się tego spodziewał.

– Nie chcę psuć wam świętowania, które wiąże się z zakończeniem tej koszmarnej sprawy – zaczął – ale...

– Obawiacie się, że zawiedliście waszą ukochaną?

Czyżby moje uczucia były aż tak łatwe do interpretacji? Antonio przytaknął. Cóż innego mógł uczynić?

Joseph Smith zakaszłał.

– Owen opowiedział mi o wszystkim, co się wydarzyło, i jeśli dobrze zrozumiałem, to niczego nie można wam zarzucić.

Antonio spojrział na znajomego i w jego oczach pojawił się ledwo dostrzegalny błysk nadziei.

– Tak, to prawda, ale wcześniej naraziłem Charlotte na niebezpieczeństwo. Jej ojciec nigdy mi tego nie wybaczy.

– Taka kobieta jak ona z pewnością nie potrzebuje pozwolenia ojca, by podjąć decyzję o swoim życiu – zauważył Owen – i radzę wam, byście przestali się zadręczać. Powinniście się z nią spotkać, a wszystko samo się ułoży.

– Próbowałem złożyć jej wizytę, ale ojciec nie pozwala mi się do niej zbliżyć.

– To nawet zrozumiałe, jednak nie oznacza, że ona nie chce was widzieć. Może po prostu potrzebuje odpoczynku po tym, co przeszła – dodał McSwiney.

– Też tak pomyślałem, ale nie mam pewności i dlatego się zamartwiam.

– Mój drogi panie Canal, poczucie pewności jest bardzo złudne w naszych czasach. Sądzę, że powinniście dać sobie szansę. Nie chcę sprawiać wrażenia osoby niedyskretnej, ale rozmawiamy teraz o córce feldmarszałka von der Schulenburga, prawda? – zapytał Smith.

– Tak, oczywiście! – potwierdził Antonio.

– A więc mogę wam powiedzieć, że wasza dama z pewnością pojawi się na balu u Elisabetty di Pietro Marii Contarini – oświadczył z dumą Anglik.

– Naprawdę?

– Bez dwóch zdań. Pragnę dodać, że dobrze znam Elisabettę i chciałbym zabrać was jutro na wydawane przez nią przyjęcie.

– Żartujecie sobie ze mnie? – W głosie Antonia brzmiało niedowierzenie.

– Ależ skąd, mówię całkiem poważnie.

– To wspaniała wiadomość!

– Też tak uważam.

– W takich okolicznościach i wśród tłumu zaproszonych gości na pewno nie zabraknie okazji, by porozmawiać – dodał z uśmiechem McSwiney.

– Święta racja – potwierdził ochoczo Antonio.

– A zatem na co czekamy? – Irlandczyk się roześmiał. – Spróbujmy wreszcie tego wyjątkowego wina z regionu Piave! Zapłaciłem za nie fortunę, szkoda tracić czas na próżne żale! Przecież pokonaliśmy zło. Zasłużyliśmy na dobrą rozrywkę!

Antonio uniósł dłonie w geście oznaczającym, że poddaje się argumentacji przyjaciela. Owen miał rację. Wykorzystując swój krewki temperament, zdołał rozwiać wątpliwości przyjaciela i teraz nalewał wino do kielichów.

Po raz kolejny Canaletto przyznał w myślach, że los okazał się dla niego łaskawy, zsyłając mu takich przyjaciół.

Wszystko wskazywało na to, że przy odrobinie szczęścia jutro znowu zobaczy Charlotte. Uniósł puchar z cennym trunkiem i świętując udaremnienie szatańskiego spisku Olafa Teufla, Giovanniego Morosiniego i ich zwolenników, wreszcie uśmiechnął się z nadzieją, że przyszłość okaże się pomyślna.

56. Bal

SALA PREZENTOWAŁA SIĘ WSPANIALE. Przez wielkie okna pałacu sączyło się światło słoneczne. Elisabetta di Pietro Maria Contarini zdecydowała się wydać przyjęcie po południu, nie czekając na nadejście wieczoru. I teraz Antonio zrozumiał powód. Wokół niego wszystko błyszczało i lśniło promiennym blaskiem: kryształowe świeczniki ze szkła produkowanego w Murano, klejnoty szlachetnie urodzonych dam, srebro zastawy stołowej, złote guziki fraków i sznury pereł... Salon wyglądał tak, jakby jakieś pogańskie bóstwo rozsypało wszędzie nienamacalny gwiazdny pył.

Antonio przyszedł na przyjęcie w towarzystwie Owena McSwineya i Josepha Smitha. Zamierzał wrócić do pracy i zająć się realizacją zleceń, i teraz rozważał z przyjaciółmi możliwości dotarcia do nowych klientów. Przeżyte wspólnie przygody uczyniły z nich nierozłączną trójkę.

Chociaż obecne damy były bardzo urodziwe, Antonio nie widział żadnej poza Charlotte. Kiedy weszła w szerokim zielonym welonie narzuconym na rozpuszczone błyszczące włosy i wspaniałej sukni w tym samym kolorze, podkreślającym zresztą głębię jej oczu, Antonio zapatrzył się tak, jakby miał przed sobą ucieleśnienie piękna. Stał nieruchomo, jakby zamienił się w słup soli, ugodzony niezwykłym widokiem. W głębi serca czuł, że tak będzie już zawsze.

Od czasu gdy trzymał ukochaną w ramionach w kaplicy na cmentarzu Świętego Hadriana, minęło już kilka dni. Później Antonio próbował się z nią spotkać, kiedy wracała do sił, lecz feldmarszałek Johann Matthias von der Schulenburg za każdym razem traktował go jak intruza. Antonio naraził przecież jego córkę na ogromne niebezpieczeństwo, teraz więc ponownie musiał zasłużyć sobie na prawo do wizyt. Wiązało się to jednak z długim okresem oczekiwania, aż złość feldmarszałka nieco osłabnie. Antonio nie miał pojęcia, czy Charlotte świadomie zgodziła się na te ograniczenia, ponieważ wiedział, że jest kobietą bardzo niezależną, ale zauważył, że nawet dzisiaj na przyjęciu pojawiła się w towarzystwie ojca, który uważnie rozglądał się dookoła niczym jastrzęb wypatrujący ofiary.

Zanurzony we własnych myślach, nie ośmielił się zbliżyć do ukochanej, pomimo że poprzedniego dnia przyjaciele otwarcie zachęcali go do rozmowy. Zamroczony wyszedł na duży taras rozpościerający się nad dziedzińcem i oferujący wspaniały widok na całe miasto.

Zapatrzył się na dzwonnice bazyliki Świętego Marka, na jej kopuły oświetlone promieniami zimowego słońca. Nie czuł chłodu, gdyż popołudniowe godziny były najcieplejszą porą dnia.

W spokoju kontemplował wyjątkowy widok, gdy nagle usłyszał, że ktoś się do niego zbliża. Odwrócił się w nadziei, że zobaczy Charlotte, a tymczasem stanęła przed nim nieznajoma dama. Miała na sobie wykwinną suknię z adamaszku i jedwabiu w ciemnognatowym odcieniu, zdobioną falbanami. Gęste rude włosy upięte były w wyjątkowo wyrafinowaną fryzurę, a na jej czubku dumnie tkwił maleńki toczek z muślinu i koronek. Dwa kosmyki opadały delikatnie po obu stronach twarzy. Dama nosiła też satynową maskę osłaniającą oblicze na wysokości oczu.

Antonio nie miał pojęcia, z kim ma przyjemność. Dopiero kiedy usłyszał jej głos, uderzył go szeleszczący, niepokojący ton.

– Chciałabym wam pogratulować, panie Canal – odezwała się dama. – Dzięki waszej pomocy udało mi się zemścić na mężu.

Gdzieś już słyszałem ten dziwny akcent – pomyślał Antonio i postanowił zyskać na czasie.

– Czyżbyśmy się znali, dostojna pani? – zagał.

– Naprawdę sobie nie przypominacie? – zapytała, udając niedowierzanie. – Przecież sprawa, w którą się ostatnio tak bardzo zaangażowaliście, zaczęła się właśnie ode mnie.

Jej słowa sprawiły, że zaparło mu dech w piersiach. Zaczął się uważniej przyglądać tej pięknej, eleganckiej kobiecie i kiedy wreszcie ją rozpoznał, potwierdziła jego przypuszczenia skinieniem głowy.

– A więc jednak mnie pamiętacie! Przyznaję, że podczas naszego ostatniego spotkania miałam na twarzy inną maskę, a mój głos był zniekształcony, bo musiałam ścisnąć w ustach guzik. Nie ma sensu tracić czasu, chciałam wam podziękować za to, że doprowadziliście do skazania mojego męża za zdradę ojczyzny. Właśnie tego oczekiwałam.

– Waszego męża? – Antonio nie zdołał dodać nic więcej, bo kobieta mu przerwała.

– To ten kulawy kawaler, pamiętacie? Miałam już dość jego ciągłych zdrad i zaczęłam się zastanawiać, jak go ukarać za niewierność. Oczywiście nie mogłam zawierzyć weneckiemu wymiarowi sprawiedliwości. Jak się przekonaliście na własnej skórze, jest on zupełnie skorumpowany i pozbawiony skuteczności. Dlatego też poprosiłam dozę, aby skorzystał z waszych usług.

– Od początku o wszystkim wiedzieliście? – zapytał z niedowierzaniem Antonio, gdyż wreszcie przyjął do wiadomości, że ma przed sobą tę samą damę, którą po raz

pierwszy zobaczył odzianą w czerń w apartamentach doży na samym początku tej zagmatwanej historii.

To ona wpłynęła na władcę, by zlecił mu śledzenie mężczyzny przedstawionego na obrazie Rio dei Mendicanti.

– Naprawdę was to dziwi? – zapytała, a w jej uśmiechu pojawił się grymas okrucieństwa. – Jestem tak dalece zaangażowana w całą sprawę, że kazałam was nawet śledzić jednemu z moich ludzi. Niestety okazał się dość niezdarny. No cóż, nie wszystko układa się po naszej myśli, prawda? Niemniej jednak to dzięki wam mój mąż został skazany za zdradę ojczyzny. I nie zasłużył sobie nawet na widowiskową egzekucję, jaką przygotowano dla kapitana nocnej straży, bo Czerwony Inkwizytor polecił go po prostu wrzucić do jednego z kanałów z kamieniem u szyi.

– Co wy opowiadacie?

– Mówię, że każdy dostaje to, na co sobie zasłużył, panie Canal. Na Węgrzech honor damy to bardzo poważna sprawa, a niewierność i kłamstwa męża może zmyć tylko krew. Śmiem twierdzić, że właśnie z uwagi na wyjątkowe przywiązanie do honoru Olaf Teufel nigdy wam nie wybaczy tego, co zrobiliście.

– Olaf...

– Zastanawiacie się, czy o nim wiedziałam? – rzuciła kpiąco. – Oczywiście, że tak. Jednak musiałam zlecić wam jakieś zadanie. I przyznaję, że bardzo dobrze się z niego wywiązaliście. Nie sądziłam, że uda wam się doprowadzić śledztwo do końca i jeszcze wyjść z tego zwycięsko. Gratuluję – mówiąc to, dama ruszyła w stronę wystawnych krętych schodów prowadzących na dziedziniec.

– Kim jesteście? – zapytał Antonio, ochłonawszy nieco ze zdumienia.

Kobieta nie zatrzymała się ani na chwilę, lecz niedbale rzuciła przez ramię:

– Jeszcze tu wróć, możecie mi wierzyć, Canaletto.

Antonio w milczeniu przyglądał się, jak idzie w dół po wspaniałych schodach. Czy powinienem ruszyć za nią? – zaczął się zastanawiać. Tylko po co? Co mogę zrobić... Aresztować ją? To niemożliwe, biorąc pod uwagę jej powiązania z dożą. Niezależnie od tego, kim ona jest, władca wyraźnie ją faworyzuje. Obserwując damę pokonującą dziedziniec, rozciągający się trzy piętra poniżej tarasu, odniósł nieprzyjemne wrażenie, że został wykorzystany i ryzykował życie swoje, Charlotte oraz swoich przyjaciół, by zaspokoić żądzę krwi tej demonicznej istoty. Poczul też dziwny niepokój na myśl o pogroźce, którą od niej usłyszał.

Zimny dreszcz przebiegł mu po plecach.

– Tak łatwo się poddaliście? Wystarczyło, by mój ojciec zabronił wam się do mnie zbliżać?

57. Wenecja

ANTONIO SIĘ ODWRÓCIŁ i zobaczył Charlotte.

W jej dużych zielonych oczach migotał ciepły blask. Nie widział w nich złości, lecz namiętność, miłość i zazdrość, które rzucały mu wyzwanie, nie pozwalając na unik.

Wiedział, że tym razem nie może niczego popsuć. Jeśli znowu mają być razem, to musi bardzo uważać na słowa i gesty. Postanowił wyznać jej to, co czuje. Jak zawsze postawił na szczerość.

– Kocham cię, Charlotte – odezwał się – ale musiałem uszanować obawy twojego ojca.

– Feldmarszałek nie jest moim ojcem – odparła.

Przez chwilę Antonio zastanawiał się, co powiedzieć.

– Rozumiem – wykrztusił wreszcie.

– Teraz znasz już wszystkie moje sekrety.

– To niczego nie zmienia.

– Jesteś pewien?

– Oczywiście.

– Kocha mnie nad życie, bo sam mnie wybrał. Okazuje mi swoje przywiązanie każdego dnia, odkąd mnie uratował. A przecież nie musiał tego robić. Zawdzięczam mu naprawdę wszystko.

Po tych wyjaśnieniach Antonio zobaczył w nieco innym świetle zachowanie feldmarszałka. Chciał, aby ukochana zrozumiała jego uczucia i intencje.

– Wiem, że wciągnąłem cię w bardzo niebezpieczną grę, ale pamiętam też, że zaoferowałaś mi swoją pomoc i wsparcie. Nawet sobie nie wyobrażasz, jakie to dla mnie ważne! Bez ciebie nigdy nie zdołałbym doprowadzić sprawy do końca, ale z drugiej strony nie mogę sobie wybaczyć, że nie potrafiłem uchronić cię przed niebezpieczeństwem. Przecież ci szaleńcy mogli cię zabić!

– A ty przybyłeś mi na ratunek.

Antonio pokiwał głową, czując, jak zalewa go infantylna fala szczęścia.

– Zresztą to ja chciałam wziąć udział w tej bitwie. Nie znoszę mężczyzn, którzy próbują mnie chronić – ciągnęła z zapalem Charlotte. W tym momencie wydała mu się piękniejsza niż kiedykolwiek. – Sama potrafię o siebie zadbać. Cenię cię za to, że kiedy jesteś ze mną, próbujesz zrozumieć, czego tak naprawdę pragnę. I zamiast ciągle mówić, umiesz też słuchać.

Antonio odetchnął z ulgą.

– Podziwiam cię od pierwszej chwili, gdy cię ujrzałem. Chociaż niczego ci nie brak, wybrałaś własną drogę w życiu i opanowałaś trudną i coraz rzadszą sztukę będącą zresztą jednym ze znaków rozpoznawczych Wenecji obok teatru, muzyki i malarstwa. Tworzą one duszę naszego miasta. Sądzę, że połączyła nas właśnie wspólna pasja, przynajmniej ja tak to widzę. Uważam, że podjęliśmy decyzję o tym, by sprzeciwić się złu, które drąży od środka nasze miasto, ponieważ oboje po prostu kochamy Wenecję. Mroczna, tajemna siła zagrażająca naszej ojczyźnie zdaje się czymś znacznie okrutniejszym niż tragedia dwóch kobiet zamordowanych w barbarzyński sposób i śmierć młodego Żyda, którego pozbawiono życia, by prawda nie wyszła na jaw. Sądzę, że te przerażające zdarzenia łączą się też z epidemią czarnej ospy zbierającą swe okrutne żniwo niczym trujący oddech Lucyfera. Obiecałem kiedyś moim przyjacielom, że spróbuję ocalić Wenecję na moich obrazach. Wiem, że to za mało, że nie wystarczy, że to tylko niemądre życzenia artysty, ale ja naprawdę wierzę w siłę i oczyszczającą moc piękna. Wierzę, że uda nam się pokonać zło, jeśli pozostaniemy wierni naszym ideałom oraz sztuce. Może nie na zawsze, ale przynajmniej jeszcze na jakiś czas. Nawet na krótko. Ale teraz to ty jesteś moim największym marzeniem, Charlotte.

Na jej policzkach zalśniły łzy.

– Pocałuj mnie, Antonio, pocałuj mnie – wyszeptała.

Trzymał ją w ramionach, czując, jak słodko drży jej ciało. Ich usta szukały się niecierpliwie.

– Kocham cię, Charlotte – powiedział.

Stanął za nią i objął ją mocno.

Poczuł, jak opiera się o niego w geście pełnego zaufania. Przez dłuższą chwilę trwali tak bez ruchu. Łzy obeschły.

– Obawiam się, że dajemy pożywkę plotkarzom – zauważył Antonio.

– Właśnie na to liczę – odpowiedziała.

Zapatrzyli się w słońce chowające się właśnie za dachy Wenecji.

I kontemplując ten wyjątkowy widok, Antonio Canal, zwany Canalettem, wreszcie zrozumiał, kim tak naprawdę jest.

58. Obietnica

OBIECAŁ SOBIE, ŻE SIĘ ZEMŚCI.

Czuł obrzydzenie na widok naiwnego artysty trzymającego w objęciach swoją ukochaną. Co prawda udało mu się wygrać bitwę, ale wojna wciąż jeszcze trwa. Ostateczny triumf będzie należał tylko do mnie – pomyślał. Teraz pozwolę, żeby w mieście na jakiś czas zapanował spokój, i kiedy uderzę ponownie, nikt nie będzie się tego spodziewał.

Zamierzał cierpliwie czekać na dogodny moment, aby wziąć odwet, tak jak chwast, który rośnie powoli, ale w końcu i tak udaje mu się rozplenić po całym ogrodzie. Miał już przygotowany plan. Ta przekłeta damulka pomieszała mu co prawda szyki, ale jeśli myśli, że uda jej się pokrzyżować jego zamiary przy pomocy takiego chłystka, to szybko się przekona, jak bardzo się myli.

Popatrzył w niebo barwiące się krwawą smugą zachodzącego słońca. Pomyślał o swojej ojczyźnie, za którą wcale nie tęsknił. Odnalazł sens życia w ciągłych podróżach i po latach spędzonych na przemierzaniu świata wszczepił i wzdłuż zakochał się w tym mieście zbudowanym na wodzie. W końcu fundatorami Wenecji byli również członkowie jego rodziny reprezentującej jeden z *duodecim nobiliorum proles Venetiarum*².

Któż mógłby się oprzeć takiej pokusie? Czy jest na świecie coś piękniejszego od weneckich pałaców? Od szmaragdowej wody połyskującej w blasku słońca?

Olaf nie sądził, by znalazł się ktoś taki. Jednocześnie nienawidził zwykłych, nic nieznaczących Wenecjan, którzy nie zdawali sobie sprawy z własnego szczęścia i zajmowali się zbieraniem ostatnich okruszków władzy, nie rozumiejąc, ile dostali od losu. Jacyż są małostkowi i nędzni! Nie potrafią nawet marzyć! Skoro chcą, aby ich miasto odzyskało dawną potęgę, powinni stawić czoło wyzwaniom. Tymczasem nawet obracając się w królestwie fantazji, nie są w stanie stworzyć wizji, która miałaby w sobie siłę przyciągania.

Wiedział jednak, że niektórzy z mieszkańców hodują w sobie urazę i że w każdej chwili może ona wybuchnąć. Przecież bez problemu znalazł oddanych sprzymierzeńców w Giovannim Morosinim i w Corneli Zane, nie miał więc wątpliwości, że wkrótce pojawią się nowi. W międzyczasie zgromadził sporą fortunę i nawet jeśli doża wraz z inkwizytorem skrupulatnie próbują pozbyć się lub uciszyć wszystkich tych, którzy brali udział w spisku loży masońskiej, Teufel był pewien, że

chętnych nie braknie. Niezadowolonych patrycjuszy było bez liku. Podobnie jak szlachetnie urodzonych dam poszukujących przygód. Różne obiboki gotowe były na jego usługi. Wśród nich szpiedzy i płatni mordercy.

Strach jest potężną bronią.

Postanowił, że zasieje go ponownie na szeroką skalę. A kiedy mu się to uda, będzie rządził miastem z ukrycia. Wystarczy poczekać. Był jeszcze młody, a czas działał na jego korzyść.

Uniósł wzrok i ponownie zobaczył czule objętych kochanków. Szczęśliwi czasu nie liczą – pomyślał. Niech korzystają i cieszą się swoją miłością, póki mogą. Wcześniej czy później przyjdzie im zapłacić za zuchwałość! Olaf Teufel nie zwykł przegrywać!

Opuścił dziedziniec i skierował się w stronę Pałacu Dożów. Zachodzące słońce barwiło uliczki czerwonym blaskiem. Przeszedł pod wieżę zegarową i skręcił w stronę kolumn Świętego Teodora i Świętego Marka. Na szubienicy ku przestrodze ciągle jeszcze wisiało ciało Giovanniego Morosiniego.

Mewy wydłubały mu oczy i powyrywały kawałki skóry. Teufel zatrzymał się na chwilę przed zwłokami, ale zaraz ruszył dalej. Długa, obszerna peleryna chroniła go przed niedyskretnymi spojrzzeniami. Przez jakiś czas szedł wzdłuż Riva degli Schiavoni, ale wkrótce skręcił w jeden z zaułków i jego postać zniknęła w cieniu zapadającego zmierzchu.

Postowie

Od dawna chciałem wrócić do opowieści o Wenecji i teraz, gdy mogłem wybrać temat, postanowiłem, że skoncentruję się na osiemnastym wieku. Nie wyjawię żadnego sekretu, twierdząc, że ten okres – choć łączy się z upadkiem Serenissimy – charakteryzuje się niepowtarzalną magią i urokiem. Zdawać by się mogło, że właśnie wtedy najwięksi geniusze epoki umówili się tam na spotkanie – są wśród nich między innymi: Antonio Vivaldi, Carlo Goldoni, Giambattista i Giandomenico Tiepolo, Giacomo Casanova, Benedetto Marcello, Francesco Guardi, a przede wszystkim ten, który zmienił koncepcję malarstwa, czyli Giovanni Antonio Canal, zwany Canalettem.

Z biegiem lat moje uwielbienie dla Wenecji wzrosło do niespotykanych rozmiarów. Nie potrafiłbym wyjaśnić powodów. Być może po prostu z wiekiem mój podziw wobec piękna i sztuki zmienił się w życiową potrzebę, manię, konieczność. To miasto na wodzie jedyne w swoim rodzaju, jedyne tak głęboko zanurzone w przeszłości, jedyne, które w tak doskonały sposób reprezentuje marzenia rodzaju ludzkiego z uwagi na to, jak zostało zaprojektowane i zbudowane – jednym słowem Wenecja to ucieleśnienie romantycznych ideałów, których nie potrafię już ignorować. Dlatego też jestem w dwójnasób wdzięczny mojemu wydawcy: za to, że pozwolił się przekonać do zaproponowanej przeze mnie opowieści, i za to, że pozwolił mi ponownie przywołać osiemnastowieczną Wenecję wraz z jej barwami, kształtami, pałacami, widokami, światłocieniem, architekturą i odbiciem w wodach laguny. A któż jeśli nie Canaletto mógł mi pomóc w godnym uczczeniu tego świata?

Moje przywiązanie do formatu powieści przygodowej, którego nie potrafię porzucić, a które ukształtowało się pod wpływem dzieł takich autorów jak Aleksander Dumas, Heinrich von Kleist, Aleksander Siergiejewicz Puszkina oraz dramatów Fryderyka Schillera i Edmonda Rostanda, sprawiło, że oczyma wyobraźni zobaczyłem Antonia Canala, który zostaje zmuszony do przeprowadzenia śledztwa, ponieważ zobaczył i namalował coś, czego nie powinien. Od dawna fascynuje mnie jego obraz przedstawiający Rio dei Mendicanti oraz umieszczone na nim postacie. Nie chciałem zmienić tak utalentowanego artysty w detektywa, dlatego też, na ile to możliwe, starałem się przedstawić go jako osobę nieprzygotowaną do tej roli, może nawet nieco naiwną, która dopiero w trakcie działania nabiera doświadczenia i ujawnia nawet swego rodzaju predyspozycje do wykonania powierzonych misji, i której instynkt samozachowawczy podpowiada skuteczne posunięcia. Wbrew pozorom pomogło mi

też to, że biografia artysty jest bardzo enigmatyczna. Nigdy się nie ożenił i nie miał dzieci, a wszyscy piszący o jego życiu zgodnie podkreślają, że całkowicie poświęcił się sztuce. Ponieważ jednak znamy niewiele konkretów, postanowiłem puścić wodze fantazji i wypełnić luki w biografii Canaletta bez roszczenia sobie prawa do dokonania wyjątkowych odkryć.

Chciałbym również wyraźnie zaznaczyć, że moja książka nie jest powieścią historyczną, lecz kryminałem historyczno-przygodowym. Co oczywiście nie oznacza, że rezygnuję z wiernego przedstawienia realiów epoki, zwłaszcza że wielu bohaterów to postaci historyczne, a niektóre opisane wydarzenia naprawdę miały miejsce.

Wielowątkowość – na którą składają się takie tematy jak twórczość wielkiego artysty, wynalazki związane z rozwojem optyki, malarstwo pejzażowe, osiemnastowieczna Wenecja, brytyjskie zamówienia w dziedzinie sztuki, oligarchiczna polityka Republiki czy wreszcie getto żydowskie – wymagała ode mnie pogłębionych badań historycznych.

Zacząłem od analizy podstawowych tekstów dotyczących historii Wenecji. Oto ich lista: Alvise Zorzi, *La Repubblica del Leone. Storia di Venezia* (Republika spod znaku Lwa. Historia Wenecji), Milano 2011; Riccardo Calimani, *Storia della Repubblica di Venezia* (Historia Republiki Weneckiej), Milano 2019; Pompeo G. Molmenti, *La Storia di Venezia nella vita privata: dalle origini alla caduta della Repubblica*, voll. 1–3 (Historia Wenecji w aspekcie życia prywatnego: od zarania do upadku Republiki, t. 1–3), Vittorio Veneto 2020–2021; Luca Colferai, *Breve storia di Venezia: un grande viaggio nell'avvincente storia della Serenissima* (Krótka historia Wenecji: wielka podróż przez fascynujące dzieje Serenissimy), Roma 2021; Francesco Ferracin, *Storie segrete della storia di Venezia* (Tajemnicze wydarzenia w historii Wenecji), Roma 2017.

Wszystkim zainteresowanym historią osiemnastowiecznej Wenecji polecam następujące dzieła: Bruno Rosada, *Il Settecento veneziano. La letteratura* (Wiek osiemnasty w Wenecji. Literatura), Venezia 2007; Ivone Cacciavillani, *Il Settecento veneziano. La politica* (Wiek osiemnasty w Wenecji. Polityka), Venezia 2009; Filippo Pedrocco, *Il Settecento veneziano. La pittura* (Wiek osiemnasty w Wenecji. Malarstwo), Venezia 2012; Leonardo Mello, *Il Settecento veneziano. Il teatro comico* (Wiek osiemnasty w Wenecji. Teatr i komedia), Venezia 2016; Silvino Gonzato, *Venezia libertina. Cortigiane, avventurieri, amori e intrighi tra Settecento e Ottocento* (Wenecja libertyńska. Kurtyzany, poszukiwacze przygód, miłość i intrygi w osiemnastym i dziewiętnastym wieku), Vicenza 2015.

Informacji na temat wątków szpiegowskich można zaczerpnąć z poniższych źródeł: *Leggende veneziane e storie di fantasmi* (Legendy weneckie i opowieści o duchach), Venezia 2011; *La Venezia segreta dei Dogi* (Sekrety Wenecji dożów), Roma 2015;

I tesori nascosti di Venezia (Ukryte skarby Wenecji), Roma 2016; *Un giorno a Venezia con i dogi* (Jeden dzień w Wenecji w towarzystwie dożów), Roma 2017, autorstwa Alberta Toso Fei. Niezwykle wartościowa jest też książka Paola Preta *I servizi segreti di Venezia: spionaggio e controspionaggio ai tempi della Serenissima* (Tajne służby Wenecji: szpiegostwo i kontrwywiad w czasach Serenissimy), Milano 2016.

Nieocenione w zgłębianiu tajników malarstwa Canaletta okazały się teksty wymienionych poniżej autorów: Alessandro Bettagno (red.), *Canaletto. Disegni – dipinti – incisioni* (Canaletto. Rysunki – obrazy – szkice), Vicenza 1982; Cinzia Manco (red.), *Canaletto*, Milano 2003; Giuseppe Pavanello e Alberto Craievich (red.), *Canaletto. Venezia e i suoi splendori* (Canaletto. Wenecja i jej cuda), Venezia 2008; Bożena Anna Kowalczyk (red.), *Canaletto 1697–1768*, Cinisello Balsamo 2018; Filippo Pedrocco, *Canaletto*, Firenze 2018; Vittoria Markova e Stefano Zuffi (red.), *Il trionfo del colore. Da Tiepolo a Canaletto e Guardi. Vicenza e i capolavori del Museo Puškin di Mosca* (Triumf barw. Od Tiepola do Canaletta i Guardiiego. Vicenza i zbiory z Muzeum Puszkina w Moskwie), Milano 2018.

Ta bibliografia obejmuje oczywiście tematykę ogólną i została uzupełniona lekturą pozycji dotyczących poszczególnych wątków powieści. W odniesieniu do kultury żydowskiej chciałbym wspomnieć o dwóch książkach Riccarda Calimaniego: *Storia del ghetto di Venezia, 1516–2016* (Historia weneckiego getta w latach 1516–2016), Milano 2016; *Storia del pregiudizio contro gli ebrei* (Historia uprzedzeń wobec Żydów), Milano 2014; jak też o pracach zbiorowych: Riccardo Calimani, Anna-Vera Sullam, Davide Calimani, *Ghetto di Venezia* (Getto weneckie), Milano 2005; *Venezia, gli ebrei e l'Europa, 1516–2016* (Wenecja, Żydzi i Europa w latach 1516–2016), Venezia 2016.

Co się zaś tyczy produkcji szkła oraz badań w dziedzinie optyki i powiązanych z nią kwestii, nie sposób pominąć przynajmniej kilku tekstów: Rosa Barovier Mentasti e Giulia Mentasti, *Murano: una storia di vetro* (Murano: historia szkła), Venezia 2015; Aldo Bova (red.), *L'avventura del vetro: dal Rinascimento al Novecento tra Venezia e mondi lontani* (Przygoda ze szkłem: od Renesansu do dwudziestego wieku. Pomiędzy Wenecją a najdalszymi zakątkami świata), Milano 2010; Rosa Barovier Mentasti, *Il vetro veneziano: dal Medioevo al Novecento* (Szkło weneckie: od średniowiecza do współczesności), Milano 1988; Francesco Algarotti, *Dialoghi sopra l'ottica newtoniana* (Rozmowy o optyce według Newtona), Torino 1977; Paolo Galluzzi, *Evangelista Torricelli. Concezione della matematica e segreto degli occhiali* (Evangelista Torricelli. Koncepcja matematyki i tajemnice okularów), Firenze 1976; Fabio Toscano, *L'erede di Galileo. Vita breve e mirabile di Evangelista Torricelli* (Spadkobierca Galileusza. Krótkie życie genialnego Evangelisty Torricellego), Milano 2008.

Poza tym w celu odtworzenia życia codziennego i intryg charakteryzujących osiemnastowieczną Wenecję korzystałem z różnorodnych, bogatych materiałów, bo chociaż moja powieść zalicza się do gatunku przygodowego, którego wyznacznikiem są niespodziewane zwroty akcji, to stworzenie prawdopodobieństwa realiów historycznych wymagało pogłębionych studiów. Cytuję więc wybrane teksty, z których korzystałem: Elena Righetto, *I signori di notte al criminal* (Członkowie nocnej straży), Torrazza Piemonte 2020; Giulia Torri, *La vita in villa. Svaghi, lussi e raffinatezze nell'Italia del Settecento* (Życie w pałacu. Rozrywki, zbytek i wystawność w osiemnastowiecznych Włoszech), Roma 2017; James Anderson, *I doveri del libero massone – estratti dagli antichi registri delle Logge di Oltremare, d'Inghilterra, Scozia e Irlanda ad uso delle Logge di Londra 1723* (Obowiązki wolnomularza – wypisy z dawnych dzienników łóż z Anglii, Szkocji i Irlandii na użytek Łoży Londyńskiej w 1723 r.), Modena 2012; Alberto Prelli, *Sotto le bandiere di San Marco* (Pod sztandarami Świętego Marka), Bassano del Grappa 2012; Alfredo Viggiano, *Lo specchio della Repubblica. Venezia e il governo delle isole Ionie nel Settecento* (Portret Republiki. Wenecja i rząd Wysp Jońskich w osiemnastym wieku), Verona 2008; Filippo Pedrocco, *Il Settecento a Venezia. I vedutisti* (Wiek osiemnasty w Wenecji. Pejzażyści), Milano 2001; Cesare de Seta, *Vedutisti e viaggiatori in Italia tra Settecento e Ottocento* (Pejzażyści i podróżnicy włoscy w osiemnastym i dziewiętnastym wieku), Torino 1999.

Padwa–Wenecja, 28 lutego 2022 roku

Podziękowania

Dziękuję wydawnictwu Newton Compton.

Szczere i zasłużone podziękowania należą się zwłaszcza Vittoriowi Avanziniemu oraz Marii Grazii Avanzini, którzy zawsze okazywali mi przywiązanie i traktowali mnie z szacunkiem.

Raffaello Avanzini jak zwykle mnie zaskoczył. Jest człowiekiem o niespotykanym bagażu kulturowym i nasze rozmowy telefoniczne wzbogacają moją wiedzę. Jego prowokacyjny i przesycony antycznym duchem sposób myślenia dostarcza ciągłych niespodzianek. Z nim nie można się nudzić.

Poza wydawcami dziękuję też moim agentom literackim, Monice Malateście i Simonemu Marchiemu. Ich praca zasługuje na najwyższe uznanie, zwłaszcza że wykonują ją niezwykle profesjonalnie i z ogromnym oddaniem. Mam duże szczęście jako autor.

Alessandra Penna od dawna redaguje moje książki. Dziewięć wspólnych powieści to znaczący dorobek. Zaczynam się powoli uzależniać.

Dziękuję Martinie Donati, Robertowi Galofarowi i Antonelli Sarandrei, a także Clelii Frasce i Gabrieleemu Anniballemu. Wreszcie chciałbym też podziękować całemu zespołowi wydawnictwa Newton Compton Editori za wyjątkowy profesjonalizm.

Dziękuję tłumaczom moich powieści i wspominam tu o tych, których poznałem osobiście. Dziękuję Gabrieli Lungu za wydanie rumuńskie, Jekaterinie Pantelejowej za rosyjskie, Marii Stefankovej za słowackie, Eszter Sermann za węgierskie, Richardowi McKenna za angielskie i wszystkim innym: czekam na wasze maile!

Dziękuję też grupie Sugarpulp, którą tworzą: Giacomo Brunoro, Valeria Finozzi, Andrea Andreetta, Isa Bagnasco, Massimo Zammataro, Chiara Testa, Matteo Bernardi, Piero Maggioni, Marilena Piran, Martina Padovan, Carlo „Charlie Brown” Odorizzi.

Dziękuję Lucii i Giorgiowi Strukulom, Leonardowi, Chiarze, Alice i Grecie Strukul.

Dziękuję Gorgiom: Annie i Odinowi, Lorenzowi, Marcie, Alessandrowi i Federicowi.

Dziękuję Marisie, Marghericie i Andrei „il Bull” Camporese.

Dziękuję Caterinie i Lucianowi, Oddonowi i Teresie, a także Silvii i Angelice, Lillo i Sole.

Dziękuję mojemu mistrzowi Andrei Muttiemu i wyrafinowanemu Francescowi Ferracinowi, Livii Sambrotcie i Francescowi Fantoniemu. W tym gronie muszą się też znaleźć: Enrico Lando, Marilù Oliva, Romano de Marco, Nicolai Lilin, Tito Faraci,

Sabina Piperno, Francesca Bertuzzi, Marcello Bernardi, Valentina Bertuzzi, Tim Willocks, Diego Loreggian, Andrea Fabris, Francesco Invernizzi, Barbara Baraldi, Marcello Simoni, Alessandro Barbaglia, Alessio Romano, Mirko Zilahi de Gyurgyokai. Zawsze mogę na was liczyć.

Serdeczne podziękowania dla Paoli Ranzato i Davida Gianellego, dla Paoli Ergi i Marcella Pozzy.

Na zakończenie serdeczne podziękowania dla szerokiego grona osób, w którym znaleźli się: Andrea Berti, Jacopo Masini, Alex Connor, Victor Gischler, Jason Starr, Allan Guthrie, Gabriele Macchietto, Elisabetta Zaramella, Alessandro e il clan Tarantola, Lyda Patitucci, Mary Laino, Leonardo Nicoletti, Andrea Kais Alibardi, Rossella Scarso, Federica Bellon, Gianluca Marinelli, Alessandro Zangrando, Francesca Visentin, Anna Sandri, Leandro Barsotti, Paolo Navarro Dina, Claudia Onisto, Massimo Zilio, Chiara Ermolli, Giulio Nicolazzi, Giuliano Ramazzina, Giampietro Spigolon, Erika Vanuzzo, Thomas Javier Buratti, Marco Accordi Rickards, Raoul Carbone, Francesca Noto, Micaela Romanini, Guglielmo De Gregori, Daniele Cutali, Stefania Baracco, Piero Ferrante, Tatjana Giorcelli, Giulia Ghirardello, Gabriella Ziraldo, Marco Piva a.k.a. il Gran Balivo, Paolo Donorà, Massimo Boni, Alessia Padula, Enrico Barison, Federica Fanzago, Nausica Scarparo, Luca Finzi Contini, Anna Mantovani, Laura Ester Ruffino, Renato Umberto Ruffino, Livia Frigiotti, Claudia Julia Catalano, Piero Melati, Cecilia Serafini, Sara Ziraldo, Sara Boero, Laura Champion Zagato, Elena Rama, Gianluca Morozzi, Alessandra Costa, Và Twin, Eleonora Forno, Maria Grazia Padovan, Davide De Felicis, Simone Martinello, Attilio Bruno, Chicca Rosa Casalini, Fabio Migneco, Stefano Zattera, Andrea Giuseppe Castriotta, Patrizia Seghezzi, Eleonora Aracri, Federica Belleri, Monica Conserotti, Roberta Camerlengo, Agnese Meneghel, Marco Tavanti, Pasquale Ruju, Marisa Negrato, Martina De Rossi, Silvana Battaglioli, Fabio Chiesa, Andrea Tralli, Susy Valpreda Micelli, Tiziana Battaiuoli, Erika Gardin, Walter Ocule, Lucia Garaio, Chiara Calò, Anna Piva, Enrico „Ozzy” Rossi, Cristina Cecchini, Iaia Bruni, Marco „Killer Mantovano” Piva, Buddy Giovinazzo, Gesine Giovinazzo Todt, Carlo Scarabello, Elena Crescentini, Simone Piva & i Viola Velluto, Anna Cavaliere, AnnCleire Pi, Franci Karou Cat, Paola Rambaldi, Alessandro Berselli, Danilo Villani, Marco Busatta, Irene Lodi, Matteo Bianchi, Patrizia Oliva, Margherita Corradin, Alberto Botton, Alberto Amorelli, Carlo Vanin, Valentina Gambarini, Alexandra Fischer, Thomas Tono, Martina Sartor, Giorgio Picarone, Cormac Cor, Laura Mura, Giovanni Cagnoni, Gilberto Moretti, Beatrice Biondi, Fabio Niciarelli, Jakub Walczak, Diana Severati, Marta Ricci, Anna Lorefice, Carla VMar, Davide Avanzo, Sachi Alexandra Osti, Emanuela Maria Quinto Ferro, Vèramones Cooper, Alberto Vedovato, Diana Albertin,

Elisabetta Convento, Mauro Ratti, Mauro Biasi, Nicola Giraldi, Alessia Menin, Michele di Marco, Sara Tagliente, Vy Lydia Andersen, Elena Bigoni, Corrado Artale, Marco Guglielmi, Martina Mezzadri.

Na pewno o kimś zapomniałem, zawsze mi się to zdarza... Przepraszam i obiecuję, że wspomnę o Was w kolejnej książce.

Uściski i podziękowania dla wszystkich czytelniczek i czytelników, księgarzy, promoterek i promotorów, których łączy wiara w moją nową powieść. Przyszłość literatury leży w Waszych rękach.

Tę powieść dedykuję mojej żonie, Silvii: życie z Tobą jest prawdziwą magią, każdego dnia odkrywam Cię na nowo i nie mogę oprzeć się twojej urodzie, inteligencji, odwadze. Na zawsze Twój.

¹ Biblia Tysiąclecia, Wydawnictwo Pallottinum, Poznań 2003. (Wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczki).

² Łac. z dwunastu szlchetnych rodów Wenecji.